

Andre Norton &
Susan Schwartz

Imperium Orła

Tytuł oryginału EMPIRE OF THE EAGLE 1993

Amber 1994

Andre Norton: Wprowadzenie

Był żołnierzem nieledwie chłopskiego pochodzenia, lecz miał praktyczną wiedzę i iskrę militarnego geniuszu. Dzięki tym cechom stworzył twardą podstawę najpierw Republiki Rzymskiej, a później Imperium. - Stworzył Legiony. Do czasów Mariusa wojownicy walczyli nieustępliwie i dobrze, ale idea armii opartej na pospolitym ruszeniu, zwoływanym w obliczu zagrożenia kraju, nie mogła być wystarczającą bronią dla wodza, przekonanego o swym boskim przeznaczeniu.

I w ten oto sposób powstała koncepcja zawodowego żołnierza, którego prawdziwym domem była armia, a bogiem - Orzeł Legionu, na którego składał przysięgę. Mimo krwawej łaźni, dokonanej na rozkaz Sulli, zazdrosnego o wpływy swego poprzednika, idea Legionów i idea Orła przetrwały i zostały zaakceptowane jako jedyny możliwy oręż w wojnie, zarówno z barbarzyńcami, jak i z regularnymi wojskami tych, którzy ośmielili się stawić opór ekspansji Rzymu.

Utrata Orła była hańbą tak wielką, że mogła ją zmyć tylko krew. Prawdopodobnie najsłynniejszą tego rodzaju klęską była masakra trzech legionów Augusta Cezara i stracenie ich Orłów wśród wzgórz Teutoburger Wald.

Rzymianami dowodził Quinctilius Varus i to jego, podobno, błagał August:

- Varusie, Varusie, zwróć mi moje Legiony!

Wcześniej jednak został pobity prokonsul Krassus (członek pierwszego Triumwiratu). Zazdrosny o sławę Juliusza Cezara i żądny legendarnych skarbów Środkowego Wschodu, poprowadził swą armię ku krwawej klęsce pod Carrhae w 43 roku p.n.e.

Jak się okazuje, warto jest czytać komentarze, którymi opatrywane są zapomniane dziś opowieści i legendy. Zbierając materiały do noweli Imperial Lady, musiałyśmy przeczytać historię Dynastii Han - rządzącej prawie 2000 lat temu. Tłumacząc te starożytne stronicy, natknęłyśmy się na przypisy, które stworzyły ogromne możliwości dla naszej wyobraźni i fantazji.

Ze związanej notatki dowiedziałyśmy się, że część Armii Hana, której potęga rozpościerała się wzdłuż Jedwabnego Szlaku i która podbijała kolejne terytoria, zapuściła się w głąb Środkowego Wschodu i była świadkiem klęski Legionów Rzymu.

Dowódca Armii Hana, będąc pod wrażeniem nieugiętej postawy Rzymian wobec nieszczęść i śmierci, zażądał kohorty więźniów, by uczynić zeń osobliwy prezent dla swego cesarza.

Sucha notatka nie mówi nic więcej o dalszych losach Rzymian w krainach tak odległych, że wówczas niewyobrażalnych.

Co się z nimi stało? Skoro historia nie odpowiada na to pytanie, możemy spróbować odgadnąć. Garstka legionistów, szukających siły i oparcia w swym Orle - cóż więc mogło wydarzyć się dalej?

Andre Norton

Susan Schwartz: Wprowadzenie

Dobrze pamiętam chwilę, gdy po raz pierwszy usłyszałam o Rzymianach, którzy stali się archetypem bohaterów Imperium Orła. Było to w 1964 roku. Spędzałam moją przerwę na lunch czytając *The Last Planet* Andre Norton. Ci, którzy znają tę książkę, wiedzą, iż rozpoczyna ją opis Rzymian maszerujących na Wschód i tworzących gdzieś w odległej Azji swój ostatni, nie zauważony przez historię czworobok - znakomity wstęp do opowieści o upadającym Imperium.

Prolog powieści zwrócił moją uwagę na ojczyznę Mu, Atlantyde i Ujgurów - byłam zachwycona, gdy dużo później odkryłam na mapie prawdziwą Ujgurską Republikę Autonomiczną w zachodnich Chinach, na granicy z byłym Związkiem Radzieckim. W moich późniejszych książkach nie wracałam w tamte strony. Ale gdy zaproponowano mi temat kolejnej powieści, byłam gotowa odwiedzić te zapomniane miejsca, zając się zagadką Rzymian, maszerujących przez dorzecze Tarymu.

Jak się tam dostali? Mając zaledwie kilka zapisków z chińskiej historii o ludziach, którzy mogliby być Rzymianami, możemy tylko przypuszczać. Na jednym z takich domysłów - przekazie o klęsce Krassusa i jego Legionów pod Carrhae w 43 roku p.n.e. - zbudowałyśmy fabułę tej książki. Jedno jest pewne - w pierwszym stuleciu przed naszą erą Rzym dowiedział się o istnieniu szlaków handlowych, znanych obecnie jako Jedwabne Szlaki, a także o bogactwach, które transportowano tamtędy na zachód.

Szczególnie zainteresowany Jedwabnym Szlakiem był Krassus, niebywale bogaty człowiek, który rywalizował ze swym przyjacielem triumwirem Juliuszem Cezarem i szukał własnych zwycięstw, prowadząc jako prokonsul kampanie na Bliskim Wschodzie. Niestety, zżerany przez chciwość i ambicję, Krassus był kiepskim żołnierzem. Zabrakło mu przenikliwości politycznej (czy też szczęścia) w doborze sojuszników. Zdradzili go zarówno Nabatejczycy, jak i król Armenii. W dodatku popełnił kilka strategicznych i taktycznych błędów, które przesądziły o klęsce jego wyprawy. Sprowokowany przez Nabatejczyków, dał się przekonać, by Legiony maszerowały w tempie konnicy. Czekał na słynną galijską jazdę swego syna Publiusa i wreszcie kazał walczyć legionistom w gorący, słoneczny dzień (pod Carrhae, miastem garnizonowym niedaleko dzisiejszego Haramu), bez wody i odpoczynku. Co gorsza, zmierzył się z Sureną, charyzmatycznym, potężnym i doświadczonym przywódcą partyjskiego klanu, zabitym później przez swego własnego króla z powodu, który przywiódł do zguby Cezara - zbyt dużych ambicji.

Zainteresowani tymi czasami i tą częścią świata wiedzą, że Partowie byli świetnymi konnymi łucznikami. W obronie przed ich atakiem Rzymianie sformowali "testudo", czyli "żółwia" - ustawieni w szyku z tarczami nad głową chronili się przed gradem strzał i czekali, aż Partom zabraknie amunicji. Jednakże nie uwzględnili w swej taktyce upału, głodu i pragnienia. Nie wzięli także pod uwagę załamania się Krassusa, gdy ten ujrzał zatkniętą na czubku lancy zwycięzcy odciętą głowę swego syna.

Klęska była druzgocąca: Rzym stracił nie tylko dziesiątki tysięcy żołnierzy, lecz także Orły Legionów, znak potęgi i honoru. Porzucając martwych i rannych, Krassus schronił się wraz z resztkami swoich wojsk w Carrhae i w końcu rozpoczął układy.

Co stało się z żołnierzami Krassusa i zdobytymi Orłami?

Najprawdopodobniej skończyli w niewoli - Rzymianie jako niewolnicy, Orły jako trofea.

Oto historia, która od dawna intrygowała Andre Norton. Uczyniłyśmy z niej punkt wyjścia naszej opowieści. A jeśli maszerując na wschód, wkroczyli prosto w mity? Azja - zwłaszcza Centralna - jest kopalnią legend. Wpadły nam do rąk dwa ich zbiory: historia o mitycznej krainie Mu, często łączona z Atlantydą i mitologią słoneczną, oraz starożytny hinduski epos Mahabharata, z jego bogami, półbogami i książętami, walczącymi wraz ze śmiertelnikami w opisywanej przez autora bitwie. Zafascynowało mnie przedstawienie Petera Brooksa w Brooklyn Academy of Music inspirowane wątkami hinduskiego eposu i zaintrygowało spostrzeżenie, że opowieści o Krisznie i jego ludzkich

sojuszniakach, bohaterze Arjunie i jego braciach, ich żonie - Draupadi i toczonych przez nich wojnach są ciągle popularne i kochane, uczy się o nich dzieci, na ich kanwie osnute są nawet współczesne komiksy. Oczywiście, ta kombinacja wątków przesuwają zdecydowanie Imperium Orła z obszaru fikcji historycznej w kierunku fantastyki takiej, jak zapiski słoniogłowego Ganesii z Mahabharaty.

Wyobraźcie go sobie, jak rozpoczyna swoją historię. Jest ciemno. Mężczyźni kula się na bagnach pokonani, zdradzeni, niepewni dowódców. Nadchodzą posłańcy - przynoszą warunki kapitulacji. Rozpoczyna się podróż poprzez kultury i czas.

Rozdział pierwszy

Mury Carrhae pozwoliły pozostałym przy życiu legionistom Krassusa umknąć równie haniebnie, jak wcześniej przybyć do miasta: Carrhae zostało uwolnione od kolejnej władzy niezdolnej do rządzenia. Resztkom Legionów nie pozostało zbyt wiele dumy i bardzo mało siły. Miasto, czyste i obojętne, mogłoby być równie odległe jak sam Rzym. W tej chwili trybun Quintus rozpaczliwie pragnął ochrony, którą mogły dać te mury. Wszystkich bezpiecznie za nimi ukrytych wysyłał w głębi serca do Tartaru. Był zresztą całkowicie przekonany, że wcześniej czy później zawita tam osobiście.

Daleko przed nim jego przełożeni i starsi gestykulowali, podczas gdy centurionowie ciosami pałek ustawiali po raz ostatni wyczerpanych ludzi w szereg bojowy, by mogli podążyć za przewodnikiem w głąb mokradeł.

- Myślisz, że możemy mu zaufać?

- A chcesz jeść błoto?

Ktoś wciągnął policzki, wydając odgłos ssania. Zdumiewające, nikt nie miał wystarczająco dużo siły i energii, by podjąć nawet tak kiepski żart.

- Uciszcie się! - Rufus, starszy centurion, poparł swój rozkaz uderzeniem pałki. Quintus mógł się spodziewać, że ten stary, twardy żołnierz przeżyje. To, że przeżył on sam, było dla niego więcej niż niespodzianką. Może stało się tak dlatego, że nie do końca tego pragnął...

Niedawno przekonali się, że nie mogą ufać swoim towarzyszom - Rzymianom, ani też części sojuszników. Jak wobec tego mogliby zaufać przewodnikowi, który drżał ze strachu, gdy czyjeś oczy lub ręka spoczęły na nim, by w chwilę później rzucić pełne nienawiści spojrzenie. Jego doświadczenie dawało im niewielkie szansę, lecz mimo wszystko obiecywało lepszy - nawet jeśli mniej honorowy - los niż bębny i strzały, które miały powitać ich o świcie.

Partowie byli konnymi łucznikami, niechętnie walczącymi w nocy, bo wtedy ryzykowali śmierć swych cennych wierzchowców. Gdyby tak litościwie odnosili się do ludzi, dwadzieścia tysięcy Rzymian byłoby wciąż wśród żywych. Poza tym, czemuż Surena i jego wojownicy mieliby w ogóle walczyć? Legiony Syrii były wykrywawione. Rzymska kawaleria odparta, a z wojsk posiłkowych tylko część

przeżyła lub była na tyle lojalna, by wraz z legionistami podążyć na mokradła.

Teraz księciu Surenie - władcy jednego z najpotężniejszych partyjskich klanów - nie pozostało nic innego, jak tylko poczekać, aż fałszywi przewodnicy i prawdziwe bagna zapewnią mu ostateczne zwycięstwo.

Ktoś zakrzuszył się niedaleko Quintusa. W jego własnym przetyku wzbierał kwaśny posmak, wywołany okropnym bagiennym fetorem, prawie tak plugawym jak klątwy miotane przez Rufusa. Rufus nie przestawał przeklinać, odkąd nadeszły rozkazy odwrotu. Najpierw wyrwali się z pola bitwy, padając od strzał jeźdźców - łuczników. By ich klęskę uczynić całkowitą i haniebną, zmuszono ich do porzucenia rannych. W końcu - pod osłoną nocy - wymknęli się z Carrhae, niczym mężczyzna wychodzący ukradkiem z lupanaru. Pobici, zniszczeni i martwi, gdy tylko dopadnie ich jedyny, prawdopodobny los.

Krew dudniła w skroniach Quintusa niby bojowe bębny wroga i mosiężne dzwonki dźwięczące ogłuszająco, gdy paradował przed nimi Surena lub gdy obnoszono odrąbaną głowę syna prokonsula, zatknietą na czubku lancy. Widok ten zamienił arogancję rzymskiego wodza w rozpacz i strach, pozbawiając Legiony choćby takiego dowództwa, jakie mógł zapewnić im Krassus i odbierając wolę zwycięstwa. Teraz to tępe miarowe pulsowanie w głowie młodego trybuna i hausty rzeńskiego powietrza, które wciągał w swe obolałe płuca, w jakiś sposób pomagały mu iść, działając podobnie jak bębny na galerze, odmierzające rytm pracy galerników. Udało im się nie biec. To wszystko na co było ich stać - niedobitki siedmiu Legionów Krassusa.

- Na ziemię! - ktoś szepnął.

Quintus przypadł do ziemi - czy też błota - tuż obok kałuży tak zmętniałej, że nie odbijały się w niej ani gwiazdy, ani księżyc. "Bogowie odwrócili od nas swe twarze" pomyślał. Lecz czegoż więcej mogli oczekiwać po porażce takiej jak ta?

Pamięć z wolna zaczęła powracać. Byli przeklęci już wtedy, gdy wyruszyli z Rzymu. Czy trybun Aetius nie potępił ostro i otwarcie Krassusa i jego armii twierdząc, iż Partia jest neutralnym królestwem i nie wolno jej atakować? Każdy inny potraktowałby to jako omen i przemyślał dwa, trzy razy swoje dalsze kroki. Mówili, że Krassus opowiadał w towarzystwie o czynach Aleksandra, co dało asumpt plotkom, iż zazdrości Cezarowi, swemu przyjacielowi i rywalowi. Potrzebował triumfu, którego świadkiem byłby cały Rzym, dlatego też zignorował słowa Aetiusa. Jak Grecy określali działanie wbrew woli bogów? Quintus poszukiwał w pamięci

odpowiedniego słowa. Wszystko było jakby zamglone...

"Hubris." Cóż, gdyby dano mu wolny wybór, wolałby raczej zostać rolnikiem niż uczonym. A już na pewno nie żołnierzem. Prości ludzie też mają swoje określenie na taką arogancję: "nefas" - niewysłowione zło.

Tutaj wszystko prócz niego samego było "nefas".

Jego towarzysze zapadali się po kolana i po pas w cuchnącej wodzie, gubiąc swoje pakunki. Rzymianie trzymali się razem, podobnie jak ich sojusznicy, rozdzielając się wedle narodowości. W nocy trudno będzie odróżnić sojuszników od wrogów - podczas marszu ich szeregi nadmiernie się rozciągnęły. Część sprzymierzonych złamała przysięgę. Mimo to lepiej nie zabijać tych, którzy pozostali wierni.

Przy każdym oddechu bolały go żebra. Podczas bitwy strzała przeleciała mu koło głowy. Niewiarygodnie szczęśliwym trafem udało mu się odchylić tak, że śmiertelny cios ześliznął się po zbroi. "Trafili mnie" - pomyślał. Przez chwilę stał zdezorientowany, niczym gladiator, czekający na ostatni cios. Spróbował odgonić wspomnienia. "Magna Mater - nie miałem zbyt wiele z życia!"

Bez domu. Bez synów. Bez ziemi.

Czas zwolnił, a on znowu powrócił do obrazów bitwy. Zgiął się wpół, zamroczony, zastanawiając się, czy strzała przebiła płuco i jak dużo czasu zajmie mu utopienie się we własnej krwi.

Quintus roztarł sobie bok, pół leżąc, pół siedząc przy mętnej kałuży. Rana od strzały nie podkopała jego zdrowia, lecz wciąż krzywił się z bólu przeszywającego go przy każdym poruszeniu. Tamten cios uderzył ponad miejscem, w którym przechowywał małą, brązową figurkę, jego szczęśliwy talizman. Znalazł ją jako chłopiec na rodzinnej farmie, odebranej później jego rodzicom.

- Nie pijcie tego, głupcy! To paskudztwo! - rozległ się krzyk centuriona, poparty uderzeniem pałki w plecy jakiegoś nierozsądnego żołnierza. - Nie masz wody? Hej, ty tam! Podziel się z Tytusem. I poruszajcie się ostrożnie. Tutaj lepiej nie skakać.

Nikt nie miał takiego posłuchu jak Rufus. Mimo to podniósł się szmer, a nawet jęk protestu.

- Nie wolno pić stojącej wody. Popatrzcie na te szumowiny. Powąchajcie je. Chcecie dostać biegunki lub takiej gorączki, że brzeg Tybru latem będzie wydawał wam się ogrodem? Czyż jesteście aż tak głupi, by myśleć, że pozwolą nam nieść

chorych?

"Oto - pomyślał Quintus - co najbardziej zraniło starego wiarusa." Na polu bitwy Rzym zostawił swoich rannych. Ludzie, których centurion znał, którym rozkazywał, których karał i nagradzał, jakby byli jego synami - zostali porzuceni, by podcięto im gardła (czy też zabito w jakiś inny, bardziej barbarzyński sposób), a ich krzyki zagłuszył warkot partyjskich bębnow.

Primus Pilus bezwiednie zdjął hełm i otarł swe siwe włosy. Nie był już Rufusem: ruda czupryna, która przyniosła mu imię, zniknęła dawno temu. Zestarzał się w Legionach. Tylko wiara, że jest potrzebny żołnierzom, powstrzymywała go przed wtargnięciem do namiotu Krassusa i skorzystania z jedyne przywileju jaki mu pozostał - zadania sobie śmierci. Jego ludzie. Jedyni synowie, jakich kiedykolwiek miał. Patrzył, jak umierają w imię czyjejs dumy i perfidii, jak padają od partyjskich strzał, a teraz widział ich śmierć pośród błot pod Carrhae i nie mógł wzniesć miecza, by ich pomścić, jak nakazywał honor Rzymianina.

Quintus przyglądał mu się otępiąły, czerpiąc siłę ze spokoju i opanowania centuriona. Serce starego wojaka było twardsze od samych Legionów. Będzie żył tak długo, jak długo będzie komuś potrzebny. Nawet jeśli łatwiej byłoby umrzeć.

- Dobrze, że ci się udało. - Rufus zatrzymał się obok

Quintusa. Widzieli się po ucieczce do Carrhae, lecz nie rozmawiali ze sobą. -
Widziałem, jak chybiłeś włócznią...

"Jaką włócznią?"

- ...wtedy trafiła cię ta strzała. Kiedy cudem przed nią umknąłeś, zastanawiałem się, czy jednak nie straciłem czasu, który ci poświęciłem.

Quintus wzruszył ramionami. Żebra przeszył płomień, za chwilę ból ustąpił.

- Jestem gotowy do wymarszu, gdy tylko nadejdą rozkazy - próbował dopasować się do rzeczowego tonu Rufusa.

Wyczerpanie skłaniało ludzi do posłuszeństwa. Rufus chodził między leżącymi, rozkazując i nadzorując podział resztek żywności i wody pitnej. Quintus wstał i podążył za nim na oślep. Wydało mu się, że słyszy głos swego dziadka: "Przypatrz się dobrze, chłopcze. To jeden z prawdziwych żołnierzy".

Za mokradłami czeka śmierć - Partowie i strzały. Bagno rozbrzmiewało kakofonią dźwięków. Najbardziej drażniące było brzęczenie owadów, rojących się pod ubraniem i zbroją. Wszędzie unosił się odór butwiejących roślin, smród przerażonych ludzi i krwi rannych, tych którzy zdołali jeszcze uciec... uciec nie jak...

Rzymianie, którymi byli. Nikt nie popełnił samobójstwa, by zmasać hańbę, co uczyniono by niechybnie w starych opowieściach. Zresztą, żaden z obecnych dowódców nie zrozumiałby tego gestu, ani też na taki gest nie zasługiwał.

Ciemność nocy przyniosła nagiej, spalonej ziemi i brązowej wodzie ulgę. Mimo to ból głowy Quintusa wzmógł się - pod powiekami wirowały mu białe i czerwone płaty. Nawet noszenie hełmu było teraz małym zwycięstwem. Inni dawno już odrzucili swoje, traktując je jako zbędne obciążenie podczas panicznej ucieczki. Wstyd - tego uczucia prokonsul Krassus nikomu nie oszczędził.

- Równie dobrze możesz odpocząć, młodzieńcze... chciałem powiedzieć: panie - odezwał się Rufus. W jego głosie brzmiały rozpacz i zmęczenie.

Quintus posłusznie osunął się na ziemię, zakrywając dłońmi piekące oczy.

Po chwili jednak zawstydził się. Nawet najmłodszy trybun, zawdzięczający swój miecz uporowi i szczęśliwemu przypadkowi, powinien dawać ludziom lepszy przykład. Niedaleko klęczał jeden z chorążych. Wbił grubszy koniec drzewca Orła w błoto. Ptak z brązu, wysoko nad ich głowami, wyglądał na równie przygnębionego, jak mężczyzna, który go dzierżył. On jeden ocalał. Nie tak, jak inne. Orły Legionów Rzymu wpadły w ręce wroga. To było gorsze nawet od porzucenia rannych. Orły, w co wierzyła większość z tych, którzy za nimi maszerowali, były duchem Legionów tak, jak "genius loci" był duchem miejsca.

Quintus wzdrygnął się, jakby dotarł do niego znajomy zapach lub głos. Lepiej nie myśleć o tej części przeszłości, chyba że chce się upodobnić do Azjatów opanowanych religijną ekstazą. Trudno uwierzyć, lecz pod wpływem swych religii byli w stanie okaleczyć siebie lub innych. Przeszedł go dreszcz; miał nadzieję, że to gorączka, a nie początek szaleństwa. Był Rzymianinem. Proroctwa i głosy duchów są dobre dla plebsu.

Przynajmniej ucichły bębny, te przeklęte, dudniące bębny zwycięskich Fartów Sureny. Quintus nie był żołnierzem, niczym nie przypominał centuriona Rufusa - wychowanego przez Legiony i przywiązanego do nich - ale te kilka lat, podczas których sprawował godność trybuna, sporo go nauczyło. Bębny były złym znakiem: wszystkie znaki wróżyły źle, odkąd Markus Liciniusz Krassus poprowadził swoje siedem Legionów, wojska sprzymierzone i - niech ją bogowie przeklną - zadufaną w sobie konnicę na wschód od Eufratu.

"Czekajcie na kawalerię" - mówił prokonsul Krassus. Tysiące dumnych jeźdźców z Galii, prowadzonych przez jego syna. "Czekajcie na nich." A potem

dotrzymujcie im kroku, póki nie rozbolą was płuca, nie udusi wzbity kurz, a część starszych żołnierzy nie zacznie utykać. No cóż, ci wszyscy jeźdźcy zostali wyrżnięci, a Publius Krassus wraz z nimi; reszta w panice uciekła.

Bogowie, po prostu chciał położyć się i umrzeć w zbroi, która zaczęła z wolna pokrywać się rdzą. Podczas tych bezwietrznych dni, przed swoją ostateczną zdradą, ten arabski pies Ariamnes szydził z rzymskiego kroku. Sam był konno, a wraz z nim sześć tysięcy jego wojowników, sojuszników Rzymian. Łasił się, niczym najędźniejszy klient, do ludzi, których potem zdradził. Bogowie! Quintus uniósł głowę, próbując zobaczyć niebo. Szkoda, że nie był nad Tybrem, na ziemi nie należącej już do niego.

Zdążyli ochłonąć z pierwszej paniki. Rozpoznał to po afektowanym głosie tego pyszałka - Luciliusa.

- Sprawił to widok głowy jego syna, nabitej na włócznię. Prokonsul spojrział na nią i krzyknął jak rodząca kobieta - opowiadał Lucilius. - Rozplakał się. Groził, że rzuci się na miecz, choć ręka mu drżała, niczym po trzydniowym pijaństwie. Nie wiem, w jaki sposób mógłby utrzymać miecz wystarczająco długo, by się na niego nadziać.

Młody arystokrata gościł w namiocie Krassusa - Quintus nie został tam zaproszony - tej nocy, kiedy konsul musiał podjąć wreszcie jakąś decyzję - choćby o porzuceniu rannych i odwrocie do Carrhae. Quintus powinien był się spodziewać, że Lucilius dołączy do innych patrycjuszy, tych którzy arbitralnie zdecydowali, czyje życie ma być oszczędzone, a czyje - poświęcone.

Teraz śmiał się swobodnie, zupełnie jakby wymieniał się plotkami w domowej łaźni.

Drugi trybun Legionów nie kochał zbytnio Krassusa. Gospodarstwo będące od pokoleń własnością rodziny Quintusa konsul cisnął swemu klientowi niemal tak obojętnie, jak młody trybun mógłby rzucić monetę żebrakowi. Ponadto fakt, iż generał i prokonsul Rzymu zostawił swoich ludzi na polu bitwy, był aż nadto kompromitujący. Dobrze, że dziadek tego nie dożył. Staruszek umarł dwukrotnie: raz - gdy stracił gospodarstwo i po raz drugi, dwa lata temu, gdy powaliła go zraniona duma. To przyprawiłoby go o trzecią śmierć.

Oczy Luciliusa błysnęły teraz zapałem gracza, namiętnością, która zmusiła go do opuszczenia Syrii o jeden krok przed wierzycielami z których żył, odkąd wkroczył w wiek męski. Ucieczka z Carrhae była również rodzajem gry i jeden Lucilius żywił

pewność, że może wygrać nawet teraz. Czemu nie? Czyż szczęście nie dopisywało mu do tej pory?

- Któż więc teraz dowodzi?

- Kassius.

Prokonsul Krassus wyglądał na dowódcę zdolnego podtrzymać bojowego ducha swych ludzi. Teraz jego miejsce zajął oficer sztabowy. Quintus nigdy nie ufał szczupłemu, małowównemu, starszemu trybunowi, lecz w tej chwili podążyłby za nim z taką samą wiarą, jak jego dziadek poszedł za Mariusem - prosto ku unicestwieniu. Kassius był politykiem. Znany z przebiegłości, zręcznie omijał zasadzki rzymskich intryg i Quintus liczył na to, że poradzi sobie także i tutaj. Jeden z przyjaciół Luciliusa, ulizany i schludny nawet po klęsce i godzinach spędzonych na mokradłach, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- "Pro di" - dodał Lucilius - prawie warto było przegrać bitwę, by ujrzeć hańbę tego starego skapca.

Mimo panujących ciemności, Quintus zauważył legionistów, odpędzających magicznymi znakami złe siły. Ich oczy były szeroko otwarte, jak oczy zamkniętych w stajni koni, które nagle wyczuły pożar. Nawet Rzymianie musieli liczyć się z możliwością porażki, ale dowiedzieć się, że ich wódz stchórzył...

- Trzymaj swój gładki język za zębami - syknął Quintus. Lucilius miał moźnych przyjaciół, którzy mogliby zedrzeć zbroję z jego grzbietu i zniweczyć wszelkie nadzieje na odzyskanie rodzinnej ziemi - o ile Partowie nie przeszyją ich wcześniej po trzykroć przeklętymi strzałami.

- A oto i nasz "senex". Wszyscy będziemy kiedyś starzy i siwi - kpił młody arystokrata. - Jeśli tylko tak długo pożyjemy.

Centurion odwrócił głowę i przeszył go spojrzeniem. Głos Luciliusa nagle przycichł. Zaśmiał się jakoś gorączkowo, nienaturalnie. Większość żołnierzy nie piła nic przez cały dzień. Quintus wiedział, że mimo klątw Rufusa, niektórzy ukradkiem chleptali gęstą bagienną wodę. Zanim nastanie świt, na mokradłach pojawi się gorączka.

Za nim część młodszych trybunów grała w kości. Nawet w Legionach Fortuna może się do kogoś uśmiechnąć lub odwrócić, zależnie od celności rzutu. To była jedna z przyczyn kłopotów Luciliusa. Quintus nigdy nie miał pieniędzy, by grać. Pomyślał, że hazard po przegranej bitwie jest czymś niezręcznym. Gdyby jakiś sztabowiec Krassusa natknął się na nich, gracze szybko by tego pożałowali.

Lecz patrycjusze bez wątpienia byli jak zwykle uprzywilejowani. To właśnie Kassius i jego żołnierze najczęściej przebywali z prokonsulem, ciesząc się wszelkim komfortem, na jaki było jeszcze stać szczątki rzymskiej armii. Rufus grzmiał, próbując rozlokować ludzi tak, aby jak najwygodniej mogli doczekać świtu, kiedy będą musieli wyrwać się z tych bagien lub umrzeć. Quintus przyłapał się na powtarzaniu jego rozkazów; zauważył ze zdumieniem, że rozumie komendy centuriona, choć wciąż trwał jakby we śnie, pogrążony w zalewających go wspomnieniach.

- Dlaczego po nas nie przyjdą? - szepnął w ciemnościach młody legionista, po czym umilkł, usłyszawszy czyjś zduszony śmiech.

- Dlaczego mieliby to zrobić? Wszak uwięzili nas tutaj, czyż nie? Mogą po prostu czekać, wyłapując nas pojedynczo, dopóki ich to nie znudzi i nie zachce im się polowania. Tak czy inaczej, poczekają do świtu. Albo przyniosą warunki kapitulacji. Ale nie liczyłbym na to, synu. Chociaż, z drugiej strony, może potrzebują nowych niewolników...

Wśród straży podniósł się szmer. Rufus zwrócił ku nim wzrok i mężczyźni umilkli. Quintus również słyszał te głosy, milknące w obecności starego, doświadczonego weterana. Ledwie godziny temu słyszał ich, stojących w czworoboku, pod palącym, bezlitosnym niebem. Niektórzy mdleli z gorąca, braku jedzenia, wody i odpoczynku. Tego ostatniego było zbyt mało, by utrzymać słynny marszowy krok Legionów, zwłaszcza że Krassus, sprowokowany przez zdrajców, zarządził marsz w tempie kawalerii. Słyszał ich pełne nadziei szepty, gdy rozglądając się wokół, wciąż nie widzieli opancerzonych Partów.

Wówczas Surena dał znak. Na jego komendę bębny i dzwonki z mosiądzu zagrzmiały, jak pole bitwy długie i szerokie. Księżę Partów był wysoki i przystojny. Quintus musiał to przyznać. Miał wielkie oczy, pomalowane dla ochrony przed słońcem, które tutaj jaśniało wręcz oślepiająco, nawet w maju.

Promienie słońca odbijały się od błyszczącej broni groźnych jeźdźców Sureny i migotały na cienkich, lśniących sztandarach, trzepoczących niby języki ognia. Hełmy i napierśniki chwytały refleksy światła, rzucane przez zbroje konnych łuczników. Większość wojowników była Partami. Swoim wyglądem nie przypominali jednak księcia. Byli niżsi, żółtoskórzy i krzywonodzy. Ich oczy zakrywały skośne fałdy skóry, uśmiechali się do Rzymian niczym żarłok, napawający się widokiem biesiadnego stołu.

- Saraceni - usłyszał Quintus. Wyrabiali stal, której jakość doceniali nawet Rzymianie. A chorągwie?

- Ciekawe, ile ten materiał kosztowałby w Rzymie? - westchnął jakiś głupiec, mówiący z patrycjuszowskim akcentem.

- Więcej, niż chciałbyś zapłacić... panie - odrzekł chrapliwie centurion, nim zgiełk bębnow i dzwonek zagłuszył jego słowa.

Ku ich wiecznej chwale, żaden z legionistów nie załamał się. Stali twardo w czworoboku: każdy bok tworzyło dwanaście kohort, z Krassusem, jego ukochaną kawalerią i ładunkami w środku. Quintus rzucił okiem na prokonsula. Pocił się - jak wszyscy wokół - a białka jego oczu były przekrwione. Zauważył, że Kassius machnął ręką w geście oburzenia.

- Nie wygląda to zbyt dobrze - mruknął stojący obok Quintusa mężczyzna - pewnie powiedział mu, że trzeba rozdzielić konnicę. Powinniśmy rozwinąć szyk, zamiast tak stać stłoczeni.

Trudno powiedzieć, kiedy rozpoczęła się bitwa. Początek był obiecujący. Ciężkozbrojni wojownicy Sureny ruszyli do przodu, lecz zostali powstrzymani przez Rzymian. Śmiertelny deszcz strzał padał na rzymskie "testudo", nie powodując żadnych strat: schowani, niczym żółw w skorupie, czekali aż łucznicy opróżnią swe kołczany.

Gdy ulewa strzał przerzedziła się, Rzymianie zaczęli wiwatować. Rufus, przeklinając, wykrzykiwał rozkazy do "bucinatores", by zatrąbili sygnał, lecz tych najszybciej dosięgnął! ponowny atak - łucznicy mierzyli prosto w lśniący metal ich rogów. Kiedy padli, Rufus krzyknął, próbując przeformować szyk, kląć i błagając żołnierzy, by walczyli i umierali jak przystało Rzymianom. W końcu, bębny zagłuszyły jego głos i nadzieję. Łzy przemieszały się z potem na jego twarzy.

Po odwróceniu Rzymian bębny odezwały się ponownie, gdy Partowie, w akcie nienawistnego miłosierdzia, dobili rannych, pozostawionych na rozkaz Krassusa. Quintus zastanawiał się, czy kiedykolwiek zapomni ich krzyki i błagania o pomoc.

Próbował sobie przypomnieć, ile czasu minęło, odkąd mógł pozwolić sobie na ściągnięcie hełmu, zanurzenie twarzy w płynącej wodzie i napicie się do woli. Nie pamiętał. W manierce miał odrobinę cennej wody, zaprawionej octową miksturą. Spragniony, ciągle spragniony, odkąd zostawili za sobą Eufrat i zapuścili się na pustynię tak inną niż jego rodzinna ziemia nad Tybrem. Jeden czy dwóch ludzi uciekło we wspomnienia i przewróciło się, niby we śnie. Rufus zabił żołnierza, który

odmówił dalszego marszu i, skuliwszy się niczym noworodek, zaczął kwilić gardłowo.

- To lepsze niż zostawienie go tutaj, panie - mruknął, a potem splunął, przeklinając pustynię, która wdarła mu się do gardła.

Wspomnienia płynęły leniwie jak woda na mokradłach. Na pustyni Quintus marzył o wilgoci. Teraz miał jej aż nadto. Pot spływał pod brudną tuniką. Jeśli noc będzie zimna, może dostać gorączki i byłaby to prawdopodobnie najlepsza śmierć, jakiej mógłby oczekiwać. Może wreszcie odpocznie...

Podoficerowie mieli nadzieję, że rozbiją obóz nad małym strumieniem Ballisur, lecz nawet tej łaski im odmówiono, dzięki synowi Krassusa, Publiusowi, i jego galijskim jeźdźcom. Popędzani tempem kawalerii; bez wody i jedzenia - oni: muły Rzymu, legioniści. Darem Marsa było, że nie padło ich więcej, by już nigdy się nie podnieść.

Choć może ten dar boga ucieleśniony został w Rufusie, którego przekleństwa, plugawe i przerażające, wypowiedane spokojnym, opanowanym głosem płynęły ponad nimi, niczym bagienna woda wokół murów miasta, przynaglając do marszu. Drewniany miecz starego żołnierza, z którego lubił żartować w rzadkich przyływach dobrego nastroju, wskazywał kierunek - naprzód. Udawali, że wierzą w ocalenie, choć bardziej prawdopodobne było objęcie komendy nad "castra" przez dobrą Pierwszą Włóczęgę niż nagrodzenie gladiatora wolnością. O nich również lepiej nie myśleć. Niewolnictwo może być najlepszych losem, jaki ich spotka.

Quintus zamknął oczy. Życie gladiatora pod rządami Krassusa nie było miłosierdziem. Mimo swego młodego wieku, wciąż pamiętał, jak prokonsul brutalnie stłumił rewoltę Spartakusa. Wzdłuż dróg ciągnęły się krzyże, a powietrze pachniało śmiercią. Krassus, otoczony niepokonaną armią, mógł być bezlitosny. Jednakże Spartakus... gladiator, okrzyknięty renegatem, był postrachem Quintusowego dzieciństwa; tak jak teraz Surena, który będzie nawiedzał go do końca życia...

"Lecz nic - pomyślał - nic nie mogło być gorsze od tego, co przydarzyło się mojej rodzinie: ojciec zabity, a oni wyrzuceni z gospodarstwa, które było ich własnością, odkąd wygnano Tarkwiniuszów. I tylko ja - jedyny wnuk, który pozostał przy życiu, by odzyskać utracone mienie.

- Co to?

Zerwał się z miejsca. Pytania o rozkazy. Plany. Z własnej inicjatywy zarządził, aby ci, którzy mieli nadmiar żywności, podzielili się z tymi, którzy nie mieli jej wcale.

Rufus przechwycił jego spojrzenie i pokiwał głową z aprobatą - wątle wsparcie od kogoś, od kogo nigdy by się tego nie spodziewał.

Ukłony, pozdrowienia i oczekiwanie na sprytnego patrona rodziny - to też pamiętał. Prezenty, oznaczające tygodniowe skąpe wyżywienie. Afronty, upomnienia, które omal nie zrujnowały jego nadziei na miejsce w Legionach. Jupiter Optimus Maximus wie, że nie chciał podążyć za Orłem. Był rolnikiem, nie wojownikiem. Ale wydarto mu gospodarstwo i musiał zapracować, by je odzyskać.

Gdyby zamknął oczy i mógł nie słyszeć modlitw i przekleństw centuriona, odgłosy mokradeł uczyniłyby go prawie szczęśliwym. Pamiętał słońce nad Tybrem i jego promienie, przeświecające przez liście poskręcanych drzew oliwnych. Pamiętał kształt każdej grudy ziemi na drodze do jego ulubionego miejsca nad rzeką - polany wśród drzew. Ułożyłby się tam do snu lub obserwował błękitną mgiełkę, wypełniającą dolinę wraz z przemijającym popołudniem.

Pomruk głosów unosił się nad błotami wokół przeklętych murów Carrhae. W tych szepciach pobrzmiwała zdrada. Gdyby nie było miasta tak blisko, być może Krassus nabrałby odwagi, by pozwolić im umrzeć jak przystało Rzymianom. Mając otwartą drogę ucieczki, stary złodziej wybrał spryt, nie honor.

- Kupuje Legiony jak podczaszych - mruknął Rufus, zbyt wściekły, by być ostrożnym – i rozlewa je niczym ocet przed tym... tym... Persem o niewieściach oczach.

Pers, Part - dla Rufusa niewielka różnica. Surena czernił sobie powieki proszkiem dla ochrony przed blaskiem. Kto wie, gdyby mogli, iłu z nich zrobiłoby teraz to samo. Może mogliby użyć błota. Było go wokół wystarczająco dużo.

- Doprasza się śmierci takim gadaniem - szepnął Lucilius do jednego ze swych przyjaciół.

- Mała strata. Ale cicho! Obudzisz nasz Gliniany Garnek.

Quintus wiedział, że patrycjusz mówi o nim. Ale potrafił zachować spokój. Nie zrażaj do siebie nikogo, zwłaszcza patrycjusza, nawet takiego jak ten tutaj. To nie byłoby bezpieczne.

Dotyk czyjejś ręki na ramieniu przywrócił go do rzeczywistości. Ból żeber ponad zranionym miejscem dodatkowo wzmógł jego czujność.

Centurion, mimo że co najmniej trzydzieści lat dłużej niż Quintus dźwigał ciężar trudów rzymskiego legionisty, usłyszał podejrzaną szelest. Quintus skinął głową na znak, że on również to usłyszał, zadowolony, że nie poderwał się ani nie

krzyknął. "Dokonasz tego" - mówiły oczy Rufusa, przymrużone nawet teraz w ciemnościach. I była to wystarczająca nagroda.

Chwilę później obydwaj dźwignęli się na kolana, chwytając za broń. Straże wracały z obnażonymi mieczami. Bez rozkazu, za to... eskortując Fartów. Sądząc po krokach, wrogowie nie czuli się więźniami.

Quintus osunął się w wilgoć i błoto. Pomimo chłodu, który przenikał jego kości, zrobiło mu się nagle gorąco ze wstydu, że Partowie patrzą na Rzymian pokonanych, ale wciąż żywych.

Szli niczym książęta. Lub oprawcy. Ich stroje lśniły ciemnym połyskiem zbutwiałego drewna. Jeden z nich obrócił się, by ogarnąć spojrzeniem całe mokradła.

Wcześniej Quintus widział go siedzącego na koniu, z długim, podobnym do języka ognia, sztandarem powiewającym nad głową i słonecznymi refleksami na łuskach zbroi i końskiej uprzęży. Wtedy także spoglądał na swych wrogów, którzy upadli i przegrali.

Surena przybył raz jeszcze, aby popatrzeć na zwyciężonych.

Jedyne, czego brakowało, to dźwięków bębnów i dzwonków.

Żaden miecz nie opuścił pochwy. To mogła być dyscyplina. Bardziej jednak prawdopodobne, że skutek wyczerpania. Oczywiście, nazywano to "listem żelaznym".

Żaden Rzymianin nie był bezpieczny. Nie zwiększyło się prawdopodobieństwo przedłużenia czyjegokolwiek życia.

Rozdział drugi

Partowie przemaszerowali obok Quintusa i jego ludzi niemal paradnym krokiem, podążając ku czołu kolumny, gdzie sztab Krassusa bez wątpienia próbował ocalić choć pozory dostojęństwa. Szelesty i niewyraźne głosy powiedziały Quintusowi, że oficerowie przekazywali dowodzenie centurionom i gromadzili się wokół wodza, by służyć mu radą i pomocą.

Quintus nie miał powodów, by przypuszczać, że on, wyrzutek, będzie lepiej widziany u boku prokonsula w godzinie klęski niż w czasach sukcesów. A ludzie...

Nawet sprzymierzeńcy przybliżyli się, szukając ochrony oficera Rzymu. Jakakolwiek by ona była. Persowie - to ich teraz łączyło. Jeźdźcy zostali zmuszeni do marszu, niczym muły Rzymu. Być może knuli zdradę, lecz jak dotąd okazywali lojalność.

"Zapomnij o tym, że przewyższasz rangą centuriona" wbijano Quintusowi do głowy podczas szkolenia. - "Kiedy nie wiesz, co robić, zapomnij o swej paradnej zbroi i spytaj go, co powinienesz uczynić."

Duma i honor umarły pod strzałami Sureny, ale nie dotyczyło to tamtych wskazówek. Odnalazł Rufusa i przykucnął koło niego. - Zaproсили Surenę do środka - mruknął. Centurion wzruszył ramionami, po czym skierował kciuki ku ziemi.

- "Morituri te salutamus" - odrzekł i splunął. - Nie wygląda mi na to, że dostanę ten drewniany miecz, moje dwadzieścia akrów i muła. Cholera, muły łatwiej byłoby wyszkolić niż niektórych z tych chłopców.

- Ty także myślisz, że to kapitulacja - Quintus nawet nie zadał sobie trudu, by zabrzmiało to jak pytanie.

- Myślę, że naszego przewodnika kupiono taniej niż tyburtyńską dziwkę - mruknął centurion. - Myślę też, że będziemy świadkami ubijania interesu.

- Uważasz, że zaoferują warunki? - spytał cicho Quintus. Rufus krótko skinął głową.

- Jeśli nie chcą widzieć nas martwych. Ale gdyby tak było, już dawno gryźlibyśmy ziemię. Prawdopodobnie pójdziemy pod niewolnicze jarzmo - splunął. - To lepsze od śmierci - dla nas wszystkich.

Z części obozu zajmowanej przez prokonsula rozległy się gniewne głosy.

Krassus wzywał do siebie swych oficerów. Zgodnie z oczekiwaniami Quintusa, pominięto go. Już wyobrażał sobie Luciliusa, który mówi to, co zwykł był mawiać w takich razach: "Nie znaleźliśmy cię", tak jakby pozostanie z wojskiem było jakąś ujmą na honorze, wykluczającą go z wewnętrznego kręgu wtajemniczonych.

- Jak myślisz, co się dzieje?

Centurion skrzywił się.

- Widziałeś. Partowie zaoferowali warunki. Teraz dojdzie do całonocnych, wzniosłych rozmów o honorze. W końcu, Krassus wyrazi zgodę. Taką ma metodę.

Nie powiedział: prokonsul. Nie wymienił żadnego z długiej listy tytułów, którymi centurion powinien określać swojego przełożonego. Quintus spojrział ostro.

- Wybacz, panie. Dziwne to słowa, jak na kogoś takiego jak ja. Lecz oni byliby pierwsi, żeby ci to powiedzieć, panie. Nie mam honoru, jak...

Gwałtownie wskazał brodą w kierunku, z którego dochodziły odgłosy sporu.

- Chcesz usłyszeć o moim honorze, panie? Jest nim wszystko, co cię otacza. Ci ludzie - śpiący, rozmawiający lub... - Hej, ty tam! Ostrzegałem cię, żebyś nie pił. Dopóki patrzą na mnie i są posłuszni - mam swój honor. Kiedy odejdą, będę mógł pomyśleć o śmierci. Ale dopiero wtedy. A tymczasem - zaczekajmy.

Usiadł z ciężkim westchnieniem.

"Nigdy już nie zobaczysz swojego kraju. Przynajmniej nikt nie pozostanie po tobie samotny."

Skronie Quintusa pulsowały nowym cierpieniem. Zbyt dużo szeptów tej nocy. Zbyt dużo odgłosów bagien. Woda, zarośla i drzewa szemrały nad brzegiem Tybru, ale inaczej. Były również inne głosy, te, które mówiły do niego: "Odpreż się", "Żyj".

Okrywała go jeszcze dziecięca "bulla", kiedy znalazł małą, brązową statuetkę, która mogła być nowa w dniach, gdy Tarkwiniusze rządili Lacjum. Nawet teraz miał ją ze sobą - figurkę o wygładzonej czasem twarzy pod spiczastą czapką, z krótkimi ramionami dzierżącymi pochodnie; jej stopy poruszały się w pełnym powagi nieskończonym tańcu. Ciągłe pamiętał dotyk rozgrzanego metalu, kiedy wygrzebywał ją z ziemi i czyścił. W chwilę później omal jej nie upuścił. Jakiś sławiący jego imię głos sprawił, że zerwał się na równe nogi. Jednakże, gdy zaczął gorączkowo nasłuchiwać, usłyszał tylko szelest poszycia; słońce błyszczało na falującej wodzie.

Nie uciekł... nie całkiem. Wyrosła przed nim twarz dziadka: naznaczona determinacją, silna, pewna swych racji. Krzywo patrzyłby na chłopca, który nie panuje nad własnymi lękami. Zatrzymał więc statuetkę. I zmusił się, by powrócić w to

miejsce następnego dnia, nie chciał uciekać przed czymś, co mogło być jedynie jego fantazją. Dziwne, lecz to wspomnienie podtrzymywało go na duchu podczas tych długich godzin w kurczącym się czworoboku, gdy Partowie atakowali, a ich sztandary zamieniały światło słońca w ogień.

Pamiętał swój strach i swoje nad nim zwycięstwo. Spośród sitowia i drzew przemówił do niego głos. To był "genius loci", duch miejsca, opiekun jego i ziemi, taki jak "lares" i "penates", którym dziadek i ojciec składali obfite dary. Głos był głęboki, senny, przypominający brzęczenie pszczoł nad ulem w upalny, letni dzień: mieszanina miodu, siły i odrobiny lęku. To był głos kobiety - nie matki, siostry czy piastunki; głos, którego Quintus nigdy wcześniej nie słyszał, a który sprawiał, że pragnął być wyższy, silniejszy i mądrzejszy.

Oczywiście, trochę obawiał się tych niejasnych, magicznych przeczuć. Był Rzymianinem, który niezbyt ufał bogom. Ale nie bał się tego głosu - on był częścią jego duszy. Dziwaczna myśl - gdyby spytano go o to przedtem, zanim go usłyszał, przysięgłby na wszystkich twardogłowych rzymskich bogów, że nie dba o takie rzeczy.

Dzień po dniu, niczym kosztowny, grecki nauczyciel, którego rodzina nigdy by nie zaaprobowała, nawet gdyby było ich na to stać, "genius loci" uczył go o krajach, o mężczyznach i kobietach - tych żywych i tych umarłych, przelewających dla niego krew i kochających go. Pewnego dnia wyciągnął swój własny sztylet i zaciął się w palec, pozwalając, by również jego krew wsiąkła w tę glebę.

I wtedy ujrzał postać, odbijającą się w wodzie - ciemnowłosą, o ciemnomiodowej skórze, migoczącą na skraju pola widzenia tak, iż nie był pewny, co tak naprawdę zobaczył. Uniósł się na fali miłości i zrozumienia. Przypominało to sny, które zaczęły go nawiedzać, gdy zbliżył się do wieku młodzieńczego. Nieważne: ziemia była jego, a on ziemi; niezależnie od tego, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Teraz wyglądało na to, że nie. Trudno. Nawet jeśli pozostawi swoje kości w Syrii, jakaś jego częśćka będzie żyła wiecznie w trawach pod Rzymem.

- Będzie z niego gospodarz - powiedział z aprobatą dziadek, podczas kolacji równie skromnej, co posiłki ich dzierżawców. Groch. Trochę sałaty. Ser. Bardzo mało mięsa. Ojciec wyglądał na zadowolonego. Matka, jak przystało na dobrą żonę, siedziała przeglądając wełnę.

Quintus wsunął rękę pod tunikę, by dotknąć brązowej statuetki. Miał wrażenie,

jakby rozgrzała się od pochwały. Pomyślał wówczas, że jego życie właśnie się rozpoczyna. Tego wieczoru po raz pierwszy usłyszał imię: "Sulla". W nadchodzących dniach miał słyszeć je tak często, że znienawidził jego brzmienie. Zazwyczaj towarzyszyło mu imię: "Marius", wymawiane przez ojca z czcią, prawie równą tej z jaką zwracał się do dziadka.

W dniach, które nadeszły, "bulla" Quintusa spoczęła na domowym ołtarzu. Miał piętnaście lat i "toga virilis" stała się jego odzieniem. Razem z dziadkiem obserwował wymarsz ojca. Starzec stał z godnością jastrzębia, lecz wyglądał równie staro, jak grobowce przy Via Appia, które mijali po drodze do Miasta Siedmiu Wzgórz. Nawet brązowa figurynka, zastygła w swym starożytnym tańcu, nie była bardziej wyblakła. Dopiero sześć miesięcy później przekonał się, o ile jeszcze starzej może wyglądać jego dziadek. Zgrzebna tunika człowieka, który zapukał do ich drzwi, okrywała ciało pokryte bliznami po nie leczonych ranach. "Nie był to ktoś, kogo chciałby gościć człowiek honoru" - pomyślał Quintus, póki nie zobaczył staranności, z którą nieznajomy przekraczał próg uważając, żeby się nie potknąć i nie przynieść nieszczęścia odwiedzanemu domowi.

Jednakże nawet gdyby to uczynił, nie sprowadziłby do ich domu większej tragedii. Przybył z wieścią o śmierci ojca Quintusa.

- Czy to była dobra śmierć? - spytał dziadek.

Gość przytaknął.

- Nadal więc mam syna - rzekł starzec.

Quintus zacisnął dłoń na figurce. Ta zatrzymała się w tańcu, a jedna z pochodni z brązu oparzyła go w rękę, jakby naprawdę płonęła. Matka, usłyszawszy wiadomość, tak mocno ścisnęła wrzeciono, że krew kapnęła na wełnę. Otworzyła usta do krzyku, lecz wzniesiona ręka starca nakazała milczenie.

- Pozostaw zawodzenie wynajętym płaczkom - nakazał. Był "pater familias". Słuchano go.

Nikt nigdy nie powrócił na farmę nad Tybrem. Nikt nigdy nie powróci spod Carrhae. Jego ojciec spoczywał bogowie tylko wiedzą gdzie, zamiast leżeć w przydrożnym grobie z wyrzeźbionym rzymskim Orłem. Mówiono, że zginął w powstaniu i byłoby lepiej skrócić ceremonie pogrzebowe, a nawet zupełnie z nich zrezygnować. Dziadek stał przy grobowcu w swej todze, ciemnej na znak żałoby, z odkrytą twarzą, choć miał jak każdy na pogrzebie jedyne syna prawo do jej osłonięcia. Quintus, z konieczności, również tak postąpił. Walczył z rozpaczą,

starając się przekonać sam siebie, że te zmagania znaczą dla niego tyle samo, co wojny pomiędzy Mariusem a Sullą, które ukradły mu ojca, a ojczyźnie - pokój.

"Jak dwa psy - myślał - jak kundły, walczące na ulicy o skradziony udziec tak długo, aż zaleją się krwią, a mięso się zepsuje."

Kiedy tylko mógł, uciekał nad rzekę. Głos, któremu nauczył się ufać, nuceniem łagodził poniesioną przez niego stratę, dodawał otuchy, gdy wracał do zimnego ogniska domowego i matki, której życie rozgorzało gorączkowym płomieniem, niczym pochodnia tancerza, wciśnięta wkrótce w piach.

Nawet dziadek pomagał w opiece nad nią. Mimo to umarła, a ciemna, żałobna toga ciążyła Quintusowi, jakby była utkana w ołowiu, a nie z wełny matki. Nawet gołębie nad Tybrem opłakiwały ją swym gruchaniem.

- Była dobrą, zapobiegliwą kobietą - powiedział dziadek. - Wciąż mam syna, mojego syna. - I ziemię - dodał.

Matka Quintusa służyła mu dobrze i kochała jego syna, lecz starzec jej nie opłakiwał. Jediną słabością, jaką okazał, było pochowanie Decii, która tak mocno była przywiązana do swojego męża, że nie mogła bez niego żyć, między drzewkami oliwnymi na ich farmie, zamiast w rodzinnym grobowcu. "Może słyszy gołębice i głosy" - pomyślał Quintus. Przynajmniej z tego mógł czerpać jakąś pociechę.

Dzień później nadeszły rozkazy: zostali wyrzuceni z gospodarstwa.

- Chodź ze mną - Quintus błagał cień majaczący w wodzie.

- Nie mogę.

- Odzyskam tę ziemię - przysiągł.

- Cokolwiek się zdarzy, zobaczysz mnie znowu.

Sprzedali klejnoty matki, które powinny zostać własnością przyszłej żony Quintusa. Wynajęli mieszkanie w jednej z "insulae" w samym Mieście. Dziadek postanowił przedstawić ich sprawę w Senacie i prosić o wstawiennictwo najpotężniejszych patrycjuszów.

Rola klienta dla kogoś takiego jak on - to jakby prosić urwisko o rozsypanie się, albo kazać staremu orłowi zgiąć kark. Quintus wiedział, że wędrówki między "insula" a domem ich patrona skróciły dziadkowi życie w tym samym stopniu, co gorączka. "Trudniej było być pochlebcą - pomyślał Quintus - niż przegrać pod Carrhae."

Z każdym ukłonem, z każdą oddaloną petycją nabierał doświadczenia. Ich rodzina nie potrafiła toczyć takiej walki. Nigdy więcej nie zobaczą gospodarstwa.

Miał wrażenie, że starzec również zdaje sobie z tego sprawę.

Mimo to, nigdy nie wypowiedział tej myśli na głos.

W końcu śmierć zabrała dziadka. Zdążył jeszcze pomyśleć o przyszłości wnuka - pomógł mu uzyskać stanowisko trybuna w służbie Krassusa. Może bardziej giętki grzbiet Quintusa pozwoli osiągnąć to, czego on nie zdołał - powrót do łask i do ich starego domu. Jeśli nie, była to honorowa służba lub równie honorowa śmierć.

Rozbrzmiały okrzyki, przetaczając się echem po mokradłach, niczym dramatyczny monolog greckiego aktora. Głosy podszyte gniewem, zniekształcone paniką.

Quintus błyskawicznie obrzucił wzrokiem swój nędzny oddział. Żołnierze siedzieli z głowami wciśniętymi między kolana. Mimo ciemności widział szkliste, nieobecne spojrzenia ludzi bliskich zamienienia się w dzieci uciekające przed groźnym i nieznanym światem.

Rufus napotkał jego wzrok i wzruszył ramionami. Jego ręka opadła na miecz. Gdyby żołnierze nie mogli, bądź nie chcieli wyruszyć, jak zawsze dosięgnie ich jego ostrze.

Quintus nie mógłby na to pozwolić. Poza tym mógł coś zrobić - zebrać informacje i wykorzystać je tak, by choć trochę przedłużyć życie swoim ludziom.

Oderwał się od centuriona i powlókł naprzód, przy każdym kroku wyciągając z błota ciężkie buty, ocierające mu obolałe stopy. Rozwagał myśl pozbycia się ich, lecz porzucił ją po chwili.

Uczestnicy tej narady zapewne przywitają go tak samo nieprzychylnie, jak zazwyczaj. Lucilius uniesie lekceważąco brwi. Ktoś inny pociągnie nosem, jakby wyczuwając gnój, wnoszony na salę posiedzeń Senatu. Krassus wykrzywi twarz w niechętnym grymasie.

Zdumiewające, jak bliskość śmierci pomniejsza znaczenie takich gestów.

Nie wytyczono "Via Principalis", nie rozbito też porządnego obozowiska. Quintus zastanawiał się, czy Krassus widział kiedykolwiek potrzebę takich działań, nawet wtedy, gdy był zwycięzcą. Ktoś podjął bez przekonania próbę ustawienia namiotu prokonsula. Wykrzywiony opierał się teraz o jakiś krzak i na wpół zatopione drzewo, zdając się chybotać przy każdym głośniejszym okrzyku zasiadających w środku dowódców. Nawet Orzeł, pozostawiony na straży, wydawał się zwieszać skrzydła ze wstydu.

Jedno przekonywało Quintusa, by zbliżyć się do prokonsula, otoczonego przez patrycjuszy, których spojrzenia przypominały mu czasy, gdy płaścił się jako klient na Palatynie. Uważał mianowicie, że cała ta nikczemność i hańba była w takim samym stopniu "Rzymem" czy "prokonsulem", jak bezimienny grubas, tarzający się w upojeniu w alei miasta, był Pontifexem Maximusem.

Wszyscy przecież kiedyś umrą. Byłby zgubiony, gdyby teraz dostrzegał obłudę arystokracji, w tej ostatniej godzinie śmierci. Prostując ramiona, jak przystało trybunowi, odgarnął połą żałobnego namiotu, wyprężył się w salucie...

...I zajrzał wprost w czeluści Hadesu.

Na polu bitwy pod Carrhae wydawało mu się, że jest świadkiem "nefas" - niewysłowionego, niezrozumiałego zła: ucieczka Rzymian była wręcz bezbożna. "Nefas" nie oznaczało po prostu masakry - tak można było określić wcześniejszą kampanię Krassusa przeciwko Spartakusowi i oczekiwać boskiej kary.

Ale ta... ta zdrada!

Surena stał spokojnie, podczas gdy jeden z jego ludzi - choć Quintus gotów był założyć się o ziemię, której już nie miał, że księżę sam mógłby to powiedzieć doskonałą łaciną - kończył tłumaczyć słowa swego władcy:

- ...I oferuję wam rozejm i przyjaźń w imieniu Orodesa, Wielkiego Króla...

Ze strony zgromadzonych oficerów rozległy się urągliwe okrzyki, zagłuszające kolejne partyjskie tytuły.

- ...w zamian za złożenie broni.

Krassus zerwał się na równe nogi. Miał sześćdziesiąt lat i wszystko, co najlepsze: jedzenie, wino, ochronę. Czemuż więc nie miałby się prezentować jak dobrze zakonserwowana, stara mumia? Teraz smutek i - Quintus musiał to przyznać - strach sprawiły, że wyglądał starzej o całe lata od dziadka Quintusa, gdy ten leżał na łożu śmierci. Pochodnia przygasła, po czym rozbłysła, odsłaniając każdy szczegół twarzy prokonsula. Czerwone niczym płomień łuczywa oblicze wykrzywił grymas wściekłości. Na skroniach dowódcy, pod przerzedzonymi, zmierzwionymi włosami, widać było pulsujące żyły.

"Gdyby teraz umarł, moglibyśmy uciec i ocaleć" - pomyślał Quintus, lecz po chwili zganił się za tę myśl.

Światło pochodni uwydatniło ostre rysy twarzy Luciliusa, wpatzonego w swego wodza; wysoki Part obserwował go również - mógłby tak patrzeć na starego psa, brudzącego podłogę. Poskromić go czy zaczekać? Pytanie to zdawało się igrać w

pełnych pogardy oczach Sureny.

- Poddać się? - zapytał Krassus.

- Powiedzmy raczej, że wróćcie do siebie, złożąwszy najpierw odpowiednią przysięgę mojemu królowi. - Słowa Sureny były gładkie jak jego sztandary i równie zabójcze. Prześliznął się spojrzeniem po Vargontiusie i znieruchomiał: milczące wyrażenie szacunku dla dwudziestu Rzymian dowodzonych przez niego - pozostałość czterech kohort - którzy próbowali przebić się przez szeregi Fartów do swych towarzyszy. Surena rozkazał nawet rozstąpić się swoim żołnierzom - gdy ta dwudziestka dowlekleła się do Carrhae.

- Prędzej zobaczę was w Hadesie! - krzyknął Krassus - i sam się tam udam.

- To dałoby się zrobić - zauważył Kassius, nie podnosząc głosu. Tam, na zewnątrz wskazał gestem - ludzie są rozszoszczeni. Chyba nie spodobało im się porzucenie rannych na pastwę naszych "przyjaciół".

Zbuntowany Legion - "nefas", tego Quintus nie mógł sobie wyobrazić. Choć przecież wiedział, jakie są nastroje żołnierzy, jak bardzo są bliscy, by zwrócić się przeciwko dowódcom. "Dezercja jest lepsza od buntu" - pomyślał i odwrócił się, by odejść do swoich towarzyszy. Może udałoby się im umknąć z bagien - ale po co? By uciec na pustynię? Nawet dla odpowiednio wyekwipowanego Legionu byłaby to ciężka próba. A mówią, że śmierć z pragnienia to bardzo meczący sposób pożegnania się z życiem.

Równie bolesna jak krzyż?

Mógł nie mieć wyboru.

Pochodnia znowu zatrzęszczała, rzucając światło na twarz Luciliusa, która wyglądała teraz jak płaskorzeźba. Ten wyciągnął głowę do przodu z przejęciem kundla, obserwującego dwa większe psy walczące o przywództwo w stadzie. Gdy tylko zobaczy, na którą stronę przechyla się szala zwycięstwa, skoczy i rozerwie ścięgna przegrywającego. Wzrok Luciliusa przeniósł się z Krassusa na oficera, potem na Surenę, i znowu na Rzymian. Skinął na człowieka, pochylonego nad jego ramieniem, kompana w grze w kości, i mężczyzna podniósł się. Quintus cofnął się do wejścia namiotu, lecz tamten przeczołgał się pod zabrudzonym materiałem.

Czyżby zamierzał powiedzieć o tym innym? Rufus obliczył, że przeżyło około dziesięciu tysięcy Rzymian. Część mogła umrzeć od ran lub gorączki. Nawet gdyby tak się stało, to powinno ich zostać wystarczająco dużo, by stoczyć ostatnią, krwawą walkę. Taka bitwa rozniosłaby pilnujących ich Partów. Quintus pomyślał, że mógłby

umrzeć szczęśliwy, gdyby tylko mógł zmyć krwią pogardę, czającą się w oczach Sureny.

Wokół namiotu zaczął narastać gwar. Surena nieznacznie uniósł długą brew.

Kassius pochylił się do przodu, opierając pięści na stole. Stół zachwiało się i gęste, nie rozcieńczone wino rozlało się na udeptane błoto. Tak zabarwione, wyglądało jak ziemia wokół Carrhae, gdzie poległo dwadzieścia tysięcy Rzymian.

- Powiedziałem, że przyjmujemy warunki. Senat jest daleko stąd. Cezar także. Nie mamy wyboru.

- A ja mówię, że prędzej zobaczę was w Hadesie! - ryknął Krassus. - Zdrajca! Syn zdrajcy i ladacznicy!

- Na wszystkich bogów, nie zdzierzę takich słów z ust tchórza! - odkrzyknął oficer. - Ty i twój syn zgubiliście nas wszystkich!

Krassus ze zdumiewającą siłą odepchnął młodszego mężczyznę i wybiegł z namiotu. Jego sztab podążył za nim, by rozbiec się w kilku kierunkach. Quintus domyślał się, że część z nich zniknie, by już nie powrócić.

Inni otoczyli prokonsula, krzycząc i wymachując pięściami. Jeden czy dwóch uczyniło ruch, jakby wyciągali miecze i ruszali na Partów, ale Surena potrząsnął głową, więc cofnęli się szybko.

Daleko z przodu prokonsul ustąpił wreszcie przed gniewem swoich ludzi.

- Musimy mieć jakąś szansę! - jęczał jeden z sojuszników. Ktoś walnął go pięścią i rozgorzała bójka. Ucieczka połowy walczących zakończyła starcie.

- Bogowie sprawcie, by potonęli - mruknął Rufus. Wymówki i przekleństwa. Quintus cofnął się, gdy centurion, zawsze spokojny i opanowany, po prostu rozchylił tunikę, pokazując swojemu dowódcy stare, zabliznione rany. Nie błagał: chciał uwierzyć w szansę przeżycia reszty swego żywota.

Oczy Krassusa spoczęły na Vargontiusie, tak cenionym przez Surenę, prosząc o jakiś cud. Weteran w milczeniu pokazał mu plecy.

Quintus usłyszał odgłosy bijatyki, szczęk dobywanego oręża i krzyk Rufusa, wybijający się ponad tumult:

- Wypruję flaki każdemu, kto choć kiwnie palcem! Stać! Bodajbyście pognili, nie pozwólcie Orłowi upaść w błoto.

Takie rozluźnienie dyscypliny nie zdarzało się często. Dzięki Luciliusowi i jego przyjaciółom informacje o warunkach Partów rozprzestrzeniły się wśród legionistów jak płonąca nafta. Jeśli Krassus ich nie przyjmie, będzie trupem.

A jeśli je przyjmie?

Quintus wiedział, co powiedziałby jego dziadek: "Powinien był rzucić się na swój miecz, zanim jego oczy ujrzały taki dzień".

Prokonsul rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby od niego uwagę.

- Ty - warknął na przewodnika, który wyprowadził ich nocą z Carrhae i powiódł na bagna. - To ty sprowadziłeś nas na manowce. Zapłacisz mi za to!

Quintus nigdy nie wpadłby na głupszy pomysł. Podstęp, zwykły chwyt: przewodnik nie bardziej był na usługach Fartów, niż żółtoskórzy barbarzyńcy ostrzeliwujący Rzymian, gdy ci stali w słońcu, bez odpoczynku, bez wody, czekający już tylko na śmierć. Jak ktokolwiek mógł choć przez chwilę myśleć inaczej! Który z Azjatów pomógłby Rzymianom? Rzymianie byli po to, żeby ich najpierw podejść, a potem zdradzić. Wiedział o tym doskonale. Mógł ich ostrzec, lecz kto wysłuchałby zwykłego ekwity, kiedy patrycjusze, począwszy od nieżyjącego już syna Krassusa, a skończywszy na pospolitych oportunistach, nachylali się nad ramieniem prokonsula, gotowi powiedzieć mu wszystko, co pragnął usłyszeć?

Przewodnik skulił się, po czym zatoczył od ciosu upierścienionej ręki. Krew trysnęła mu z ust i nosa. Po chwili wyprostował się i splunął.

Nagle, pomiędzy przewodnikiem a tłuszczą, tworzącą kiedyś najdumniejsze Legiony Rzymu, pojawił się Rufus. Za nim stał chorąży, unosząc w górę Orła, lśniącego dumnym blaskiem. Na oczach Quintusa ów blask jaśniał coraz żywiej i po chwili, gdy mężczyzna z okrzykiem wściekłości wyciągnął sztylet, by zatopić go w ciele zdradzieckiego przewodnika, nastąpił wybuch.

Kiedy czerwone smugi i czarne plamy zniknęły, Quintus zobaczył leżącego na ziemi człowieka, ściskającego poparzoną rękę. Przewodnik padł twarzą w wodę, wokół unosił się zapach spalonego mięsa, zmieszany ze swądem osmalonych, mokrych roślin.

Dziwne. Mogło się wydawać, że jego ciało powinno upaść z większym pluskiem. Unosił się z twarzą w wodzie. Quintus wyobrażał sobie wytrzeszczone oczy i krew, sączącą się ze zdradzieckich ust. Wszyscy ludzie Wschodu byli podstępni.

- Żadna strata - ktoś wymamrotał. - Harpie wyplują jego wątrobę.

Quintus ruszył do przodu, mgliście zdając sobie sprawę z tego, że trup powinien zostać przysypany ziemią, a usta przykryte monetą.

- Niech zgnije - dobiegły go mściwe szepty.

To było bezbożne. Zapłacą za to.

Krassus wskazał gestem dłoni: "Na zewnątrz. Tędy". Surena i jego ludzie wyszli z namiotu i stanęli na czele obszarpanej i przygnębionej kolumny, opuszczającej mokradła z jeszcze mocniej nadszarpniętym honorem niż wtedy, gdy na nie wkraczali.

A za Fartami zamykającymi pochód podążał zmatowiały Orzeł Legionu Quintusa.

Rozdział trzeci

Słońce stało wysoko na niebie Azji, kiedy resztki wspaniałej armii Krassusa dotarły w końcu do obozowiska Sureny. Mała grupa Fartów pojechała przodem, "żeby przygotować powitanie".

- "Morituri te..." My, którzy idziemy na śmierć...

- Cicho tam! - krzyknął centurion, zanim któryś z Fartów zdążył wymusić ciszę siłą. Strażników było niewielu. Możliwe, że Rzymianie mogliby uciec. Ale Parto wie mieli łuki, a wola walki została zabita już dawno. Surena obiecał rozejm.

Quintus zmusił się, by na plac przed namiotem księcia nie wkroczyć chwiejąc się na nogach. Kątem oka ujrzał chorążego, dumnie wznoszącego Orła, jak gdyby sama obecność symbolu Legionów mogła zamienić ten obóz w zdobycz Rzymian. "Pamiętaj: jesteś Rzymianinem" powtarzał sobie, stawiając krok po kroku. Jego ryszunek ciążył mu, jakby dźwigał na plecach cały Rzym. Krassusowi i części starszych oficerów podarowano wierzchowce; dosiadali ich nieporadnie - zmęczeni i nieprzyzwyczajeni do ogierów z Partii i Persji, wywołując wokół ironiczne uśmieški. Quintus zauważył, że również Lucilius zdobył jakoś konia i jechał teraz na nim z gracją i elegancją. Ich świat się kończył, a on wyglądał, jakby był na konnej przejażdżce.

"Pamiętaj, jesteś Rzymianinem."

Partowie wciąż ich obserwowali... Na ich ocienionych hełmami twarzach można było zobaczyć chytne uśmiechy i długie, rzucane z ukosa spojrzenia.

"Pamiętaj, jesteś śmiertelny."

Pamięć o tym była teraz stałym towarzyszem, nawet jeśli Krassus wciąż marzył o triumfalnym powrocie do Rzymu, obaleniu Cezara (który przenigdy nie dopuściłby do takiej klęski) i mianowaniu się Sullą, nigdy nie rezygnującym z władzy. Z potężnej armii, która wyruszyła z Armenii - dwudziestu ośmiu tysięcy legionistów, trzech tysięcy jeźdźców z azjatyckich oddziałów posiłkowych i stu galijskich konnych przeżyło niespełna dziesięć tysięcy Rzymian.

Jako jeńcy.

Przed wejściem do obozu, strażnicy zażądali, by oddali broń. Było ich więcej niż Rzymian.

- Gdzie jarzmo? - mruknął Rufus, maszerujący ze swoimi ludźmi. Quintus gotów był postawić całą swoją pensję, której i tak już nigdy nie zobaczy, że większość żołnierzy poukrywała jakoś sztylety, a nawet "gladi". Wcześniej zezwolił na opuszczenie szeregu krzepkim mężczyznom, taszczącym rannych, czy wyczerpanych długotrwałym wysiłkiem lub gorączką towarzyszy.

To był rzymski zwyczaj, by prowadzić jeńców zakutych w jarzmo, z karkami zgiętymi na znak poddaństwa.

- "Vae victis" - zamruczał Quintus. Biada pokonanym. Zdarzało się to już Rzymianom wcześniej, lecz wciąż było hańbą.

Pierwsze promienie słońca padły na bezkresną równinę, zamieniając jej żółtawy koloryt na czerwień, jakby promienie były strzałami, godzącymi w ziemię. Zbroje i broń jaśniały coraz bardziej, w miarę jak światło potężniało w oczekiwaniu świtu. Roziskrzyły się okucia bębnow j mosiężne dzwonki, które dźwięczały, gdy Rzymianie maszerowali ku niewolniczej hańbie. Tylko Orzeł Legionu nie błyszczał.

Przed olbrzymim namiotem księcia żołnierze wyprostowali się - dumni Partowie, ich perscy sojusznicy (wśród nich również i ci, którzy wcześniej jedli rzymski chleb), wysocy Saka - mistrzowie koni i - najdziwniejsi z nich wszystkich - Yueh-chih: żółtoskórzy, skośnoocy i krzywonodzy. Mieli dziwne metody walki, ale uwagę Quintusa, gdy patrzył na nich na polu bitwy, przyciągnęło zupełnie co innego.

Byli tam nawet przedstawiciele miasta Carrhae oraz kilku zamożnych kupców, z brzuchami opiętymi długimi, kosztownymi szatami, co w porównaniu z tymi, którzy zniszczyli największą armię Rzymu, nadawało im wygląd sflaczałych i słabych. W ich oczach malowała się zachłanność: przebiegłe, starożytne oczy Lewantu, żądne zysku i pełne nadziei, że klęska Rzymu oznacza koniec rzymskich podatków.

Wszyscy obserwowali żalosne resztki tego, co kiedyś stanowiło najpotężniejszą armię. "Rzymianie pobici, a to znaczy, że są tacy jak inni. Czy sprawdzą się jako niewolnicy?"

Książęta mają armie; kupcy - inną siłę. Quintus miał wrażenie, że patrząc na pokonanych Rzymian, oceniają ich talenty i umiejętności. Rozważają jak można wykorzystać silnych i posłusznych, a jak pozbyć się niepewnych, niepotrzebnych, czy po prostu niebezpiecznych.

Quintus spostrzegł, że wraz z chorążym on i jego żołnierze są delikatnie przesuwani w kierunku czoła kolumny, z dala od pozostałej części kohorty, utrzymywanej w całości przez

Rufusa. Ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że z zadowoleniem przyjąłby rozkaz: "na kolana!" - teraz oznaczałby odpoczynek, nie poniżenie. Pomyślał, że nawet Rufus byłby wdzięczny za taką komendę, gdyby tylko pozwoliła odetchnąć jego synom-legionistom. Czekał tam, rozbrojony, drżący lekko na porannym wietrze. Szkarłatne, jedwabne sztandary Fartów łopotały, a wschodzące słońce złociło szarawą równinę.

Choć ten krajobraz nie przypominał doliny błękitnej rzeki jego ojczyzny, był jednak piękny. Czy wybrałby tę krainę na miejsce śmierci? Zdał sobie sprawę, że wolałby czworobok jego żołnierzy. Jeszcze lepsza byłaby farma, ze swoją rzeką i żalobnym głosem ducha, przemawiającego do jego serca i umysłu. A najlepiej byłoby żyć dalej, w zdrowiu i honorze. Ponieważ nie wydawało się to możliwe, Quintus próbował sobie wmówić, że niczego nie żałuje. Pomyślał, że mógłby uwierzyć, iż roztańczone stopy jego amuletu będą tańczyć jeszcze długo po tym, jak on wyda ostatnie tchnienie. Był przecież nieśmiertelny, rzucił wyzwanie samemu czasowi.

Krassus siedział na koniu przed swoją armią, łudząc się, że wciąż jest generałem dowódcą, a nie suplikantem, przyjmującym każde warunki, które Surena uzna za właściwe. Wówczas z książęcego namiotu wyjrzał oficer i skinął dłonią. Krassus chwiejąc się próbował zsiąść z konia. Jego twarz wykrzywił grymas.

Kassius błyskawicznie ześliznął się z siodła i znalazł u boku prokonsula, pomagając mu i wspierając pomocnym ramieniem, gdy znikali w środku namiotu. Słońce uderzyło w płachtę, zasłaniającą wejście. Inni oficerowie podążyli za nimi. Lucilius zamykał pochód. Jego oczy błyszcząły, jakby wstał właśnie od stołu po całodziennej grze w kości.

Może tak było. Wszyscy grali. Różnica polegała na tym, że Lucilius nie miał wątpliwości, iż wstanie od gry z pełnymi garściami monet.

Przejeżdżający obok ciężkozbrojny trącił Quintusa w ramię. Nie oburzył się; wiedział przecież, jak szybko Partowie potrafią nałożyć strzałę na cięciwę i wypuścić ją, gdy tylko tego chcą. Nosił oficerskie insygnia - musiał wejść do namiotu.

Spojrzał Rufusowi w oczy. Te zwęziły się i stary wojak zacisnął usta, życząc mu bezgłośnie powodzenia.

Potem wkroczył w ciemną otchłań namiotu Sureny.

Powietrze było gęste od zapachów ludzi: potu, skóry, zbroi i perfum, używanych przez mieszkańców Wschodu nawet przed bitwą. Zbyt dużo osób tłoczyło

się w olbrzymim namiocie. Jako jeden z ostatnich i najmniej ważnych, Quintus znalazł się przy samej ścianie, nie pilnowany przez nikogo. Jedno cięcie noża i przynajmniej kilku Rzymian miałyby szansę na odzyskanie wolności.

Pomimo blasku świtu pochodnie wciąż płonęły, zmuszając go do mrużenia oczu. Musiało minąć trochę czasu, by mógł przyzwyczać się do gry światła i cienia w namiocie księcia. Płomień pochodni tańczył, tworząc migotliwą, zwodniczą mozaikę, w której cząsteczki w mgnieniu oka zmieniały się i zdradzały nawzajem. Surena i jego ludzie. Przedstawiciele sześciu innych wielkich rodzin partyjskich; prawdopodobnie nawet jacyś szpiegzy Pacorusa, wyklętego syna króla. Arabowie z Edessy, bez wątplenia słudzy Ariamnesa i Alchaudoniusa - wodzów, którzy wycofali swoje sześć tysięcy jeźdźców.

Armeńscy wodzowie zasiadali jako świadkowie, mimo iż Orodos z Partii poprowadził połowę armii do Armenii, aby ukarać Artavasdosa za przysłanie wojowników Krassusowi.

Ich król z całą pewnością przygotował się również, by zmienić sojuszników. W centrum grupy wrogów Rzymu stały puste ozdobne krzesła. Nie pojawili się jeszcze ci, którzy na nich zasiądą.

Krassus stał przed ludźmi, którzy doprowadzili do jego upadku. Chociaż wciąż nosił wyblakłą zbroję i miecz, wyglądał teraz jak stary, schorowany człowiek, który stracił syna. Stał, niczym Priam w namiocie Achillesa, odarty ze swej dumy. Kassius trzymał się z dala od niego i Krassus uniósł brodę. Ten gest wymagał wysiłku i Quintus to docenił.

Achilles podniósł Priama, poczęstował go jedzeniem i winem - honorowo i miłosiernie. Tutejsi książęta zwlekali nawet z zaproponowaniem prokonsulowi krzesła. To, które mu w końcu przynieśli, było tak niskie, że musiał podnosić wzrok, by spojrzeć w oczy Zwycięzców. Kassius stał sztywno za jego plecami.

Quintus zastanawiał się, czy Lucilius ciągle jeszcze stawiał na Krassusa.

Surena wybrał tę właśnie chwilę, by zająć swoje miejsce. Jakby dla podkreślenia pogardy dla przeciwników, znalazł czas na kąpiel i przebranie się w świeże szaty. Jaśniał teraz oślepiającym blaskiem mieniących się tkanin, przywiezionych aż tutaj z Krainy Złota - część nieprzebranego bogactwa, które Krassus miał nadzieję zdobyć, ruszając na podbój tych ziem.

Prokonsul, gdy tylko usiadł, już musiał wstać, by uczynić gest hołdu. Przeszył wzrokiem strażę, które syknęły na niego, ale się podporządkował. Wraz z partyjskim

generałem przybyli oficerowie - ludzie z Saka i Yueh-chih.

Ten poranek był kolejną hańbą Rzymian. Quintus wysłuchiwał warunków "rozejmu" i "przyjaźni", obiecanych im poprzedniej nocy na bagnach. Mógł się nawet cieszyć. Dla niego i jego rodziny przyszła sprawiedliwość. To była zemsta za śmierć tych, których smród rozkładających się ciał zanieczyścił szerokie drogi pod Rzymem.

To była hańba, nie rozejm.

- Równie dobrze moglibyście zdziesiątkować tych, którzy jeszcze pozostali - rzucił któryś z oficerów. Kassius syknął na niego, a wyraz jego twarzy sugerował, że uderzyłby go, gdyby był bliżej.

- To też jest możliwe - mruknął Surena. - Decyzja należy do was.

Prokonsul zeszywniał. Przez chwilę wyglądało, że zerwie się z krzesła, ale ręce oficera sztabowego opadły na jego ramiona. Wybór był jasny - kapitulacja lub śmierć.

Krassus zdjął hełm. Pot przykleił mu przeredzone włosy do czaszki.

Potrząsnął głową.

- Decyzja została podjęta. Chcemy pokoju.

- Tak to określasz? Gdy twoi ludzie, twój syn, leżą martwi? Pokojem?

Nazwalibyśmy to inaczej...

Quintus wzdrygnął się. Całym sobą wyczuwał płomienną nienawiść przebywających w namiocie Rzymian. Partowie mogli przekazywać treść tej rozmowy pozostałym na zewnątrz legionistom: Azjaci uwielbiali puszyć się i przechwalać. Napiął mięśnie, czekając na pierwszego, który ruszy do przodu. Drobną statuetką na jego piersi rozgrzała się, jakby nagle zapłonęły przechowywane przez stulecia pochodnie w jej dłoniach.

Dobiegł ich nagle hałas, który postawił na nogi wszystkich Rzymian. Partowie, Saka i Persowie, bardziej opanowani, nie ruszyli się z za stołu. Yueh-chih sięgnęli po broń, lecz uspokoili się pod spojrzeniem dowódcy.

Wojownicy, których Quintus nigdy przedtem nie widział, wkroczyli do namiotu księcia, prowadzeni przez mężczyznę zbyt młodego, by mógł być generałem, lecz zachowującego dumną postawę, dającą do zrozumienia, że ma prawo zająć miejsce co najmniej równe tym, którzy z taką pewnością i swobodą osądzają teraz Rzymian. Nosił łuskową zbroję (podobnie jak jego wojownicy), pikowany strój i wysokie buty, przystosowane do jazdy wierzchem. Był zwalisty, wręcz kwadratowy i choć miał skośne oczy, jak Yueh-chih, jego nogi nie były krzywe. Mimo pory roku,

miał narzucone na zbroję futro lamparta, jakby upał nic dla niego nie znaczył.

Najdziwniejsza zaś była jego skóra - w kolorze złota.

Siadając z dala od Yueh-chih, który pomrukując ustąpili mu miejsca, znalazł się w pobliżu Sureny, zachowując wciąż wyniosłe i dumne spojrzenie kogoś, kto z mocy prawa zasiada na tronie.

Quintus uświadomił sobie, że przybysz wygląda naprawdę jak wojownik z Krainy Złota. Szczególnie żądni bogactw powiadali, że kraina ta jest tak szczodra, iż złoty pył wrósł w skórę jej mieszkańców. Tej legendzie uwierzyło wystarczająco wielu, by mogła przywieść ich tutaj - na śmierć. Słyszał plotki, że Partia płaciła temu krajowi trybut w zamian za handel. Kiedyś trudno mu było w to uwierzyć. Teraz, widząc cesarską postawę tego mężczyzny, zbyt młodego, by mógł cieszyć się rangą równą Surenie, Quintus zaczął się zastanawiać. Wspaniale byłoby kontrolować dostęp do takiej krainy - była to wystarczająco silna pokusa, by uczynić upadek Rzymu nawet bardziej pożądanym, niż mogłaby to sprawić tylko nienawiść.

Quintus patrzył teraz na przyczynę rozbicia rzymskiej armii. Przez chwilę ich oczy się spotkały.

Pojawił się ktoś jeszcze, człowiek o żywej, nerwowej mimice Sogdianina, ubrany - co dziwne - tak jak tajemniczy przybysz w łuskowy strój i pikowaną tkaninę. Przemówił:

- Mój pan powiada, że twoi ludzie walczyli dobrze. Lecz przegrali. A twój syn poległ. Teraz mój pan cię pyta - wycelował brodą w Krassusa - dlaczego jeszcze żyjesz?

- Wciąż mam armię pod opieką. Oni wszyscy są moimi synami - odparł prokonsul. Wyprostował się dumnie.

Gdyby wszyscy przeżyli ten dzień, Lucilius mógłby naigrawać się ze słów Krassusa. Lecz Quintus po raz pierwszy dostrzegł w nim wodza, kogoś za kim mógłby podążać, gdyby Fortuna wcześniej nie zaważyła na szali.

Quintus poczuł jak pieką go oczy. I coś jeszcze. Bardzo powoli, pamiętając o czujnym strażniku Saka, stojącym tuż za jego plecami, sięgnął ręką pod zbroję. Ciepło, przenikliwe choć nie nieprzyjemne, przynosiło obietnicę pomocy. Czuł się nie tyle wypoczęty, co gotowy do walki lub marszu. Czy też, co było bardziej prawdopodobne, do przeżycia tego, co za chwilę będzie musiało się stać.

Sogdianin spoglądał na Krassusa sceptycznie. Zerknął na Surenę, jakby szukając przyzwolenia na uśmiech. Lecz twarz partyjskiego władcy była równie

pozbawiona wyrazu, jak twarz przybysza z Krainy Żłota.

Dygnitarz ze Wschodu przytaknął poważnie, przyjmując te słowa, jakby pochodziły z ust zwycięzcy i generała, a nie pokonanego.

- Powiedziałeś, książę An'Hsi, że to był książę Ta'Tsien... władca tej krainy na zachodzie... ten, który zamieniłby swój kraj na złoto i potem je przeliczył? Ten, który odważyłby się handlować z nami, z Han? Czy on jest szlachetnie urodzony, czy jest kupcem?

Sogdianin znów przemówił. Czy "auxilia", które Quintus widział na bagnach, przetrwały? Byłby bardzo zadowolony z własnego tłumacza. Część książąt zaczęła niecierpliwie wiercić się na swoich miejscach. Kiedy barbarzyńcy robili się niespokojni, zawsze groziło to jakimś niebezpieczeństwem. Mężczyzna z Krainy Żłota - z krainy Han, jak ją nazywał - prawdopodobnie pomyślał o tym również.

Surena roześmiał się. Zawtórowali mu perscy szlachcice, którzy byli dumni z tego, że nigdy nie splamili rąk handlem. "Ach ci patrycjusze, ci patrycjusze" - pomyślał Quintus. Unicestwiali życie, unicestwiali nadzieje... Statuetka, spoczywająca nad sercem, ukłuła go ostrzegawczo. "Uważaj, głupcze." Prawie usłyszał napominający go głos dziadka.

- Jak to możliwe?

Jeden z okrutnych stepowych jeźdźców odezwał się nieoczekiwanie potokiem słów, brzmiących podobnie do przemowy mieszkańca Han. Młody, władczy oficer wysłuchał go i przemówił.

- Ich bogowie, powiadasz? - powtórzył tłumacz. - Ich bogowie podróżują z armiami? Widać o nich nie dbali, skoro przegrali. Mój przewspaniały Lordzie Sureno, ten oto nic nie znaczący - tu wskazał na swego pana - chciałby zobaczyć owych bogów Zachodu.

Surena klasnął w dłonie.

Taszcząc je byle jak, niczym ciała wywlekane przez niewolników z ciemnicy, Partowie wnieśli do namiotu Orły Legionów. Cisnęli je na stół.

Brzęk metalu poderwał wszystkich. Yueh-chih zaszemrali, jakby oczekując, że Orły nagle ożyją i zaatakują dziobami i szponami. Część obecnych - i to wcale nie najniższych rangą - zaczęła coś mamrotać, gestykulować i wyciągać własne amulety.

Zdobyczne Orły Legionów leżały na stole - w przechylającym się namiocie: nie bogowie, lecz zmatowiały metal, pokryty ciosami mieczy, poplamiony krwią rzymskich chorążych.

Jeden ze znaków błyszczał świeżą posoką.

- Znaleźliśmy go na zewnątrz. Ten który go nosił... walczył z nami.

Krassus podniósł się do połowy z krzesła, po czym osunął się na nie pod spojrzeniem swego oficera sztabowego.

Quintus zacisnął powieki. Ten chorąży był dzielnym człowiekiem. Po chwili zmusił się, by otworzyć oczy i patrzeć na hańbę swojej ojczyzny.

- Wygląda na to - rzekł mężczyzna z Han - że nawet niektórzy bogowie mogą zostać pokonani. Co zrobicie z tymi?

- Przeniesiemy je do naszych świątyń, zwłaszcza tej w Merv - odpowiedział Surena - by były symbolem mojego zwycięstwa.

Z tyłu, za jego plecami, kilku wojowników z poselstwa od króla Orodesa wymieniło spojrzenia. Surena był potężny; czy stał się na tyle mocny, by król musiał zaryzykować usunięcie go albo utratę korony? Quintus wiedział, że nigdy się o tym nie przekona.

Oficer z Han podźwignął się.

- Bogowie ze stali, dla których umierają ludzie - zamyślił się, wyciągając wypielegnowaną dłoń, by dotknąć najbliższego znaku. - Mój "tu hu" musi to zobaczyć. Decyzję pozostawię mojemu dowódcy. Ale on, niemądry, myśli, że Syn Niebios w Ch'ang-an powinien ujrzeć Orły, i że czcigodni mędrcy winni rozwikłać tajemnicę mocy, która skłania ludzi do oddawania za nią życia.

Podniósł Orła, płonącego w blasku ognia. Krassus rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie.

- Wezmę tego - obwieścił oficer z Han - jako część trybutu An'Hsi dla Syna Niebios.

Skłonił się uprzejmie, jakby przyjmował puchar wina z rąk swoich braci, po czym dzierżąc Orła opuścił namiot.

Dwóch ludzi ruszyło, żeby zebrać pozostałe święte znaki.

- Nie... - szepnął Krassus, wypowiadając pragnienia Quintusa - Na wszystkich bogów piekła, n i e!

Wciąż w nich żył zabity syn Krassusa, martwi przyjaciele Quintusa, krew z ran Rufusa. Czy powinny więc zostać triumfalnie wniesione do barbarzyńskiej świątyni, świadcząc o klęsce i hańbie Rzymu, który nie zdołał ich ochronić? One przecież były Rzymem. Wielki Romulus z pewnością odwróciłby się od armii, która pozwoliłaby, by poszły w niewolę.

Ręce Vargontiusa i Kassiusa spoczywały na ramionach prokonsula, lecz ten strząsnął je siłą rozpacz.

- Oddajcie mi moje Orły!!! - zawył i rzucił się do przodu.

Zderzył się z wojownikiem i stołem, jedną ręką zgarniając bezcenne "signum", drugą zaś wyszarpując zza pasa Parta sztylet. Mógł wykorzystać tę chwilę, gdy wszyscy stali zszokowani w bezruchu i błyskawicznie zatopić ostrze głęboko w gardle Sureny, mszcząc tym ciosem syna, armię i Orły.

Nie zrobił tego. Obrócił się, wysuwając sztylet, jakby broniąc znaków, które trzymał przed sobą niczym tarczę i symbol. Światło pochodni odbijało się od nich, pokrywając ściany namiotu lasem cieni dębów, sosen i znaków Rzymu.

Oczy starego prokonsula błyszczały, ale nie było w nich szaleństwa walki.

- Rzymianie! - zakrzyknął. - "Comites", do mnie! Zakończmy, co skończyć powinniśmy! "Roma!

Oficer sztabowy skoczył w jego kierunku, rozważając gorączkowo - pomóc prokonsulowi czy wykorzystać szansę ucieczki?

- Na zewnątrz! - zawołał Vargontius - Niech ktoś da im znać!

Błyskawicznie wypchnął Kassiusa z namiotu. Wokół wybuchnęły wrzaski, gdy kupcy w popłochu uciekali od zamieszania, a Rzymianie i Partowie skoczyli sobie do gardeł.

Ból rzucił Quintusa do przodu; jego ręka sięgnęła po broń stojącego najbliżej strażnika. Jak wolno poruszał się ten człowiek! Zawładnięcie jego mieczem było równie łatwe, jak odebranie sosnowej gałązki małej dziewczynce.

- "Roma"! - wrzeszczał Krassus tak, jakby przez całe życie nie próbował rozmieniać Rzymu na pieniądze i zaszczyty, które potem skrzętnie gromadził. Quintus przedzierał się przez tłum, by stanąć u jego boku. Krassus zabrał mu ziemię, ale teraz wzywał go imieniem Rzymu. Może to oznacza lepszą śmierć niż ta, na którą czekał? Honorową. Spojrzeć dumnie w oczy dziadkowi po drugiej stronie Styksu...

- Niech ktoś zabierze pochodnie!

Ciężkie uchwyty runęły i płomienie liznęły krew i kurz, zanim zgasły, jak tyłu innych w tym namiocie.

Krassus nie był szalony, gdy pragnął śmierci, lecz teraz Pan zaczął swoją pieśń, szerząc obłęd. Quintus ciął zdobytym mieczem. Jak we śnie ujrzał przed sobą człowieka, rzygającego krwią i padającego na towarzysza. Wokół rozlegały się krzyki i wrzaski walczących i umierających, ale dudnienie w skroniach, głośniejsze od

bębnów Partów, skutecznie je zagłuszało. Rzymianie, Yueh-chih i Partowie walczyli w świetle, przesączałym się przez ścianki namiotu. To był obłądny taniec; krew płonęła w żyłach. Mógłby być teraz kobietą, która niesie stożkowato zakończoną różdżkę i wyśpiewuje peany na cześć Bachusa i Bromiusa.

Pochwycił spojrzenie Luciliusa. Jego jasne włosy były umazane krwią, a oczy świeciły, jakby sama Fortuna przepięła do niego i kości. Pogardzał nim, ale obaj byli Rzymianami.

- Krassusie! - krzyknął Quintus, próbując przebić się do starca. Osłabiony wiekiem i porażką, nie będzie mógł długo bronić siebie i Orłów. Jeszcze jeden - trybun użył znakomitej stali partyjskiego miecza jak rzymskiego "gladius" i przebił gardło barbarzyńcy. Potem zatoczył się w pobliże prokonsula, rozpaczliwie chwytając powietrze. Poczul wszechogarniającą go radość, gdy ujrzał, jak oczy Krassusa rozjaśniają się na jego widok.

- Za tobą! Schyl się! - zawołał starzec w tej samej chwili, w której na piersi Quintusa zapłonął ogień - czyżby znowu figurka z brązu? Zgiął się wpół, a następnie błyskawicznie obrócił. Poderwał ostrze i zatoczył nim krąg, przesywając żołnierza, który zachodził go od tyłu.

Quintus odwrócił się i słowa podziękowania zamarły mu na ustach. Rzucił się naprzód, lecz mimo jego dobrze wymierzonego ciosu, ostrze Parta zdążyło opaść na ściskającą Orły rękę Krassusa, rozrąbując ją w nadgarstku. Quintusowi przypominało to makabryczną parodię błogosławieństwa, udzielonego mu kiedyś przez dziadka.

Okrzyk przerażenia trybuna i wrzask Krassusa zlały się w jedno. Skoczył, by chronić człowieka, który - wbrew wszelkiemu rozsądkowi - został jego prokonsulem i generałem. Starzec zachwiał się, a Orły wysunęły się z jego rąk z głośnym łoskotem. Padał zbyt wolno. Ostrze Parta cięło jego kark i głowa odpadła od ciała.

- Nie! - krzyknął Quintus. Walczył, jak sam nie przypuszczał, że potrafi, dopóki nie oczyścił przestrzeni między sobą, swoją śmiercią i Partami. Łapiąc oddech, zatrzymał się i uniósł miecz w pogotowiu. Partowie zacisnęli wokół niego krąg. Zabicie go było kwestią czasu. Tylko kwestią czasu.

Sprzedza jednak swoje życie bardzo drogo. Ilu zabierze ze sobą? I od kogo powinien zacząć? Z namysłem przyglądał się wojownikom czując, iż wiedzą, o czym teraz myśli. Uderzył, ale ostrze miecza odbiło się od krawędzi stołu. Przyjął postawę do ataku i uderzył ponownie...

Ku swemu przerażeniu odkrył, że przeciwnik próbuje oddać cios nie mieczem,

ale wzniesionym Orłem.

Choćby miał umrzeć, Quintus wiedział, że nie dotknie znaku: to tak, jakby uderzył dziadka lub sam Rzym. Wykonał fintę i ciął podstępnie. Part odskoczył i roześmiał się. Spróbował ponownie, potem jeszcze raz.

Śmiali się z niego, drażniąc go jak drażni się atakującego psa uwiązanego za łańcuchu. Runął na nich z bojowym okrzykiem, pragnąc zabrać ze sobą do grobu jak najwięcej wrogów...

...i poczuł, że rozgrzany do czerwoności, metalowy pręt smaga go po karku. Zgiełk bitewny ścichł do szemrania rzeki w mglisty dzień, a potem rozplynął się w ciszy.

Rozdział czwarty

Quintus oślepl. Byłby przerażony, gdyby nie to, że jego strach zagłuszały bębny i dzwonki zwycięzców. Zdawali się nadchodzić, coraz bliżej i bliżej. Jeszcze kilka kroków i zادهczą go.

A wtedy dołączy do swych martwych towarzyszy. Spuścił głowę, jak zwierzę przed ofiarnym ołtarzem. Tak było przeznaczone: niech się więc spełni.

Śmierć byłaby całkiem przyjemna, gdyby nie ta suchość w gardle. Pod murami Carrhae walczyli godzinami w upalnym słońcu, wśród oparów krwi i śmierci, a muchy brzęczały głośniejsz niż bębny i dzwonki.

- Przekłęci, jeśli go zostawimy. Nie stracę jeszcze jednego - usłyszał czyjś szorstki, chrapliwy głos.

- Co gorszego mogą mi zrobić? Zabić? Rzuciłbym się na mój własny miecz, gdybym mógł go dosięgnąć.

- Przemyśl to, centurionie! Będziesz musiał wyznaczyć ludzi, którzy będą go nieśli. Spowolni nasz marsz. A jeśli przeżyje, będzie miał nie więcej rozumu niż dziecko.

Głos był gładki i sugestywny. Quintus już wiedział, że go nie lubi. Jeszcze jedno słowo i uciszy go, jeżeli tylko uda mu się podnieść, gdyż nawet wysiłek włożony w uniesienie głowy...

- Musisz krzyknąć, panie? On może słyszeć każde wasze słowo?

Głosy ścichły do pomruku. Rozległy się kroki, które na szczęście oddalały się.

- Nie bój się, przeżyje. To rolnik. Ma głowę równie twardą jak skała, na której łamie się socha.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której bębny i dzwonki łomotały w głowie Quintusa. Teraz przyłączyły się inne głosy - zbyt liczne, by mógł rozpoznać słowa. Był zmęczony. Odpłynął w nicość.

Upał i pragnienie. Mogą powalić równie skutecznie, jak strzały czy miecz Sureny. Był martwy, a tamci nie pozwalali mu spoczywać w spokoju. Myślał, że śmierć oznacza odpoczynek, ukojenie - widział dziadka i matkę, zanim zakryły ich całuny. Podczas ciężkiej próby, jaką były dla nich ostatnie dni, twarze mieli napięte i wykrzywione cierpieniem, lecz śmierć tchnęła w nie spokój, wygładziła zmarszczki zgryzoty i udreki.

- Dobrze więc, przyprowadź tu swojego cesarskiego jak go tam zwał i sam mu to powiem. Nie zostawię tego człowieka, żeby tu umarł. Jeśli ci się to nie podoba, wiesz, co możesz zrobić. Umrzeć szybko, umrzeć powoli - żadna różnica. Oni nie dają ludziom, których wysyłają do Merv, honorowej emerytury, ziemi ani muła. Czy też...

Głos zakipiał gniewem, zanosząc się kaszlem.

Przeklęty piach! Oni ich sprzedają. Sprzedają wolno urodzonych Rzymian, legionistów, jako niewolników. Czy sądzisz, że oni, ci perscy kupcy, pamiętaj o tym - będą tracić czas na kogoś, kogo szybko nie sprzedadzą?

Więcej szeptów. Dźwięki. Kroki. Brzęk podków. Ręka na jego czole.

- Odpoczywaj spokojnie, chłopcze... to jest: panie. Myślę, że Fortuna pozwoli mi dopiąć swego...

- Być może znalazłem konia... - jakiś nowy głos, z perskim akcentem.

Quintus zeszytniał.

- Ile?... Zresztą, nieważne... Jeśli uważasz, że to brzmi dobrze...

Pogardliwe parsknięcie, chichot wpółurwany...

- Weź moją sakiewkę... Chłopcze, ludzie cię potrzebują. Wróć do nas.

Tak łatwo odpłynąć. Po prostu odejść.

Kroki - chrzęst nabijanych kolcami butów na żwirze i piasku i szybsze, lżejsze stąpnięcia jeźdźca. Usłyszał nawet trzask zginanych starych kolan, kiedy ktoś przysiadł ciężko obok niego.

- Trybunie, w imię wszystkich bogów, nie zostawiaj mnie samego, bym nimi

dowodził...

To wezwanie nie było honorowe - przywróciło go światu. Jęknął.

Porzucili rannych i martwych pod Carrhae, nie pogrzebanych, bez pomocy. Nie zgadzał się wtedy z tą decyzją, ale nie miał przecież nic do powiedzenia. To było "nefas" i on również musi za to cierpieć.

Za to, a także że nie ma monety dla Charona i wciąż tuła się po tej stronie Styksu. Jego dziadek i matka stracą go na zawsze, chyba że jakaś pobożna dusza rzuci na niego garść ziemi i odprawi pożegnalny rytuał.

Jego ojciec, nigdy nie pochowany, prawdopodobnie również wędruje. Być może spotkają się. Ale czy będą mogli objąć się tam, nad brzegiem Styksu, czerpiąc pociechę ze swojej obecności? Czy też świadomość, że drugi także cierpi, zwiększy tylko ich ból? Możliwe, że się w ogóle nie rozpoznają. To byłaby samotna nieskończoność, bez nikogo, bez wytchnienia.

Zaprotestował gwałtownie, gdy poczuł czyjś dotyk.

- Cicho, panie! Czyż okazałem się kłamcą mówiąc, że uderzono cię w głowę? Całe szczęście, że założyłeś hełm. Do niczego już się nie przyda. Dzielnie walczyłeś nad ciałem tego biednego, starego łotra. To śmieszne nazywać go biednym, ale co mu przyszło z bogactwa? Skończył jak lichy rekrut. Choć walczył jak Rzymianin.

To, co poczuł, okazało się ramionami, obejmującymi go niezgrabnie.

- Dlaczego do niego mówię? Być może nigdy mnie nie usłyszysz i... Dis, byłby z niego dobry żołnierz.

Quintus otworzył oczy, pochwycił blask słońca, które zdawało się unosić nad jego głową; zakrzuszył się. Natychmiast szorstkie ręce ujęły jego głowę.

- Ostrożnie! Niesiecie człowieka, a nie wór żarcia. Tak, ty także, panie.

Spokojnie tam.

Dźwigający go zatrzymali się. Poczuł, że jest przywiązany do czegoś miękkiego. Może teraz głosy zostawią go w spokoju i będzie mógł powrócić w kojącą czerń, która wciąż go przyzywała.

Czuł się, jakby leżał już w łodzi Charona. Olbrzymie muchy bzyczały, dudniły bębny i dzwonki. Paliło go pragnienie, jak po napiciu się nafty. Bronił się, by nie jęknąć.

Wstydział się okazać jak bardzo cierpi. Lecz gardło mu płonęło. Nagłe szarpnięcie wydarło z jego piersi krzyk. Zapomniał o wstydzie, zapomniał o wszystkim prócz bólu. Wydawało mu się, że krzyczy, by zostawiono go w spokoju, by

zdjęto go z krzyża, by go pogrzebano... Krzyczał, dopóki mógł. Krew z popękanych warg nie przynosiła ulgi.

Gorycz dotknęła jego ust. Rzucił się na tę wilgoć, lecz natychmiast ją wypluł.

- Nie pije - znowu ten kulturalny, nienawistny mu głos.

- Po ciosie w głowę czasami nie mogą. Po prostu zwracają płyn. Marnują go.

Po długiej pauzie:

- Rozmyślałem. Potrzebujemy wszystkich Rzymian. Teraz... - nowy ton wkraść się w głos patrycjusza, ton jakby zakłopotanej chytrłości. - Słyszałem, że ci ludzie mają dobrych lekarzy...

- I wezwiemy ich, a oni znowu uderzą trybuna w głowę, żeby dostał ataku albo nas jeszcze bardziej spowalniał. Tym razem na pewno go zabiją. Wydobędzie się z mroku o własnych siłach, lub wcale.

Potem coś błogosławienie chłodnego, niczym świeżo obrócona skiba ziemi, spoczęło na jego oczach i pulsującym czole.

Westchnął bezwstydnie i poczuł czyjąś dłoń na swoim ramieniu; ten dotyk zabrał ze sobą w dającą wytchnienie ciemność.

Chybotanie z boku na bok, tak przedtem męczące, teraz kołysało go do snu. Bogowie... woda, szemrząca wśród cieni, przynosząca ukojenie.

Zwierzęta ryczały i walczyły ze sobą, podczas gdy głosy ludzi wzbierały prośbą i rozkazem. Quintus cofnął się, uciekając w czerń, póki wybuch czerwonych świateł nie przestrzegł go, by szedł ostrożniej. Zerwał się gorący wiatr. Znowu cisza. Pewnie ktoś rzucił ciastko Gerberowi. Przynajmniej taką miał nadzieję. Doszedł dalej, niż kiedykolwiek marzył - w pobliże Rzeki. Wkrótce będzie spacerował między asfodelami...

...lecz tam czekał sąd. Przerażające imiona, dźwięczne jak spiż: Minos, Radamantys i ktoś jeszcze. Kto? Musi znać trzeciego sędziego, inaczej jego dusza znajdzie się w kuźni Tartaru. Szybko wyrwał się z czerni i poczuł, że jest skrępowany.

Już skazany? Zmusił się do myślenia. Imię trzeciego sędziego! Na pewno je znał!

"Ajakos" - pojawiło się w jego umyśle - "Nie skrzywdzi cię." Głos był delikatny, jak delikatna była dłoń na jego czole.

Jęknął i, ku swej uldze, zemdłał.

Ocknął się w ciemnościach. Wciąż leżał na tym skalnym, ciepłym podłożu. Wciąż był związany. Ale czuł się teraz silniejszy. Ostrożnie zgiął jedno ramię, potem

drugie. Całkiem niezłe. Wyswobodził je z więzów, po czym ostrożnie wstał. Coraz lepiej. Coś wilgotnego ześliznęło się z jego czoła. Chwycił to, zanim pomyślał, żeby odskoczyć.

To był kawałek mokrego materiału. Nawet w przyćmionym świetle zachował połysk wschodniej tkaniny.

A wiec nie był ślepy? Dzięki niech będą wszystkim bogom!

Rozejrzał się zachłannie wokół, jak spragniony, który zanurza głowę w sadzawce czystej wody. Czego oczekiwał? Oczywiście: - asfodeli z opowieści dzieciństwa... rozległych, zielonych łąk, po których przechadzają się bohaterowie, albo może brzegu, poprzerastanego korzeniami drzew, wznoszącego się nad leniwymi falami Tybru, niedaleko jego domu.

Spodobałoby mu się to. Okazało się jednak, że jest gdzie indziej, że stoi w olbrzymiej jak amfiteatr jaskini, z której wyjścia prowadzą w pięciu kierunkach. Poczuł wodę. Tak, to prawda - przekroczył Styks. Ogarnął szybko czujnym spojrzeniem żołnierza wyrąbane w skale przejścia.

Ośmielił się dotknąć głowy. Nie miał hełmu. To by się zgadzało. Głos - Rufusa chyba? - we śnie, na jawie? powiedział mu, że ten hełm nikomu już się nie przyda. Ocalił mu życie.

Włosy miał zlepione czymś, co musiało być krwią. Wciąż były wilgotne, choć chłodne. Poruszając się powoli, niczym starzec, skierował się ku jednemu z przejść. Jego ostrożność nie była bezpodstawna: mógł być "żywy" tu, w tym przedśmionku do wieczności, lecz brakowało mu siły, do której przywykł. Dokuczało mu kilka ran i zwichnięć nic, w porównaniu ze straszliwą agonią po tamtym ciosie w głowę. Ruszył w głąb przejścia.

Cofnął się, gdy dobiegło go z czeluści przeraźliwe wycie. Nie tędy droga. Szybciej niżby przypuszczał znalazł się z powrotem w głównej jaskini. Czerwone światło pełgało po skalnym sklepieniu, rozszczepiając się w ogromnych klejnotach, tkwiących w żywej skale.

Jasność przeświecała z kolejnego przejścia. Poszedł za nim. Pożądliwe gorąco smagnęło go ogniem. Na ścianach zatańczyły cienie, pochłonięte po chwili przez blask, gdy biały rdzeń żaru przyćmił otaczające go czerwienie i żółcie. Spojrzał pod nogi: zobaczył zwir. Rozrzucił go kopnięciem i okazało się, że to spalone szczątki z ludzkich kości. Kiedy po raz pierwszy udał się na Wschód, cierpiał podczas pobytu na pustyni. Cierpiał pod Carrhae, stojąc w pełnej zbroi w czworoboku, na który sypał się

z białego od upału nieba grad strzał. Jednak w porównaniu z tym żarem, świszczącym w przejściu niczym miech kowalski, tamto było niczym. Ani człowiek, ani cień nie mógłby przejść dużo dalej tym korytarzem, nie mógłby przekroczyć Rzeki Ognia i zachować rozpoznawalnej formy. To nie byłoby zapomnienie, lecz unicestwienie.

Ogniste cienie - czerwien na złocie i bieli - zamigotały w górze niby śmiercionośne sztandary Sureny. Uformowały się w postać, tańczącą dla Quintusa z płonącymi pochodniami w dłoniach. Jego ręka powędrowała ku piersi i wyciągnęła brązowy talizman. Ten pochwycił światło i zaśnił, jakby dopiero co został wykuty. Ogniki wytrysnęły z jego rąk, wzniesionych w figurze odwiecznego, pogrzebowego płąsu. Płomień musnął dłoń Quintusa, a ten cofnął się. Powtórne ostrzeżenie?

Uważnie wytarł buty o skałę, by najmniejszy ślad spopielonych kości nie przetrwał na ich kolcach. Zmarłych lepiej pozostawić samym sobie. Zakręciło mu się w głowie, gdy zrozumiał jak blisko jego myśli musnęły niewyobrażalne. Wrócił do przedsionka.

Był Rzymianinem. Wspaniałe ceremonie i imiona bogów były dla kapłanów i senatorów, nie dla takich jak on. Przybył tu, by umrzeć i zostać osądzonym. Niech tak będzie. Oczekiwanie było wystarczającą karą.

Powietrze i ciemność musnęły mu twarz, niczym chłodne dłonie. Quintus westchnął. Zanim zwykły rozsądek powiedział mu, że nie ma żadnych dłoni, że nie ma w tym miejscu nawet dotyku, wyciągnął ręce, by pochwycić to coś, co ukołysało jego spieczone czoło i policzki maleńką iskierką doznania. Fala dźwięku wyszydziła jego porażkę, popychając go ku kolejnemu przejściu.

- Powiniennem zaczekać tu, dopóki... cokolwiek... nie przyjdzie, by mnie wezwać - mruknął.

Ale powietrze zadrgało ponownie dźwiękiem tak słodkim, że podążył za nim. Żadnego żwiru ze starożytnych kości pod stopami. Skała stawała się jakby znajoma. Lubił tę ścieżkę. Dlaczego? Dlaczego poczuł, że zna ją od tak dawna? Nie różniła się niczym od reszty podłoża w jaskini. Zamknął oczy. Teraz wiedział: to była ścieżka, którą w dzieciństwie chodził do swej ulubionej kryjówki nad rzeką. Poruszając się szybko, jak zwiadowca powracający po licznych niebezpieczeństwach do domu, zagłębiał się w korytarz i wspomnienia. Owiał go leniwy podmuch, który usypiał go na brzegu Tybru. Powietrze drgało brzęczeniem pszczoł i śpiewem ptaków. Sklepienie z liści zamykało się nad jego głową.

Światło falowało na ścianach i suficie skalnego przejścia, odbijając się od rzeki, rozciągającej się na końcu drogi. Z pewnością nigdy żadna płynąca woda nie

pachniała tak słodko, a letnie słońce nie świeciło tak przyjemnie. W jaki sposób światło słoneczne zdołało przebić skorupę ziemską i świecić nad rzeką w Podziemnym Świecie? Zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale wkrótce dał sobie spokój.

Był rolnikiem i żołnierzem, a nie jednym z legionowych inżynierów. Nie do niego należała odpowiedź. Jaskinia rozszerzała się. Miał wrażenie ogromnej przestrzeni, przez którą rzeka toczyła swe nurty. Wszystko tu było znajome - rzeka, skały i ziemia pod stopami. Wiedział, w którym miejscu trzeba postawić nogę, by ominąć kamień; poznawał rozwidlenie między zwieszającymi się zaroślami... Był w domu.

To nie mógł być Podziemny Świat. Wyglądał tak niewinnie, tak sielankowo.

Stanął na brzegu rzeki, z którego jako chłopiec tak często łowił ryby, i spojrzął w dół na letnią mgielkę. Usiadł i oparł się o swoje ulubione drzewo. Jego ręce dotknęły czegoś gładkiego, uniósł to do twarzy. Spoczywał na liliach, na najprawdziwszych asfodelach, po których kroczył Achilles. Przez chwilę miał ochotę zaśmiać się jak dziecko, gdy wyobraził sobie siebie leżącego wśród kwiatów. Kichnął, podrażniony pyłkiem. Pachniało bardziej słodko niż koniczyny i fiołki, z których wysysał syrop w gorące popołudnia.

Delikatne rozbawienie zagościło w jego myślach. Oczy zaszyły mu łzami. Był w domu. Nawet "genius loci" przybył, by go powitać.

- Myślałem, że straciłem cię na zawsze - powiedział. Wydało mu się, że słyszy szemrzący śmiech, ale to mogła być ryba, rzucająca się w oślepiająco jasnym kręgu na środku rzeki.

- Doprawdy? Taki zagubiony, taki zmęczony - i najukochańszy - usłyszał.

Jak dziecko, chwytające wszystko do spróbowania, uniósł palce do warg.

- Musisz być głodny i spragniony. Oto jedzenie. Oto woda. Nie opuszczaj mnie nigdy więcej.

Kiedy po raz ostatni usłyszał ten głos, był zmartwionym chłopcem, próbującym zachowywać się jak mężczyzna skazany na wygnanie. Teraz, wbrew wszelkim nadziejom, powrócił. Może po śmierci, ale znów był w domu. Tutaj był jego "genius loci". On się nim zaopiekuje. Chłodne dłonie dotknęły jego skroni, uśmierzając ból, nie opuszczający go, od chwili, gdy Legiony Krassusa ruszyły w kawaleryjskim tempie, a on uświadomił sobie, że jest nie tylko szalony, ale również przeklęty.

"Genius loci" wydał pozbawiony słów odgłos bólu, kiedy chłodne dłonie zetknęły się z twarzą i włosami trybuna. To było cierpienie z jego powodu i z powodu tego, czego on doświadczył. Duch miejsca odczuł nawet ranę od ostatniego ciosu "signum", który posłał Quintusa do Podziemnego Świata. Tak, uderzenie jednym z Orłów, których próbował bronić, było po prostu zniewagą. Lecz było to tak dawno, a on znajdował się teraz tutaj i tamto nie powinno już nic dla niego znaczyć.

Dobrze byłoby znowu być młodym. Dobrze byłoby zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło od chwili, gdy człowiek o surowej twarzy przybył do dziadka z wieścią o śmierci ojca. A gdyby nie mógł zapomnieć... no cóż, był mężczyzną, a nie chłopcem. Zresztą głos "genius loci" przypominał mu to również. Oczy zaszyły mu łzami i zapłakał, po raz pierwszy, odkąd wraz z dziadkiem został wypędzony z domu. Płakał nie wstydząc się tego, płakał ze szczęścia, bo był znowu w domu, znowu kochany i bezpieczny.

Po chwili Quintus uspokoił się, radując się spokojem, którego tak rzadko zaznawał. Otarł oczy, wdychając wszechobecny zapach asfodeli. Potem się roześmiał. Po raz pierwszy, odkąd Legiony Krassusa wkroczyły na pustynię, mógł naprawdę odpocząć.

Niebo zdawało się być bardzo daleko. Tutaj było światło słońca, rośliny i świeża woda. Miał swoją ziemię. Czegóż więcej mógłby potrzebować? To było wszystko, czego dziadek nauczył go pragnąć.

- Odpocznij ze mną. Zostań ze mną - kusił duch. Jakże słodki był ten głos. To nie był głos matki, siostry czy przyjaciółki, lecz żony, której nigdy nie mógłby mieć, bo był ubogi. "Żona" byłaby kobietą z rodziny równej jego własnej, wymarzoną strażniczką domowego ogniska. Ten głos obiecywał mu nie tylko chleb, ale również spełnienie pragnień.

Chciało mu się pić.

- Oto woda, oto żywność. To wszystko może być twoje. A później...

- Czemu nie mogę cię zobaczyć? Dlaczego nie możemy wziąć się za ręce? - zapytał.

Nagle spłonął pragnieniem czegoś więcej niż tylko wody. Szybko sięgnął za siebie, by pochwycić szczupłe nadgarstki czegoś, co przypominało teraz bardziej kobietę niż ducha.

Wymknęła się ze śmiechem, owiewając go pachnącym powiewem. Świat zniknął. Nazwy... Syria... Armenia... Krassus... zacierały się w jego pamięci. Kolejne

imię... Rufus? Pomyślał, że powinien je zapamiętać. Głos, chrapliwy od wdychanego kurzu i zbyt długiego marszu, rozległ się w jego głowie i umilkł. Nie, nie ma sensu pamiętać Rufusa, który wkrótce znajdzie własne ukojenie.

- Najpierw się odśwież. Proszę cię o taką drobnostkę... Dla Quintusa nie było to drobnostką. Jak dawno po raz ostatni udało mu się zaspokoić pragnienie! Nachylił się nad wodą, zaczerpnął, uniósł do warg...

...i kichnął od połączonego zapachu pyłku nieśmiertelnych asfodeli i wody. "Genius loci" zaśmiał się, ubawiony.

Trybun obmył dłonie i wytarł je w tunikę. Potem ponownie zanurzył je w rzece i wyciągnął ociekającą wodą, pachnącą bardziej upojnie od nie rozcieńczonego Falerno. Wzniósł toast za kobietę, której nie mógł zobaczyć.

- Nie! Nie pij!

Woda wyciekła ze złączonych dłoni, tworząc tęczę nad asfodelami. Ich zapach stał się bardziej intensywny, a Quintus poczuł burczenie w brzuchu z głodu.

- To jest prawdziwe. To jest żywe - rzekł inny głos. Również należał do kobiety, lecz był głębszy i wyraźniejszy niż tamten, który - jak sądził Quintus - należał do "genius loci".

- Możesz doznać zaspokojenia tylko w promieniach słońca. Reszta jest iluzją.

Usłyszał krzyk nad głową i uniósł ją, by zobaczyć błysk brązowych skrzydeł. Skrzydeł orła. Olbrzymi ptak rozpostarł je i wykrzyczał wezwanie. Skały odpowiedziały echem. Niczym rogi, nawołujące do bitwy lub przebudzenia. Rzeka. Imiona i żywe twarze, oszpecone bliznami i mokre od potu. Martwe, wykrzywione, zakrwawione.

Kształtna dłoń podniosła wodę do jego ust. Mógł ją teraz zobaczyć, sięgnąć po nią i pochwycić.

- Głupcze - odezwał się drugi głos - skoro pamiętasz imiona, to jaka jest nazwa tej rzeki?

- No, jak to... Leta, oczywiście - mruknął. Woda rozlała się. Pamięć wróciła.

Leta - Rzeka Zapomnienia.

- Nie, musisz mi zaufać! Zostań ze mną, kochaj mnie, zapomnij o wszystkim.

- Zostaw go!

Pachnące powietrze zafalowało wokół, jakby stojąca nad nim kobieta została brutalnie odepchnięta. Nawet jej dłoń - jedyne, co Quintusowi udało się dojrzeć - zniknęła.

Przed trybunem zmaterializowała się zawołowana postać. Podobnie jak poprzednia zjawą, roztaczała wokół siebie zapach, lecz raczej drzewa sandałowego, cynamonu i kardamonu, niż kwiatów, które pamiętał z dzieciństwa. Zapach jej perfum był dziwny, trochę drażniący, ale jednocześnie tajemniczo odświeżający. Twarz miała ukrytą za szafranowym welonem rzymskiej narzeczonej, lecz materiał był tak cienki, tak delikatny, że mógł wyraźnie zobaczyć jej oczy. Były podłużne i ciemne, w kształcie migdałów, podkreślone antymonowym proszkiem. Na twarzy Sureny wyglądało to przerażająco. U niej - intrygowało. Szkarłatny klejnot błyszczał na jej czole, a długie, złote kolczyki kołysały się kusząco.

Spojrzał na nią. Powoli odsłoniła twarz. Włosy spływały do ramion tak proste, jak żołnierz w szyku, gotowy do walki. Quintus uświadomił sobie, że ona także walczy - o niego - z istotą, która miała przywrócić mu jego chłopięce marzenia.

- Dlaczego kazałaś jej odejść? - zapytał. - Mojej wieloletniej przyjaciółce, towarzysze... "I komuś więcej, gdyby Fortuna pobłogosławiła." - Ona była towarzyszką twojego dzieciństwa? Ona, która oszukałaby cię, podając napój zapomnienia i trzymała w niewoli, mimo iż nie nadszedł jeszcze twój czas i nie skończyłeś przeznaczonego ci dzieła? O n a - twoim przyjacielem? Równie dobrze można by pójść do węzowych magów... - kobieta rozejrzała się, jakby nawet tutaj obawiała się niebezpieczeństwa - ...i poprosić ich o łaskę.

Quintus wstał. Był znacznie wyższy od kobiety, na którą patrzył. Wyższy i tak bardzo inny: mocna budowa ciała wobec jej wdzięku; jego uparte usta przeciwko jej - och, na Wenus...! Początkowo myślał, że pochodzi z Ch'in, jak oficer, który tak arogancko zażądał Orła, mokrego wciąż od krwi chorążego. Teraz zmienił zdanie. Podejrzewał, że jest kobietą z Hind, dalekiej krainy rozciągającej się na południowy wschód od rejonów znanych rzymskim Legionom.

- Kim jesteś? - spytał. Był pewien, że popadł w obłąd. Tutaj, w Erebusie, musi stanąć przed sędziami: Minosem, Ajakosem i Radamantyse, a nie przed kobietą o bursztynowej skórze i postaci bogini.

Może już wypił wodę zapomnienia? Może uda mu się znaleźć ukojenie z tą właśnie kobietą? Zrobił krok naprzód, a ona uniosła dłoń.

Otoczyły ją płomienie, które wytrysnęły spomiędzy asfodeli. Płonąc wydzielają sandałowy zapach. Pod welonem miała bursztynowoszkarłatną siateczkę. Klejnoty lśniły na jej szyi, palcach, nadgarstkach, nawet na bosych stopach.

- Czy dostałeś od niej jakiś prezent? Czy to ona powiodła cię do figurki, która

uratowała ci życie, gdy tak wielu zginęło?

Ręce Quintusa wydobyły spod ubrania malutkiego tancerza z brązu.

Roześmiała się zachwycona; ognie zniknęły.

- To ty ofiarowałaś mi ten szczęśliwy talizman? - zapytał.

Wyciągnęła smukłe palce o purpurowych paznokciach, by dotknąć figurki.

Ognie wystrzeliły z wiecznej pochodni tancerza.

- To nie ja wzywam szczęście Kriszny - szepnęła - lecz przeznaczenie. Kriszna - zamyśliła się. - Jeszcze raz powróciłeś, by poprowadzić nas tak, jak prowadziłeś jego.

Oddała mu tancerza. Ku jego zdumieniu, ogniki nie zgasty natychmiast.

Usłyszał dźwięk fletu, zmieszany z delikatnym bębnieniem. Ta muzyka przyciągała go równie mocno, jak bębny i dzwonki Partów budziły w nim lęk i odrazę.

Wydobywała go z pułapki Lety i asfodeli, tak bardzo przypominających utracony dom, przywracała mu świadomość. Pojawiły się nowe głosy, nowe dźwięki - szelest piasku, odległe grzechotanie i tupot spętanych zwierząt. Nie widział już tak wyraźnie, obrazy zamazywały się i oddalały.

- Czy jesteś nim - duchem, którego kiedyś znałem? - zapytał.

- Wszyscy jesteśmy odbiciami - szepnęła. - Niektórzy z nas są prawdziwi, inni to iluzja.

Łzy - wstydlive łzy niegodne Rzymianina - przerażały.

- Powiedziała, że wróci po mnie. Wróci, by zabrać mnie do domu.

Potrząsnęła głową. Ciemne włosy opadły gładko na jej bursztynowe ramiona.

- Nie ma dla ciebie powrotu. Kriszna powiedział ci to na polu bitwy, pamiętasz? Opowiedziałeś mi o tym: walczyłeś z synami człowieka, który stał za tobą i zatrzymałeś się, niezdolny do ataku. Wówczas Kriszna przemówił do ciebie tak wyraźnie jak mówi tylko do tych, których najmocniej kocha: "Jest tylko bitwa, tylko jedna droga: naprzód".

- Powiedział mi? Kim jesteś?

Podłużne oczy kobiety zaszyły łzami, a jej ozdobione biżuterią ręce opadły.

- Nie pamiętasz Draupadi? Ty - Quintus? Jesteś pięcioma w jednym i tych pięciu jest kimś, dla kogo włożyłam tę ślubną suknię. Przepowiedziano, że Draupadi będzie miała pięciu mężów. Każdy z nich będzie księciem albo królem. Dawno temu, daleko stąd, byłam nagrodą Arjuna. Twój brat-król utracił mnie; twój brat-bohater ochronił moje dobre imię. Wędrowaliśmy, walczyliśmy używając zakazanych broni.

Zwyciężyliśmy, lecz zginęliśmy. Teraz odrodziliśmy się. I raz jeszcze musimy się odnaleźć.

Doleciał ich krzyk orła. Leta i ziemia zafalowały, były przecież oszustwem. Ale Draupadi zadrzała również. Orzeł odleciał z pożegnalnym skwirem, wznosząc się swobodnie coraz wyżej nieba, do wolności. Quintus uniósł głowę, by śledzić go wzrokiem. Światło słoneczne przebiło się przez blask opromieniający Letę, odsłaniając iluzoryczność podziemnej krainy. Znowu poczuł pragnienie.

- Co muszę zrobić? - zapytał Quintus.

- To, co nieświadomie zrobiłeś już kiedyś. Musisz pójść za Orłem tam, gdzie woda płynie wśród piasków pustyni, gdzie otwierają się skalne szczeliny, a węże wyrastają z kamienia. Musisz odszukać mnie i mojego mentora. Będziesz kłaniał się bogom, którzy nie są twoimi bogami i posługiwał się orężem niepodobnym do niczego, co znałeś dotąd. Uważasz, że cierpiełeś? Podczas naszej ostatniej bitwy dowodziliśmy armiami. Teraz będziemy mieli tylko to, co uda się nam zdobyć. Najdroższy, potrzebujemy cię, lecz nie będę błagać. Kiedyś poprosiłam, żeby nie obnażano mnie na oczach dworu. Nie wysłuchano mych prośb i od tej pory nigdy o nic nie proszę. Jedyne co mogę ci dać to ból i cierpienie, jakich nigdy dotąd nie doświadczyłeś. Wybierz rozważnie. Jeśli wytrwasz tam, poza kręgami świata, może zwyciężymy.

Stała, wyzywając go, niczym sama Roma Dea.

- Możesz tutaj zostać, a ona będzie tobą władać. Będziesz myślał, że masz swoje gospodarstwo i że jesteś szczęśliwy. Może nawet będziesz mógł cieszyć się tym tak długo, jak długo przetrwa świat. Co wcale nie musi oznaczać - zbyt długo.

U jej stóp rozbłysły ognie. Z wolna spowijał ją dym. Wiedział, że gdy zakryje ją cała - wtedy odejdzie. Słodkie dźwięki fletów i bębenków zabrzmiały przenikliwie i jeszcze bardziej nęcąco. Draupadi opuściła welon na głowę i twarz.

- Musisz stawić czoło próbie i sądowi zarazem. - Podąż za mną i za Orłem, albo zostań tutaj tak długo, jak długo owo "tutaj" będzie istnieć.

Postąpiła naprzód i przywarła wargami do jego ust. Nawet przez szafranowy welon wyczuł ciepło i słodycz.

Dym spowił ją i przesłonił.

- Pani! Draupadi, nie odchodź! - krzyknął, wyciągając ręce. Gdy je cofnął, pachniały drzewem sandałowym, lecz były puste. Wydało mu się, że przez całe życie wyciągał ręce do czegoś, czego nigdy nie mógł dostać. Pogrzyżyło go to w nieznośnym

smutku. - Wróc - wyszeptał. Głos mu się załamał i łzy skropiły asfodele. Wilgoć parowała spod jego stóp. Był oślepiiony, czuł, że ognie, które zabrały mu Draupadi, teraz otoczyły jego.

Szept powrócił, zniekształcony iluzją. Raz jeszcze, z wysoka dobiegł go krzyk orła.

"Powrócić?" - to nie mogło być wyjściem dla Rzymianina. - Pójdę za tobą - szepnął żarliwie, z większym zapalem niż wówczas, kiedy przysięgał na znak Legionu.

- Dobrze osądzone! - rozległy się trzy głosy tak harmonijnie, jakby pochodziły z jednego gardła. - Wydałeś na siebie wyrok. Opuścisz Erebus i wrócisz do Górnego Świata. Niech tak się stanie.

Orzeł zakrzyknął. Quintus upadł na twarz, by nie ujrzeć przed śmiercią swych sędziów. Muzyka fletów i bębnow rozbrzmiewała ponownie, a on leżał w ciemności. Ziemia zatrzęsa się pod nim. Próbował uchwycić się skały, korzenia, czegokolwiek, lecz wszystko było złudzeniem.

Krzyknął dziko, gdy ziemia rozstała się, a metal zapłonął w przepaści wśród skał, na których spoczywała pustynia. Potem spadał, spadał pomiędzy nimi... Olśnił go cudowny widok czystej wody, tryskającej ze skały na kobietę o kruczoczarnych włosach. Obserwowały ją świecące w ciemności obce oczy. Obserwowały także jego. Gdy je minął, zauważył, że i one były obserwowane przez kolejne oczy - zimne i wrogie. Sam dotyk tego wzroku wywoływał nieznośny ból. Krzyknął, a wtedy szybkość upadku wydarła mu oddech i przytomność.

Rozdział piąty

Hełm spadł mu na oczy. Nic nie widział, leżał. Czuł krępujące go więzy. Lepiej umrzeć, niż być więźniem Partów! Walczył szaleńczo, choć w milczeniu. Nie był godnym przeciwnikiem dla człowieka, z którym walczył.

- Dis by cię wziął, człowieku, jak myślisz: co robie? - rozległ się szorstki głos.
- Pomóżcie mi go przytrzymać. Nie chcę go znowu stracić. Może się już więcej nie przebudzić. Panie, panie, przestań! Jesteś wśród przyjaciół.

Wielkie łapska zacisnęły się na jego ramionach, potrząsając nim tak silnie, że przeszła mu wszelka ochota do walki. Osunął się, sapiąc, na zrolowane płaszcze. Ręka, którą odjął od czoła, była mokra; szmata zsunęła się z twarzy.

Żołnierze, otaczający go kręgiem, wyglądali bardziej na rzezimieszków niż legionistów. Rufus, starszy centurion, był tym, który go obezwładnił. Wokół jego ust widniał ciemny siniak.

Quintus uniósł dłoń, jakby dostał dobrze wymierzony cios na treningu.

- A!... Teraz lepiej.

Rozbłysły uśmiechy. To go zaskoczyło. Wiele razy słyszał opinie o niektórych młodych oficerach - na przykład o Luciliusie - że są aroganckimi ignorantami, nie do zniesienia dla uczciwych żołnierzy. Słyszał o sobie, że ma tyle życia, co pośmiertna maska i nie zna się na żartach.

Mimo to, gdy się ocknął, zobaczył ulgę na twarzach swoich żołnierzy. Próbował ukryć wzruszenie.

Z tyłu za nim przykucnął Arsaces - Pers. Jego zęby i oczy połyskiwały w blasku niewielkiego ogniska. Quintus rozejrzał się wokół ukradkiem, wciągnął powietrze, przypominając sobie drzewo sandałowe i kadzidła Draupadi.

Ale poczuł typowe zapachy obozu wojowników Wschodu: gnoju, dymu, potu i zwierząt. Ogień raził go w oczy. Patrząc dalej Quintus ujrzał obok namiotów i posłań stado wielbłądów. Czyżby karawana?

Gdzie byli? Czuł się dziwnie, leżąc przy ognisku jak chłopiec, obozujący wśród wzgórz, nie jak wojownik we właściwie chronionym "castra".

Wszystko się zmieniło. Spojrzał w niebo, jakby szukając czegoś pewnego i trwałego. Tutaj, w głębi pustyni, niebo też wyglądało inaczej. Orion wciąż mógł

gdzieś polować na Niedźwiedzicę, lecz gwiazdy nie były tu przyjaznymi, mrugającymi płomykami znad doliny Tybru, przegładającymi się w wodzie pośród mgieł, ani nawet ostrymi świetlikami nieba nad suchymi krainami Syrii. Tutaj ogromne ognie płonęły wśród czystej czerni. Jego spojrzenie ześliznęło się na grzbiet wzgórza. Dmuchnął nocny wiatr i blade kłęby uniosły się ze szczytu, spływając z grani niczym pył ze zwojów olbrzymiego węża. Czy to było serce pustyni? Myślał, że Syria jest jałowa, ale takiego pustkowia jak to nie wyobrażał sobie nigdy przedtem. A obawiał się, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Lecz były inne pytania, które musiał zadać najpierw.

- Ludzie? - wyszeptał. - Nasz Orzeł?

Rufus powoli opuścił pięść na bandażu, które spowijały jego tors.

- Widzieliście prokonsula - starszy centurion nie zadał pytania, tylko stwierdził fakt.

Wszyscy skinęli głowami. Nie było więc sensu pytać o Orły i zmuszać Rufusa do wydobywania z ciszy zapomnienia wspomnienia hańby.

- W końcu zginął jak Rzymianin. Odzyskał swój honor, broniąc Orłów. To było, kiedy padłeś, starając się go ochronić. Niedużo nas pozostało. Zaczynaliśmy - w ilu? Około dwudziestu ośmiu tysięcy pieszych i czterech tysięcy kawalerii. Przetrwowało może dziesięć tysięcy. Większość z nich odesłano do Merv razem z Orłami.

Tak. Quintus pamiętał. Orły zmatowieją na ołtarzach bogów, czczonych przez Partów.

Uczynił jakiś bezładny gest. Nie widział dziesięciu tysięcy pojmanyh Rzymian, nie słyszał ich, nie czuł ich ran i chorób, nieuniknionych w przypadku tak wielkiej ciżby więźniów. Myślał, że pamięta... Opuścił dłoń na biodro. Nie ma pasa. Palce szukały po omacku broni, którą nauczono go trzymać zawsze w pogotowiu. Nie znalazł niczego.

Powinien był się tego spodziewać.

Widząc go, szukającego miecza, Rufus nie okazał żadnych emocji. To było gorsze od gniewu.

- Oczywiście, rozbroili nas. Nie, żeby się nas obawiali. Wystarczy po prostu zostawić buntowników, a pustynia zaoszczędzi nawet kłopotów z pogrzebem.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - wyszeptał Quintus, bojąc się odezwać głośno. Uniósł dłoń i zdumiał się na widok jej drżenia, i tego, że wciąż jest młoda.

- Wystarczająco długo.

To nie była odpowiedź.

- Czemu oni nie...?

Rufus spojrzał srogo.

- Straciliśmy aż nadto Rzymian. Przekonaliśmy tych...

Quintus patrzył na centuriona, dopóki ten nie spuścił oczu.

- Nieśliśmy cię sami. Sami o ciebie dbaliśmy.

- I oni wam pozwolili?

- Wypij to... nie, powoli, jeśli chcesz to zatrzymać. Nie rozlej.

Rozcieńczony ocet zapiekł w gardle, wywołując łzy w zaognionych od pustynnego upału oczach. Mimo to, smakowało lepiej niż tamta woda z Lety, której nie przyjął od podstępnej istoty, udającej jego "genius loci".

Poczuł się wystarczająco silny, by pytać dalej.

- Pozwolili wam? - powtórzył. - Żądam odpowiedzi, centurionie.

- Wyświadczono nam tę wielką łaskę - rzekł Rufus. - Ja... przekonałem ich.

Mocarna ręka Rufusa zacisnęła się na manierce, po czym rozluźniła.

Quintus rozejrzał się po kręgu Rzymian. Wzrok wbili w ziemię. "Musiał błagać." Kiepską podzięką byłoby dalsze drażnienie sprawy. Patrzył w niebo na wielkie gwiazdy, szukając innych pytań.

- Czy to jest głęboka pustynia? - musiał to wiedzieć.

- Ta odrobina piachu i skał? Nie bardzo. Ch'in powiedzieli mi, że będziemy wspinać się na góry, przy których Alpy są pagórkami - kulturalny głos Luciliusa przeszył go nagle, niczym palce chirurga, przeszukujące ranę. - Tam pustynia staje się naprawdę niebezpieczna. Jak w opowieściach o Trachonitis. Nie słyszałeś o tym nigdy od swoich nauczycieli?

Quintus prawie widział brwi młodego patrycjusza, tworzące pogardliwy łuk. Przemierzali teraz ramię w ramię krainę, gdzie różnice między patrycjuszem, ekwitą czy plebejuszem, lub nawet między oficerem i żołnierzem były znacznie mniejsze niż różnica między Rzymianinem i cudzoziemcem - albo między żywym i martwym. Tak więc, Lucilius mógłby pohamować swoje wrodzone poczucie wyższości.

"Może to wszystko, co mu jeszcze zostało?" - ten głos w uszach Quintusa. Czy była to kobieta, o której śnił, czy też może zmądrzał po tej koszmarnej wizji Hadesu? Nie? Gdzieś ty dorastał... No cóż - Trachonitis to kraina węży i bazylijszków. Mówią, że jest tak jałowa, że gdy padnie na nią cień ptaka - spadnie martwy. Tobie to zawdzięczamy, Quintusie. Gdybyśmy cię porzucili, zostalibyśmy w Merv. Na zawsze.

- Razem z... innymi? - Był zadowolony, że ciemności skrywają jego rumieniec, tak ciężko było o to zapytać. - Co stało się z...

Rufus zwiesił głowę.

- Niewolnicy. Wspomóżcie ich bogowie. Przynajmniej mają różne cenne umiejętności, może się wykupią...

- O ile ci barbarzyńcy przestrzegają przyzwoitych praw - przerwał Lucilius.

- Mają również Orły. Z wyjątkiem tego, który omal nie znalazł się w twoim mózgu. Ten jest osobistą własnością Ssu-ma Chao, który chce zabrać go do Ch'in dla swego cesarza. A nas razem z nim. Zdecydował, że jesteśmy dla niego pomyslną wróżbą, czy coś w tym rodzaju. Dziwni ludzie z tych żółtych barbarzyńców, skoro uważają pokonanie Rzymian za dobry omen. Ale to jest nasza szansa na uniknięcie jarzma.

- Ukończymy zatem peregrynację Aleksandra. Z Nisibis obok Mery, dalej do Marakandy i między wzgórz. Potem w głąb prawdziwej pustyni, która usmażyłaby każdego Macedończyka. Dis niech mnie porwie, jak oni wymawiają te nazwę?

- "Takla Makan Shamo" - odezwał się Arsaces. W jego głosie zabrakło szyderstwa, tego nie chcianego bliźniaka Luciliusowej pogardy. To przeraziło Quintusa bardziej niż ostrzeżenia. - Oznaczało: "Jeśli tu wejdiesz, nie wyjdiesz". Kiedy byłem młody, przeciąłem sam jej kraniec, jako ochrona karawany. Jest straszliwa, pełna wyblakłych kości ludzi, zwierząt. I ruin miast. Nazywają ją Królestwem Ognia, lecz nie jest to ogień ofiarny. Nie mógłbym przysiąc, ani nie wypiłbym za to haomy, ale - rozejrzał się, jakby wypatrując podsłuchujących - są tacy, którzy twierdzą, że ta pustynia jest pełna demonów.

Czy szpicle, za którymi rozglądał się Arsaces, są istotami cielesnymi? Pers wykonał gest odpędzania sił nieczystych, który Quintusowi zdarzało się już widywać, lecz nigdy u sceptycznych jeźdźców perskich.

- Pustynia jest wystarczająco groźna bez ciebie i twoich demonów - warknął Rufus. Jego dłoń powędrowała do szyi, na której nie miał jednak amuletu.

Lekceważąc opowieści Arsacesa o upiorach i wyblakłych kościach, Quintus przypatrywał się pustyni. Sądząc po ilości wierzchowców, karawana, z którą jechali, była mała i szybka. Podróżując szybciej od niedobitków Legionów Krassusa, pokonywała o wiele dłuższą trasę.

Nigdy już nie ujrzy swojego gospodarstwa.

Nie oczekiwał tego. Z drugiej strony, nie wierzył, że przeżyje. Quintus sięgnął

wzrokiem poza obozowe ogniska i stado klęczących wielbłądów. Chłodny nocny wiatr wzbijał z wydm tumany piachu. W świetle ognia piasek miał kolor szafranu - barwa welonu kobiety lub ducha.

Wysoko nad głową rozbłysła gwiazda, spadająca w poprzek nieboskłonu ku wschodniemu horyzontowi. Quintus mógłby znowu być chłopcem, wędrującym wśród wzgórz z ojcem lub dziadkiem. Uśmiechnął się mimo woli. Zabolały go szczęki, nieprzyzwyczajone do takiego wysiłku. Spadła na prawo: sprzyjający omen, bogom niech będą dzięki.

Spojrzał przez ogień na ludzi, którzy wciąż trwali u jego boku. Rufus, Arsaces, nawet Lucilius, a za nimi reszta pozostałych przy życiu legionistów. Wielu owinęło sobie głowy zawojami - sztuczka zapożyczona od Azjatów. Ich oczy i zęby - prawie wszystko, co mógł dojrzeć pomiędzy zwojami grubej tkaniny - błyszczały czerwono w świetle ogniska. Teraz zrozumiał: jeżeli chcieli przeżyć, musieli przyjąć pustynne obyczaje, aż wreszcie przestaną wyglądać jak Rzymianie. Stopniowo przestaną być Rzymianami. Kim więc wtedy będą?

Poddanymi? Ludźmi bez miasta i imienia. Nie można pozbawić Rzymian imion: można ich tylko zabić. Jego ojciec poległ za tę prawdę.

Lepiej o tym nie rozmyślać. Był żywy. To byli jego ludzie. Potrzebowali się nawzajem.

Wiatr zawirował, zsuwając się z wydm, które wziął za wzgórza. Tak więc, nigdy już nie zobaczy swego gospodarstwa, nigdy go nie wykupi, nigdy nie oczyści jego ołtarzy. Lecz co zobaczy? Nagła ekscytacja przeniknęła jego świadomość niczym spadająca kilka chwil temu gwiazda. Wyglądała jak orzeł, powracający w chwale do swego podniebnego gniazda.

"Tylko sobie wyobraź: ujrzysz Marakandę - pomyślał. - Kto by przypuścił, że twoje ścieżki skrzyżują się ze szlakami Aleksandra?" Na chwilę ogarnęła go radość. Stłumił ją. Nie warto poddawać się nastrojowi niecierpliwego wyczekiwania w obliczu hańby i klęski.

- Bez wątpienia - powiedział Lucilius - my także jesteśmy niewolnikami. Nie takimi, których pokazuje się na ucztach. Prędzej gladiatorami - dokończył, jakby nienawidził Quintusa za ten przelotny uśmiech, a pozostałych za to, że jeszcze żyją.

Wstał i odszedł od ogniska.

Gladiatorzy. Krassus, który tak krwawo stłumił rewoltę gladiatorów, przegrał niesławnie z barbarzyńcami; Lucilius nigdy o tym nie zapomni. Nic dziwnego, że nie

wyglądał na równie przybitego utratą broni, jak pozostali.

- Na cóż mu "gladius", skoro ma taki ostry język? - spytał Rufus. Wyglądało, jakby zamierzał splunąć, lecz się powstrzymał.

Wśród mroku zamajaczył ciemniejszy kształt. Ujrzeni, jak jaśnieje światło ogniska, od którego oderwał się ten człowiek. Wygląd hełmu, pikowana zbroja i włócznia były obce dla ich oczu. Quintus wywnioskował z tego, że jest to jeden z wojowników Ch'in, pilnujący pojmanyh Rzymian. Lucilius wskazał na ledwie tłący się ogień, a potem na duże ognisko w centrum obozu. Tamten skinął głową.

- Bez wątpienia już się dogadał z Ch'in - mruknął Quintus do centuriona. Rufus przytaknął nie zwracając sobie głowy udawanym zdumieniem, co uczyniłby, gdyby wciąż byli armią, gdzie różnica między oficerem-patrycjuszem a pozostałymi dyktuje zakres władzy.

- Przynajmniej zapewnił nam częściową wolność obozowania, panie. Ch'in zakładają, że jeśli pilnują wody, pustynia upilnuje nas.

Quintus zaśmiał się cicho.

- Nie będę się z nimi o to spierał. Oni znają tę okolicę.

- A ja myślę, że są ciekawi, co zrobimy. Trybun mówi, że mają o nas najprzeróżniejsze wyobrażenia. Kupcy? - wzruszył ramionami. - Niektórzy z nich to kobiety.

Quintus stęzał.

- Więc o to chodziło Luciliusowi. Nie udało mu się, ale należało się tego po nim spodziewać.

Ich oczy spotkały się. Każdy Legion ma kogoś takiego. Człowieka, będącego skończonym pieczeniarem. Albo takiego, który potrafi wyłgać się z każdej kary. Lub pomóc kolegom obejść centuriona, czy trybuna. Może to było przyczyną jego prób zbliżenia się do kobietkupców. Dziwny pomysł. Raczej było mało prawdopodobne, że okażą się bardziej wielkoduszne od mężczyzn.

Zazwyczaj legionowy spryciarz nie był trybunem. Wyłudzał przeważnie drewno, skórzane rzemienie, wino lub jedzenie. W odróżnieniu od klienta nie szukał jednak politycznych przysług.

Wszyscy Rzymianie, którzy przeżyli, wychowali się w cieniu terroru Mariusa i Sulli. Lucilius wdychał politykę razem z mgłami Tybru. Jeśli Fortuna pozwoli, będzie bronił ich interesów tak jak własnych. Jeśli nie... Quintusa przeszedł dreszcz. Zstałe mięśnie zaprotestowały. Jeśli nie, to co jeszcze gorszego może się im przydarzyć?

Poderwał ich hałas. Rozdźwięczały się dzwonki zbliżającej się karawany. Wielbłądy zaryczały, gdy rozładowane na noc przypomniały sobie własną niedolę. Rozległy się głosy, krzyczące w co najmniej trzech językach.

- Nadjeżdżają z Nisibis - rzekł Arsaces. - Najlepiej podróżuje się z przyjaciółmi.

Uniósł głowę.

- Ostro popędzają swoje zwierzęta. Zbyt ostro. Niemądrze...

- Z przyjaciółmi? - Rufus odwrócił się w jego stronę.

- W porównaniu z pustynią wszyscy uczciwi ludzie urwał z celową ironią - są przyjaciółmi. Oczywiście, zdarzają się również bandyci. Dlatego też uczciwe... karawany łączą się, podróżując na wschód.

Quintus doskonale to rozumiał. Ch'in, ze swoimi dobrze uzbrojonymi żołnierzami, stanowili dużą szansę przetrwania wszystkiego - prócz ataku, a żadna duża armia nie przejdzie tędy bezpiecznie.

- Kto przybywa? - zapytał.

- Chyba jacyś kupcy - mruknął Rufus. - Uzbrojeni. Widziałem włócznie, strażę.

- Nisibis jest jednym z węzłowych punktów drogi na wschód - głos Arsacesa przybrał śpiewny ton. - Z Nisibis do Buchary, z Buchary do Marakandy, do Fergany pełnokrwistych rumaków... między wzgórz i w dół, ku Kaszgarowi, zanim ruszymy w poprzek Kowadła Ognia... Gdyby to była kupiecka karawana, poczekalibyśmy... ach, długo, długo, szlachetni panowie, dopóki nie przyłączyliby się wszyscy, którzy chcą przebyć pustynię. Dopiero wtedy moglibyśmy wyruszyć. Długo trzeba by czekać na następną karawanę... zwłaszcza w środku lata.

Od głównego ogniska dobiegły ich odgłosy śmiechu i wrzawy. Krzyki przypomniały Quintusowi walkę w namiocie Sureny. Ponownie sięgnął po miecz, którego przecież nie miał. Żadnej broni, z wyjątkiem obiecanego przez Draupadi cudownego oręża, który być może kiedyś znajdzie na pustyni.

Do licha! Czy była tylko gorączkowym majakiem?

Chrzęst żwiru, który zastąpił piasek w tej zapomnianej przez bogów dziczy, poderwał go na równe nogi.

- Stać!... W porządku, to tylko trybun.

Lucilius wkroczył w krąg światła. W migoczącym blasku ognia jego twarz była czerwona, a oddech przyspieszony.

Wszyscy Rzymianie, spoczywający wokół ogniska, zerwali się z miejsc. Arsaces spojrział na zwierzęta i strażę, po czym zamienił się w słuch.

- Widzieliście karawanę - powiedział Lucilius. - Zauważyliście zapewne jak szybko nadjechała. No cóż, wiem dlaczego.

Quintus zauważył już dawno temu, że gdy patrycjusz coś "wie", zachowuje tę wiedzę dla siebie, chyba że podzielenie się informacją da mu większą korzyść.

"Czego chce tym razem?"

- Przybyła prosto z Artaxaty - kontynuował trybun - z dworu Artavasdosa w Armenii.

Arsaces gwizdnął.

- Ile zwierząt zabili po drodze? Jakie wieści z wesela?

Rzymianie spojrzeli zdziwieni na drobnego, ciemnoskórego sojusznika - ten zaśmiał się cicho:

- O tak, na pewno było wesele. Gdy tylko Artavasdos i... największy z prokonsulów rozstali się, my, którzy się tu urodziliśmy, wiedzieliśmy, iż powstanie nowy sojusz.

- Dopóki Rzym był silny, Artavasdos...

Quintus uniósł dłoń, przerywając Luciliusowi, w którego głosie pobrzmiwała już ślepa wściekłość. "Gravitas" było jedną z cnót, o których Lucilius zapominał zbyt często. Jeśli teraz przestanie nad sobą panować, to jak można oczekiwać, że ludzie, którymi on - lub ktoś inny - musi dowodzić, będą posłuszni? Rzymscy weterani zamienią się w hałastrę niewolników i zginą pośród piasków pustyni, a ich imiona, dusze i ciała roztopią się na zawsze w niebycie.

- Słyszałeś trybuna - warknął Rufus.

Quintus zerknął na Luciliusa. Napięty niby cięciwa łuku, która za chwilę pęknie, nie był on zdolny, by podjąć teraz swoją rolę dowódcy. "Bardzo dobrze - pomyślał Quintus - ludzie będą potrzebowali czasu, by zacząć myśleć o mnie jako o swoim wodzu."

Pomysł był arogancki, nierealny, może nawet rewolucyjny, lecz kto mógł to teraz stwierdzić? Krassus, przybijający zdrajców do krzyży, był martwy, a Quintus omal nie poległ w jego obronie. Nie chciał dowodzić, tak jak nie chciał zaciągnąć się do Legionów czy opuścić gospodarstwo lub stracić ojca. Każdą decyzją, którą podejmował, miała na celu przeżycie. Bardzo proste: przedkładał swoje sądy nad sądy Luciliusa, a opiniom Rufusa wierzył bardziej niż własnym. Skoro Rufus zdecydował

się pójść za nim - ten wyjątkowy przypadek, gdy silny służy słabemu - musi założyć, że przebiegły starzec pomoże mu doprowadzić sprawę do pomyślnego końca.

- Armenia może wybierać sobie sojuszników. Król Królów - gdyż takie tytuły noszą armeńscy władcy - wybrał Rzym. W głosie Arsacesa, przytłumionym teraz przez zawój, brzmiała cała pogarda Persów dla króla-samozwańca. - Gdy tylko najjaśniejszy prokonsul postanowił podróżować bezpośrednio przez Syrię, miast bezpieczniejszą trasą, Artavasdos zdał sobie sprawę ze złego wyboru.

Quintus przypomniał sobie, że Lucilius przyczynił się do podjęcia tej decyzji. Gdy on sam wyraził wątpliwości, zakrzyczano go. Przypomniał tamto zdarzenie i został nagrodzony pomrukiem aprobaty ze strony zgromadzonych wokół ognia Rzymian.

- Pozwolicie mi mówić? - spytał Arsaces. - Król Królów, Artavasdos, ma siostrę. A król Partów, Orodes - syna Pacorusa. Książę Pacorus nie jest zbyt wiarygodnym człowiekiem, lecz przysięgłbym na Światło, że Orodes wolałby właśnie jego na swego dziedzica niż na przykład Surenę. Zgodzicie się z tym?

- Powinniśmy wiedzieć, że razem z następcą tronu wywołają jakiś skandal - powiedział Rufus. Wstał, wyciągając rękę do Quintusa.

Ten spojrział na Arsacesa, potem na Luciliusa. - Czy to wszystko? - zapytał.

Ku jego zaskoczeniu, Lucilius zwiesił głowę. Wstyd jemu? - Dalej - rzekł. - Niech usłyszą. Sam bym powiedział, ale język przysycha mi do podniebienia.

Quintus napiął mięśnie i chwycił rękę centuriona. Stanąwszy na nogi stwierdził, że może chodzić, choć bardzo wolno.

- Piękna jest Artaxata, ze swymi wałami obronnymi górującymi nad Araxes, płynącą chyżo nawet latem. A Artavasdos jest człowiekiem pewnej kultury, choć nie jest Persem - ciągnął Arsaces.

Rufus parsknął.

- Oszczędź nam swych górnołotnych zachwyków, jeźdźcze. Jesteś prostym żołnierzem, jak inni...

- Artavasdos zna grekę - odezwał się Lucilius. - Wystarczająco dobrze, by napisać odę. Śpiewano ją na weselu.

- Jeśli chcesz, możesz ją dla nas przetłumaczyć - rzekł Quintus. Wyrafinowany chwyt - zamienić patrycjusza i oficera w zwykłego tłumacza. Nie jest źle z jego głową, nawet po tym ciosie Orłem... (Lepiej o tym nie myśleć. Lepiej nie myśleć o Orłach - zdobytych i odesłanych, być może razem z bronią, której ich pozbawiono.)

Ukoił jednak zranioną dumę Luciliusa:

- Twoja greka zawsze była lepsza od mojej.

Prawie nie znał tego języka, lecz nie pragnął tego ujawniać.

Szli w stronę centrum obozu. Oczy Quintusa stały się bardziej wrażliwe; okazało się, że całkiem nieźle widzi w ciemnościach. Ktoś zaszurał nogami.

- Obawiacie się węży i dlatego chodzicie tak niezgrabnie? Wy - którzy jesteście dumni z tego, iż zawsze jesteście w marszu? - zganił ich Arsaces. -

Gdybyście włożyli właściwe...

Syknięcie uciszyło go, choć wydał je człowiek, a nie wąż.

W miarę rozjaśniania się ognia krzyki stawały się coraz głośniejsze. Quintus stąpał ostrożnie. Opowieści Luciliusa o Trachonitis przypomniały mu, że zabłądził w rejony odległe i obce, ziemie, które widzieli tylko Ksenofont czy Aleksander. Możesz tu umrzeć, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczysz, będzie stwór prosto z legend, wynurzający się z piasku lub pikujący z nieba, by cię zabić.

To, co pojawiło się, blokując im drogę, nie było jednak pustynnym potworem, lecz długimi, śmiercionośnymi włóczniami w rękach dwóch bardzo zdeterminowanych wojowników Ch'in.

Jeden z nich krzyknął. Chwila, jaką zabrało im zrozumienie mocno okaleczonego partyjskiego,omalże nie stała się ich chwilą ostatnią.

Włócznia strażnika Ch'in dotknęła gardła Quintusa.

Rozdział szósty

Lucillus przeszedł tędy prawie bez kontroli - przemknęło Quintusowi przez głowę. Czyżby zdrada?

Opanował go strach.

Czyżby znowu zdrada?

Za sobą słyszał skrzypienie butów Rzymian i ich przyspieszone oddechy. Ostrożnie otworzył usta. Ostrze włóczni naciskało mocniej. Pomimo chłodu pustynnego wiatru, ciepły strumyczek spłynął mu po szyi.

Stojący obok niego Arsaces zaczął protestować i koniec włóczni ugodził go zniecacka. Upadł i leżał skulony, wykazując większą ostrożność, niż Quintus by od niego oczekiwał.

Zgiełk obozu pozostał gdzieś daleko. Nawet wieści Luciliusa straciły teraz na znaczeniu, w porównaniu z najdrobniejszym odgłosem, który strażnik Ch'in mógłby wydać, zmieniając pozycję, lekkim drgnieniem mięśni czy spojrzeniem, zwiastującym śmierć. Wiatr poderwał gruboziarnisty piach i cisnął go z sykiem serpentyną o ziemię. Quintus wzdrygnął się. Wystarczyłby jeden wąż, pełzający, prześlizgujący się wokół ich stóp - nie miał złudzeń, że udałoby mu się pozostać w bezruchu, nie oczekiwał też tego od innych.

Syczenie narastało. Zamknął oczy. Pomyślał, że węże są równie często święte, co przeklinane. Wąż poświęcony był świątyni w Delfach. Rolnicy potrzebowali ich, by ziemia dobrze rodziła. Węże zabijały szczury. Mimo wszystko, zimny pot spływał mu po plecach. Jeśli to są węże, za chwilę wszyscy będą martwi. Słyszał jak oddechy jego ludzi stają się coraz szybsze, coraz bardziej chrapliwe.

Może właśnie w tej chwili pełzną pod ich stopami. Spojrzał strażnikowi Ch'in w oczy. On też czuł strach, lecz ręce na włóczni ani drgnęły. Był zbyt niebezpieczny, by się bać.

Quintus próbował opanować oddech, mimo że lęk przed gadami omal go nie zadławił. Ktoś musi ich przepuścić. Powinien spróbować.

Następny podmuch. Piasek szeleścił i syczał wokół nich, unosząc się wraz z wiatrem, który przybierał na sile. Dotarł do kolan, unosząc się coraz wyżej... Oddychanie stawało się coraz trudniejsze. Chmura zakryła księżyc, jak płaszcz

zakrywa twarz.

Głośny krzyk zmusił strażnika Ch'in do podniesienia głowy. Na kolejny okrzyk opuścił włócznię. Zbliżał się jakiś ciężkozbrojny z własną strażą. Ze wściekłym zniecierpliwieniem odtrącił drzewce. Wiatr ucichł. Księżyc wynurzył się zza chmur, przybierając czerwony kolor.

Arsaces osunął się na kolana i zaczął bić pokłony, jakby oficer Ch'in był samym Królem Królów.

Quintus przyjrzał mu się: widział go po prawicy Sureny. Wróg. Zdobywca. Człowiek, który zabrał im broń i Orła. Który wpędził ich w straszną pułapkę - Azję - z której nigdy się nie wydostaną.

- Mówi, że ten... żółt... popełnił błąd - przetłumaczył Arsaces. Jego głos nabrał znów cynicznego tonu. Oficer Fartów był lepszy od żołdaka.

- Podziękuj mu za wyprowadzenie go z błędu, dobrze? - powiedział Quintus.

- Daję za to głowę - odparł Pers i przemówił szybko.

Oficer wybuchnął śmiechem.

Żołnierz padł na kolana i zaczął czołgać się w kurzu. Podniósł głowę i spojrzał w górę. Quintus zauważył przerażenie w jego oczach.

- Mówi, że naprawdę nie wie, co się stało; że po prostu zobaczył wrogów.

Oficer kopnął go i zaklął.

- Rozkazy mówią, że więźniowie z Ta'Chin nie mogą zostać skrzywdzeni.

Przypomina temu tu... Pyta jeszcze, dlaczego się nie kłaniasz.

Rufus prychnął:

- Jak ten płaszczący się głupiec?

- Powiedz mu, że jesteśmy Rzymianami - rozkazał Quintus. - Nie leży to w naszym zwyczaju.

Przypomniał sobie, jak konieczność kłaniania się patronowi omal nie zabiła jego dziadka. Mógł tylko przypuszczać, co staruszek pomyślałby o prostackich Azjatach. Quintus przysiągł sobie nigdy się nie ukorzyć, choćby miało go to kosztować życie.

Czym było życie w porównaniu z honorem? Od czasu Carrhae było jak pożyczone pieniądze - nie wiedział, kiedy ktoś zażąda zwrotu i na jaki procent.

Może Lucilius chciałby żyć w ten sposób (tak właśnie dotąd postępował, i dlatego jest tutaj, na pustyni). Quintus miał nadzieję, że wykaże się większą odwagą. Wiatr zasyczał drwiąco.

- Mówi, że nazywa się Ssu-ma Chao - przetłumaczył Arsaces. I dorzucił:
- To szlachetne imię.
- Tak, jak Lucilius - powiedział drwiąco Quintus.
- Przekaż mu, że nie jest w naszej naturze upokarzać się przed zwykłym człowiekiem.

Oficer roześmiał się i przemówił gwałtownie:

- Macie sztywne karki wy, Rzymianie, tak długo, jak długo spoczywają na nich wasze głowy. Nie widzieliśmy wcześniej takiej odwagi. Inną, lecz nie taką. Dlatego też zmierzacie razem ze mną na Wschód. Wy - i Orzeł.

Bardzo łatwo byłoby rzucić się teraz na niego i umrzeć. Zbyt łatwo. Gdzieś w tym obozie były ukryte rzymska broń i rzymski znak. Muszą spróbować je odnaleźć; wtedy pokażą tym ludziom, jak twarde są Rzymianie.

Gniew i zamiary Quintusa musiały odbić się na jego twarzy, gdyż Ssu-ma Chao spojrzał mu w oczy. Potem przyglądał się po kolei każdemu Rzymianinowi, zatrzymując wzrok przy Luciliusie. "Czy Lucilius zdążył już zdradzić?" - zastanawiał się. Bez wątplenia, okaże się to w najgorszym momencie.

Ssu-ma Chao, ciągle roześmiany, pozwolił im przejść i oddalić się ku płonącym pochodniom.

Oglądanie się za siebie było poniżej godności Quintusa - jako oficera i Rzymianina. Mógł jednak nasłuchiwać i nie omieszkał tego robić. Ciężkie, podkute buty szlachcica Ch'in skrzypiały za jego plecami. Wiał wiatr. Quintus wsłuchał się, ale nie wychwycił syczenia i szelestów, które dobiegały go wcześniej. To go jednak nie uspokoiło. Podejrzewał, że do końca swych dni będzie wyczekiwał odgłosów bębnów i mosiężnych dzwonków - dźwięków, oznaczających śmierć. Od chwili, gdy jeźdźcy Sureny przełamali czworobok Rzymian pod Carrhae.

Obecność centuriona tuż u jego boku dodawała Quintusowi pewności siebie. Teraz nawet Lucilius okazał się pożyteczny. Znał każdego człowieka w karawanie i potrafił ich odróżnić od nowo przybyłych. Prowadził ich więc niedostrzegalnie w stronę ludzi, którzy przybyli nocą z dworu królewskiego w Armenii.

Po nadejściu karawany doszło do przemieszania wojsk. Nawet Quintus mógł teraz odróżnić ciemne brwi i dumnie zagięte nosy Armeńczyków od gładkości Persów czy żywości Hellenów. Innych nie potrafił zidentyfikować - nie pochodzili z Ch'in, nie byli Saka ani nawet Hsiung-nu - przeklinani daleko na wschodzie łupieżcy. W

dotatku wyglądali znajomo... Dlaczego?

- Możemy stąd odejść - mruknął Lucilius. - Wypytywanie ich o cokolwiek jest jak wyjmowanie niejadalnych ostryg z muszli.

Czyż byli więc kupcami, przyjmującymi kobiety do swego grona? Ich wyrafinowany wygląd mógł być dla patrycjusza bardzo pociągający: zmuszał do myślenia o... no cóż, o patronach dziadka.

Czego mógłby chcieć od kobiety? Zanim przepadły jego rodzinne grunta, marzył o wiejskiej dziewczynie, o dziewczynie, której grube warkocze skrywałyby szafranowy welon. Szafran... pamiętał go ze swych snów.

Ciemne włosy, spływające jak jedwab na szczupłe ramiona, głęboko osadzone kocie oczy, obserwujące go bacznie. "Draupadi."

"Omen kobietą? Taki znak powinien być dla kobiety" - nieledwie słyszał słowa dziadka. Prawdopodobnie dodałby jeszcze, że dla kobiety nie związanej z ich rodziną.

Musi być inna przyczyna, racjonalne wyjaśnienie, dlaczego ci handlarze wydają się skądś znajomi. Gdzieś już musiał widzieć twarze podobne do twarzy kobiety, o której śnił... "Niemożliwe. Kto by pozwolił takiej piękności podróżować tymi drogami?" - Może w karawanach, w których podróżowali mieszkańcy Hind?

Draupadi... pamiętał ją, tak jak pamiętał "genius loci" swojego gospodarstwa. Gibkość członków, powłóczyście spojrzenie, gładkość włosów i ciemna skóra przywoływały jej obraz. Lecz oczy Draupadi - przynajmniej we śnie emanowały ciepłem. Przybysze mieli naciągnięte kaptury na głowy, a wyraz ich ciemnych oczu sugerował, że nie obawiają się otaczających ich ludzi. Usta Draupadi były wydatne, ich zaciśnięte, nie zdradzające niczego prócz woli chwytania i trzymania. Podobieństwo było okrutnym szachrajstwem, porównywalnym z migotliwą fatamorganą.

Jeden z ciemnoskórych kupców, jakby czytał myśli Quintusa, odwrócił się trochę w jego stronę. Spod przyciemnionych proszkiem powiek błysnęło spojrzenie niczym iskra, buchająca z płonącego drzewa. Obawa? Czy może oceniali wartość zdobyczy?

Quintus wytrzymał ten wzrok, choć palce powędrowały ku rękojeści miecza, którego jeniec nie miał prawa nosić. Widział łagodniejsze spojrzenia rzucone przez zmije.

Nozdrza mu zadrżały. Poczuł nad sercem znajome ukłucie. Mógłby założyć się

o całe złoto, którego nie miał, że gdyby wydobył ukrytą, roztańczoną figurkę, jej pochodnie rozbłysłyby ostrzeżeniem.

Znowu dmuchnął wiatr i jedyne co czuł, to zapach ognisk i zwierzęcego łajna.

- ...tak dużo za rzymską dumę? Są lepsze rzeczy do świętowania, niż wzięcie narzeczonej do wspólnego łóża!

Quintus nie dosłyszał, kto to powiedział. Podejrzewał, że był to jeden z mężczyzn o nieznanym narodowości.

Ryk śmiechu szybko ucichł, kiedy zauważono Rzymian.

- Niedobrze - mruknął Rufus. - Spójrzcie, jak wykradają się ci Grecy.

To nie byli Grecy. Obcy cofnęli się, pozostawiając miejsce Armeńczykom.

- Co te słowa miały znaczyć? - Quintus zapytał półgłosem Luciliusa.

- Niech oni ci powiedzą - zakpił patrycjusz, jakby nienawidząc wszystkich - zarówno Rzymian, jak i pozostałych.

- Zapytaj ich - Quintus wypchnął naprzód Arsacesa. - Powiedz: "Mówiliście coś o Rzymie. Powtórzcie to w mojej obecności".

- Czy to cios w głowę, czy też pustyńne słońce dotknęło cię szaleństwem? - spytał Lucillus.

- Chciałeś, żebyśmy dowiedzieli się wszystkiego, co można. Czemu więc uskarżasz się na rezultaty? - warknął Quintus.

Wystąpił naprzód.

- Mów - rozkazał Armeńczykowi, przybliżając się do niego.

- Wybaczcie, wielcy panowie! - kupiec zgiął się w ukłon, jakby Quintus był samym prokonsulem, stojącym w pełnym uzbrojeniu na czele Legionów.

Gdzieś z dala, z obozu wśród jałowych ziem, dobiegł ich krzyk.

- Wybaczcie co?

Pozostali Rzymianie zbliżyli się do Quintusa.

- Odbył się ślub, panowie. Ucztowano i śpiewano. Deklamowano poematy napisane przez naszego Wielkiego Króla. On jest bardzo uczony. Później usunięto stoły, a Jason śpiewał... Czy znacie "Bachantki" Eurypidesa?

Quintus zmarszczył brwi. To o królu Teb, który sprzeciwił się kultowi Dionizosa, oszalał i błąkał się po wzgórzach, gdzie został rozszarpany przez krewne.

- Krwawe pieśni jak na uroczystość zaślubin - powiedział.

Armeński kupiec potrząsnął głową. Teraz, kiedy pojął, że Rzymianie nie mają zamiaru go pobić, wyraźnie zhardział, zwyczajem kupców, gdy już nie liczą na

transakcję.

- Jest znakomitym, wielce cenionym śpiewakiem. Występował przed Królem Królów i otrzymał szczodre wynagrodzenie. Następnie wszedł Sillaces i padł na twarz. Gdy pozwolono mu wstać, cisnął zebrany jakiś zawinięty kształt - kupiec zamilkł, naśladowując umiejętności wychwalanego artysty. - To była głowa waszego wodza, wielmożni panowie.

- Bogowie. Bogowie - wymamrotał stojący za Quintusem Rzymianin.

- Spokojnie, człowieku - mruknął Rufus.

"Krassus był na wpół szalony, ale wykrzyczał wyzwanie, gdy Surena zagarnął Orły. A Quintus runął do boju, by go ocalić; poczuł surową dłoń prokonsula na swojej głowie na chwilę przed ciosem, który omal nie rozłupał mu czaszki."

Skoro mógł znieść tamto wspomnienie, równie dobrze znieś i tę opowieść. Jest przecież Rzymianinem i synem swego ojca.

- Król Królów nazwał Sillacesa swoim młodszym bratem i ofiarował mu pocałunek braterstwa. A ludzie wiwatowali, tańczyli i pili wino. Kiedy zaś ucichli, wystąpił Jason. Znalazł różdżkę i kołysał nią, niczym oszalała bachantka "thysusem".

Prawdą jest, że Wschód wykarmił potężnych wrogów, którzy nigdy nie zapominają i nie wybaczą. Kupiec pochylił się do przodu i dokończył opowieść:

- Podniósł głowę i zaśpiewał strofy Agara: "Zakończyliśmy dziś wspaniałe polowanie i przynieśliśmy z gór szlachetną zdobycz". Głowę waszego władcy.

Ktoś stojący za nim odchrząknął. Quintusa zapiekły oczy. Chciał krzyknąć pełnym głosem, przysięgając na wszystkich bogów, że zbuduje kolumnę z odrąbanych głów, sięgającą nieba. Nie, by opłakiwać Krassusa, lecz aby biadać nad hańbą RZYMU.

Czuł rosnące wzburzenie Rufusa, gotowego rzucić się do walki.

Stara, nudna Liwia miała rację. "Vae victis." Biada pokonanym.

- Ostatnia, najlepsza rola starego skąpca - rozległ się szept.

Quintus nie miał wątpliwości czyje to słowa. Rufus nie mógłby sobie tego odmówić.

Podtrzymywało go teraz tylko wspomnienie dziadka, stojącego przed posłańcem, który przyniósł mu wieści o śmierci syna. Gdy bronił się wyciągniętymi rękami przed rozpaczą, jego palce natrafiły na sakiewkę. Jakimś cudem uchowały się w niej drobne.

- Za twoje wieści - powiedział, ciskając kupcowi monety, niczym rynkowemu

gawędziarzowi. A jego głos zabrzmiał, jak wtedy głos dziadka, zdumiewająco spokojnie.

Stojący za Quintusem legioniści odprężyli się i wyczuł, jak bardzo potrzebne im było jego z trudem osiągnięte opanowanie.

- Dajesz lepsze przedstawienie niż twój władca! - zawołał stojący w półcieniu człowiek w czapce nasuniętej głęboko na głowę. "Jeden z Persów" - pomyślał Quintus, ale nie - on tylko nosił perską szatę, lecz był jednym z tych nieznanych, tajemniczych przybyszów.

- Opowiedz wszystko! Powiedz, jak Orodes obiecał Sillacesowi dużo złota, i jak potem zapłacił mu, lejąc roztopiony kruszec w usta tej głowy, gdyż był to jedyny sposób, by nasycić apetyt Krassusa. Szkoda, że nie widziałeś tych płomieni, Rzymianie! Szkoda, że nie czułeś, jak się smaży!

Quintus zagroził ręką drogę legioniście, który rzucił się naprzód. Zacząć walkę? Mogliby, oczywiście. A Ssu-ma Chao, równie oczywiście, skazałby ich na śmierć. Straciliby szansę na odzyskanie broni, Orła i honoru.

- Głupcze, on chce, żebyśmy walczyli. Naprzód więc. Jeśli nie zabiją cię Ch'in, to na bogów, ja sam to uczynię! - ryknął. - Stać spokojnie. Na wszystkich bogów, pokażemy im Rzymian.

Gdyby czworobok pod Carrhae stał równie nieporuszenie, nie byłoby ich teraz tutaj, twarzą w twarz z szydzącym tłumem kupców, poganiaczy wielbłądów i jeźdźców. Nie musieliby manifestować siły swego charakteru przed tym kpiącym z nich szlachcicem z Ch'in. Quintus odetchnął z ulgą, jego ludzie stali dumnie, spoglądając z góry na zgromadzony motłoch. Ich spokój stopniowo uciszał ujadających wokół barbarzyńców.

Na długi moment zapadła cisza; krwawo zabarwiony księżyc wspinał się po nieboskłonie. Pomimo szelestu i zawodzenia piasku i wiatru, pustynia była nieruchoma, jakby zamarła w oczekiwaniu, nasłuchując. Zamilkły nawet dzwonki upręży wielbłądów.

- Jesteście tutaj - zwrócił się Quintus do Armeńczyków - i my tu jesteśmy. Jeśli ktokolwiek ma przeżyć, musimy przebyć tę pustynię razem. Widzicie nas rozbrojonych, na uwięzi. Lecz pamiętajcie: pies nadal może ugryźć. Pojmujecie?

Kupiec skinął głową i odsunął się od ogniska, chowając rzymskie monety w sekretnych fałdach szaty.

- Dobrze rozegrane! - dobiegł ich głos Ssu-ma Chao.

Dość już śmiechu! Quintus stanął przed oficerem Ch'in. Ale to nie on się śmiał. Jego twarz trudno było dostrzec w ciemności, rozświetlanej tylko pełgającymi płomieniami pochodni; jeszcze trudniej było wyczytać coś z wąskich, skośnych oczu. Sięgając po miecz - j a jestem bezbronny, pożałował po raz kolejny Quintus - Ssu-ma Chao podniósł głowę, patrząc złowrogo.

Ponownie rozległ się chrapliwy śmiech. Tym razem i Ch'in spojrzeli po sobie, zmieszani i gniewni, lecz jeszcze nie gotowi do ataku.

- Trzymajcie ręce tak, by mogli je widzieć - Quintus usłyszał Rufusa, wydającego komendę legionistom - lecz bądźcie gotowi pochwycić każdą broń, jaką zdołacie.

Głośniejszy śmiech, tym razem z innego kierunku. Silniejszy wiatr. Podmuchał połowę pochodni. Pozostałe zamigotały, gdy ludzie pospieszyli, by je osłonić.

Ssu-ma Chao wyciągnął ręce. To był gest wojownika, skierowany do innego wojownika. Ten sługa nieznanego króla mógł ich rozbroić, lecz czuł do Rzymian wystarczający respekt, by ich nie atakować.

Nie trzeba było być filozofem, żeby wiedzieć, iż cudzoziemiec był równie zmieszany, co Quintus - i równie zaniepokojony. Dla żołnierza nieoczekiwane jest takim samym wrogiem, jak ludzie, z którymi trzeba się potykać.

Przywołując gestem Arsacesa, Quintus ruszył naprzód. Nadszedł już czas na rozmowę z dowódcą karawany.

Ostry piasek zakłuł go w policzki, niczym pogardliwy klaps.

Wiatr wzmógł się do szyderczego wycia. Quintus usłyszał natrętny hałas dzwonek, bębnow i gongów, zagłuszany przez urągliwy śmiech.

Rozdział siódmy

Bez miecza! Bez tarczy! Mogli ich zwięzać i zostawić, by umarli na pustyni. Quintus poświęcił temu gorzką myśl, po czym obrócił się do swych ludzi.

- Formuj się! - przekrzyczał hałas. Rozbrzmiały inne rozkazy: oficera Ch'in i twarda jak wzgórze Rzymu, wyćwiczona komenda Rufusa.

Utworzyli mały, pozbawiony broni czworobok. Nie okazywali strachu i serce Quintusa wypełniła duma.

Nagle zatrząsł się grunt. Quintus runął na kolana. Zawirowało mu w głowie. Wokół rżały konie, a wielbłądy, wyrwane z ciężkiego snu, wrykiwały doznana obrazę i niepokój. Niedaleko dwa namioty zakołysały się i przewróciły, a pochodnia, zatknięta przed nimi, upadła na zmięty materiał ich ścian i buchnęła płomieniem.

- Rzymianie! - krzyczał Rufus. - Formować się!

Część jego ludzi na pewno wytrzymała, walcząc ze strachem przed tajemniczym wrogiem, uderzającym z pustyni. Quintus podźwignął się na nogi. Musi dostać się do swoich. Musi spróbować, choćby ziemia miała się pod nim rozstąpić i połknąć go żywcem - inaczej, na cóż by się zdały jego wszystkie rozważania o honorze?

Wzdłuż i wszerz pustyni, odbijając się echem wśród bezmiaru piasku i nieba, rozlegał się dziki, zawodzący śmiech. Piach wirował na grzbietach wydm, sycząc niczym plaga węży.

Płonący patyk przytoczył się od strony namiotów. Quintus podniósł go. Ogień był dobrą bronią w walce z ciemnością. Byleby jego żołnierze mieli ognisty oręż, a niedługo zwyciężą wrogów. Chyba że przyjdzie im zmierzyć się z łucznikami, choć Quintus nie przypuszczał by przy takim wietrzysku można było dobrze wycelować.

Od gongów, bębnow i dzwonek rozbolała go głowa. Powietrze wirowało wokół niego, a ziemia kołysała się pod stopami. Uderzenia mieczy o tarcze i krzyki umierających zabrzmiały znowu: atakowano Ch'in.

Jego ludzie nie mogli nic zrobić bez broni, i to właśnie on musiał zapewnić im oręż. Uważnie stawiając stopy na zdradliwym podłożu, Quintus nie był w stanie unieść płonących pochodni, a gdyby upadł, sam zamieniłby się w ognisko.

- Pochodnie! Łapcie pochodnie! - krzyknął.

Syk stawał się coraz wyraźniejszy.

- Wężę! Dis weź je, wężę! - krzyczał ktoś w panice, po czym umilkł. Quintus miał nadzieję, że żołnierz nie umarł od ukąszenia, wywołując jeszcze większe przerażenie. Przez chwilę pozazdrościł perskim jeźdźcom ich butów. Później znalazł się w żałośnie małym, rzymskim czworoboku i wcisnął łuczywa w ręce żołnierzy z pierwszego szeregu.

Trudno było walczyć bez Orłów błyszczących nad głową - symbolu honoru Legionu. Lecz Rufus stał u jego boku, nieco dalej Lucilius.

- Wyrwijmy się stąd! - Quintus usłyszał czyjś ponagląjący głos. Byli więźniami. Byli Rzymianami. Byli wojownikami. Jak trudno byłoby w bitewnym zamieszaniu zdobyć kupiecką karawanę, zmuszając wozy i zwierzęta, by zabrały ich tam, dokąd zechcą wyruszyć?

To znaczy dokąd? Bez przewodnika - do strasznej śmierci z pragnienia wśród pustkowi. A bez Orła, bez odzyskanego honoru - nie muszą żyć dłużej. Zakładając, że przetrwają trzęsienie ziemi, atak węży i jakichś barbarzyńców, walczących z Ssu-ma Chao i jego ludźmi.

- Nie bądź osłem! - Na wszystkich bogów, Lucilius mówiący odważnie... - Ci przekłeci kupcy mają strażników.

Quintus także o tym nie zapomniał. Ciekawość Ssu-ma Chao uratowała im życie... tak honorowo, jak było to tutaj możliwe. Dał znak Rufusowi, by rozkazał ruszyć żołnierzom naprzód.

Gdy usłyszał rozkaz do formowania "testudo", musiał zdusić śmiech, który mógłby pozbawić go odwagi. Jak ludzie pozbawieni tarcz mogli utworzyć "żółwia"?

- Użyjcie pochodni! Jeden broni, jeden podbija miecze lub tarcze, jeden uderza!

To dawało jakąś niewielką nadzieję. Gdyby żołnierze użyli łuczyw w taki sposób, w jaki używali rzymskich mieczy, mieliby pewną szansę na zdobycie broni na wrogu.

Rufus musiał również liczyć na to, że silny wiatr zniechęci łuczniczków. Wzrok Quintusa nie mógł przedrzeć się przez wzbijany pył. Śmiech wciąż go prześladował. Czy, gdy się przejaśni, znowu ujrzy widok, który pozbawił go nadziei pod Carrhae? Tysiące jeźdźców i samego Surenę, o twarzy przypominającej maskę Plutona, z tymi ogromnymi, ciemnymi oczyma? Przy każdym syku wiatru, każdym uderzeniu w bęben czy dzwonki myślał o śmierci Legionów i walczył z rozpaczą.

Przed nimi uniosły się tarcze. Legioniści wystąpili przed Quintusa, chroniąc

go. Idąc przekraczali poskręcane ciała.

Krew, sącząca się z ran martwych wojowników, powinna zamienić piasek w śliskie błocko. Lecz krwi nie było. Po początkowym okresie paniki żaden Rzymianin nie krzychał już z przerażenia, choć syki i ogromne, wijące się kształty przecinały piach, czyniąc każdą rozsądną myśl zwycięstwem nad obłędem.

Spowity ich dźwięki i kurzawa. To było jak walka we mgle - w zdradzieckich oparach na mokradłach, gdzie ukryli się po porażce. Quintus krzykiem dawał znak swoim ludziom, że wciąż żyje.

Znów zatrzęsa się ziemia. Huk i coś w rodzaju odgłosu napełniania przypomniały mu opowieści o górach za Galią Transalpiną, gdzie śnieg ześlizgiwał się lawinami ze zboczy, mszcząc i grzebiąc ludzi i całe miasteczka. To byłaby szybka śmierć - pogrzebanie przez piasek.

Przed nimi rozwarła się szczelina w ziemi, szarpnięciem uchronił jednego ze swych ludzi przed upadkiem. Jak tak dalej pójdzie, pochłonie ich sama ziemia. Maszerowali dalej, z karnością wyrobioną przez długotrwałą dyscyplinę, gotowi walczyć bronią, jaką udało im się zebrać na pobojuwisku. Trupy wyglądały jakoś nienaturalnie. Przecież człowiek może umrzeć ze strachu - pomyślał.

Jego dziad wykiłby to. Lecz staruszek szydziłby także ze snów Quintusa. I oczywiście kazałby mu wyrzucić malutkiego, etruskiego tancerza, który tylekroć uratował mu życie.

Zagryzł usta, by nie krzycheć. Figurka rozgrzała się po raz kolejny.

Znowu zadrżała ziemia. Tym razem wielu upadło, wykrzykując swój strach i gniew.

Mgiełka piasku i potu, w której się poruszali, gęstniała i ciemniała. Okrzyki Ch'in, walczących gdzieś tam w przodzie, brzmiały narastającą rozpaczą.

Zawsze jest taka chwila, gdy oczekujesz wytchnienia lub przynajmniej wierzysz, że nie wydarzy się już nic gorszego. I wtedy pojawiają się tysiące Fartów, przegrupowują się, atakują, a ty pojmujesz, że wszystko stracone. Tak musi się czuć teraz dowódca Ch'in. Cóż mu przyszło z jego wysokiego urodzenia, skoro nigdy nie powróci do domu, do rodziny, sług i kłaniających się klientów?

Quintus mógłby pozwolić im zginąć. Lecz wówczas nieznanemu wrogiemu zwróciłby się przeciwko Rzymianom. Byliby wtedy zgubieni... oni i Orzeł. Quintus nie mógł na to pozwolić. Potrzebował Ssu-ma Chao, by odnaleźć Orła. Wyprostował się i potrząsnął pochodnią. Ponad nimi, jakby w odpowiedzi, zabłyśnięcie światła, szybujące

na wschód. Wyglądało jak orzeł. Ta myśl podniosła go na duchu.

"Widzisz nas? Czy postępujemy dobrze? My, którzy zapewne wkrótce zginiemy..."

- Przygotować się! Zacieśnić czworobok! - krzyknął, posłuszny ostrzeżeniu talizmanu.

W jego pochodnię uderzyło zniecka ostrze. Cios był niezręczny; sparował go, jakby był zadany raczej pałką, a nie mieczem. Następnie uderzył płomieniem, prosto w twarz wroga. Ten upadł, krzycząc poparzonymi ustami. Quintus chwycił jego broń. Wszyscy wokół niego czynili podobnie. Nawet Lucilius walczył z uporczywą zjadłością, zjednując sobie niechętnie uznanie Quintusa.

Nareszcie mieli żywych przeciwników, z mieczami i tarczami, o twarzach wykrzywianych grymasem śmierci. Rzymianie walczyli twardo, jakby chcąc odkupić upokorzenie spod Carrhae. Ci, którzy padali, umierali z krzykiem protestu. Wiatr i piasek spowijał ich, walczących w ponurym milczeniu, nie przerywanym nawet przez śmiertelny okrzyk.

Zawieja powoli uspokajała się. Niebo nieoczekiwanie oczyściło się, obramowując lśniące lustro księżyca. Teraz Quintus mógł zobaczyć, gdzie są ludzie Ssu-ma Chao. Ich przeciwnicy ubrani byli na czarno; tylko dłonie i twarze jaśniały w ciemnościach - oraz broń w miejscach, których nie zdążyła jeszcze pokryć krew.

"Bandyci mogą mieć strzały" - pomyślał Quintus. Kiedy ucichnie wiatr, te strzały zaświszczą.

- "Testudo" - zarządził. Tarcze powędrowały nad głowy.

- Naprzód!

Ich szeregi mogły być przerzedzone, lecz precyzja pozostała. Szli w stronę walczących Ch'in, by chwycić wroga w potrzask pomiędzy dwie uzbrojone, zdeterminowane siły.

Rzymianie rozluźnili swój bojowy szyk, umożliwiając wojownikom Ch'in wycofanie się poza nich i przegrupowanie.

"Czemu na to pozwoliłem?" - zastanowił się Quintus. Odpowiedź nadeszła równie szybko jak cios (kolejny człowiek zwinął się na spragnionym piasku): to, z czym walczyli, nie miało skrupułów, by wykorzystać ich przerażenie - a ludzie muszą się jednoczyć w obliczu tajemnych, mrocznych sił. Rozsądek, być może. Dobrze więc, upewnij się Quintusie, mój chłopcze. Ch'in mają twojego Orła, a ty nie możesz bez niego wrócić do domu. Zakładając, że w ogóle powrócisz.

Krzyknął. Nie z powodu rany, która zabarwiła mu ramię na czerwono, lecz żaru, bijącego od brązowego talizmanu. Natychmiast obrócił się i ujrzał dowódcę Ch'in, uwięzionego w pierścieniu wroga.

"Jestem rolnikiem, a nie wojownikiem - pomyślał Quintus - lecz Fortuna udowadnia, że się myłę." Jego stopy ledwo dotykały gruntu, gdy rzucił się do boju. Wymachiwał mieczem i pochodnią, chrapliwie wykrzykując wyzwanie. W tej szalonej chwili rola obrońcy wydawała mu się dziwnie znajoma i słuszną.

Trybun uderzył i odskoczył. To przypominało bardziej sen niż walkę. Czterej mężowie wychynęli z pamięci i kroczyli u jego boku: król, bliźnięta - święte i ciche oraz olbrzymi, wyprostowany człowiek, zwany z powodu swej nadludzkiej siły Tytanem.

Jego bracia.

"Ale ja nie mam braci!" - pomyślał Quintus. Potrząsnął głową, wymierzając podstępny cios jednemu z pustynnych cieni, próbującemu wbić miecz w plecy żołnierza, który wysforował się przed szereg.

Malutki talizman rozpalił się ponownie. Draupadi nazwała tancerza Krisznę: jego odwiecznym sojusznikiem, cudownym dziwakiem, tańczącym wśród lamentów.

Quintus zakręcił pochodnią, by podsyć jej płomień. To powinna być ta silniejsza, potężniejsza broń. "Taka broń istnieje" - przemknęło mu przez głowę. Czasami tacy jak on znajdują ją; już raz mu się to udało.

"To nie są moje myśli!" Pustynna noc była chłodna, a jego ogarnął przejmujący ziąb. Potrzebował broni, on i jego...

Nie! Cokolwiek próbowało do niego przemówić, było równie obce, jak ludzie bezgłośnie umierający pod jego ostrzem. Krótki miecz był bronią Rzymu. "Wystarczy lub umrę tutaj" - przysiągł.

- Panie... Panie! Stój! - Quintus usłyszał krzyk Rufusa, chwytającego go w objęcia. Postąpił kolejny krok naprzód i upadłby, gdyby nie pomoc centuriona. Spojrzał pod nogi. Deptał po ciałach trzech ludzi ubranych w czerń. Niedaleko, Ssu-ma Chao podnosił się z klęczek na niepewne nogi, z trwogą obserwując Rzymianina.

Nagle Quintus osunął się, jakby prowadząca go siła opuściła jego ciało. Oparł się na tarczy, ciężko łapiąc powietrze; serce go bolało, jakby rozrywane na dwie części. Ssu-ma Chao łączywie chwycił powietrze. Po chwili wstał.

Wszyscy byli tu weteranami. Po Carrhae nawet Lucilius przestał być "niedzielnym" żołnierzem.

Dowódca Ch'in uniósł ręce i przemówił. Quintus pokręcił głową, nie mogąc zrozumieć jego kaleczzonego partyjskiego.

- Pyta cię, panie, czy wiesz, jakiego sposobu walki używałeś?

Arsaces nieoczekiwanie wcisnął się pomiędzy trybuna a dowódcę Ch'in. Dobrze było ujrzyć małego Persa żywego.

Quintus zerknął na ziemię. Wokół nich leżały bezwładne ciała. Część to wojownicy Ch'in; niewielu - choć i tak za dużo - Rzymian. Było też kilka trupów kupców, którzy wykrzesali wystarczająco dużo odwagi, by przyłączyć się do tych, których handlem jest walka. Następnie popatrzył na wrogów. Byli ubrani w czern, nie byli więc Fartami. Ani bandytami czy jakimś niezdyscyplinowanym motłochem, umierającym lichy i głośno.

Mimo ran, oznaczających śmierć po długiej agonii, ich twarze były nieprzeniknione. Nie przypominali tych tajemniczych przybyszów, których rysy i cera stanowiły krzywe odbicie Draupadi. W świetle ogromnego księżyca byli jaśniejsi i bledsi. Błdzi i niewiarygodnie starzy.

Kiedy na nich patrzył, ich ciała zaczęły nabierać popielatej barwy i przysychać do kości, błyskawicznie zamieniając się w groteskowe kościotrupy, obciążone płątami skóry.

Talizman Quintusa ochłódł. Fala spokoju i pewności ogarnęła jego ciało.

Odwrócił się od tych żywych po śmierci przeciwników. Ssu-ma Chao stał obserwując go. Pochwyciwszy wzrok Quintusa, uklonił się głęboko, jak komuś o równej randze i pozycji.

- Pyta także, kim jesteś, panie, skoro możesz bez lęku zmierzyć się z magią - przetłumaczył Pers.

"Zmęczonym" - pomyślał Quintus; ale ta odpowiedź nie zadowoliłaby Ch'in.

- Odpowiedz mu: "Rzymianinem".

- Mówi - kontynuował Arsaces - że ten nieważny nikt z radością wynagrodziłby cię, panie, za pomoc.

"Niech zwróci Orła i pozwoli powrócić do Rzymu."

- Dodaje jednakże, iż bardzo żałuje, ale nie może ofiarować ci tego, czego byś zapewne najbardziej pragnął. Musi przywieźć nas do Ch'in, odpowiada za to głową.

"A o Orle nie może być w żadnym razie mowy."

Dowódca Ch'in wykonał rozkazujący gest i trzech ludzi odbiegło, nie bacząc na krwawiące rany.

- Sugeruje, że być może to wyrazi jego wdzięczność, mimo iż żyje, by słuchać Syna Niebios i mu służyć.

Żołnierze powrócili dźwigając ciężkie brzemię. Sapiąc zrzucili je u stóp Ssu-ma Chao.

"Scuta" i "gladi"; hełmy, krótkie miecze, sztylety i tarcze. Broń Rzymian, przekazana Ch'in przez Fartów, a teraz zwrócona Rzymowi - dlaczego?

Jako łapówka, nagroda? Za dobre sprawowanie?

- Nadzieją Jego Nieistotności jest - ciągnął Arsaces - że twoi ludzie z Ta'Chin będą go wspierać podczas podróży w głąb pustyni. I że będziesz błagał duchy, które - panie, wydaje mi się, że określa nas mianem barbarzyńców, nie zdając sobie sprawy z obraźliwości tego epitetu - czcisz, aby chroniły nas nie tylko przed bandytami, lecz również przed demonami, nawiedzającymi Takla Makan.

Wódz Ch'in zbliżył się do Quintusa. Lucilius, drugi ocalały trybun - pochodzący ze szlacheckiej rodziny - stał obok. Lecz to właśnie Quintusowi ukłonił się Ssu-ma Chao.

- Trybunie! - rozległ się głuchy głos Rufusa. Nie przestraszyła go ani pękająca ziemia, ani syk gigantycznych węży. Quintus i Ssu-ma Chao obrócili się, by spojrzeć w kierunku, który wskazał centurion.

Zdążyli zobaczyć jak żółtobiałe kości, w które zamieniły się ciała, rozpadają się w proch i mieszają ze żwirem.

Nawet Quintus przyłapał się na odganianiu złych sił gestem wieśniaków znad Tybru.

Złowieszczy śmiech zamarł w oddali wraz z dudnieniem dzwonków, gongów i bębnow. Żadne węże nie wiły się już w ich umysłach. Powiewał leciutki wietrzyk, rozgarniający pył, będący wcześniej ich tajemniczym wrogiem.

Ręka Quintusa opadła na ramię Rufusa. Ten wzdrygnął się, po czym znieruchomiał, odzyskując spokój.

- Zaoszczędzono nam kłopotu pochowania ich. Albo spalenia - odwrócił się, dając do zrozumienia, że cała ta sprawa niezbyt go interesuje.

Quintus, idąc za Ssu-ma Chao i centurionem, obejrzał się. Kształty wrogów odcisnęły się w piasku. Po chwili podmuch wiatru stał również i ten ślad.

Rozdział ósmy

- Widzisz coś nowego? - zawołał Lucilius do Quintusa.

Ten potrząsnął głową, po czym zorientował się, że patrycjusz nie może przecież zobaczyć tego gestu.

Pustynia. Ciągłe pustynia. Pomyśleć, że Syria wydawała się mu sucha. Nigdy nie przypuszczał, jak wiele odcieni szarości i żółci może kryć w sobie pustynia. Takła Makan była tak jałowa, że nie mógł nawet ocenić prawdziwości opowieści Luciliusa o Trachonitis, gdzie ptaki spadają martwe, gdy ich cień przetnie wąż: tu nie było ptaków. Tutaj nawet padlinożercy nie zdołaliby wyrwać łupu pustynnemu słońcu i piaskom.

Ze swojego miejsca w rydwanie Ssu-ma Chao, o wysokich kołach, zabudowanym nadwoziu i bocianim gnieździe na szczycie wieżyczki, umożliwiającym obserwowanie i dowodzenie bitwą bez względu na wzniesioną kurzawę, widział tylko pustkowia. Wydmy otaczały ich niby szkielety węży morskich, zastygłych tuż przed zanurzeniem się pod odległą czaszą nieba. Każdego dnia widzisz wciąż inne, wijące się na horyzoncie. Wydaje ci się, że wystarczy godzina, dzień marszu, żeby je minąć. Trzy dni później wielbłądy, wozy, konie i wyczerpani ludzie ciągle się z nimi mżołą, podobni mrówkom wobec ich ogromu.

Na wszystkich bogów, nawet najmętniejsza kałuża wody z Tybru smakowałaby jak wino. A najgorętsze pragnienie jeźdźców nigdy nie miało się ziszczyć: że gdzieś tam, w samym sercu pustyni - Takła Makan - leży oaza, w której tryska strumień kryształowo czystej wody. Oczywiście, wizje i przeczucia nie są dla Rzymian, ale Quintus nie musiał być wróżbitą, by widzieć ludzi, umierających pośród piasków, wlokących się naprzód w nadziei dotarcia do takiego miejsca lub wzywających go swoim ostatnim tchnieniem.

W tym monotonnym krajobrazie zbyt łatwo było oddalić się od karawany, od szlaku, wypalonego we wspomnieniach najstarszych jeźdźców. Zbyt łatwo było pomylić to, co dalekie od tego, co bliskie, nie dostrzec bandytów, atakujących zza jakiejś wydmy. Zbyt łatwo było pozostać tu i spocząć obok wyżłobionych w piasku szkieletów nieostrożnych ludzi i ich zwierząt. Mnóstwo takich już minęli.

Rydwan wodza Ch'in wydawał się staroświecki i nieporęczny, lecz jego

wieczyczka była świetnym punktem obserwacyjnym, z którego sprytny dowódca może wysledzić jeźdźców i uratować życie swym ludziom... aż do następnego zagrożenia.

Dziś bandyci nie pojawili się. Quintus zastanawiał się, czy kiedyś będzie życzył sobie ich nadejścia, po prostu by przerwać nudę. Zdawali się być oddaleni od całego świata. Była tylko pustynia. Na północy widniał błękitny cień, Arsaces przysięgał, że to góry. Ssu-ma Chao pozwolił sobie o nich opowiedzieć - nazywał je "niebiańskimi". Z tęsknotą w głosie mówił o topniejących śniegach i okrągłych jeziorach, skrytych w cichych dolinkach, niczym klejnoty. Po tygodniach spędzonych na pustyni Quintus już w to nie wierzył. Było tylko pustkowio: tam, gdzie kończył się piasek, zaczynał się chaos - czy też może rzeki Piekła, które pamiętał ze swojego snu.

Nie śnił już więcej o Tybrze. To nie była przecież okolica, w której mógłby marzyć o domu lub o tamtej kobiecie. Budził się czasem ciężko oddychając, pamiętając prawie cienie, które wzywały go do walki z czarnymi istotami, bo przecież nie ludźmi. Może demonami? Nie ośmielił się tego powiedzieć, a kupcy, patrzący znacząco, gdy ich mijał, nie zrobili tego również.

Jednakowoż, nawet jeśli tamta bitwa nie przywróciła Rzymianom Orła, to zdobyła im wdzięczność Ssu-ma Chao i sprawiła, że odzyskali broń. Ciekawe, że choć nawet Ch'in docenili pochodnie jako narzędzie walki, Quintus nie chciałby więcej prowadzić natarcia, mając tylko taką broń.

Tamtej nocy przeistoczyli się z więźniów i niewolników w honorowych zakładników, prawie gości i sojuszników. Znalazły się też wielbłądy i wozy do transportu każdego ładunku, wskazanego przez Rufusa: "rzymski chód, rzymski lud" - nie znaczyło to teraz zbyt wiele.

Quintus dziękował bogom za te ustępstwa. I tak wystarczająco trudno było podróżować przez te pustkowia - a ich marsz jako niewolników - związanych i pilnowanych, krztuszących się pustynnym pyłem, byłby nie do zniesienia.

- Może byś tak zstąpił z Olimpu, co? - dobiegł go głos Luciliusa. Łaska Ssu-ma Chao dotyczyła wszystkich Rzymian. Lecz Quintus traktowany był jak dowódca, i ekwita wiedział, że przepelnia to serce młodego arystokraty goryczą.

- Natychmiast!

Nie chciał zejść. W jakiś sposób pasował do tego rydwanu. Nie był przeznaczony do walki, ale do dowodzenia. Od bojowego rydwanu wymaga się raczej, by był niższy, a woźnica znajdował się bliżej, aby zapewnić ochronę

lucznikowi. Był kiedyś woźnicą i był wojownikiem, wożonym przez... Ręka Quintusa bezwiednie wydobyla brązowy talizman.

Ale cóż to za fantazje? To nie są jego wspomnienia. Pustynia wyzwala tylko szaleństwo. Poganiacze przysięgali, że jeśli ktoś stanie w południe z odkrytą głową - umrze. Większość legionistów niosła hełmy w rękę, osłaniając głowy sukiennymi czapkami (Rufus połamał pałkę na plecach głupca, który chciał sobie ulżyć, wyrzucając hełm). Aleksander na pustkowiach Gedrozji osłaniał się przed palącym słońcem w podobny sposób. Nie pocieszyła go ta myśl. Aleksander prawie umarł na pustyni, choć - inaczej niż Quintus - urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

Nie słuchał też melodyjnych opowieści przy ognisku snuty przez poganiaczy wielbłądów: o gwałtownych burzach, oddzielających ciało od kości i wysysających wodę z człowieka, aż zostaje jedynie łupina, podobna do dzieł egipskich balsamiarzy; o demonach, szepczących w południe, kiedy ludzie są zbyt znużeni, by ich nie słuchać; o zdradliwych piaskach, pochłaniających całe miasta i wypluwających je tak, jak Maelstrom jednym, pogardliwym zawirowaniem wyrzuca na brzeg strzaskane resztki statku.

Lepiej wrócić na ziemię, zanim rozpoczną się szepty o konszachtach z Ch'in.

"Strzeż się."

Subtelny głos dotknął jego umysłu gładko i delikatnie, niczym oliwa wyprawionej skóry. Rzucił ostatnie spojrzenie.

Coś dziwnego pojawiło się na horyzoncie. Z pewnością nie chmura, gdyż do tego potrzebna jest wilgoć, której - bogowie świadkiem - nie można tu znaleźć.

Skronie zaczęły mu pulsować, jakby nagle wzrosło ciśnienie. Pamiętał, że nie każda chmura przynosi deszcz.

Umiejętnie balansując zsunął się z wieżyczki i pochylił ku Ssu-ma Chao, jadącemu w pobliżu. Jego wspomnienia (fantazje?) na coś się teraz przydały: przewyższał pozostałych Rzymian umiejętnością prowadzenia rydwanu Ch'in. Łatwo to pojąć pamiętając, że powoził chłopską furą, o i l e jego rodzinie zostały jeszcze jakieś woły, nie skonfiskowane za długi..." - usłyszał złośliwy komentarz Luciliusa.

Quintus wytrząsnął ziarenka żwiru z ubrania i zbroi. Były równie uciążliwe, co bagienne pluskwy. Jeśli nie uważałeś, piasek wywoływał krwawiące, nie gojące się otarcia i rany.

- Zauważyłeś coś? - Lucilius natychmiast podkreślił swoje prawo do zażądania informacji.

- Chmura na wschodzie - odrzekł Quintus. - Nie podoba mi się jej kształt.

Zużył trochę bezcennej energii, by zrównać się z Ssu-ma chao. Pomruk za jego plecami przybrał na sile. Na Jupitera Optimusa Maximusa! Wiedział, że jego wiadomości o pustyni można by wygrawerować na głowicy miecza i pozostałoby jeszcze sporo miejsca na wypisanie tego wszystkiego, o czym nie miał pojęcia. Ale był tu już zbyt długo, by nie odróżnić zmiany pogody i słyszał zbyt wiele przerażających historii, by nie darzyć pustynnych burz najwyższym respektem.

Tak jak żeglarz czy rolnik zrozumiał ostrzeżenie. Ciekawe... blask bijący od piachu wydawał się mniej rażący, jakby światło słoneczne straciło na intensywności. Skinął dowódcy Ch'in i wysforował się naprzód. Spociał się, lecz pot natychmiast wyparował, pozostawiając na skórze biały, słony nalot.

Hmmm... intrygujące. Piasek... Pod bezkresnym, żółtoszarym żwirem i kamykami ujrzał białe smugi. Pochylił się szybko. Zaczerpnął szczyptę tajemniczej bieli i podniósł ją do nosa i ust. Słone. Rozejrzał się. Teraz, kiedy tak patrzył, widział pustynię jako płaszczyznę poznaczoną olbrzymimi wydmami, niczym wielkimi falami.

Słyszał, że w Judei jest morze tak zasolone, iż człowiek może położyć się w nim i nie utonąć. Łatwo uwierzyć, że podobne morze znajdowało się też tutaj, zanim całkowicie wyschło. Łatwo? Tu nic nie było łatwe.

Można sobie wyobrazić - woda, spływająca z gór niczym powódź, zesłana niegdyś przez Jupitera, wypełniająca pustynię jak miskę i zatapiająca wszystko, pozwalająca ziemi macić się, dopóki jej nie pochłonie. Jak starożytna Atlantyda. Gdyby o tym opowiedział - brwi Luciliusa uniosłyby się w szyderczym uśmiechu. Prostack czytywał Platona.

Okrzyki przerwały jego rozważania.

- "Buran!" "Kuraburan!"

"Buran" - jak wiedział - oznaczało burzę. A "kuraburan"? Czarną burzę? Burzę demonów?

Wielbłądy zawodziły jękliwie, pochylając głowy i klękając niezgrabnie. Jeźdźcy galopowali wokół karawany. Wozy zaryły się w piach. Z toreb i jaskrawych sakwojaży (teraz mocno przybrudzonych pyłem) ludzie wydobywali wstęgi grubej żółtej flaneli.

Arsaces cisnął Quintusowi zwój wojsłoku.

- Nadciąga burza. Wielbłądy zawsze to wiedzą. Owiń się! Ten piasek mógłby

pozbawić ciała twoje kości.

Nadjechał Ssu-ma Chao. Zdążył już omotać się grubym materiałem tak, że widać było tylko oczy. Lśniły czujnie, jakby wypatrując niebezpieczeństwa.

- Pod osłoną takich burz często uderzają rabusie - oznajmił.

- Czy twoi żołnierze będą walczyć razem z moimi?

Quintus prawie nie potrzebował tłumaczenia Arsacesa. Przez tygodnie marszu od Merv karawana stworzyła swoje własne narzecze - trochę partyjskiego, trochę perskiego i nawet, co było nieuniknione, trochę łaciny i Ch'in. Wszyscy rozumieli więc słowa: "bandyci" i "burza".

- Nie zawieziemy pokładanej w nas wiary - zapewnił dowódcę.

- Rufus!

Centurion przybył natychmiast, nakazując manipułom formować szyk.

- Nasi oficerowie wskażą wam pozycje.

Część z nich miała już broń w pogotowiu - wielkie, nieporęczne miecze i kąśliwe, długie włócznie żołnierzy Ch'in. Czy będą nadawały się do obrony przed najeźdźcami - Saka, Yueh-chih lub Fartami - których pustynia może rzucić przeciwko nim?

Wielbłąd ryknął, konie zarżały, a żołnierz zawył zaskoczony, gdy grudki piasku chlastały jego ciało.

- Głowy trzymać nisko. Widzieliście już burze piaskowe! - wołał Rufus, po czym urwał, zanosząc się kaszlem.

Niebo zmieniło kolor na żółtoszary. Powietrze wokół zdawało się krzepnąć i wirować, po chwili burza uderzyła z całą furją.

Quintus opuścił głowę na pierś. Musiał patrzeć - musiał, mimo że rozpędzone ziarenka piasku mogły pozbawić go oka. Czuł się jakby zagubiony we mgle, lecz ta mgła kąsała przenikliwie, wciskając się w każdą fałdę wołoku, duszącego i chroniącego. Kropla potu spłynęła mu po czole, cudownie chłodna zanim wyparowała, pozostawiając szczypiący, słony ślad. Bardzo chciało mu się pić.

Dis, miej litość, jeśli żwir dostanie się do bukłaków, wszyscy będą zgubieni! Ktoś musi sprawdzić...

Czyjaś dłoń przycisnęła go do ziemi.

- W taką burzę wystarczy odejść dziesięć kroków od obozu i nie odnaleźć go już nigdy!

Jego towarzysz, nie - jego wybawca wymawiał słowa układając wyraźnie

wargi, by mógł z nich czytać, gdyby ryk burzy zagłuszył brzmienie głosu.

Powinien ją przeczekać. Powinien przeczekać wszystkie burze.

Uszy przyzwyczajały się stopniowo do nawałnicy - wycia każdego nowego podmuchu, zgrzytu szczególnie porywistych powiewów, trzasków łamanych sprzętów, zawodzenia piasku i żwiru, rozpedzonych niczym strzała. Nigdy nie był tak spragniony, nawet w czworoboku pod Carrhae.

Nagle zmartwiało. Przez wściekłość burzy zaczęły przebijać nowe dźwięki: chichoty, szepty i groźby. "Wyjdź, wyjdź zanim pogrzebie cię żwir. Chodź, tu jest słodka woda, winogrona, odpoczynek. Połóż się i odpocznij." Zaryzykował podniesienie wzroku i ujrzał jednego czy dwóch swoich ludzi, jak potrząsają głowami, po czym z powrotem opuszczają je na piersi. Twardogłowe muły Rzymu: jeśli nie widzą czegoś przed sobą - nie zajmują się tym. Tak przynajmniej postąpiłby jego dziadek.

"Wiesz, że popadniecie tu w obłąd. Słońce upiecze wasze mózgi. Nigdy tak naprawdę nie uważałeś się za wytrzymałego, prawda? Skrywałeś to głęboko przed sobą przez te wszystkie lata... jesteś słaby i poprowadzisz tych ludzi na śmierć w tym dzikim kraju..."

"Cisza!" - zarządził, próbując opanować swe myśli głośnym rozkazem, jak Rufus, strofujący niedbałych rekrutów.

Cienie, ciemniejsze od tumanów piachu, płały wokół obozu. Grzmot nad głową i błyskawice nie przypominały niczego z tych utraconych, wilgotnych, letnich wieczorów - burza bez deszczu?

"Nie zobaczysz ich nigdy więcej."

"Wiem" - wyszeptał i natychmiast tego pożałował. Rozmowa z czymkolwiek, co dosiadało tych wiatrów, była równie bezcelowa jak kłótnia z ulicznym żebrakiem. Żaden żebrak nie próbował go jednak zwabić w paszczę pustynnej śmierci.

Pochylił głowę i wsunął lodowate palce pod ubranie, by dotknąć brązowej statuetki. Jej niezmienna trwałość pocieszyła go.

"Ach, myśli, że jest taki sprytny..." - śmiech zastąpił szepty, coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, aż wreszcie rozmył się w wyciu diabelskiej nawałnicy.

Kurzawa przesłoniła niebo: żadnego zachodu słońca, żadnego wschodu księżycy, żadnych gwiazd, świecących nad głową. Ile czasu minęło? Godziny? Dni? - pomyślał, że byłby bardziej głodny, gdyby trwało to tak długo.

Zawodzenie wiatru stopniowo cichło, przechodząc w łkanie dziecka,

zmęczonego rozpaczliwym płaczem. Od czasu do czasu mógł nawet dojrzeć coś bardziej odległego niż na dwa kroki. Szepty i chichoty zamarły w oddali. Później, po czasie, którego nie był w stanie zmierzyć, przysła chwila błogosławionej ciszy. Ludzie zaczęli podnosić się i otrząsać z piasku, który pozamieniał ich w pagórki.

- Stać!

Okrzyk Ssu-ma Chao i ukłucie Quintusowego talizmanu nadeszły jednocześnie.

Chwilę później usłyszał łoskot bębnów i dźwięczenie dzwonek i gongów.

- Yueh-chih! - rozległ się krzyk.

Tego właśnie obawiano się najbardziej. Yueh-chih byli ludźmi pustyni. Nie mieli stałych wiosek, mieszkali w namiotach i jeździli po całej okolicy. Oswojeni z pustynnymi burzami, atakowali, gdy karawana - nawet tak dobrze uzbrojona - zaczynała wygrzebywać się z konającej nawałnicy. Nienawidzili Ch'in i ścierali się z nimi jak pustynia długa i szeroka, prowadząc wojnę podjazdową przez więcej lat niż ktokolwiek (oprócz historyka Ch'in) mógłby zliczyć.

Yueh-chih ruszyli z przeraźliwym wrzaskiem, jakby "buran" rozszalał się na nowo. Ktoś krzyknął nie opodal i skonał, przebity długą lancą. Dwóch Rzymian poderwało się z piasku, siekąc barbarzyńcę mieczami. Chrapliwe głosy krzyczały w języku Ch'in... Wszędzie wokół żołnierze chwyтали za włócznie, które mogły zapewnić im jakąś obronę przed konnymi napastnikami. Yueh-chih liczyli na szybkość i zamieszanie, uderzając w chwili, gdy karawana wydobywała się spod zwałów piachu, a jej eskorta, wyczerpana "buranem", nie odzyskała jeszcze sił. W jakiś sposób była to dobra taktyka, bez wątpienia znakomicie wyćwiczona.

Quintus był teraz w jednym szeregu z legionistami; na jego mieczu zaschła krew wojowników Yueh-chih. Szereg nie cofał się. Poczł dumę, która zniknęła, gdy przypomniał sobie, że Yueh-chih, jak wszyscy nomadowie, są mistrzami łuku. Niech tylko wiatr ucichnie, a jego ludzie, których oszczędziły strzały Partów, padną z ręki nowego wroga.

Yueh-chih było zbyt wielu. Na miejsce jednego zabitego, czy dwóch strąconych z koni, pojawiali się kolejni, wynurzając się spomiędzy tumanów piasku i kurzu. Ich wrzaski wciąż się wzmagały, dzięki z nienawiści. Musieli wiedzieć, że ta karawana podąża do samego serca Ch'in i jest chroniona przez żołnierzy Cesarza.

Kości Rzymian, równie dobrze jak kości Ch'in, mogą zasłać słone pustkowia Takla Makan. Bębny, gongi, wiatr i krzyki były niby ciosy w głowę. Quintus słał

się...

Krzyk, wysoko ponad nimi, przebił mgłę. Przez jedną cenną chwilę wojownicze podmuchy wiatru pozwoliły ujrzeć skrawek czystego nieba. Było koloru intensywnego błękitu złamanego smugą złota, szybującą na wschód. Zatrzymała się dokładnie nad ich głowami i ponownie wydała ten przenikliwy krzyk - wezwanie orła.

Po chwili szalejące podmuchy wiatru zakryły znowu niebo kurzawą. Lecz w głowie Quintusa panowała jasność, taka jakiej nie zaznał od miesiący.

"Czy mi uwierzysz?"

"Mów" - spokojnie przywitał ten znajomy głos. Słyszał go tak często. Tak często uważał się za szaleńca, poddającego się iluzji. Był teraz na skraju śmierci. Nie było sensu walczyć z tym dłużej. Żałował tylko, że nie zobaczył ducha - swojego pierwszego "genius loci", ani tej wymarzonej kobiety, Draupadi.

"Są zbyt liczni."

Wybuchnąłby śmiechem, gdyby nie spieczone gardło.

"Musisz uciekać."

Kolejny powód do śmiechu.

"Dokąd możemy pójść?"

"Za mną."

Równie dobrze mógłby rzucić się teraz na swój miecz, oszczędzając Yueh-chih lub własnym ludziom kłopotów z zabiciem go, gdyby posłuchał demona i złamał szyk.

"Nie jestem demonem."

Nie jest demonem? Kiedy szalał "kuraburan", słyszał głosy demonów: chichoczące i grożące. Ten duch był inny. Brązowa figurka również się nie rozgrzała. Powinna przecież ostrzec go przed podszeptami złego ducha.

"Pokaż mi, jak?"

"Oto droga. Za mną! Poprowadzę cię."

- Nie możemy tu zostać! - krzyknął.

Rufus nie mógł ukryć zdumienia.

- Chcesz, żeby cię stratowali? Burza nie będzie trwać wiecznie, a gdy ucichnie...

Ssu-ma Chao spojrział na niego badawczo. Gdy Quintus uratował mu życie, myślał, że powodował nim obłąd. Teraz był zadowolony. Uwierzył, że Rzymianinem kieruje jakieś tajemne natchnienie.

- Czy to kolejna twoja przepowiednia?

Błogosławcie go, bogowie, nawet jeśli był ich pogromcą!

- Tak! Chodźcie za mną!

- Bierzcie wozy! - krzyczał Lucilius.

Na wszystkich bogów, ile zapłacili mu kupcy, że tak troszczy się teraz o ich dobytek?

- Może ochronią nas przed strzałami - Rufus poległ na swoim wieloletnim doświadczeniu starszego centuriona Legionu.

- Idźcie za trybunem...

Jeden z żołnierzy zaklął okropnie.

- Maszerujemy w t o?

- Wolisz, żeby z twojej czaszki ktoś pił wino?

Wozy skrzypiały, zwierzęta ryczały i rżały w proteście i ze strachu. Ktoś wrzasnął wściekle, gdy ugryzł go wielbłąd. Ktoś inny zaśmiał się niestosownie. A Yueh-chih nadciągali.

- Czekać na następny powiew! - krzyknął Quintus, zanim zdał sobie sprawę, że słowa wyprzedziły jego myśl.

Nie znał się na tutejszej pogodzie, lecz sporo wiedział o burzach. Najgorsze wiatry i deszcze, które pamiętał, ustawały nagle, wywabiając ludzi i zwierzęta z ich schronień krótką, spokojną, słoneczną przerwą, i atakowały znowu z większą jeszcze furią. Jak się spodziewał, nawałnica powróciła.

Choć tym razem mogła okazać się ich przyjacielem.

"Teraz."

Podmuch, na który liczył, uderzył z całą siłą.

- Naprzód! - zawył dziko niczym sam Yueh-chih.

Zwierzęta i wozy runęły pędem. Miał wrażenie, że posuwają się korytarzem, uformowanym z wirującego piasku. Cienie i zawodzenie - jakby rzeka lamentu, którą słyszał kiedyś w swoim śnie, toczyła swe wody poza "ścianami".

Nie czuł piachu na twarzy. Uniósł dłoń. Nie ciął jej żaden latający żwir. Piasek tworzył ściany przejścia, którym uciekali. Na zewnątrz ucichły triumfalne okrzyki Yueh-chih. Jak długo mogło trwać, zanim zorientowali się, że zdobycz zdołała umknąć?

"Idźcie, dopóki możecie."

Skinął ręką i krzyknął, a jego rozkaz przekazywano dalej, wśród nieładu

wozów i ocalałych zwierząt.

Pojazdy skrzypiały. Zwierzęta ryczały ze strachu, zmuszane do posuwania się w sam środek czegoś, co było tylko przerażającym wiatrem i bólem. Trzaskały bity; dźwięczały dzwonki przy uprzężach koni i wielbłądów; karawana brnęła naprzód.

Przekleństwa Luciliusa dobiegały jakby z góry. Na wszystkich bogów, ten przebiegły patrycjusz dostał się na rydwan Ssu-ma Chao, wdrapał na wieżyczkę i bezpiecznie jechał na czele karawany.

"Jeśli zaczniesz się teraz śmiać, nie będziesz mógł przestać. Rufus ogłuszy cię i załaduje na wóz. Co wtedy zrobisz?"

Wyrwał mu się trudny do opanowania chichot, ale zdołał stłumić kolejne wybuchy śmiechu, które mogłyby go osłabić.

Przebijali się przez piach. Maszerowali godzinami. Nigdy nie robili nic innego. Ich służba w Legionach przed wyprawą do Syrii, śmierć towarzyszy i prokonsula pod Carrhae, zdrada, uwięzienie - wszystko to było teraz takie odległe. Świat zawęził się do korytarza nieruchomego powietrza w samym środku straszliwej nawałnicy.

Czyżby śnił? We śnie nie dokuczają pragnienie ani głód - tego był pewien.

Maszerował miarowym krokiem legionisty.

Po dłuższej chwili Rufus zaintonował pierwsze słowa marszowej piosenki. Jego zachrypnięty głos zniekształcał i kaleczył melodię, lecz dośpiewał pieśń do końca, a część żołnierzy podchwyciła ją. Do licha, czyżby gwóźdź przebił podeszwę i wrzynał się Quintusowi w stopę? Na to wyglądało!

Równie okropnie brzmiały mamrotane hymny i szalone modlitwy do co najmniej trzech barbarzyńskich panteonów. Na sygnał Ssu-ma Chao wojownicy Ch'in cofnęli się, by kupcy nie wpadli w panikę i nie przebili ścian, zdradzając w ten sposób ich pozycję zgrajom Yueh-chih.

Wódz postąpił roztropnie, lecz Quintus pomyślał, że to spóźnione środki ostrożności. Maszerowali już wiele godzin i dotarli - jak daleko? Wyobraził sobie, że dalej, niż myśleli. Był wyczerpany jak po całonocnym marszu utrzymanym w tempie kawalerii.

Olbrzymi rydwan Ssu-ma Chao klekotał i skrzypiał tuż obok niego. Starszy oficer opuścił go już dawno, przyłączając się do swych ludzi. Lucilius jednak pozostał na wieżyczce. Quintus nie protestował. Potrzebny był ktoś na stanowisku

obserwacyjnym.

- Widzisz coś? - wołał od czasu do czasu do Luciliusa. Odpowiedzi były ponure i niejasne. Potem patrycjusz zamilkł zupełnie.

Arsaces zrównał się krokiem z Quintusem. Prowadził konie - on, który nigdy nie poszedłby pieszo, gdyby mógł jechać. Zatrzymał się; Quintus stanął więc także.

- Konie są wyczerpane. Jeśli nie damy im odpocząć - padną.

- Kiedy będziesz wiedział, gdzie jesteśmy - odpoczniemy - wysapał Quintus. Żałował, że się zatrzymali. Krótka przerwa wyrwała jego ciało z miłosiernego zubożenia, podczas którego ołowiane ramiona i nogi pracowały mechanicznie. Teraz grzbiet płonął mu od ciężaru zbroi, a kończyny szczypały, jakby wrzucono go do mrowiska.

Oczy Arsacesa nabiegły krwią.

- Deva ma nas w garści - mruknął.

Wlekli się dalej. Nikt nie zwracał sobie głowy pytaniem o cokolwiek czy mówieniem. Wszyscy byli zbyt znużeni. "Bona dea" - Quintus tęsknił za słońcem, wodą, nawet za tym, by położyć się na piasku i zapaść w sen.

"Chodź. Tedy."

Krzyknął bez słów. Wzdłuż linii marszu ludzie krzyczeli zmuszając wielbłądy i konie do nowego wysiłku. Do ich ostatniego wysiłku - tego Quintus był pewien.

- Lepiej, żeby to było szybko - powiedział.

"Jak myślę, do kogo ja przemawiam? Wszyscy śnimy i wkrótce będziemy martwi, błakając się po pustyni, po burzy i bitwie."

- Ha! - głos Luciliusa wzniósł się i załamał.

- Co... widzisz? - odchrząknął Rufus nie czekając, aż trybun zada pytanie.

- Wysoko w górze - odkrzyknął patrycjusz - chmury rozstępują się! - Jego głos załamał się ponownie, tym razem nie z pragnienia. - Na piersi Wenus! Widzę słońce!

Rozdział dziewiąty

Szybciej - mruknął Ssu-ma Chao. Jego rydwan zaturkotał, a wieżyczka na szczycie skrzypiała, gdy koła podskakiwały na skalistym piasku. - Słońce...

Żołnierze Ch'in popędzali ludzi i zwierzęta. Koń juczny spróbował podrzucić głową i zarżnąć wyzwanie, niczym bojowy rumak, lecz serce mu pękło, kolana ugięły się i padł martwy. Kupcy, zbyt zdesperowani, by zabrać juki, zepchnęli ciało zwierzęcia na bok. Po chwili zakrył je żółty piasek.

A oficer Ch'in wciąż zmuszał ich do zwiększania tempa.

Quintus spojrział zażawionymi oczami wzdłuż linii legionistów. Czy wytrzymają całodzienny marsz - cokolwiek nazwałbyś dniem w tym nie-miejscu zacinającego piasku - nie mówiąc już o przyspieszeniu kroku? Ich twarze były szare ze zmęczenia i pyłu, ale ich oczy błyszcząły.

- Tempo kawalerii - rozkazał. Pamiętał, jak maszerowali godzinami w gorącym, syryjskim słońcu, wyszydzeni przez nabatejskich i armeńskich zdrajców, dowodzonych przez prokonsula, myślącego tylko o swoim synu i jego konnych. Wszyscy skończą jak tamten koń - pomyślał, może z wyjątkiem Luciliusa. Chciał, żeby patrycjusz zszedł na dół i maszerował, jak przystało Rzymianinowi, ale...

- Słońce! I niebo! Jest błękitne. Na wszystkich bogów, jaki piękny dzień! - krzyczał Lucilius.

Wśród legionistów rozległy się słabe wiwaty.

- Podwoić tempo! - rozkazał Rufus.

Nagle promienie słońca przedarły się przez nieprzejrzyste ściany piasku, które tak długo były ich jedynym schronieniem. Jeden, potem drugi, potem siódmy; muskały ich czoła na podobieństwo matki, gładzącej rozgorączkowane czoło dziecka.

Ssu-ma Chao potknął się i upadł. Przytknął czoło do piasku, jakby składał hołd swojemu Cesarzowi. To, co spłynęło po twarzy pobliskiego żołnierza, żłobiąc czystą smugę w pokrywającej ją masce kurzu, nie było potem, także i to, co stoczyło się po policzku Quintusa...

Razem ze słońcem nadeszły orzeźwiające podmuchy wiatru. Ten wiatr był inny - przypominał zielone wzgórza i ukryte dolinki, błękitne mgły i cienie utraconego domu. Ukoił jego spieczoną skórę, jakby zanurzył głowę w górskim

strumyku. Łagodne podmuchy rozwiewały ściany tunelu - ich ochrony i pułapki. Pęd piasku i żwiru malał, a delikatne zawodzenie wiatru wznosiło się ponad najwyższe dźwięki fletu. Światło słońca przesączało się przez ściany, barwiąc ochry i szarości bogatym szafranem i złotem. A daleko przed sobą mogli ujrzeć jaśniejący błękit spokojnego nieboskłonu.

Płaczliwe modlitwy dziękczynne i zawodzenia wznosiły się ku niebu. Quintus mógł sobie wyobrazić pogrążonych w modłach barbarzyńców - klęczących i bijących czołami w skałę. Żaden Rzymianin nie złamał szyku: stali, oczekując rozkazów.

Lucilius zeskoczył z wieżyczki rydwanu, by dołączyć do towarzyszy.

- Dodałeś nam ducha podczas tego ostatniego biegu - powiedział Quintus.

Tym razem we wzroku patrycjusza nie czaiła się kpina.

- Ostatniego biegu, dokąd? - zapytał.

Być może miał już prawo do takiej ironii.

Piasek opadł z ostatnim westchnieniem. Zagubiona karawana stała pewnie na skale. Przed nimi rozciągał się wąski szlak, wiodący w dół, między wysokimi topolami i błyszczącymi rododendronami, do doliny otoczonej przez dwie skalne stromizny, sterczące niczym kolumny ustawione tu u zarania świata. Ścieżka - wystarczająco szeroka, by mogła umożliwić sześciu ludziom marsz ramię w ramię lub ostrożne przeprowadzenie wozu - prowadziła obok skalnej iglicy. Wycięcia w skale chwytały światło słoneczne, zbiegające się tam i tworzące świetlną kulę, rozsiewającą wokół promienie.

Poza iglicą, jak tylko sięgnąć wzrokiem, rozciągało się pole zieleni, urozmaicone złotymi i czerwonymi kwiatami. Wierzby zwieszały gałęzie nad ciemnobłękitnym, górskim jeziorem. Dalej wznosiły się skaliste urwiska, osłaniające dolinę.

Cisza prawie śpiewała im w uszach. Dzięki bogom, żadnych krzyków, tętentu, bębnow ani świstu strzał Yueh-chih. Rzymianie i żołnierze Ch'in, nie potrzebując żadnych rozkazów, rozstawili się, by osłaniać resztki karawany, skręcającej ku wejściu do doliny. Jeden po drugim zdejmowali ciężkie zwoje zbędnej już materii.

Czy byli martwi? Quintus nie zauważył asfodeli. Żaden martwy nie mógłby być tak spragniony i wyczerpany...

- Jesteśmy daleko od rejonów, które znam - mruknął Ssu-ma Chao. - Nigdy nie słyszałem o tym miejscu i nie wiem, by ktokolwiek je ujrzął. Nie widzę gór, choć przysięgłbym, że przebyliśmy pustynię i jesteśmy w Niebiańskich Górach Północy.

Klasnął w dłonie. Kupcy, jeźdźcy i poganiacze słuchali go, wstrzymując spragnione zwierzęta, lecz ich oczy napawały się ucztą zieleni i błękitu, rozciągającą się poniżej.

- Kryształowa fontanna w samym środku pustyni - wyszeptał Arsaces. - Powinienem być wypić haomę, choć legenda mówiła o ogniu na pustkowiu. Rufus odchrząknął i poszukał miejsca, by splunąć.

- To mi wygląda na prawdziwą wodę - powiedział. - Będziemy tak stać i podziwiać?

Konie wrywały się do przodu. Nawet wielbłądy, porykując, przyspieszyły kroku. Siodła i pakunki wisały nisko na grzbietach zwierząt: garby, w których przechowywały wodę, czyniące z nich wytrwałych pustynnych podróżników, były teraz prawie płaskie. Jeden z wozów przewrócił się, gdy zwierzęta przechyliły go zbyt gwałtownie, by dotrzeć jak najszybciej do wody.

- Poczekajcie na swoją kolej!

Zerwał się wiatr, przynosząc kuszący zapach wody i roślin. W oczach Rzymian zaświeciła ta sama tęsknota, która kierowała zwierzętami. Quintus niczego nie pragnął tak mocno, jak wyciągnąć się przy tym błękitnym jezioru i ugasić pragnienie. Razem ze swymi ludźmi przyłączył się do innych, by okiełznać zwierzęta. Po przeżyciu pustynnej nawałnicy i ataku Yueh-chih, nie powinni paść teraz ofiarą własnej zachłanności.

Zwierzęta rżały i ryczały, gdy rozjuczone prowadzono je ku jezioru do upragnionego wodopoju. Drażniący pustynny kurz zniknął. Quintus przeliczył żołnierzy, kupców, zwierzęta i wozy.

Widział upadek tamtego konia podczas ich ostatniego zrywu. Co jeszcze stracili? Rannych przytroczono do wozów, przerzucono twarzą w dół w poprzek wielbłądów i juczych koni bądź przywiązano do wierzchowców.

- Ten nie przetrzyma nocy - Arsaces wskazał kupca, kurczowo trzymającego się jednego z ładunków. - Przynajmniej będzie się mógł napić w chwili śmierci.

"Nikt nie umrze."

- Panie, nic wam nie jest? Tak dziwnie wyglądacie...

- Wszystko w porządku - Quintus machnięciem ręki odprawił pytającego z troską mężczyznę. Rzymianie zawdzięczali swoją kaleką wolność wierze Ssu-ma Chao, że przyniosą mu szczęście: nie wolno więc nikogo straszyć. "Ani - pomyślał z chłopską przebiegłością - pozwolić im wiedzieć."

"Jesteś mądry, mimo żeś wojownik, a nie kapłan. Zawsze tak sądziłam."

Karawana chwiejnie mijała go w swojej drodze do bezpiecznego schronienia. Pytał, czy kogoś stracili, lecz jego słowa tonęły w hałasie kół. Ludzie z Hind, Persowie. Nawet wozy grubasa, tak przestraszonego pod Merv, i on sam, już nie taki tłusty i dzięki temu zwinniejszy.

Następnie, prowadząc konie, ze spuszczoneymi głowami i zasłoniętymi twarzami, przeszli kupcy. Ci, których Quintus widział w nocy, kiedy wydobył się z otchłani długiego, długiego snu. Widział ich i nie ufał im - pociągłe twarze, uciekające spojrzenia i zaciśnięte usta. Było ich - ilu?

Na pewno więcej niż tych, którzy przechodzili teraz pod jego spojrzeniem. I wtedy były wśród nich kobiety... Czyżby część ich wyprawy zginęła od mieczy Yueh-chih? Czy też zdecydowali się uciekać na własną rękę?

Jako ostatni nadeszli żołnierze. Światło słońca rozbłysło nad ich głowami, skrywając je na chwilę. Gdy szlak zakręcił wokół iglicy z ciemnej skały, zasłaniającej widok na jezioro poniżej, zatrzymali się. Konie i wielbłądy znarowiły się i trzask batów oraz klątwy w języku, którego Quintus nigdy nie słyszał, zmusiły zwierzęta do cofnięcia się w górę zbocza.

- Nasze zwierzęta... nie mogą tędy zejść - rzekł jeden z kupców z zasłoniętą szczelnie twarzą. - Rozbijemy obóz tu... na zewnątrz.

Uniósł dłoń, przerywając instynktowne protesty żołnierzy. - Mamy zapasy.

Quintus nie widział jeszcze grupy tak oszczędnie gospodarującej swoimi zasobami. Niech pozostaną spragnieni. Niech ich zwierzęta jedzą starą paszę, gdy świeża, zielona trawa czeka na zebranie.

- Zapłacimy wam - złotem - za przyniesienie wody.

- Nie wiedziałeś o tym? - syknął Lucilius. - Równie dobrze mógłbyś im pozwolić odejść ich własną drogą. Zrobią to i tak.

- Kupcy! - tym razem Rufus naprawdę splunął, obserwując obcych, rozkładających obóz na obrzeżu doliny.

Oczy trybuna, centuriona i oficera Ch'in spotkały się w doskonałym porozumieniu: tej nocy i każdej następnej trzeba ich będzie dobrze pilnować.

Mogli nareszcie ruszyć ku wodzie i dać odpocząć spragnionym ciałom. "Najpierw woda" - pomyślał Quintus. Potem może trafi się jakaś ryba czy nawet ptactwo wodne, żerujące w pobliżu jeziora. W tej chwili mógłby prehandlować całe swoje gospodarstwo za odpoczynek - dla niego i reszty Rzymian.

Cienie w dolinie zaczęły się wydłużać. Niebo nabrało koloru indygo, a promień słońca padł ukośnie na ścieżkę, wskazując kierunek.

Skinął Rufusowi, który podniósł poobijaną pałkę.

- Pokażemy im, jak to robią Rzymianie - wychrypiął.

Ustawili się w szyku i zaczęli marsz - "rzymski chód, rzymski lud" - w dół szlaku, do ocalenia i bezpieczeństwa. Nawet jeśli kamienne płyty pod stopami nie były tak dobre jak drogi Republiki, to przynajmniej nie ruszały się pod nogami.

Gdy przechodzili, kolejny promyk - zmierzający, jak oni sami, na zasłużony odpoczynek - uderzył w skalną iglicę. Może to była tylko iluzja, lecz Quintusowi wydało się, że zobaczył wyrzeźbionego w skale siedmiogłowego węża.

Czekał, aż głos, prowadzący go ku bezpieczeństwu lub obłędowi, da jakieś wyjaśnienie. Nie doczekał się. Lecz wydawało mu się, że brązowy talizman emanuje otuchą.

- Wiem - powiedział mu - dalej naprzód.

Przeszli pod osłoną skalistej iglicy i wkroczyli do okrągłej doliny tak czystej, że przyprawiała o ból serca.

Ogień trzeszczał, rzucając długie cienie na brudne namioty, które Rufus kazał rozbić nawet tutaj. Quintus zadygotał. Ciepło, delikatny wietrzyk, gotowana strawa, świeże ubranie, zimna woda wysychająca na włosach, a nawet dobrze znajome obozowe odgłosy - naprawianie ekwipunku czy stukot kości - były luksusami, o których dawno już zapomniał.

Ostatni promyk słońca błysnął na horyzoncie, niczym oko zasypiającej chimery, ponaglając dolinę do udania się na spoczynek. Nie wszyscy jednak mogli, czy chcieli to zrobić. Jedni stali na warcie, inni siedzieli do późna, czuwając przy rannych i umierających ludziach i zwierzętach. Kiedy Quintus upewnił się, że ostatni palik został wbity, bandaż owinął ostatnią ranę i wszyscy spoczęli na swoich miejscach, poczuł, że też może odpocząć. Drugi trybun udał się już na spoczynek i nawet Rufus ziewał okrutnie.

Ale nie mógł usnąć. "Sprawy zaszły zbyt daleko" - powiedział sobie.

Wyczerpanie, otepiałające jego umysł i ciało - gdzieś zniknęło. Chętnie porozmawiałby z Arsacesem - założyłby się teraz o żold, którego już nigdy nie otrzyma, że perski sojusznik wie coś więcej o tym miejscu. Jeździec jednak zniknął, określając wcześniej dolinę słowem: "pardesh" - "ogród". Quintusowi bardziej stosowne wydawało się określenie raj Złotego Wieku.

Przekręcał się z boku na bok, protestując przeciwko przymusowi pozostawania w namiocie w tak piękną noc. Jako chłopiec uwielbiał wymykać się nocą z domu i wędrować po okolicy. Czasami zasypiał nad rzeką. Wstał i otulił się płaszczem. Gdy tylko wyszedł z namiotu, cofnął się po miecz.

Jego buty zachrzęściły na zdeptanej, długiej trawie i skałkach obozowiska, wywołując anonimowy sprzeciw wobec głupoty kogoś, kto jeszcze jest na nogach... Skargi przeszły w prychnięcie, po czym umilkły.

Skinąwszy zewnętrznym strażom, wymknął się z obozu w mrok. Woda przyciągała go jak zawsze. Szybko odnalazł szlak, wiodący wokół jeziora. Usłyszał plusk, który zdradził mu, że zbliża się do jakiegoś potoku lub wodospadu. Zatrzymał się przy głazie, wyglądającym jakby jakaś gigantyczna ręka rozłupała go na dwie połowy. Nie znał tej okolicy. Mądrzej byłoby poczekać, aż oczy przyzwyczają się do światła gwiazd i księżyca.

Wartki pęd wody huczał coraz głośniejsze. Nie był to więc strumień, lecz jeden lub kilka małych wodospadów. Pomyślał, że powinien wrócić do obozu po pochodnię. Skały mogły być niebezpieczne. W Azji, jak wiedział, żyją śmiertelnie jadowite węże. Mimo to podążył naprzód, stąpając ostrożnie. Błogosławieństwo mgły dotknęło jego twarzy i powiek.

Księżyc dawał dostatecznie dużo światła, by mógł dojrzeć cel - szerokie płyty i skalne cokoły, nad którymi zwieszał się olbrzymi, płaski kamień; woda spływała z niego kaskadami w prawo i w lewo. W ten sposób uformowało się naturalne pomieszczenie. Stał teraz przed jego "wejściem". Zajrzał do środka.

Wewnątrz ogrodzenia i nawet w stojącej wodzie na samym brzegu sadzawki odbijało się światło, jakby zamknięte w szkle i zabezpieczone przed rozproszeniem. Poczul zapach cynamonu i pachnących olejków.

- Dalej, podróżniku - dobiegł go ironiczny głos. Dotknął figurki tancerza. Światło zaśniło na jej wzniesionych ramionach, jakby istota znana jako Kriszna raz jeszcze zaczęła swój taniec, taniec żałoby i radości. Nad głową rozległy się dźwięki fletu i rogu, których Quintus nigdy przedtem nie słyszał.

Ostrożność nakazywała, by wrócił natychmiast do obozu. Doskonale wiedział, co powie na to Rufus - a jeśli chodzi o dziadka, był pewien, że staruszek każdy następny krok określiłby zdradą Rzymu, a także "lares" i "penates" ich starego, umęczonego rodu.

"Nie przeżyłbym tak długo, gdybym był ostrożny" odciął się Quintus w

myślach. Poza tym, być może, oszalał po tamtych ciosie w głowę i wszystko wokół jest tylko fantazją obłąkanego.

Jeśli tak, to jest to najprzyjemniejszy sen jaki śnił dotąd. Wszedł po mokrej skale w głąb skalnego pokoju. Był większy niż przypuszczał, przechodził w rodzaj tunelu, prowadzącego od wodospadu do naturalnej przegrody. Topole kołysały się obok wysokich klifów, otaczając okrągłą sadzawkę, będącą nieomalże miniaturą jeziora. Pośrodku, wystając ze skalnego korytarza, było coś, co przypominało scenę.

W jej rogach migotały pochodnie, a małe światełka unosiły się w metalowych czarkach na wodzie, tańcząc na falach. Skala pokryta była dywanami, bogactwo pokrywających je wzorów i faktury mogło stać się obiektem pożądania każdego perskiego księcia lub maga. Słodki dym unosił się z kadzielnic, rzeźbionych w zawile wzory: Quintus czuł cynamon i bogatsze zapachy mirry i drzewa sandałowego. Na dywanach ułożono olbrzymie bursztynowe, rdzawe i ciemnoczerwone poduchy. Oparta o stertę najbogatszych poduszek, spoczywała postać o twarzy osłoniętej szafranem...

- Stój!

Ktoś krzyknął po łacinie. Quintus zatrzymał się gwałtownie. Jego ręka błyskawicznie opadła na rękojeść miecza. Gdyby oparł się plecami o skałę, wrogowie nie zaszliby go od tyłu.

- Kim jesteś, że ośmielasz się mnie powstrzymać? - zapytał, stanąwszy bezpiecznie tyłem do kamienia. - I skąd znasz mój język?

Światło skoncentrowało się wokół niego i ujrzał starca o spalonej słońcem skórze, siwych, przeredzonych włosach i czerwonym znamieniu, błyszczących niczym ciemny klejnot na jego czole. U stóp starca leżały: wielka muszla, lotos, dysk, topór i rozwinięty zwój - brakowało tylko miecza. "Arogancki, stary głupiec" - pomyślał Quintus. Ale nawet starzy głupcy mogli być aroganccy, gdy mieli za sobą wojowników.

- Znam wszystkie języki. I zawsze rozpoznam żebraka. Nie potrzebujemy tu żadnych żebraków. Wynoś się!

Nawet w najgorszych dniach wyczekiwania w przedpokoju możnych patronów, Quintus nie doznał takiej obrazy. Światło uchwyciło profil starego człowieka, rzucając zniekształcony cień na skalną ścianę. Przez chwilę Quintusowi wydało się, że widzi wizerunek zwierzęcia, podobnego potworom, które Hannibal przeprowadził przez góry i pragnął skierować na Rzym. W rozkazie staruszka

brzmiało aroganckie trąbienie słonia.

- Nie jestem żebrakiem, lecz Rzymianinem.

Pragnął, by spowita w szafran osoba obróciła głowę, by na niego spojrziała. Chciał się przekonać, czy jego sen stał się rzeczywistością... czy też wszystko wciąż jest iluzją. "Rzymianin, tak, który zawdzięcza życie obcym i wciąż jest od nich zależny."

- Żebrak i ostrze do wynajęcia - szydził starzec. - Być może złodziej. Mogłem urodzić się dzisiaj, ale rozpoznam rabusia, gdy go zobaczę.

- Rzymianin - powtórzył cicho Quintus. - Czy pozwolisz mi przejść?

Zbyt było upokarzające to wyzywanie i wykpiwanie w obecności otulonej w jedwabie kobiety. Mógłby być jej sługą, niech więc płaci mu za uprzejmość.

- Idź swoją drogą, kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś. Nie ulegnę twoim błaganiom.

- Więc ich nie usłyszysz - warknął Quintus.

Jego miecz rozbłysnął w jednej chwili. "Co ja robię?" spytał sam siebie, próbując powstrzymać cios. Uderzenie chybiło i broń zadźwięczała o skałę. Z kamienia posypały się skry. Ku jego upokorzeniu główka miecza roztrzaskała się.

Gorszy jednak nad to, co się stało, był widok buchającej krwią szyi starca i jego głowy o rozwianych, rzadkich włosach i szeroko otwartych, błyszczących oczach, toczącej się po skałę, by z pluskiem wpaść do wody. Światło przygasło na chwilę i Quintus wyobraził sobie łeb słonia spoczywający na pulchnych, zaokrąglonych ramionach staruszka.

"Jupiterze Optimusie Maximusie" - pomyślał - co ja zrobiłem?" Światła tańczyły na wodzie, niczym pochodnie w dłoniach płasającej figurki z brązu.

Rozdział dziesiąty

Usłyszał śmiech podobny do melodii słodkich dzwoneczków. To śmiała się kobieta, spoczywająca na poduszkach i kilimach. Starzec przyłączył się do jej rozbawienia.

- Kolejna pomyłka?! - zawołała.

Quintus pomyślał, że do końca życia nie dowie się, czy przemówiła po łacinie, czy nie; jej głos był jak jej skóra - ciemnomiodowy. Nieważne było znaczenie jej słów, liczyło się tylko to, że przemówiła.

- Ach nie, Draupadi! - odkrzyknął starszek. - Jeśli chodzi o niego, nie mógłbym się pomylić. Nie, skoro nie pomyliłem się wcześniej - pierwszego dnia mojego życia.

Obrócił się do Quintusa, który podniósł strzaskane ostrze zastanawiając się skąd teraz weźmie nowy miecz. Będzie musiał pójść do Ssu-ma Chao i poprosić go o broń. Starzec był więc jasnowidzem, nazywając go żebrakiem. Ze smutkiem schował metalowe szczątki do pochwy.

- Postępujesz mądrzej niż bóg, paniczku. Po prawdzie, przewyższasz mego ojca, Sziwę, który zabił mnie w dniu mojego urodzenia. Narodziłem się w pełni dojrzały i moja matka, Parvati, kazała mi pilnować drzwi, by nikt nie przeszkadzał jej w kąpieli. Pojawił się mój ojciec i chciał wejść, lecz ja, w swym niedoświadczeniu, odprawiłem go. Rozgniewany uciął mi głowę i wyrzucił ją daleko poza Dach Świata.

Quintus potrząsnął własną głową, jakby sprawdzając, czy wciąż tkwi bezpiecznie na ramionach.

- Moja matka wpadła w rozpacz. Aby uśmierzyć jej smutek, Pan Wszystkich Światów wziął pierwszą głowę jaką miał pod ręką - a tak się złożyło, że była to głowa słonia. Kładąc mi ją na ramionach, przywrócił mnie do życia. Odtąd szukam wyłącznie zrozumienia.

Podniósł zwój.

- Witaj w swojej części tej historii, młody władco.

Kobieta, siedząca naprzeciwko niego, ponownie wybuchnęła śmiechem. Delikatne bransolety z muszelek zadźwięczały na jej nadgarstkach.

- Twe wyjaśnienia nie wystarczą, Ganesio. Czy właśnie takim ma być nasz

oredownnik - zmieszany i wąpiący? Nie tak wyglądał Arjuna w dniu, gdy mnie wygrał i zabrał do swego domu.

- Pozwól, że wyjaśnię ci tę historię - powiedziało stworzenie - człowiek, bóg, jedni bogowie wiedzą, co - noszące imię Ganesia. - Ktokolwiek ją słyszy i pojmuje chociaż w drobnej części, wymyka się łańcuchom, wykutym przez uczynki - dobre i złe. Osiąga zwycięstwo, bo taka jest jej moc. Człowiek, który opowiadają zaintrygowanym słuchaczom, daje im w prezencie Ziemię i jej morza. Zostań ze mną i powiedz mi...

Przerwał i pokręcił głową.

- Tak jest niedobrze. Teraz moja kolej, by opowiadać, a nie zapisywać, czyż nie?

Quintus zamrugał oczami, nie spodziewając się, że te słowa są skierowane do niego. Jeszcze chwila i albo wybuchnie śmiechem, albo ucieknie.

Ganesia klasnął w dłonie.

- Dobrze więc, pójdź za mną.

Poprowadził go ku wymoszczonemu poduszkami podwyższeniu, unoszącemu się na jaśniejszej sadzawce i wskazał stos poduch, który niewiele ustępował wielkością temu, o który opierała się Draupadi.

Ta pochyliła się i napełniła mu pucharek pachnącym napojem ze złotego, bogato inkrustowanego dzbana.

Starzec zarzucił Quintusowi na szyję wieniec z kwiatów i białych szarf.

- Czynimy to, by cię uhonorować - wyjaśniła mu kobieta.

- Na co czekasz? - zapytał skryba. - Siadaj, siadaj, siadaj! A ja zacznę.

Quintus odstawił pucharek. Myślał teraz tylko o swoim mieczu.

Draupadi roześmiała się, zachwycona.

- Oferujemy mu kadzidło, oferujemy mu historie, nawet oferujemy mu "amrita" - wspaniały, niebiański nektar, a on martwi się o broń. Doprawdy, oto wojownik, jakiego szukamy.

"Czy jesteś jednak tym, którego j a poszukuję?" - zdawały się pytać jej podkreślone antymonem oczy. Zapach drzewa sandałowego bił od jej włosów, a linia czerwieni błyszcząca w miejscu, gdzie je rozdzieliła i upiększyła klejnotami. Wieniec z kwiatów leżał za nią, a woń unosząca się z pucharu była przejmująco słodka.

Czy uległby jakiejś przemianie, gdyby to wypił? Czy mógłby dźwigać, jak Ganesia, głowę słonia? "Ośli łeb jest bardziej prawdopodobny - pomyślał - kara za

oddalenie się od obozu i słuchanie, chociaż przez chwilę, tych szaleńców." Kirke zamieniła ludzi Ulissesa w świnie, a grecki bohater zagroził jej mieczem. Ale jego miecz roztrzaskał się o skałę.

Znów napotkał wzrok kobiety. W jej głębokich niczym Morze Śródziemne oczach odbijał się otaczający ich ogień. W płomieniach uformowały się postacie: jego bracia - Pandawas; złotooki król, który przegrał Draupadi w kości i wpędził ich w wojnę; jego wróg, który posiadał broń, czyniącą go niezwyciężonym - dopóki on... Arjuna... nie znalazł oręża, by go pokonać.

- Taki sam wieniec dałam memu mężowi. Był nim Arjuna, który wszystkim, co zdobył, musiał się dzielić z braćmi. W ten sposób poślubiłam pięciu braci. Nazywasz się... - przerwała, jakby szperając w pamięci w poszukiwaniu imienia - Quintus. To oznacza "pięć", nieprawdaż? Weź więc wieniec!

Trzymała go w szczupłych dłoniach. Jeszcze chwila, a zarzuci mu go na szyję, co przywiąże go do niej na zawsze. Wieniec musnął mu włosy.

Zerwał się na równe nogi tak szybko, że brązowa statuetka tancerza upadła na dywan.

- Kriszna! - zakrzyknął skryba. - Ty i on byliście wielkimi przyjaciółmi, odkąd... powiedz, pamiętasz...

- Drzewo... - potrząsnął głową Quintus. Cudze wspomnienia znowu opanowały jego myśli. Ironiczna, tajemnicza postać, której dyskretny humor skrywał umysł wielki jak niebiosy. Jestestwo poświęcone... jemu? Oczywiście, nie jemu. Arjunie, temu herosowi z dziwacznych, hinduskich opowieści.

- Dano mu wybór: armie lub Kriszna, jako jego woźnica - i wybrał Krisznę. On. Arjuna. Potrząsnął głową, próbując oddzielić własne myśli od tamtych legend.

Nie chciał wspomnień Arjuna. Ale mały tancerz był dla niego cenny, więc pochylił się i podniósł go. Kpiarskie dźwięki fletu rozbrzmiały mu w uszach.

- To magia - rzucił oskarżycielsko. - Same iluzje. Jestem pewien, że złamanie mojego miecza to też magiczna sztuczka.

Sięgnął po skórzaną pochwę i wyciągnął miecz. Ostrze zaśniło w świetle ognia, potem zamigotało... Błękitne wzory zatrzepotały na całej długości klingi. Nawet dotyk rękojeści był dziwny. Spojrzał na nią: była ozdobiona żabami.

- Oręż Arjuna - wyjaśnił Ganesia notując coś skrupulatnie.

Wówczas ostrze ponownie zmieniło kształt. Rzymski wzór, najwspanialszy na świecie. Przynajmniej zawsze tak uważał.

- Iluzje - wyszeptał. - Czy to wszystko jest złudzeniem?

Nagle zmroził go lęk.

- Czy to sen?

Czy obudzi się z krzykiem, wykrwawiając się na śmierć od strzał Yueh-chih?
Lub przebudzi się z opuchniętym językiem, umierający z pragnienia po strasznej
klęsce swoich żołnierzy?

- Iluzja? - podchwyciła jego słowa Draupadi. - Znasz iluzje. Pamiętasz? Maja, bóg złudzenia, wykonał "namaste", dotykając stóp twego brata. Ogłosił się wspaniałym artystą, owładniętym pasją tworzenia. A ty poprosiłeś go o pałac, którego nikt nie zdołałby skopiować.

Ganesia rozwinął zwój.

- Tak jest! Na papirusowej wstędze widniały dwa płaskie dźwigary stropowe, lśniące niczym twarz boga, obramowane złotem i wysadzone złotymi kwiatami, błyszczącymi od brylantów. Wieki temu Kriszna umieścił je na północnym zboczu Matki Świata.

- Kto tam mieszkał? - spytał Quintus.

- Ty - to znaczy: Arjuna - pokiwał głową Ganesia. - My wszyscy, przez długi czas. To był twój dom, w którym znalazłeś miłość i smutek, szczęście i śmierć. I niczego nie pamiętasz. No cóż, Koło obróciło się dla nas wszystkich. Przypomnisz sobie.

- Maja zbudował pałac. Przed frontowymi drzwiami umieścił świetliste drzewo o liściach z rżniętych szmaragdów, żyłkowanych złotem. Przeniósł wyrosnięte już drzewa i założył park; sprowadził śpiewające ptaki, by zamieszkały w ich koronach; utworzył stawy i sadzawki, zarybił je i ozdobił kwiatami. A gdy skończył...

- Czy to był pałac Mai?

- Być może - odrzekła Draupadi. - Wszystko jest złudzeniem.

Jej oczy posmutniały.

- Więc jestem martwy?

- Iluzja może być równa rzeczywistości - odparła. - Przywiedliśmy cię tutaj. Jeźdźcy, którzy chcieli cię zabić, byli prawdziwi. Burza, którą przeżyłeś, była realna. Użytek, jaki z niej uczyniliśmy, by cię osłonić, gdy pędziłeś poza kręgami świata, był iluzją. Tak jak ukrycie twego miecza.

- Jego zniszczenie było więc iluzją.

- Nie. On naprawdę złamał się na skale. Nosisz miecz Arjuna, byś mógł

wrócić do swoich żołnierzy i zapewnić nam ich pomoc.

Quintus powoli splótł ręce na piersi. Biała szarfa i kwiaty dotknęły jego kolana. Odepchnął je.

- Skoro jesteście wystarczająco potężni, by wezwać na pomoc samą pustynię, nie potrzebujecie moich usług. Jesteśmy więźniami. Pozwolono nam mieć broń tylko dlatego, że pustkowia są bardziej niebezpieczne niż oddaleni od domu Rzymianie.

- Czemuż więc nie odwrócisz się i nie odejdiesz? - spytała Draupadi. - Niektórzy tak właśnie zrobili.

Ganesia spojrział na zwój jak na mapę.

- Ukryli naszego Orła. - Wiedział, że nie mogą zrozumieć. Jak mógł im wyjaśnić, tym nierealnym mieszkańcom iluzji, co dla Rzymian oznaczał Orzeł? Wyglądali na Hindusów. Może powinien przytoczyć przykład Aleksandra, który zapuścił się w te dalekie strony. Zaschło mu w gardle. Nigdy nie był uczonym, nigdy nie miał zbyt dużo czasu na studia, czy na dobrego nauczyciela. Nawet Lucilius opowiedziałby tę historię lepiej od niego.

- Lojalny - przemówiła. - Bardzo dobrze. Jesteś tutaj. I oni tu są. I talizmany. Patrz!

Wyłuskała jedną z delikatnych muszelek z bransolety, ozdabiającej jej smukły nadgarstek.

- Miażdżę tę muszelkę. I rozrzucam kawałki... o, tu... i tu... i tu...

Upuściła lśniące skorupki na bursztynowy dywan.

- A teraz pragnę ją odzyskać. Tak bardzo pragnę, że zrobię wszystko, by ją znowu mieć. Zbieram więc odłamki - jej palce, zakończone migdałowymi paznokciami, pracowicie odnajdywały fragmenty muszli a następnie łączę je ze sobą, bo przecież pamiętam ten kształt.

Uniosła dłoń, na której spoczywała nienaruszona skorupka.

- Kolejna gra cieni?

Ganesia potrząsnął głową:

- To była prawdziwa przemiana. Rozwinęłaś się, Draupadi.

- Chciałabym wykroczyć poza iluzje. Potrafię połączyć cienie w odpowiednie formy. Mogę nadać im kształt, który uratuje ludzkie życie. Umiem wziąć odrobinę materii świata i zmienić ją. Ale nic więcej, przynajmniej bez pomocy.

- Słyszałem - powiedział Quintus - że Hindusi są potężnymi magami.

Jego głos był bardzo suchy. Puchar u jego stóp kusił, lecz nie odważył się z

niego napić.

- Ten napój ochroni cię przed ranami - rzekła Draupadi - i uczyni prawie nieśmiertelnym. Jeśli go odtrącasz, napij się z sadzawki.

- Nie pochodzimy z Hind - odezwał się Ganesia. - Och, później, zanim zmieniły się gwiazdy i wypędzono nas ponownie, żyliśmy tam... w pałacu, który Maja zbudował na twoje... Arjuna... polecenie. To był nasz dom i wierzymy, że wkrótce go odzyskamy.

Quintus był coraz bardziej niespokojny. Zgodnie z prawem powinien wezwać swych ludzi lub Ssu-ma Chao, by obezwładnili szaleńców. Miał jednak wątpliwości, mogli być przecież wyrocznią. Najświętsze wieszczki uważane były często za obłąkane. Myślał o kobiecie, siedzącej przed nim na trójnogu o nóżkach oplecionych przez węże, gdy dymy unosiły się ze szczeliny w ziemi, a sny spływały z jej ust.

- Daleko zarzucacie swoje sieci, skoro zdołaliście złapać kogoś takiego, jak ja.

- Sieci! Teraz zaczynasz rozumieć - Ganesia pokiwał głową z aprobatą. -

Dawno temu była tu równina, bogata w wodę, żyzne pola, lasy i jeziora. Potężne miasto wznosiło się niedaleko stąd, miasto ludzi, którzy przywędrowali tu z Dalekiego Wschodu, z krainy znanej jako Mu. Przybyli tutaj, do miasta Ujgurów. I dalej, na wyspę morską, teraz zatopioną...

Quintus miał spocone dłonie. Tyle pamiętał z Platona.

- Zatopiony ląd - Atlantyda.

- Jak powiedziałeś, zarzucamy sieci daleko. Jak fale, które zalały nasze miasta. - W głosie Ganesii brzmiał smutek. Łza stoczyła się po policzku Draupadi. - W noc najczarniejszego zła wysłano fale, które ze wściekłością spadły na równinę, zamienioną przez Ujgurów w córkę godną Ojczyzny. Ogromne skały strzaskały kolumny naszych świątyń, pałaców i teatrów. Ci, którzy zdołali - uciekli. Gdy obejrzelśmy się za siebie, ujrzelśmy tylko zniszczenie. Głazy zdarły glebę, odsłaniając nagą kość Ziemi. Kraina wyschła i pojawił się piasek, by pogrzebać ruiny naszej chwały. Lamentując pokonaliśmy góry i dotarliśmy do Hind. Dokonali tego ci z nas, którzy nie poddali się rozpacz, nie spadli z gigantycznych szczytów ani nie umarli z braku powietrza. Zeszliśmy na bogate pola, przypominające nam kraj, który utraciliśmy. Jego mieszkańcy przywitali nas nad brzegami świętych rzek. Gdy przedstawiliśmy się i opowiedzieliśmy o naszej tragedii, ukłonili się do samej ziemi. Udekorowali nam szyje wieńcami i honorowymi szarfami. Zamiast "Naacal", imienia naszych kapłanów, usłyszeli "Naga" - nazwę ich świętych ludzi. Być może owe

"Naga" były lojalnymi córami Ojczyzny i Hind stał się klejnotem na Jej czole - tak jak Mu. Nawet symbol był ten sam. Draupadi?

Kobieta uczyniła gest dłonią. Powietrze nad najbliższą kadzielnicą zamigotało, zmieszało się z iskrami i utworzyło wizerunek siedmiogłowego węża, którego Quintus (jak sam siebie przekonywał) nie widział na ścianie urwiska.

- Węż - powiedziała. - W naturze człowieka leży strach przed nimi i to jest mądre. Lecz podobnie jak ognia, nie trzeba ich nienawidzić. Czyż wasi kapłani nie czczą węży?

Quintus uśmiechnął się na przekór sobie, przypominając sobie jak stawiał spodki mleka ogrodowej gadzinie, która gnieździła się niedaleko domowej świątynki.

Trudno było myśleć o tej przerażającej pustyni, którą przebyli z takim trudem, jako o dnie morza. Lecz przypomniał sobie gładkie, białe smugi, odsłonięte przez wiatr, a gdy podniósł wtedy szczyptę dziwnego piasku do ust, poczuł sól.

"Wciąż mógłbyś być na pustyni. Mogli użyć twojej głowy do tego, do czego użyli głowy prokonsula - do przerzucania się nią w zabawie ku uciechu barbarzyńców. Lub mogła być preparowana w namiocie jakiegoś Yueh-chih, by brudny rzemieślnik przerobił ją później na czarkę do picia."

Był więc winny tym ludziom przynajmniej wysłuchanie ich opowieści. Poza tym, trudno było oderwać wzrok od kobiety, mówiącej głosem podobnym do głosu jego "genius loci".

Popatrzyła na niego.

- Mówiłam ci: zarzucamy sieci naszych iluzji daleko, a sieci naszych wizji jeszcze dalej.

Spojrzał na statuetkę Kriszny.

- W waszym kraju macie piszczałki - flety, muzykę, taniec - mówiła - nie mogłyby istnieć bez niego, bez jakiejś formy jego obecności.

"Jest Pan albo Sylen." Jednakże wydało mu się bezużyteczne wypowiedzenie tych słów głośno.

Z uporem, który - jak sądził - pochwaliłby jego dziad, Quintus podjął rzecz, będącą według niego najbardziej przekonującym argumentem przeciwko temu szaleństwu:

- Pani, połamałaś tamtą muszlę. Potem przywróciłaś jej dawną formę - nie wiem, w jaki sposób. Lecz wiedziałaś, gdzie znajdowały się jej kawałki i wiedziałaś jak je połączyć.

- Znakomicie! - wykrzyknął Ganesia, klaszcząc pulchnymi dłońmi. - Spójrz do góry!

Quintus popatrzył w niebo. Gwiazdy ponownie rozkwitły, nawet jaśniej niż na pustyni.

- Widzisz konstelacje?

Ganesia wskazał te, które pokazywano Quintusowi, gdy był chłopcem.

- Kiedy byłem w twoim wieku, nie było Łowcy, Wielkiej ani Małej Niedźwiedzicy. Mieliśmy Nage, Koronę... ach, wszystkie one przeminęły. Konstelacje na niebie zmieniły się. A gdy pojawiają się nowe wzory, nastaje dla świata czas zmian. "Jako na niebie, tak i na ziemi." To czas przełomu. Nie wydaje ci się, że nie ma wokół porządku ani sprawiedliwości, że wszystko jest chaosem?

Ojciec zginął daleko od domu, piękna matka zwiędła i wyschła, dziadek długo umierał w swym łóżku, stracili ziemię. A potem zdrada na pustyni, pełzanie wśród piasków węży, zniknięcie iluzji, która miała ich ocalić.

"A jeśli nie jesteś szalony, lecz normalny i czujesz, że wszystko dokoła jest niezrozumiałym chaosem?"

Usiadł, przykładając honorową szarfę do czoła.

- Czy widziałeś kiedykolwiek - spytała Draupadi - mężczyzn lub kobiety, przypominających Ganesię i mnie? Którzy wyglądają tak jak my, ale z którymi nie zasiadłbyś do wieczerzy, ani nie wysłuchał ich opowieści, chyba że zbrojny w silne amulety?

Przesunęła dłonią nad wodą sadzawki i ukazały się twarze.

- Czy widziałeś kogoś, wyglądającego tak jak oni? Ciemne włosy; przymknięte mroczne oczy; wąskie, zaciśnięte usta; szlachetny ale budzący grozę wygląd.

Bliźniaczo podobni do Draupadi, być może, ale w tym samym stopniu poświęceni Ciemności, w jakim ona - Światłu.

- Oto Czarni Naacalowie - powiedziała. - Powstali, gdy gwiazdy utworzyły odpowiednie wzory. Zostaliśmy wyrwani z naszych odwiecznych rozmyślań, a ty ze swego dotychczasowego życia, by stawić im czoło.

Był obłąkany. Mogli go tutaj zostawić. Mogli go potem odnaleźć. I odszukaliby go, z twarzą wykrzywioną grymasem szaleństwa, z rozwianym włosom - gdyby nie obawiali się, że ucieknie.

- Draupadi!

Istoty zwące siebie Naacalami zeszywniały, jakby smakując powietrze, które drżało i wyraźnie zgęstniało. Od strony urwisk otaczających dolinę Quintus usłyszał szelest gigantycznych splotów. Schodzących w mrok, szukających ciepła obozu, życia jego ludzi...

- Nie!

- Stój!

Ganesia uniósł zwój. Draupadi rozłożyła ręce w geście, którym - jak już widział - przyzywała swoje iluzje. Powietrze nadal gęstniało, a szelest przybliżył się. Quintus obnażył miecz.

- Nie uda ci się zabić węża mieczem - powiedział Ganesia. - Potrzebujesz łuku - Gandivy - który tylko Arjuna potrafił napiąć.

- Nie jestem wam potrzebny - odparł Quintus. - Moim żołnierzom - tak. Pozwólcie mi do nich odejść.

- Powstrzymałam węża - iluzja przeciwko iluzji. Ale nie jestem wojownikiem, Ganesia też nie. Aby pokonać węża Czarnych Naacalów, musimy mieć człowieka wojny. Ciebie. A ty musisz mieć broń. Twój Orzeł pomoże w naszym dziele, którego musimy dokonać. Staniemy się ptakiem, unoszącym w szponach bezradnego gada. Może się nawet zdarzyć, że tak jak Arjuna - będziesz musiał odnaleźć śmiercionośny oręż, który mógłby spustoszyć ziemię. Lepiej, żeby nie trafił w ręce Czarnych Naacalów!

Quintus usłyszał kogoś, wołającego po drugiej stronie jeziora. Straż? Czy wartownicy znaleźli czyjeś zwłoki, czy też odkryli jego zniknięcie? Spojrzał w górę. Na horyzoncie zaczęły łopotać sztandary - szkarłatne, purpurowe i złote - razem z płomieniem nocnego nieba obwieszczały wojnę. Zaczynało świtać.

Spędził całą noc na rozmowie z tymi dziwnymi istotami - Naacalami czy duchami - czymkolwiek byli, przypominali do złudzenia "genius loci" jego dzieciństwa.

- Nadszedł czas - rzekł Ganesia. Podniósł wielką muszlę i zadał w nią, dobywając dźwięk, który doceniłby każdy trębacz.

- Zdradziłeś wasze położenie - zauważył Quintus.

- Oni nie szukają nas, szukają ciebie - powiedziała Draupadi. - I przynoszą wieści, które powinieneś usłyszeć.

Rozdział jedenasty

Panie! Trybunie!

Przez chwilę jego świadomość szybowała gdzieś w przestworzach. Gdy powróciła zwykła czujność, ujrzał tylko gołą ścianę - dywany, ozdobne poduszki, starzec z głową słońca i pulchnymi rękoma - wszystko to zniknęło. Tylko dwoje nieruchomych kapłanów czy wróżbitów w czystych, choć znoszonych szatach, wpatrzonych w słońce, jakby zanosili poranne modły. Smużki kadzidła unosiły się spiralą w powietrze, światła z pochodni mrugały, jakby wciągnięte pod fale.

- Trybunie! Gdzie jesteście?

Quintus znał tę chrypkę i wiedział, że pauza oznacza, iż Rufus sygnalizuje zwiadowcom, by otaczali brzeg, a oddział rusza naprzód.

W przejściu rozległ się nagle tupot. Żołnierze dzierżyli obnażone miecze, ich buty krzeszały iskry z kamiennego podłoża.

- Stać!

Rzymianie zatrzymali się, spoglądając ze zdumieniem na kaskady, sadzawki, kapłana i kapłankę, siedzących w pozycji "lotosu" naprzeciw ich trybuna.

Legioniści poprawili uchwyty na rękojeściach mieczy. Za nimi pojawił się Ssu-ma Chao w otoczeniu swojej straży. Poranne słońce mieniło się na jasnych włosach Luciliusa.

Rufus przeszył wściekłym wzrokiem nie kapłanów, lecz swojego oficera. Gromił go za niesubordynację i pozostawienie go z trybunem, któremu nie ufał. Quintus dziękował bogom, że jest oficerem i nie podlega władzy starszego centuriona.

- Ci ludzie nie mają broni. To przyjaciele - odezwał się Quintus. - Co chcesz zameldować?

Centurion wypchnął naprzód dwóch żołnierzy.

- Gajus, Decimus, opowiedzcie trybunowi to, co opowiedzieliście mnie. "I lepiej, żeby to była ta sama historia, jeśli wiecie, co jest dla was dobre." W jego głosie pobrzmiwała groźba.

Draupadi i Ganesia przerwali modlitwy, usiedli wygodnie, obserwując rozwój sytuacji ze spokojnym zainteresowaniem i bez lęku. Słońce oświetlało ich głowy. Zapowiadał się upalny dzień, nawet woda spływająca do sadzawki i bogata roślinność

nie dawały upragnionej ochłody. Trudno jest pozostać na straży w takim miejscu. Szum spadającego wodospadu obiecywał spokój i odpoczynek.

Quintus przypomniał sobie, że tych dwoje było adeptami iluzji.

- Panie, centurion rozkazał nam pilnować wozów, obozujących za ścieżką.

Dobrze pomyślane. Quintusowi od początku nie podobały się te wozy.

Podejrzana też była ich nieudana próba zjazdu do doliny.

Nie widząc szczególnego zagrożenia ze strony kapłana i kapłanki w podniszczonych sukniach, Rufus schował miecz. Wciąż nosił metalowy hełm. Z lubością uderzył pałką w dłoń.

- Spanie na posterunku...

- Panie, na wszystkich bogów, przysięgam: nawet nie przymknęliśmy oczu.

Obozowali; rozpalili ognisko; wyciągnęli zapasy - jękał się Gajus, zwalisty młodzik z prowincji Italii.

Za nim Arsaces zmagał się z tłumaczeniem jego słów na partyjski dla Ssu-ma Chao i jego żołnierzy, coraz bardziej zniecierpliwionych i podejrzliwych. Ganesia machnął nagle ręką, aż Pers spojrzał na niego zdumiony. Ssu-ma Chao parsknął śmiechem, po czym również zamilkł.

- Czy nie wydało wam się dziwne, że korzystali z zapasów, choć mieli tuż obok świeżą wodę i trawę?

Obydwaj legioniści niedostrzegalnie wzruszyli ramionami. Nigdy nie przebywali tak długo i tak blisko przedstawicieli tyłu nacji. Dla nich wszystko, co robili ci ludzie, było niezrozumiałe.

- Wówczas zaczął wiać wiatr. Chmura zasłoniła księżyc. Usłyszeliśmy syk...

- Słyszeliśmy go wcześniej, panie, w nocy, gdy się przebudziliście.

To było pod Merv, kiedy strach przed gigantycznym węzem opanował cały obóz - Quintus był pewny, że Draupadi i Ganesia pochyłili się naprzód, słuchając w skupieniu jego opowieści.

- I dlatego uciekliście, czyż nie? - wycedził Lucilius.

Prześliznął się przez pierwszy szereg zbrojnych, by przyjrzeć się nieznanym istotom. Jego twarz rozjaśniła się na widok Draupadi. Pochwyciła jego spojrzenie i umknęła wzrokiem w bok.

- Nie, panie! - zaprzeczenie przyszło zbyt szybko i - pomimo różnicy statusu między nimi a patrycjuszem - zbyt gwałtownie.

- Więc słyszeliście... co? Coś, co wzięliście za węże? I podeszliście cicho, z

mieczami w pogotowiu, na wypadek, gdyby się zbliżyły?

Gajus trzymał rękę na piersi, jakby sięgając po jakiś amulet.

"Chłopcze - pomyślał Quintus o niewiele młodszym od siebie legionście - wiem, co czujesz." Mężczyzna zaczął się pocić, a białka błysnęły wokół tęczy jego oczu.

- Szelest... Pochodzę z Arpinum, panie, wyrosłem wśród pól, byłem też na pustyni, ale to było gorsze... To znaczy głośniejsze... Pojawiło się między nami a... kupcami. Zobaczyłem światło... och, czarne światło, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nie mogliśmy się ruszyć.

- Zastygliśmy jak zahipnotyzowani - przerwał Decimus. - Jak ptak, wpatrzony w wielkiego węża. Nie mogliśmy nawet zawołać o pomoc. Było tak, jakby wszystko wokół się gdzieś rozplynęło. Światło także potem zniknęło. Szelest ucichł i księżyc wyjrzał zza chmur. Oni odeszli, razem z wozami. Nie zostały nawet ślady kół, by wskazać kierunek, który obrali.

Draupadi klękła i pochyliła się nad wodą. Wyciągnęła dłonie i toń uspokoiła się.

- Czy to ci, którzy zaginęli?

Postacie poruszyły się w lśniących głębiach. Nawet Quintus, który widział wcześniej jej iluzje, był zaintrygowany. Oczywiście - tamte wozy, tamte zwierzęta i tamci pochyleni kupcy o twarzach zdrajców - choć tak podobni z rysów do kapłana i kapłanki przed nim - musieli być odbiciem czegoś.

Uniosła rozkazująco dłoń, wpatrując się w dwóch strażników. Ci kiwnęli potakująco i odwrócili wzrok.

- Zgubiliśmy coś więcej - powiedział Quintus. - Gdy przenieśliście nas tutaj... Za jego plecami rozległ się pomruk.

- ...wielu z nich brakowało. Myśleliśmy, że zabili ich Yueh-chih lub wybrali własną drogę, zdradzając swych towarzyszy.

- Ach, trybunie, zdrada jest zawsze metodą Czarnych Naacalów.

Ganesia zachichotał.

- Nie obawiajcie się, wojownicy. To miejsce jest chronione. Kiedy tu przybyliśmy, uciekając przez góry, wykorzystaliśmy nasze siły magiczne, by je osłonić. Gdy jechaliście tu, musieliście widzieć Nagę, siedmiogłowego węża.

- Nie mogliśmy przejechać - mruknął Ssu-ma Chao. Przez chwilę Quintus słyszał nosowe dźwięki mowy Ch'in, zanim zastąpiła je dystygowana łacina

szlachetnie urodzonego oficera.

- Nie ośmielili się. Jesteście - kim? Czarodziejami, alchemikami - czy prorokami?

Ssu-ma Chao wymierzył stal w Ganesię i zbliżył się, trzymając czubek ostrza przy gardle mężczyzny.

- Usłyszę twoją odpowiedź - warknął - lub wytnę ją z twojego podstępного gardła.

- Kolejny błąd - oświadczył Ganesia, gdy Draupadi krzyknęła. Quintus nie wiedział, czy mógłby oprzeć się jej błaganiom, gdyby to jego poprosiła o darowanie starcowi życia.

- Boisz się - rzekł skryba. - Wiesz, że nie jestem pierwszym, który podróżuje po tych krainach, zraszanych krwią żołnierzy przez twojego Syna Niebios.

- Wyglądasz na jednego z mnichów-żebraków z południa lub zachodu.

- To prawda, przybyliśmy spoza gór.

- Ale... - Ssu-ma Chao kiwnął głową w stronę kapłanki - ona jest potężną czarownicą.

- Ona nam wierzy! - Jeden z Rzymian podbiegł do Draupadi i, zapominając o dyscyplinie, upadł jej do stóp. - To wyrocznia, prorokini. Wie, że nie kłamię, klnę się na moją duszę!

Rufus postąpił naprzód, chwycił go za tunikę i odciągnął.

- Panie, jestem skłonny rzec, że on w to wierzy. Cóż innego mogłoby go skłonić do złamania szyku? To odważny żołnierz.

Szturchnął legionistę.

- To za opuszczenie formacji, reszta - wieczorem. Popamiętasz mnie.

Trudno jest się śmiać z ostrzem miecza na gardle. Ganesii to się udało. Czy, gdyby Ssu-ma Chao pozbawił go głowy, stary skryba powróciłby w postaci, którą wcześniej widział Quintus? Cień słonia zdawał się migotać na kamieniu.

- Pokaż wojownikowi, Draupadi. Szybko.

- Kolejny odważny - wtrącił Rufus.

Dwóch szlachetnie urodzonych oficerów uniosło brwi, patrząc na centuriona, który zasalutował im swoją pałką na tyle bezceremonialnie, że można to było uznać za zniewagę. Quintusowi przemknęło przez głowę, że wcale nie potrzebuje Ganesii, by zrozumieć myśli Rufusa. "Prokonsul, stary lis, nie żyje, a my jesteśmy daleko od Rzymu, chłopcy."

- Darujcie mu.

Słowa Draupadi podziały na rozgniewanych mężczyzn jak oliwa na wzburzone morze. Raz jeszcze rozpostarła ręce nad sadzawką, w której wozy, przestraszone zwierzęta i Czarni Naacalowie czekali na jej uwagę.

- Dopóki wszystko nie będzie gotowe, moje siły są ograniczone. Nie wiedziałam, że część z nich umknęła - zamyśliła się i przykłęła, wpatrzona w wodę. Jej gładka powierzchnia połyskiwała niczym płynny brąz, odbijając olbrzymi dysk wschodzącego słońca.

Tylko orzeł mógł patrzeć prosto w słońce, nie narażając się na oślepienie.

- Pani - zapytał Quintus - co z naszym Orłem? Widzę go, jak leci na zachód, nawet gdy ten, któremu służymy, zmierza na wschód.

- Orzeł! - Draupadi klasnęła w ręce.

Woda w sadzawce zmętniała. Obraz Czarnych Naacalów zniknął. Zastąpił go widok wzmocnionych ziemną ścian wysokiej wieży, z której żołnierze w mundurach Ch'in wysyłali strzałę za strzałą, podczas gdy inni podsycali wielki, dymiący ogień. Przez kłęby dymu przebijali się ludzie.

- Fort Miran! - krzyknął Ssu-ma Chao. - Któż zaatakowałby Imperium w samym sercu pustyni?

- Ci, którzy się jej nie boją - odparła Draupadi.

- Ci ludzie twierdzą, że mają wrogów, którzy mogą...

- My nic nie twierdzimy, trybunie - przerwał Ganesia. - Jeśli Czarni Naacalowie posiadą moc, której szukają, sprowadzą takie zniszczenie, że burza piaskowa, którą zdołaliście przetrwać, będzie wspomnieniem raj.

- Mój generał. Miasto Syna Niebios. Co się z nim stanie? - zapytał Ssu-ma Chao.

Dym zawirował w wodzie, która przyniosła teraz wyobrażenie oblężonego garnizonu. Chmura strzał przesłoniła broniących się wojowników. Ostrzał i dym z wieży trwały jeszcze chwilę. Później, gdy grad strzał ustał, dym zakłębił się, zakrywając całą scenę. Kiedy się rozwiął, wieża leżała w gruzach.

- Skąd wiadomo, że to prawda? - spytał Lucilius, uprzedzając Ssu-ma Chao.

- Draupadi - zapytał Ganesia - czy podołasz?

Podniosła dłoń. Po raz pierwszy Quintus zauważył pot na jej czole i głębokie cienie pod oczami.

Woda ponownie zadrżała. Gdy się uspokoiła, ukazała oficera,

umundurowanego podobnie - choć bardziej bogato - jak Ssu-ma Chao. Lecz jego płaszcz był w strzępach, a łuskowa zbroja porwana. Figurka wyglądała tak realnie, że zarówno wojownicy Ch'in, jak i żołnierze Rzymu poderwali się zdumieni. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk.

- To nie jest zwykły okrzyk bojowy - mruknął Ssu-ma Chao.

- Ujrzał bitwę, jakiej dotąd nie znał - zadumał się Ganesia - i czuje strach. Ma powody.

Za dowódcą Ch'in jechała jego gwardia; żołnierze maszerowali najszybciej jak mogli lub powozili chyboczącymi się rydwanami.

- Arjuno, nie utrzymam tego dłużej! - krzyknęła Draupadi. Iluzja zniknęła, a jej ręce zadrżały. Podniosła się i omal nie upadła.

Quintus złapał ją, zanim zorientował się, co robi, i przytulił do siebie. Rozluźniła się na chwilę w jego objęciach. Jej włosy pachniały drzewem sandałowym i trybunowi nagle zakręciło się w głowie.

- Jakim imieniem go nazwała? - skrzywił się Ssu-ma Chao. Arsaces pokręcił głową.

- Ale co zrobisz - odezwał się Lucilius - gdy zorientuje się, że nie jesteś tym, za kogo cię uważa?

- Jest! Był! - powtarzała Draupadi.

- Utraciła swoją siłę - powiedział Ganesia. - Mędrzec Uyasa mówił mi, że zrodziła się z ognia Sziwy, którego trzecie oko pożre niebo i ziemię.

"Była - czym?" - pomyślał Quintus. Drżała, więc przytulił ją mocniej.

Jej dłonie o połyskliwych paznokciach uniosły się i zacisnęły na jego zbroi. Jedna z nich spoczęła na jego sercu, oddychał jakby dokonał ogromnego wysiłku.

- Arjuno, powiadam ci, musisz zrobić to, co wtedy, gdy walczyłeś z setkami Kaurovasów. Miałeś łuk i miecz, lecz będziesz potrzebował broni o większej mocy. Załadaj jej od wszystkich twoich żywiołów - Orła w tym, Pasupaty w poprzednim życiu!

- Bredzi - orzekł Lucilius. - Ktoś powinien ją powstrzymywać, choć nie tak jak czyni to teraz nasz bohaterski trybun.

- Ona pochodzi z Hind. - Ośmielił się przeciwstawić Arsaces. - Mówią tam, że wszyscy ludzie odradzają się w następnym życiu, dopóki dzięki prawym czynkom nie wyzwolą się z Koła.

- Jest święta - Rufus stanął pomiędzy Quintusem i Rzymianami. Gajus i

Decimus przytaknęli. - Jak Sybilla i Pytia ze starych opowieści.

- Musimy wesprzeć naszego generała - zarządził Ssu-ma Chao.

- Zaczepnąć wody, przygotować wozy i w drogę!

Spojrzał na Quintusa.

- Wiesz, czego m y szukamy - powiedział trybun.

- To podarunek dla Syna Niebios - odparł oficer Ch'in. - Ten oto obiecałby ci go, lecz wiesz, że... Nie chcę cię okłamywać, Rzymianinie. Dobrze razem walczyliśmy. Ten oto daje ci słowo, że wstawi się za wami. Gdy dojedziemy.

- Będziesz tu bezpieczna - Quintus zorientował się, że szepcze do ucha Draupadi.

- Nie! Nie zostawiaj mnie!

- Wiesz, że nie może tego zrobić - wtrącił się Ganesia. - Wiedzą, gdzie jesteśmy. Jest ich wystarczająco wielu, żebyśmy przestali liczyć na szczęście i iluzje. Jedziemy z wami. btounażtp

Rozdział dwunasty

To na pewno Dolina Ałajska - Ganesia wskazał krainę, leżącą poniżej skalnego punktu, na którym teraz stali, objęci, chroniąc się przed wiatrem. Powiedział to, jakby coś wspominając.

- Ty też ją pamiętasz - szepnęła Draupadi. - Musisz pamiętać, jak przybyłeś na wzgórze, szukając oręża. Szukając Pasupaty.

Nazwa zadźwięczała w uszach Quintusa niczym huk bitewnego rogu. Miecz - to była jego broń. I miał swój miecz, broń, noszoną dawno temu przez tego Arjuna, którego Draupadi nazywała jednym ze swoich pięciu mężów. Arjuna, ten Mars Hindusów, odwiedził kiedyś wzgórze, jak Grek udaje się do Delf, poszukując broni, mogącej zagrozić całemu światu.

Trudno było uwierzyć, że legendarna Draupadi jest tą samą kobietą, która stoi obok niego, okutana w ciężkie, owcze skóry, zakrywające bursztynową szatę. Woń sandałowego drzewa przytłumił dym i zapach kobiety, budzący go w nocy i nakazujący postawić na straży jej snu jednego ze starszych legionistów. Nie mógł uwierzyć, że jest szalona.

Gdyby Draupadi mówiła prawdę, a złudzenia nie były jej największą umiejętnością, Quintus mógłby zmierzyć się z każdym wrogiem. Miał miecz Arjuna. Ale Arjuna był łucznikiem, a Quintus znał łuki tylko jako straszliwą broń Partów. Z drugiej strony jednak, jeśli Draupadi i Ganesia mówią prawdę, Partowie nie są już największym zagrożeniem, chyba że Czarni Naacalowie posłużą się ich talentem wojennym.

Ale zanim do tego dojdzie, skały mogą okazać się wystarczającym przeciwnikiem.

Quintus wciągnął głęboko górskie powietrze. Ciągłe zimne, ciągle ostre; lecz noże, które wbijały się w jego piersi podczas pokonywania najtrudniejszego odcinka wspinaczki - zniknęły. Przeszli tak daleką drogę - od kamienia i wody sanktuarium, do którego umknęli z brzucha piaskowej nawalnicy, aż do wysokich wzgórz, nazywanych przez Arsacesa "bam i dunya" - "Dach Świata". Jeśli, jak twierdził, ta trasa prowadziła zaledwie przez pagórki, to Quintus nie pragnął zobaczyć prawdziwych gór.

Nie mógł sobie nigdy dokładnie przypomnieć miejsca, w którym wąska ścieżka przestała się wznosić. Wydawało mu się, że wspina się "od zawsze", ostrożnie lawirując między tobołkami i pakami oderwanymi od wysychających kości zwierząt i ludzi, którym zabrakło sił lub woli do dalszego marszu.

Co gorsza, pojawiły się góry, których imiona nazywały grożące wśród podniebnych szczytów i skał niebezpieczeństwo. "Mordercy Hindusów" - góry, które przyniosły śmierć z zimna, głodu czy wskutek upadków ludziom, przypominającym wyglądem Draupadi tak bardzo, że mogli należeć do jej rasy. Wędrowcy z dalekiego Hind. Szczęśliwcy, którym udało się przebyć góry, szli dalej przez pustynię do kraju jedwabiu, zwanego przez Rzymian Serica. Potem były Niebiańskie Góry, określane przez okolicznych mieszkańców mianem "Gór Cebulowych". Pozornie nic nie znacząca nazwa - cebula to zwykle jedzenie rolnika lub legionisty. Ale tutaj cebula była trucizną. Jak inaczej wytłumaczyć zawroty głowy, krótki oddech i gwałtowność, z jaką niektórzy padali i umierali, nawet poniżej szczytów? "Hannibal i jego zwierzęta - pomyślał Quintus - nigdy nie odważyliby się porwać na takie wysokości."

Żołnierze Ssu-ma Chao wytrwale wspinali się coraz wyżej, jakby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, ale oni już kiedyś odbyli tę wędrówkę, gdy podróżowali na zachód, do Partii - An'Hsi, jak ją nazywali. Rzymianie, no cóż, muły Mariusa, posuwali się mozolnie naprzód. Doszło do małej rewolty, gdy spróbowali zmniejszyć swoje obciążenie, ładując najcięższe przedmioty na zwierzęta. Przed najtrudniejszymi odcinkami Quintus zdecydował się złamać trochę dyscyplinę; miał nadzieję, że mniej obciążeni ludzie zyskają większą szansę przeżycia.

Mimo to, wciąż opłakiwał stratę trzech Rzymian. Pewnego bladego poranka jeden z nich po prostu się nie obudził. Inny upadł na kolana w stromym przejściu, po czym ostygł zanim zdążył pożegnać się z przyjacielem. "Pękło mu serce" - orzekł Ganesia. Następny spadł z urwiska, kiedy juczne zwierzę, które prowadził, wpadło w panikę i, wierzgając, zaplątało go w uprząż, po czym runęło w dół, a on nie zdążył się wyswobodzić. To był odważny człowiek - nie krzyczał, gdy leciał w dół. Nawet Ch'in go żałowali.

Lucilius, oczywiście, znosił to wszystko znakomicie. Quintus nienawidził się za niegodziwość tych pełnych zawiści myśli. Usta patrycjusza popękały na mrozie. Jego ręce zbieleły, potem stwardniały; na ciele nie pozostały żadne rany, które na tych wysokościach mogłyby zabić równie pewnie, jak oberwanie skały. Damy z Palatynu nigdy nie rozpoznałyby w tym żyłastym, znużonym mężczyźnie, opatulonym w jakieś

szmaty, znanego im arystokraty paradującego w białej todze z szerokim, purpurowym pasem. Zresztą słusznie. Było mało prawdopodobne, by kiedykolwiek jeszcze mogły go ujrzeć. Quintus, zgodnie z naukami Draupadi, pomyślał, że Lucilius sam przecież tego chciał, pragnął wyruszyć do krainy jedwabiu. A że wyprawa nie spełniła jego oczekiwań...

Gdy zaś chodzi o Draupadi... Otulona owczymi skórąmi i bursztynową suknią, której wywinięta fałda ogrzewała jej twarz, wspinała się z mniejszą trudnością niż Ch'in albo Arsaces, mając doświadczenie poprzedniej wędrówki przez te góry. Odpoczywała od czasu do czasu wraz z resztą karawany, lecz była zawsze gotowa, by pomóc Ganesii (który odsuwał jej wspomagającą dłoń ze zniecierpliwieniem) lub wesprzeć ślaniającego się żołnierza. Gdy na nią patrzyli, wspinaczka zdawała się łatwiejsza.

Mogła być mistrzynią iluzji, lecz nie zrobiła nic, by im pomóc. Lucilius zarzucił jej to kiedyś, a ona zapatrzyła się w dal.

- Trudy gór są tym, czym ból dla ciała - powiedziała, podsycając gasnący ogień. - Dano je wam, byście poznali co znaczy pokora.

Jej oczy spotkały się z oczami Quintusa, który wciąż starał się ukryć strach o nią i podziw dla jej wytrzymałości. "Pamiętasz, jak żyliśmy w dzikich ostępach, gdy twój brat-król przegrał wszystko w kości?"

Pewnej nocy opowiedziała mu tę historię. Jej opowieść była tak żywa, że sam już nie wiedział, czy pamięta tamte lata, tamte zdarzenia, jakby były prawdziwe, czy zna je tylko z jej relacji.

Wróciły wspomnienia. Powietrze na Dachy Świata było bardzo rzadkie. Smakowało jak wino. Podczas długich, zimnych nocy dawne zdarzenia i iluzje wirowały w jego głowie niczym malutka, brązowa figurka, którą ciągle nosił na sercu. Odkąd opuścili sanktuarium, nie dała żadnego ostrzegawczego znaku. Nie widział też żadnych śladów wozów lub zwierząt, niczego, co mogłoby ujawnić trop Czarnych Naacalów.

Ssu-ma Chao zbliżył się do młodszego trybuna.

- Widzisz Wieżę? - zapytał, wskazując w dół, wzdłuż doliny.

Niesamowite: ptaki szybowały pod nimi. Quintus oderwał wzrok od tego dziwu, by spojrzeć tam, gdzie wskazywał Ssu-ma Chao. Wznosiła się z dna doliny - zapomniany przez boskich budowniczych fragment Dachy Świata. W jej stronę posuwały się malutkie figurki, szereg za szeregiem, ludzkie kruszyny maszerujące

obok swoich zwierząt.

- Kamienna Wieża - wyjaśnił Ssu-ma Chao. - Zbudowali ją ludzie z Han, kiedy Syn Niebios, Han Wuti - jego pokryte bliznami palce wykonały pełen szacunku gest - po raz pierwszy wysłał armie przez Jadeitową Bramę w głąb Krainy Ognia, a te pobiły wrogów w drodze do An'Hsi.

Quintus patrzył uważnie na Kamienną Wieżę. Legion inżynierów, ani tym bardziej zbrojnych, nie postawiłby jej, nawet gdyby pracował nad nią przez dwa pokolenia - od czasu Wuti do czasu panowania obecnego Cesarza, Hana Yuan-ti. Była zrujnowana po powtarzających się wciąż atakach Ch'in i Fartów, Hsiung-nu, Saka i Yueh-chih. Dostrzegł grobowce, przypominające te z jego ojczyzny. Brązowa statuetka - Kriszna? Znalazł ją w takim właśnie miejscu.

- Zbudowaliśmy ją na ruinach. Uważamy, że zawsze była miejscem handlu, ostatnim przed Su-le - powiedział Ssu-ma Chao.

Su-le... znowu byli dalej, niż przypuszczał. Ganesia mówił o handlowym mieście Kacha. Zastanawiał się, czy było ono tym samym miejscem, co Kasia czy Kaszgar, wspominany wieki temu pod murami Carrhae przez najbardziej awanturzystycznych greckich wojowników.

Jego oczy przywykły do odległości. Kamienna Wieża, widziana stąd, nie wyglądała na tak oddaloną. Ale wiedział, że dotarcie do niej zabierze im wiele dni, a całe tygodnie miną, nim osiągną Su-le.

Horyzont migotał na granicy zasięgu wzroku. W dół, w dół, zawsze w dół, na pustynię, a potem jeszcze bardziej w dół, do amfiteatru, jakim była Kraina Ognia - dolina słonych równin, żwiru i ruchomych diun. Niektórzy powiadają, że płynie tam rzeka, wpadająca do jeziora w samym jej sercu. Trudne do uwierzenia, lecz Quintus pomyślał o sanktuarium, miejscu, które wydawało się nigdy nie istnieć.

Wszystko więc może być możliwe. Lecz jeśli Czarni Naacalowie dotrą tam pierwsi - wszyscy będą zgubieni. Dotknął figurki na piersi, próbując wyczuć niebezpieczeństwo. Omal nie wybuchnął śmiechem. Był przecież Rzymianinem, nie magiem, a z pewnością nie tym boskim herosem, za którego uważała go Draupadi. Arjuną. Pomyślał, że gdyby był Arjuną, nie dzieliliby takiej kobiety z braćmi.

Potrząsnął głową. To było szaleństwo.

Miał inne problemy. Na przykład: co może ich spotkać, jego samego i jego ludzi, w Kamiennej Wieży. Albo w Su-le.

Ssu-ma Chao przemówił, jakby wykonywał rozkaz:

- Ten oto żałuje... - oficjalny ton zagubiony gdzieś podczas bitwy, burzy piaskowej i dalszej wędrówki, znów powrócił. - Czego żałujesz?

Koniec braterstwa. Zbliżali się do "limes", granic Imperium Ch'in, sieci fortów, oficerów i raportów... Cóż teraz znaczyła przysięga złożona przez oficera Ch'in? Czymże było ich braterstwo?

Mógł go zmusić, by potwierdził jego przypuszczenia.

- Gdy dotrzemy do Su-le... tam jest garnizon. Raporty przesyłane są do Czterech Dowództw Zachodu i do Dowództwa w Wuliang za Jadeitową Bramą.

Ssu-ma Chao nie życzyłby sobie, by te osobistości dowiedziały się, że on i jego oddział zawdzięczają życie trybunowi, niewolnikowi i jeńcom, których wzięli z An'Hsi do Fortów. Quintus zastanawiał się przez chwilę, jakie słowa wypisano na wąskich, drewnianych paskach, które widział raz czy dwa w rękach Ssu-ma Chao.

Znowu odbiorą im broń. A to co ich połączyło w bitwie i niebezpieczeństwach - będzie tylko wspomnieniem.

Jedni bogowie wiedzą, co się z nimi stanie. Może się zdarzyć, że będą zazdrościć tym, których zamieniono w Merv w niewolników. Byli w Rękach Fortuny. I nie osiągnęli jeszcze Su-le. Wiele może się wydarzyć. Ponownie spróbował spojrzeć w przyszłość i w y c z u ć, co jeszcze się zdarzy.

Nic. Żadnego ostrzeżenia. "Bogowie sprawcie, by Czarni Naacalowie wymarli na wysokościach" - pomyślał, odsuwając wspomnienie śmierci, wizji, którą przeżył w górach.

Wiedział, że modlitwa nie będzie wysłuchana.

Rozdział trzynasty

Zostawcie mnie!

Draupadi odrzuciła owcze skóry, które nosiła w górach i oddaliła się od ciżby niepokojących ją barbarzyńców. Zbyt dużo ludzi, oczu, głosów; nie mogła tego znieść, po tak długim czasie spędzonym w sanktuarium tylko w towarzystwie Ganesii, wody, drzew i odwiecznych, górskich szczytów.

"Odwiecznych, Draupadi? - Widziałaś, jak rozpadają się góry."

Okrzyk - "Nie odchódź sama!" - podążył za nią, wzmagając jej gniew. To nie był Ganesia: znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że wciąż wędrował od ludzi z Krainy Złota do ludzi Zachodu, ćwicząc nowe języki i robiąc notatki do jednej ze swych nie kończących się historii.

Stała na skalnym występie, obserwując dolinę. Karawana zbliżyła się do Kamiennej Wieży - lecz ciągle mieli przed sobą niezły szmat drogi.

"Nie odchódź sama!" - Jakby jej iluzje nie mogły zmusić irbisa czy węża do błyskawicznego odwrotu! Powinien o tym wiedzieć. Draupadi tupnęła nogą. Czemu Arjuna nie poszedł za nią, jeśli uważał ją za tak słabą?

Nawet teraz, nawet tak daleko od ich wspólnej przeszłości, widziała jego oczy, jak wtedy, gdy wygrał ją w kości i uczynił swoją żoną i żoną swoich czterech braci. A poza tym... był z nich najodważniejszy, najbardziej lojalny i uczciwy.

Skoro obowiązki zmusiły go do okrzyku: "Nie odchódź sama!" - zamiast pójść za nią, pozostanie samotny. Żyła w dzikich ostępach. Przeżyła wojnę. Lecz teraz nie była pewna, czy chce być wciąż sama. Śledziły ją oczy nie tylko jego, nie tylko Arjuny. Był także drugi oficer - jasnowłosa, który zachowywał się tak, jakby był wodzem. Jego uśmiechy sprawiały, że marzyła o sztylcie. Cieszyło ją, że mężczyźni, których uznała za najbardziej godnych zaufania, nie ufali mu, choć twierdził, że jest szlachetnego rodu. Jego oczy spoczywały na niej, jakby była pionkiem w grze, w jego grze w kości.

Kości zawsze kosztowały drogo jej rodzinę. Najstarszy mąż porzucił dla nich pałace i królestwo - a w końcu także i ją. Nie ufała tej grze, ani temu mężczyźnie, zachowującemu się jak wytrawny gracz.

Przez całe swoje długie życie była mistrzynią iluzji. Co się stanie, jeśli pokaże

mu trochę prawdy? Ucieknij ze wstrętem.

Wyciągnęła ręce przed siebie. Gładkie, bez zmarszczek, choć stwardniałe od znojów ostatniej podróży. Draupadi dobrze przyswoiła sobie wszystkie nauki. Po tych wielu latach wciąż wyglądała na... - nie, nie była już tą szczupłą dziewczyną, wymykającą się z celi, by wewnętrznymi przejściami dotrzeć do biblioteki przyświątynnej szkoły w mieście na nabrzeżu, gdzie dzieliła się swymi obawami z Ganesią i innymi zaufanymi studentami.

Od tamtej pory, odkąd miasto upadło, a morze było znowu ziemią, Draupadi przeglądała się w wodzie morskiej lub w fontannie, w srebrze, metalu tarcz, przez wszystkie te lata wygnania.

Opuszczenie doliny sanktuarium i widok miejsca noszącego znaną jej nazwę sprawiły, że przywalił ją ciężar tych wszystkich lat. Zdumiewające, że czas nie odbił się na jej twarzy - widziała to w oczach Arjuna. Wiedziała też, że tutaj, w tym miejscu i czasie, zwano go Quintusem. Wiedziała, że to imię znaczy: "pięć". Być może był piątym synem. Lub wcieleniem jej pięciu mężów. Był inny. Pełen rezerwy, jak bliźniacy: trudno było dopatrzeć się w nim królewskiej dumy jednego z braci, walecznego serca innego. "Sam Arjuna był przepełniony spokojem." Ten mężczyzna też cierpiał, też wiele stracił i daleko zawędrował. Jednakże, w odróżnieniu od Arjuna, nigdy nie był oklaskiwany.

Był inny - a jednak poznała go w chwili, gdy wkroczył na wysepkę jej wygnania.

Wciąż wędrowali rozdzieleni. Wszyscy bogowie sprawcie, by mogli się połączyć.

Szafran, przyprószony kurzem, opadł jak znikające zaklęcie iluzji i Draupadi patrzyła na Kamienną Wieżę. Była już bliżej, lecz ciągle daleko. Lata temu, tak wiele lat temu... Próbowała wydobyć z mroku nieokreślone, zamglone wspomnienie, nie miała jednak pamięci Ganesii, nie miała też zapisanych drobnym pismem kronikarza zwojów papirusu. Przeszłość odeszła bezpowrotnie.

Czy Kamienna Wieża zawsze górowała nad suchą doliną? Tak jej się wydawało: dorzecze, w którym spędziła pierwszą część swojego życia, leżało daleko za miastem, zwanym przez złotoskórych wojowników Su-le. Pamiętała je jako miasto położone niedaleko wybrzeża, owiewane silną i wilgotną bryzą, odświeżającą jak winogrona, które rosły na zboczach w pobliżu miast, otaczających dawno wyschnięte morze.

"Jak dawno to było? Zmienił się nawet taniec gwiazd."

Zerwał się wiatr. Znów wzniósł się kurz. Draupadi czuła nawóz, trochę zgniecionej zieleni, dym z ogniska i dzikość prawdziwej pustyni, wyrosłej z wyschniętego morza, otulającego brzegi w czasach, kiedy niebo było zupełnie inne.

Zamknęła oczy, sięgając myślami tak daleko, jak tylko zdołała. Gdyby pomyślała o nocnym niebie, ujrzałaby tamte, zagubione w pamięci gwiazdy i ich konstelacje. Teraz wspomnienia przychodziły z łatwością: błękit morza między pokrytymi śniegiem górami, miasta pełne topornych budynków, skrytych w cieniu smukłych świątyń i wież, lśniących czystym światłem, które prowadziło do zatoki smukłe, zwrotne okręty, ciężkie od przewożonych skarbów. Widziała Naacalów w Świątyni poświęconej Ogniovi - ucieleśnieniu płomienia czystej myśli i odbicia Umysłu oraz Czasu poza wszystkimi światami. Widziała swoją własną celę w tejże Świątyni, poczuła nadzieję i rosnącą moc młodej adeptki magii, którą wtedy była.

Ganesia pamiętałaby lepiej. Jej umiejętności ograniczały się do tworzenia iluzji. W Świątyni byli tacy, którzy pragnęli dać jej więcej. Ale ona nie chciała ich magicznej mocy, wtedy, w tamtych spokojnych czasach, gdy słońce świeciło nad Morzem Wewnętrznym.

Było tylu lepszych od niej adeptów. Tylu znakomitych mężczyzn i tyle mądrych kobiet. Wszyscy młodzi, z wyjątkiem Ganesii, który ich nauczał. Silny lub silniejszy, niż mogli uwierzyć.

Niektórzy mówili, że nauki Naacalów były takimi samymi złudzeniami jak dzieła, nad którymi pracowała podczas uroczystości. Wierzyli, że pod złudną jasnością i myślą czai się inna prawda - prawda ciemności. Tak, jak olbrzymia ryba wyskakuje ponad powierzchnię morza, by uratować przypadkowego żeglarza - powiadali - inne istoty czyhają w głębinach, by pożreć nieostrożnych i, w końcu, połknąć wszystko. To byli Czarni Naacalowie, postrzegający życie jako przerażającą ucztę, opisaną wielkimi literami na stronicach księgi świata.

Nawet ona, praktykująca iluzje, pojęła, że nie zdoła ich powstrzymać; skoro wszystko, co mogła stworzyć - zniknęło? Mistrzostwo prawdziwej przemiany tkwiło w odległości życia - czasu, który pozwolono jej spędzić studiując, za co była wdzięczna. Miała - jak to wtedy określono? - "Cały czas światów". Powiedział to Ganesia, z którym podzieliła się swym obawami, i mu zaufała.

"Gdzież indziej mogłabym się zwrócić?" Początkowo nikt jej nie wierzył. Ganesia miał swoje zwoje, studia. Wpatrzony we wzory na niebie i ziemi, nie

dostrzegł nowego zagrożenia. "Przez te wszystkie lata - pomyślała - tkwił w samoufudzie." Czy taka była kara, którą sobie wyznaczył?

Zdała sobie z tego sprawę po raz pierwszy - w ciągu tylu lat - gdy spojrzała na dolinę i nazwała ją. Kiedy gwiazdy zmieniły swój porządek, miłosiernie zapomnieli... zapomnieli wiele. On nie zapomniał niczego, nawet własnych błędów.

A ona pamiętała swoje iluzje. Zastanawiała się, kim by była, gdyby je odrzuciła! Jaka odległość w czasie dzieli ją od siebie wydobytej z iluzji i siebie, którą jest teraz? Czy tyle, ile zatopiona w skale kość od żywej istoty? Zaśmiała się z gniewem. To stworzenie chwili, zwące siebie Luciliusem i zachowujące się jak książętko, uciekłoby od niej z krzykiem...

"A co z Arjuną?" W ciele, które teraz poznała prawie nie pamiętał własnego imienia.

Ach, jak bardzo długo podróżowali różnymi drogami, długo nawet po tym, jak Najgłębsze Morze wchłonęło chwałę Mu.

Ożyły nie chciane wspomnienia, i osunęła się na kolana. Spojrzała w stronę Kamiennej Wieży, lecz zamiast niej ujrzała bardziej gościnną, bogatszą i o wiele starszą krainę.

Ich życie było spokojne i dostatnie - w pałacach, w skąpanych w słońcu miastach nad Najgłębszym Morzem - dopóki zawiść Czarnych Naacalów nie zniszczyła wszystkiego. Nie chcieli już dłużej czekać na swoją ucztę: pragnęli jej natychmiast i znaleźli sposoby, by nagiąć do swej woli ludzi, ziemię i wodę.

Chmury zakryły oświetlane przez błyskawice niebo. Nie spadła kropla deszczu. Wzgórze zadrżało i rozpadło się, a dym i lawa spłynęły po zboczach. Dno morza zatrzęsło się i ogromne fale zaczęły bić w zatokę. Ganesia był zrezygnowany: zgromadził już wiedzę licznych żywotów i byłby całkiem zadowolony dodając swe światło do wiecznego Płomienia. Ale wiedziała, że miłość do wiedzy i uczniów wciąż go kusiła. Byli jeszcze tacy młodzi, tyle opowieści przed nimi. W końcu współczucie zatriumfowało nad rezygnacją i Ganesia nauczył swoich adeptów ostatniego przedmiotu: przeżycia.

Przygotowali łodzie, jedzenie, broń i drogę ucieczki. Draupadi utkała iluzje, które umożliwiły im dotarcie do zatoki.

Po tygodniu ciemności, nie ustępujących nawet w południe, zagrzmiało: grom przetoczył się przez niebo i ziemię. Grunt zadudnił i morze runęło z rykiem, by pochłonąć miasta. Ich statek płynął naprzód, dopóki wiatr nie zerwał żagli z masztów;

wówczas wszyscy przebywający na pokładzie zjednoczyli całą siłę swoich umysłów, by utrzymać kurs. W stronę gór na zachodzie, zawsze na zachód. Fale przewalały się wokół nich, a Draupadi, uczepiona masztu, wyśpiewywała iluzje, które powstrzymywały atakujące ich morskie stwory.

- Draupadi?

Przymilny głos sylabizował jej imię. To Lucilius. Może odejdzie, jeśli uda, że go nie słyszy. Nie warto było odrywać się od wspomnień, żeby marnować na niego iluzję.

Wiedziała, że jej przyjaciele, nauczyciel i ona sama zapłacą okrutną cenę za tę ucieczkę. Jakim prawem przeżyli swoją ojczyznę?

Prawem zwierzęcia, szukającego przetrwania siłą instynktu? Jeśli taka była przyczyna, rachunek przekroczy możliwości zapłaty. A może próbowali przechować mądrość dla następnych pokoleń, dla tych, którzy przyjdą? To, jak przeżyją tę próbę, da odpowiedź czy mówili prawdę.

Wtedy zaczęło się. Gdy dno morza pękło i woda uciekła w głąb ziemi, przyszło im uiścić rachunek. Płynęli, dopóki nie zabrakło wody. Potem opuścili statek i zaczęli wędrówkę przez błota morskiego dna, wyschnięte połacie soli i skał - pustkowie, którego nawet Ganesia nią mógłby sobie wyobrazić.

- Pani? Draupadi!

Ośmielał się czegoś żądać, gdy ona medytowała! Odwróciła się do Rzymianina plecami, jeszcze głębiej tonąc we wspomnieniach.

Nadeszła noc, podczas której zniknął jeden z uczniów - ich przewodnik i strażnik. Ganesia był stary. Ona nie przeszła przeszkolenia wojowniczką. Opóźniali marsz, lecz towarzysze podtrzymywali ich podczas mozolnej drogi ku wzgórzom.

- Zostawcie nas - wyszeptwała.

- Jesteśmy ze sobą powiązani.

Starzec i słaba kobieta oraz pięciu silnych mężczyzn, którzy bez nich mieli większą szansę przeżycia. Nie było wyboru: Draupadi pozbyła się resztek siły, rzucając najlepszą - miała nadzieję - ze swych iluzji: "Jesteśmy martwi; idźcie bez nas. Dobrze nas wspominajcie".

Tak też zrobili. Lecz mieli rację. Wszyscy byli ze sobą powiązani. Dlatego też ciągle się spotykali w chaosie i wirowaniu czasu. Tak jak teraz. Ale pięciu w jednym, zamiast pięciu braci? W sposób oczywisty wskazywało to na zmiany w porządku wszechrzeczy.

- Nie powinnaś być tu sama - Lucilius ośmielił się położyć dłoń na jej barku. Czują ciepło jego palców gładzących ją po ramieniu.

- Tak nakazał twój oficer? - spytała, obserwując go.

- Ten śmierdzący czosnkiem wieśniak? - Lucilius wybuchnął śmiechem, w którym brakowało jednak prawdziwej radości. - Wcielony do Legionów, by nie umrzeć z głodu jako syn zdrajcy, którym jest!

Draupadi potrząsnęła głową. Niech widzi, że gardzi jego słowami. To nie było tak jak wtedy, gdy Dushassana próbował zniewolić ją i rozebrać pomimo jej krzyków, że nadszedł jej czas w miesiącu. Ani wtedy, gdy służyła na królewskim dworze jako pokojówka.

To było odległe w czasie i przestrzeni.

Ganesia i ona leżeli na schnącej soli i żwirze dawnego dna morza myśląc, że umierają bez żadnej nadziei na ponowne narodziny. Jej umysł odpłynął; umysł Ganesii, jak sądziła, zawędrował jeszcze dalej.

- Przeżyją - powiedział jej. - Zwyciężą. Nie płacz, córko, gdyż z pewnością ich spotkamy.

Lecz głowa Draupadi opadła, a iluzje, dziwniejsze niż kiedykolwiek, zatańczyły przed jej oczyma.

Pojawił się Płomień. Oczywiście, należało zakryć twarz na widok tego świętego zjawiska; oczywiście, należało odwrócić wzrok, by nie oślepnąć. Ani ona, ani Ganesia nie mogli zrobić nic. Bali się. Oto chwila zapłaty. Ale dzięki wielkiej miłości i ufności, które zdołali zachować, przetrwali.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, prorokini, kobieto, czy czymkolwiek jesteś! - głos Luciliusa był gniewny, rozkazujący.

"Co to chwilowe, przemijające stworzenie, które śmie mnie dotykać, może o tym wszystkim wiedzieć?"

Ile czasu zabrało im przebycie gór i dotarcie do sadyb ludzkich? O ile dłużej zdobywali sobie szacunek? Spowiły ją złudzenia: bogactwo tkanin, wyszywanych klejnotami, zapach sandałowego drzewa i kardamonu, powab oczu, podkreślony proszkiem i ozdobione czerwienią paznokcie.

Jak bardzo Arjuna był szczęśliwy, kiedy ją wygrał! Zatriumfował nad wszystkimi księżętami Ziemi. A gdy ozwały się konchy muszli, zażądał jej i ujrzała mężczyznę, którego rozpoznała po oczach, choć przyobleczony był w ciało syna tutejszych wzgórz. Zabrał ją do domu Pandawasów - matki Kunti i czterech braci. Ich

również pamiętała - znów odrodzonych.

W Mu ich umysły połączyły się. Tutaj połączyły się także ich ciała; towarzyszyła im wszędzie - w pałacach i w dziczy. I tak było do końca tamtej epoki. Przypomniała sobie, że postanowili opuścić świat i powrócić do ukochanych przez Arjunę wzgórz. Lecz wzgórze zatrzęszy się, a oni polegli, jeden po drugim.

Zginęli daleko stąd. Ocknęła się w ciszy, a promienie słońca i woda igrały wokół niej. Ona i Ganesia byli znowu sami.

- Mogłabyś słuchać, gdy mężczyzna mówi - rzekł Lucilius. - Może warto, byś poświęciła mi chwilę.

Odwrociła się i popatrzyła na niego. Jasne włosy, blade oczy, ogorzała skóra - nie, to nie był mężczyzna dla niej. I ten wyraz jego twarzy - jakby wyciągał po nią rękę.

W górach ignorował jej obecność. Teraz przyjął postawę łowcy pewnego swej zdobyczy. Dotknął jej; nie, żeby miał do tego prawo, lecz tak, jakby takie prawo w ogóle nie istniało.

"Oczy i pożądliwe dłonie podążały za nią na dworze Viraty, gdy odgrywała tam rolę pokojówki, a jej mężowie: kucharza, nauczyciela tańca, gracza... Generał Kitchaka niepokoił ją najbardziej. Raz złapał ją nawet i trzymał z nożem na gardle. Poprosiła go o późniejsze spotkanie i zgodził się."

Zdała sobie sprawę, jak jest bezbronna, pozbawiona mocy, pozycji i oddzielona od tych, z którymi podążała przez wieki. Wtedy zaczęła szukać pomocy.

Teraz krzyknęła gniewnie i wymierzyła policzek.

Zdumiała ją wściekłość, która zabłysła w jego oczach, niczym u drapieżnika schwyconego w światło pochodni.

- Ośmielasz się uderzyć mnie, patrycjusza z "gens" Luciliana... przypuszczam, że wolisz tego oracza, u którego zapach armii przytłumił odór pól...

Znów złapał ją za ramię. Wzburzona zaczęła dygotać. Próbowwała oddychać głęboko, by się uspokoić, po czym spojrzała mu w oczy, szukając zrozumienia.

Dostrzegła w nich dumę rodową, niepokromioną żądzę posiadania, gniew, wywołany ocenianiem go przez kogokolwiek lub cokolwiek - gdyż tak naprawdę za ludzi uważał tylko tych, którzy byli przydatni. Ujrzała w nim inwencję w zaspokajaniu własnych potrzeb, pozbawioną jednak sprytu i umiejętności. A także potencjał, mogący uczynić zeń mężczyznę i wojownika, lecz z jakichś nieznanых przyczyn zaprzepaszczony i wypaczony. Najgorsze zaś było to, iż - jak zauważyła - on

wiedział, że nie skorzystał ze swojej szansy.

"Jak może żyć w takiej kalekiej postaci?" Gdyby byli w sanktuarium, nie zabrakłoby jej wody do uformowania odpowiedniego lustra, które ukazałoby mu samego siebie. Teraz podniosła rękę w geście, rozpoczynającym pierwsze z zaklęć, które powie mu, kim się stał.

- Wydrapałabyś mi oczy, prawda? - Pchnął ją na ziemię. - Powinienem cię naznaczyć.

Było zupełnie tak samo, jak na dworze Viraty. Poddaj się, albo cię napiętnują. Walcz lub pogódź się z pogardą do samej siebie, którą przynosi ustępliwość. Umrzyj z godnością, gdy każdy nerw twojego ciała pragnie żyć.

Przygniatał ją do ziemi, wpychając kolano między jej nogi. Krzyczała i walczyła z furią. Usłyszała zgrzyt kolców na skalistym gruncie, gwoździ, którymi nabijane były podeszwy butów Quintusa-Arjuny.

- Czy nie wystarczy nam kłopotów bez tego, co zamierzasz zrobić? Ch'in na nas patrzy. I tak traktują nas już jak barbarzyńców.

- Tubylcze kobiety, oraczu. Nie znają przynależnego im miejsca.

- Draupadi nie jest markietanką, trybunie. Uczenie jej czegokolwiek nie należy do twoich obowiązków.

Usłyszała kroki innych. Chciało jej się krzyczeć ze wstydu. Powinna to przewidzieć. Quintus mówił jej, by nie oddalała się sama: czy on to przewidział?

- Nie będziesz mi rozkazywać, oraczu. Czemu się nie kłaniasz? Okaż więcej pokory, jak przystało klientowi, którym jesteś. Mów do mnie "Dominus" - tak tytułowałeś mojego wuja, kiedy lizałeś mu stopy na Palatynie!

Ciemnowłosy trybun uwolnił Draupadi od ciężaru Luciliusa jednym, mocnym pchnięciem. Trybun upadł na ziemię. Quintus z satysfakcją przyglądał się swemu wieloletniemu wrogowi.

Lucilius poderwał się, gotowy do skoku.

Draupadi zobaczyła zbliżającego się ku niemu Quintusa - "tysiące razy widziała Arjunę, mocującego się dla wprawy ze swoimi braćmi". Ale to nie był trening. Byli tu obcy. Tylko łasce Ch'in zawdzięczali, że nie są więźniami. Jeśli zaczną walczyć, utracą wszystko, co zdołali osiągnąć.

- Panowie! Przestańcie! Dajcie spokój!

To był ten starszy, o włosach koloru płonącego węgla: wściekle czerwonych i przyprószonych siwizną. Złapał Quintusa-Arjunę i przytrzymał go.

- Chcecie, aby oni patrzyli na waszą bójkę? - ostrzegł. - Jak myślicie, co zrobią, gdy was zobaczą, rzucających się sobie do gardeł? Możecie równie dobrze zwrócić waszą broń przeciwko żółtoskóрым. No dalej. Tak, wiem. Jesteście trybunami, ja zwykłym centurionem. Życie strawiłem w Legionach. Wezwijcie ludzi i ukarżcie mnie.

Spojrzał w górę zbocza. Zbliżał się dowódca Ch'in, zwabiony okrzykami i bijatyką. Kręcąc głową, co miało znaczyć: "Nie ma niebezpieczeństwa", Quintus uspokoił go.

Czy jednak nie kłaniał?

Trzej mężczyźni przeszywali się wzrokiem. Jeśli zaczną walczyć ze sobą - stracą wszystko. Draupadi przypomniła sobie wydarzenia na dworze Viraty. Pobiegła wtedy do Bhimy, najtęższego i najgwałtowniejszego z braci. Pracującego, zupełnie niestosownie, jako kucharz. Ten wyperfumował się, przyoblekł w jedwabie i zajął jej miejsce w łożu generała. Kiedy Kitchaka próbował objąć, jak mu się zdawało, przerażoną kobietę, Bhima założył mu zapaśniczy chwyt i ścisnął dopóty, dopóki nie zamienił go w kłęb ciała, okręcony obwisłym, pomiętym i podartym jedwabiem.

Cały dwór był zaszokowany! Jakże się wówczas śmiała!

Teraz też wybuchnęła śmiechem. Dźwignęła się z ziemi i uczyniła magiczny gest - zmiażdżona kula, w którą przeistoczył się generał Kitchaka, zmaterializowała się przed oczyma Luciliusa.

- Czy tego właśnie chcesz? - spytała. - Taki los spotkał ostatniego mężczyznę, który mnie dotykał.

Lucilius cofnął się, lecz tylko o krok: doceniła to.

- Nie pożadasz mnie. Pragniesz siły i władzy, by narzucić swoją wolę. A za siłę bierzesz pozory - jak to!

Kolejny gest i jej ręce wypełniły się złotem... krągłymi, metalowymi blaszkami, które cisnęła rzymskiemu arystokracie pod nogi. Zaczął wygrzebywać je z pyłu, gdy klasnęła w dłonie; chłodne, twarde monety przemieniły się w żetony z ledwo wysuszonego gnoju.

Trybun odrzucił je; wargi drżały mu konwulsyjnie. Rufus ryknął śmiechem. Quintus wykorzystał okazję, by wyzwolić się z jego uścisku. Przez chwilę poruszał wargami, po czym również się roześmiał. Chwilę później nadeszli żołnierze Ch'in. Draupadi usłyszała Ganesię, przemawiającego do nich w ich języku - zakładała, że przekazuje im jakąś wersję prawdy. Oni także zaśmiali się, a ich śmiech powrócił

echem odbitym, zdawałoby się, od samej Kamiennej Wieży.

Ona zaś zachowała surową twarz. Odezwała się z powagą:

- Nikt nie będzie mnie brać, wykorzystywać i odrzucać. Potrzeba ci kolejnej lekcji? - spytała.

Quintus uśmiechnął się do niej:

- Pani, nie trzeba ci męskiej opieki.

Potem zwrócił się do Luciliusa:

- Może nie zamienilibyśmy cię w zmiądzoną kukłę, ale obiecuję ci - jeżeli kiedykolwiek jeszcze zbliżysz się do Draupadi lub innej kobiety z tej karawany, spróbuję tego dokonać. Jasne?

Otrzeptyjąc dłonie, ośmieszony i pełen wstydu wśród dobiegającego zewsząd śmiechu, słyszalnego - jak mu się zdawało - w samej Kamiennej Wieży, Lucilius skinął głową i oddalił się. Choć próbował trzymać się prosto i iść miarowym, marszowym krokiem, sama droga nadawała mu przyspieszenie.

- To zajście będzie miało swoje następstwa, córko - oznajmił Ganesia.

Pochyliwszy się z trudem, podniósł coś z ziemi. Złotą monetę.

- Jak zawsze - dodał - dokonałaś więcej, niż myślałaś.

Monety miały być złudzeniem, iluzją zmieniającą formę, by wprowadzić przeciwnika w błąd. Udało jej się lepiej, niż zamierzała. Młoda dziewczyna, uczennica, przebudziła się w niej raz jeszcze. Wyciągnęła dłoń po monetę...

...iż doliny, jakby w odpowiedzi na śmiech, dobiegła ich śpiewna mantra. Każdy ton inkantacji brzmiał groźbą. Rozległ się jęk grozy.

Rozdział czternasty

Podniosła się mgła, jakby przyzwana siłą muzyki i krzyku - mgła w krainie tak suchej, że nawet biały połysk soli naśladował naturalny kamień. Kłęby zgęstniałych wilgotnych oparów wypełniły dolinę, zakrywając Kamienną Wieżę. Pełzały leniwie w górę, liżąc okalające ją skały. Mimo iż zakryły wszystko w dole, nie stłumiły łoskotu walących się głazów, najpierw pojedynczych, potem całej lawiny. Grunt zadrżał straszliwym ostrzeżeniem.

- Musimy zejść na dół!

Zarówno Rzymianie, jak i żołnierze Ch'in szukali oparcia dla rąk. Walczyli, by założyć uprząż przestraszonym, wierzgającym zwierzętom, by przytroczyć bagaż...

- Nie zdążysz do nich na czas! - Quintus wykrzyknął do Ssu-ma Chao po partyjsku.

- Nasi ludzie są tam, na dole! Musimy spróbować!

Quintus patrzył na mgłę. Przeżył burzę demonów, ale to było inne. Nie piasek, lecz opary wznosiły się, by ich otoczyć. Jako chłopiec widział takie mgły nad Tybrem. Pomyślał, że prawie czuje wodę - nie rzekę, lecz morze: mokre, zimne, dziwne w tym kraju pustyni.

Ziemia ponownie zatrzęsała się pod stopami. Rozległy się dzikie ryki przerażonych zwierząt. Rzymianie, błogosławieni - albo przeklęci - dumą, pokrywali strach przekleństwami (choć dało się słyszeć także modlitwy). Błagania Ch'in o ochronę niebios brzmiały równie przenikliwie, jak głosy zwierząt.

Quintus także przeklinał. Przekłeta, ślamazarna armia Ch'in! O wiele sprawniej uwijają się Rzymianie i - aaach, oto włączył się Rufus, biorąc na siebie dowodzenie tłuszcą tych wrzeszczących barbarzyńców.

- Ładujcie juki! Prawdziwa duma Mariusa - kto wie, może was właśnie obserwuje! Wynosimy się stąd!

Legioniści zarzucili na plecy swój ekwipunek, o wiele lżejszy, choć wciąż stanowiący poważne obciążenie. Brak taboru pozwolił im na szybkie opuszczenie obozu i zapewniał mobilność, w odróżnieniu od mieszkańców Wschodu, ciągnących swoje wozy przez góry i pustynie. Quintus pomyślał, że nic im nie pomoże, gdy zbrocze góry osunie się i wszyscy runą w dół. Przez chwilę doznał koszmarnej wizji -

ujrzał leżącego na skale Rzymianina wśród roztrzaskanego ładunku, kopiącego słabo, krótko, niczym żuk, zanim sandały maszerujących wyduszą zeń życie.

Nie ma czasu! Draupadi, czy jest bezpieczna? Chwycił ją za ramię i popchnął szorstko w kierunku Ganesii.

- Wy dwoje! Dołączcie do reszty. Podtrzymujcie się i uważajcie na siebie!
Wiedział, że to głupia komenda.

Kobieta uchwyciła się starego uczonego; jej oczy stały się ogromne, ale nie czaił się w nich lęk. Czemu miałyby się bać? Czyż nie przeżyła gorszych rzeczy... wielokrotnie, jeśli ma wierzyć jej opowieściom? Ku swemu zdumieniu zdał sobie sprawę, że tym, co lśniło w jej oczach, była odwaga i wsparcie dla niego. Chciał - bogowie, naprawdę chciał - obiecać jej, że nigdy już nie będzie poddana takiej próbie, przytulić ją i dotknąć jej twarzy.

Znów zadrżała ziemia. Gruz obsunął się ze skalnego występu niedaleko trasy ich przemarszu.

- Cofnąć się! Natychmiast!

Quintus biegł razem z innymi. Jego oddech stał się chrapliwy, poczuł ukłucie w piersiach. I wtedy zalała go fala wspomnień.

...Na dworze Viraty był bezużyteczny. Co gorsza, budził śmiech, a jego królewski brat, niefortunny gracz w kości, był zawodnikiem, który nie umiał przegrywać. Lecz on, Arjuna, czempion Yugi, bądź jakiegokolwiek innego wieku, był nauczycielem tańca. Nie, gorzej: ubrany jak kobieta, rozpieszczany przez królewskie damy, udzielał rad, dotyczących w równym stopniu upiększania twarzy, co ułożenia dłoni i stóp w starożytnych tańcach. Nie mógł wtedy osłonić Draupadi...

Powrócił do rzeczywistości, popychając przed sobą starca i kobietę. Objuczony ekwipunkiem z łatwością, płynącą z wieloletniej praktyki, pobiegł do miejsca, gdzie ustawiali się pozostali. Nawet Lucilius był gotowy, jego oczy gracza błyszczały, doceniając zagrożenie.

- Krzyczą z dołu - ktoś zauważył. - Wiatr przynosi dźwięki!

- Myślisz, że zdołamy dać im radę? - spytał Lucilius.

Oczy Quintusa przeskakiwały z Rzymian na wojowników Ch'in. Czy wszyscy byli gotowi? Czy w końcu mogli ruszyć? Do licha, czemu nie porzucili tego głupiego rydwanu?

"Ponieważ jest on tym dla Ch'in, czym Orzeł dla nas" - w jego głowie pojawiła się natychmiastowa odpowiedź.

Legioniści byli gotowi. Rufus prawie nie musiał używać pałki. Ch'in, jednakże... Ssu-ma Chao, nie dbając o dostojeństwo, siodłał swojego konia. Prześliznął się wzrokiem po Rzymianach i zatrzymał się pełen obaw.

Łatwo byłoby im teraz opuścić Ch'in. Lżej uzbrojeni i wyekwipowani, mogliby uciec, pozostawiając ich w samotnej walce z żywiołem gór i wstrząsanej eksplozjami ziemi, grożącej rozpadnięciem się na dwie połowy. A później wrócić i, gdyby żołnierze Ch'in nie byli jeszcze martwi, urządzić zasadzkę...

- Chodźmy - mruknął Lucilius, zaciskając palce na mieczu.

- Zaczekajmy na naszych towarzyszy.

Rufus zaklął, ale on kłął nieustannie - od pierwszego wstrząsu: Quintus zignorował go.

- Jesteśmy gotowi - dobiegł go głos Draupadi. Ganesia, stabilniejszy od skały, która ciągle ich podtrzymywała, patrzył na Rzymian i Ch'in.

W jego oczach czaiła się jedna myśl: "zdrada".

Taką samą determinację dojrzał Quintus na twarzy Luciliusa. Rzymianie byli gotowi. Niech więc załadują Orła i uciekają na Zachód. Zakładając, że skały nie podźwigną się i nie zgniotą ich za tę hańbę i za tchórzostwo pod Carrhae. I za opuszczenie znaku.

Przez chwilę Quintus poczuł ciężar ptaka na ramionach. Odejść bez odzyskania go oznacza, że przestaną być Legionem i zamienią się w hałastę barbarzyńców. Tak naprawdę, Ch'in nie byli ich sojusznikami. Kupili ich, uwięzili, a Ssu-ma Chao prowadził ich teraz jako jeńców swemu Cesarzowi, jakby byli egzotycznymi zwierzętami, wleczonymi za rydwanem Triumfu.

Ale jednak... Ssu-ma Chao uznał ich za swoich towarzyszy. Przywrócił im strzęp nadszarpniętej godności, oddając broń. Pozwolił uratować chociaż część honoru, utraconego po przegranej bitwie.

- Nie uda się nam odzyskać Orła - wyszeptał Lucilius, podniecony i przejęty, jak wtedy, gdy zapragnął posiąść Draupadi. Zgiął palce i złączył je, jakby nakrywając kobiece piersi.

- Jesteśmy mężczyznami, czy zbiegłymi niewolnikami? - Quintus splunął.

Lucilius wykrzywił usta w uśmiechu.

Oczywiście, pragnął Orła, pragnął wolności. No cóż, Quintus też tego chciał, nawet jeśli ją zmarnują próbując powrócić do Rzymu.

Ale nie kosztem zdrady. Nie po tych wszystkich zdradach, jakich sam

doświadczyl. Orzeł wzbiłby się ze swojego miejsca nad literami "SPQR" i rozdarł na strzępy człowieka winnego takiej nielojalności.

- Pomożemy im. Ruszamy razem, albo wcale!

Znużoną twarz Ssu-ma Chao rozjaśniła ulga. Rufus skierował się ku wierzgającym zwierzętom. Były spocone pomimo chłodu i wysokości. Mężczyźni przeklinali próbujących sprowadzić rydwan po zboczu dygoczącego wzgórza. Centurion zatrzymał się, by klepnąć Quintusa po ramieniu - gest, który ten poczytał sobie za zaszczyt. Ganesia, zanim ześliznął się po ścieżce w dół, skłonił się głęboko przed trybunem.

Wierzchowiec, osiodłany przez Ssu-ma Chao, miotał się i wierzgał. Quintus pośpieszył, by uspokoić konia, tak jak robił to tysiące razy na swojej farmie. Podjęta teraz decyzja oddzieliła go od domu, prochów dziadka i wszystkiego, o czym marzył.

Czuł jednak ogarniającą go falę ciepła, mimo wysokości, strachu przed trzęsieniem ziemi i straszliwą rzezią, tam na dole. Rzadko odczuwał taką pewność, z wyjątkiem - rzecz jasna - tych nielicznych chwil, kiedy chwalił go dziadek.

Razem z oficerem Ch'in przytroczyli juki ostatniemu zwierzęciu, próbując je uspokoić i poskromić.

Raz jeszcze zatrzęsała się ziemia. Deszcz skalnych odłamków spadł na nich, niczym wystrzelony z katapulty Tytana. Dwóch ludzi krzyknęło i umilkło nagle, gdy skalne bloki zmiotły ich ze ścieżki.

- Wybaczcie, wybaczcie to żółwie tempo... Oni tam umierają, a ja ich zawodzę, zawodzę moich braci... - lamentował Ssu-ma Chao.

"Cały dzień stali w pełnym słońcu, bez wody. Szczęście mieli ci, którzy umarli wcześniej, z partyjską strzałą w oku lub sercu."

Nareszcie byli gotowi. Może uda się im powstrzymać tę rzeź.

- MARSZ! - ryknął Rufus, aż poczuł ból w płucach. Rzymianie i Ch'in ruszyli w dół szarpaną wstrząsami ścieżką. Góra mozoliła się, jakby miała urodzić mysz. Jak w przypowieści tego starego Greka-niewolnika. Ale nie tutaj. Nie tutaj. Jakiemu cudowi ten huk służy za akuszerkę?

"Może samemu Orkusowi?" - - pomyślał Quintus. Wszyscy zostaną strąceni do Hadesu, bez monety dla przewoźnika. Przynajmniej, biorąc pod uwagę chwiejące się wokół skały, nie będzie kłopotów z pogrzebem.

"Nie mów mi nic o śmierci" - zaszeptano coś w jego głowie. Głos szemrał jak wiatr na pustyni. - "Tamci, na drodze poniżej, są martwi. Możesz do nich pójść, jeśli

chcesz. Możesz pogrzebać ich ciała, skoro taki jest twój wybór, podobnie jak do ciebie należy wybór sposobu pożegnania się z życiem.. To nie są twoi ludzie... nie twój kraj... nie twoja bitwa... Dlaczego obawiasz się okrutnej śmierci, skoro alternatywą dla niej jest życie niewolnika? W Rzymie sami niewolnicy zbuntowali się przeciwko takiemu życiu."

"Liż moje sandały" - dodał Lucilius.

"Uważaj na ten kamień..." - Quintus poszukał bezpieczniejszego oparcia dla stopy, kierując czyjąś rękę ku pewniejszemu uchwytowi. "Jego dziad zgiął kark i zabijał swoją dumę, płaszcząc się niczym klient, lecz nigdy nie zawahał się."

O mało się nie potknął. Głupi wypadek byłby niezłym wyjściem, co? Powiedziałby Minosowi i Radamantysowi na sądzie: "Przewróciłem się. Rozczulałem się nad sobą". Czekalby go Tartar. Rzymianie tak naprawdę nie wierzyli w takie miejsca, ale po tym, co zobaczył w snach i na wygnaniu, lepiej nie ryzykować.

"Cisza" - zażądał od głosów, walczących w jego czaszce. Ich echo zdawało się rozbrzmiewać w hełmie. Żwir uderzył w blachę; wzbił się kurz, wyciskając mu łzy z oczu. Szczęśliwi ci, którzy umarli.

"Nigdy nie zmusisz starca, by ci się kłaniał. Ja również tego nie zrobię."

Krok za krokiem, pokonując skałę i ziemię przejścia, posuwali się w dół zbocza. Zależnie od przyjętego punktu widzenia, bogowie albo im sprzyjali, albo chcieli ich jeszcze bardziej ukarać, gdyż większości udało się dotrzeć do doliny.

Lament, który usłyszeli, gdy ziemia zaczęła dygotać, ucichł. Nikt nie pamiętał, w jakiej chwili urwały się podziemne grzmoty. Nikt sobie nie przypominał, kiedy umilkły niesione przez wiatr krzyki.

Ostatnie skalne odłamki potoczyły się z zamierającym łoskotem w dół, gdy Rzymianie i Ch'in niepewnie zatrzymali się na równinie. Nikt nie osunął się z ulgą na kolana, co napełniło Quintusa ciepłą dumą. Nawet wiatr, osuszający im skórę z potu, ucichł. Połknęła ich mgła, roztaczająca wokół grubo parawan ciszy.

Szarawobiałe kłęby wiły się między nimi. Poruszanie się wśród nich było jak zwiad w ruinach, nie tyle udekorowanych pajęczynami, co nimi poprzegradzanych. Miękkie dotknięcia mgły na wychudzonych twarzach i krwawiących dłoniach napawały odrazą. Lucilius skrzywił się, jakby dotknął padliny:

- Ułeee!

- Cicho! - burknął Rufus.

Draupadi owinęła twarz przybrudzonym szafranem swego stroju. Quintus spostrzegł, że oddycha płytko, jak na dużej wysokości, nie chcąc zaczerpnąć do płuc zbyt wiele tego mglistego, niezdrowego powietrza.

"Mgła pożywi się tobą - ozwał się w głowie niechciany głos - Pajęczyny oplotą cię. Będziesz chwycił powietrze i zanosił się kaszlem, dopóki krew nie tryśnie ci z ust, plamiąc więzy. W ten sposób zostawisz swoje kości tutaj, gdzie budowle wspaniałych miast zniknęły bez śladu."

Przez zapach pleśni, czegoś starego, słonego i zepsutego jak zgniły skorupiak, przebijał zapach pustyni. Czyniło to odór jeszcze nieznośniejszym.

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie - dobiegł go głos Rufusa. W oczach żołnierzy czaił się strach. Ludzie byli zagubieni i przerażeni.

- Mgła gęstnieje, panie - ktoś mruknął.

Czy spotka ich jeszcze coś gorszego, spowitych mgłą wojowników, jak muchy oplatanie siecią pająka, gdy ruszą w głąb prawdziwej pustyni?

Przyszło mu na myśl, że Draupadi jest mistrzynią iluzji. Oczywiście, ona...

- "Domina"? - Quintus zwrócił się do czarodziejki, jakby była wielką damą jego własnej rasy - będziemy wędrować w tej mgle, aż wreszcie umrzemy.

Spojrzała mu w oczy, po czym spuściła wzrok.

- Nawet po śmierci byłoby lepiej - przyznała. - Oni obserwują. Albo coś. Stworzyłam już tarcze... - wyciągnęła drżącą dłoń. - Obiecuję.

Nagle nawet chwila spędzona wśród tych mgieł zdawała się o wiek za długa. Stawały się coraz gęstsze i gęstsze, jakby czerpiąc siłę z uwięzionych w nich ludzi. Śmiercionośny, ohydny odór narastał.

- Chciałabym oszczędzić wam tego, co zobaczycie - powiedziała.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, nie wyglądała na zbyt pewną siebie.

- Jesteście na właściwej drodze, wiercie mi - dodała. Zamknęła na chwilę oczy, a gdy je otworzyła, cofnęła się, jakby ujrzała okropności ukryte przed innymi.

Upadek konia przerwał ciszę. Quintus usłyszał trzask kości. Chwilę później miedziany zapach krwi wypełnił powietrze, gdy wojownik Ch'in skrócił męczarnie zwierzęcia. Próbując zobaczyć, gdzie padł koń, Quintus stąpnął krzywo i omal nie upadł na ostry żwir. Uratował się kalecząc sobie dłonie i kolana, czuł silny ból w piersiach, jakby znów przykładano do jego ciała znamię Legionu. Nie chciał myśleć o tym, w jaki sposób mgła lizała krew, sącząc się ze skaleczeń. Nagle w jego umyśle pojawił się wizerunek szczupłej postaci, dzierżącej pochodnie w dłoniach. "Kriszna" -

szepnął do siebie. Jego brązowy talizman, ostatnia więź, łącząca dom z tym zapomnianym przez bogów miejscem; strażnik, ostrzegający go przed niebezpieczeństwem.

Teraz ostrzegał przed zwodniczym czarem Draupadi. Quintus podszedł do wróżbiarki z Hind.

- Możesz to skończyć? - zapytał głosem, którego nigdy dotąd wobec niej nie użył. - Nieważne, co chcemy zobaczyć. Nie chcemy - żaden z nas nie chce - być tutaj, nie chcemy tu zginąć.

Draupadi wpatrywała się w jego twarz, jakby odnajdując w niej coś, co kochała i czego bardzo długo jej brakowało. Uniosła ręce w powolnym geście, śpiewając coraz głośniej. Wyczerpana wysiłkiem znoszenia iluzji, z którą walczyła, zachwiała się; podtrzymał ją w ostatniej chwili. Poczł zapach piżma, drzewa sandałowego i potu.

Mgła rozwiewała się. Kiedy zniknęły jej ostatnie kłaczkę, dał się słyszeć przytłumiony brzęk dzwonek u upręży i ujrzeli objuczonego wielbłąda.

Śmiejąc się i przeklinając jeden z Rzymian zdjął rękę z "pilum". Niema sensu zabijać czegoś, co może się jeszcze przydać.

Opary przerażenia ulotniły się wraz z mgłą. Ktoś pochwycił wałęsające się zwierzę, dzwonki ucichły.

Wielbłąd kaszlnął i runął na ziemię, jakby tylko dźwięk dzwonek trzymał go dotąd przy życiu. Gdy mgła się rozwiała, mogli się dopiero rozejrzeć. Wszędzie wzdłuż szlaku ścieliły się ciała wielbłądów i koni, jakby to tajemne coś, co zatrzęsło ziemią, ukradło również ich życie.

Obok zwierząt leżeli ludzie - nieporządne tłumoki obleczone w podrózne stroje. Wszyscy byli martwi.

Rozdział piętnasty

Wstęga mgły zniknęła, zabierając ze sobą ostatnie, tak przyjaźnie otulające opary. Pustynny wiatr szarpnął Quintusem. Przez chwilę wdychał wonie tego miejsca: suchy kamień, sól, pot przestraszonych ludzi i spracowanych zwierząt. Potem, gdy wiatr pchnął go do przodu, mała figurka na piersi zadrżała. Wiatr niósł odór śmierci. "Dalej, naprzód."

Quintus wkroczył na pole trupów.

Dzwonki pobrzękiwały przy uprzężach leżących nieruchomo koni i wielbłądów, gdy wiatr poruszał czaprakami i szatami martwych kupców i strażników. Mały świat Fartów, Syryjczyków, Żydów, Persów, Ch'in i przewodników zniknął gdzieś w niebycie. Podróż wyssała kolor i wzory ich strojów: wystawność i przepych były dla miast, nie dla pustyni. Także ciała wydawały się pozbawione naturalnej barwy.

Ssu-ma Chao skinął dłonią.

- Na odległość strzału z łuku od Kamiennej Wieży - mruknął.

"Musiałby to być bardzo długi strzał."

- Trzeba by niezłego łucznika - rzucił prostacko Lucilius. Było do przewidzenia, że właśnie on wypowie te słowa.

Jakiś żołnierz zaśmiał się w odpowiedzi. Śmiech narastał w szeregach. Quintus wiedział, że ten rodzaj hysterii, zrodzonej z ulgi, może być równie groźny, jak panika.

- Cisza! - Trzask pałki Rufusa poparł rozkaz, natychmiast ucinając wszelką wesołość.

- To nie pomoże, panie - rzekł Ganesia i podszedł do żołnierza, który zaśmiał się pierwszy.

- Nie okazujesz szacunku martwym, młodszy bracie - powiedział miękko.

- Jak ich pogrzebiemy, panie? - lapidarne pytanie Rufusa brzmiało, jakby dotyczyło zorganizowania obozu na noc.

Jednakże Quintus nie był dowódcą - czy centurion o tym zapomniał? Rządził tu Ssu-ma Chao, niewielkiego wzrostu jak na mężczyznę, lecz nawykły do wydawania poleceń. Szyk marszowy został złamany. Ludzie odprowadzali zwierzęta na tyły, żeby

nie wpadły w panikę i nie zezarły zapasów.

Powód? Quintus bardzo dobrze znał swoich ludzi - twardogłowy, wiejski ród. Byli zdyscyplinowani, lojalni, posłuszni obyczajom - pogwałconym pod Carrhae, gdy Rzymianie uciekli, zostawiając martwych i rannych bez opieki. Byli Rzymianami, a nie motłochem: jeśli znowu oszukali śmierć - to dobrze. Jeśli nie, wszyscy byli jej dłużnikami i należało umrzeć jak na Rzymian przystało.

"Widzisz, dziadku? Bądź ze mnie dumy." Znajomy zew ozwał się w jego sercu. Do tej pory wątpił. Tym razem rozterki zniknęły. Może iść tą plugawą ścieżką, lecz jak Rzymianin i człowiek, z którego dziadek mógłby być dumny.

Rufus taktownie zasalutował Luciliusowi, po czym gestem nakazał żołnierzom kopanie dołów.

- Z szacunkiem dla zmarłych. Możemy przynajmniej zakryć im twarze. Sprawdźcie, czy mają monety dla przewoźnika. Wy też chcielibyście, żeby ktoś to dla was zrobił.

"Możemy jeszcze tego potrzebować."

Ciało Quintusa każdym nerwem pragnęło ucieczki. Spojrzał na Ssu-ma Chao, który stał bez ruchu. Zmusił się do uczynienia kroku w stronę trupów. Pochylił się, by szarpnąć zawój najbliższego mężczyzny. Był kupcem o wysokiej pozycji, sądząc po doskonałej jakości szat, nawet nieco podniszczonych ciężką podróżą. Skóra pochwy miecza była znakomicie wyprawiona i bogato ornamentowana, zaś rękojeść broni... gdzie miecz? Zabrano go.

Kupiec nie cierpiał przed śmiercią - ale wyglądał na starego, o wiele starszego niż ktoś, kto wybiera się w podróż taką trasą. Stary i wysuszony, jakby słońce paliło go całe miesiące, a nie przez czas, który był potrzebny karawanie, by zginąć. Ciało rozsypało się pod palcami. Wzdrygnął się i obrócił ku innemu trupowi.

- To nie ma sensu - wtrącił Arsaces. - Wkrótce piach pogrzebie tych ludzi, jak grzebał niezliczone wyprawy i miasta.

Próbował mówić niedbale, lecz jego dłoń wciąż szukała błękitnego amuletu, który nosił pod szatami.

Cóż to za śmierć, pozostawiająca całą karawanę wśród piasków, kradnąca broń i zostawiająca bogactwa - i c o ją zadaje?

- Ten jest rozbrojony! - krzyknął Quintus. - Sprawdźcie, czy inni...

- Cała broń zniknęła. Nawet połamane strzały - Rufus był pierwszy do wykonania tego rozkazu.

Arsaces szarpnął juki. Te spadły, rozrzucone tkaniny pokryły piasek. Pers odskoczył. Biegając od jednego jucznego zwierzęcia do drugiego, rozdierał worki z najcenniejszymi dobrami, wysypując przyprawy i szkła na piasek.

- Na Płomień, nic nie ruszyli! - oświadczył Pers. Głos mu'drzał. Nie rabować, kiedy była okazja...

- Ten również nie ma broni! - krzyknął Lucilius. Trybun odwrócił się od leżącego twarzą ku ziemi ciała do innego, przygniecionego przez wierzchowca. Karawana była małą armią. Kupcy potrzebowali ludzi zdolnych i chętnych do walki. "Edepol!" - czyżby ta karawana była wyprawą starców?

- Mogą mieć przy sobie klejnoty - znoszone buty Arsacesa zgrzytały na żwirze. Wyglądał na równie zniechęconego, co Quintus.

- Cała karawana martwa, żadnych oznak choroby, bandytów czy choćby krwi.
- Mitro, wspomóż nas!

Gdy Arsaces wykrzykiwał swoje obawy, Quintus przyklęknął przy ciele kupca. "Bądź mężczyzną." Zdobyć wojenna - nie, to nie było prawdziwe pole bitwy, a oni nie byli wrogami. Zmusił się, by dotknąć ciała. Zwłoki zdawały się zapadać pod jego palcami, niczym wypróżniony bukłak, który zachowuje swój kształt, póki nie muśnie go niedbała dłoń.

Rozległy się przekleństwa i modlitwy, gdy inni Rzymianie i wojownicy Ch'in prawie jednocześnie dokonali tego samego, makabrycznego odkrycia. Ta martwa karawana była wyprawą starych ludzi, którzy umarli naturalną śmiercią. Ich ciała ubrane według młodzieńczej mody - pomocników, strażników czy ukochanych synów, odbywających swoją pierwszą pustynną podróż - wyglądały jak wykopane z wydm mumie.

I marszczyły się pod dotykiem.

Zza pleców Rzymian rozległy się komendy w języku Ch'in. W głosie Ssu-ma Chao pobrzmiwały histeryczne tony. Arsaces położył dłoń na ramieniu Quintusa.

- Chce, żebyśmy natychmiast odeszli. Mamy dzień marszu do Kamiennej Wieży...

Quintus spojrział ukradkiem na słońce. Zdażyło już opaść nisko w kierunku, w którym tak bardzo chciał się udać... Czyżby więc znowu początek Carrhae - brutalnie narzucony marsz na pole bitwy, po którym nastąpią inne, równie ciężkie wymagania?

Głos dowódcy Ch'in wzniósł się do krzyku. Quintus pomyślał, że pragnie ciszy i spokoju. I on, i żołnierze Ch'in, i przede wszystkim - Rzymianie. Ssu-ma Chao

złagodził warunki niewoli. Rozkazał, by zwrócono im broń. Dużo mu zawdzięczali. Lecz wciąż nie odzyskali Orła. Co dał jedną ręką, może odebrać drugą - co się więc stanie, gdy dotrze do swojego ludu?

Jedynym wyjściem było więc umrzeć na polu bitwy. Zginąć tutaj, pomiędzy ciałami wyszany przez... Quintus wzdrygnął się, przypominając sobie dzieciinne koszmary, wywoływane opowieściami o Lamii.

- Na wszystkich bogów, tu spoczywa bogactwo - mruknął Lucilius. - Musimy zwlekać z wymarszem. Nie możemy jeszcze odejść. Nie, dopóki...

Natychmiast zaczął szperać w szatach trupów. Czym innym jest obszukać martwych, by znalezisko wspomogło żyjących, czym innym grabienie dla zysku tu, na pustyni, gdzie skradzione kosztowności utrudnią tylko dalszą wędrówkę. Quintus gotów był założyć się o każdą monetę, że Lucilius już zdążył obrabować najbliższe leżące ciała.

Draupadi zbliżyła się i przemówiła do niego po raz pierwszy od chwili, w której zatrzęsała się ziemia.

- Powinieneś zobaczyć, co znalazł Ganesia.

- Powiniennem również słuchać tego człowieka - Quintus wskazał na Ssu-ma Chao. - Tylko dzięki jego łasce nie jesteśmy niewolnikami.

- Arjuno... - zaczęła protestować.

- Przestań! - Cały lęk Quintusa, cała jego złość, a nawet uczucie dumy zawarło się w tym rozkazie. - Jestem Quintusem, nikim innym. Nie rozumiesz? Nie jestem Arjuną!

Jej zranione oczy rozszerzyły się i znenawidził siebie za to, że zadał jej ból, a także za to, że zadał ból sobie. Niech pozna prawdę. Niech odwróci się od niego teraz, zanim będzie mu trudniej ją utracić. Lecz widok jej cierpienia zasmucił go, dodał więc łagodniejszym tonem:

- Nawet jeżeli nim jestem, to naprawdę nic o tym nie wiem. Przykro mi.

Żołnierze Ch'in zbliżali się, otaczając dawnych sojuszników. Część z nich dobyteła broni. Gdyby choć jeden Rzymianin wyciągnął miecz lub dotknął włóczni... Wtedy Ch'in zmiotliby ich skąpe siły.

I jeszcze ona, Draupadi.

- Naprawdę mnie nie znasz?

Jej dłoń dotknęła jego piersi dokładnie w tym miejscu, gdzie spoczywała brązowa statuetka Kriszny, która rozgrzała się pod naciskiem tych na pozór

delikatnych, wrażliwych palców.

- Myślałam, że jest inaczej.

- Może - odparł. - Ale musimy się zastanowić, czy to nie iluzja.

Przytaknęła smutno.

- Chciałabym, żeby tylko prawda była między nami. By dać ci...

W tej chwili doskoczył do niej i nie zważając na nic pochwycił ją w ramiona.

- ...ale ty nie wierzysz...

- A czy t y wierzysz?

- Wierzę? Ja to wiem. Pamiętam.

- Ja pamiętam o swoich żołnierzach, których muszę ochronić, zanim on - wskazał Ssu-ma Chao i jego wojowników - zaatakuje.

- Wszyscy jesteście... w tym życiu nazywałeś to: "Rzymianinem", prawda?

Myślała o obowiązku i dyscyplinie. Cholera.

Mimo to musiał skinąć głową.

- Tak jest, "Domina".

- To również przypomina człowieka, który mnie wygrał - zaśmiała się smutno.

- Nawet na dworze Viraty był tak przejęty swoją rolą, że nie mógł dostrzec niczego innego. Może ja też byłam ślepa, myśląc tylko o tym, co j a widzę i co j a wiem...

- Mam! - krzyczał Ganesia. Przez chwilę jego głos pobrzmiwał autorytetem bitewnej trąbki, przyzywającej Quintusa na czoło kolumny. Światło skupiło się, migocząc nad starcem, poruszającym się po pobojowisku z niezwykłą sprawnością, jak na człowieka jego lat.

Quintus wyszedł naprzeciw starcowi. Potknął się. Z piasku wystawał kawał drewna, który uchwycił, by uniknąć upadku, a później zaczął używać jako laski, by pośpieszyć do Ganesii.

Starzec trzymał w ramionach ciało, które błyskawicznie zamieniało się w płaty suchej skóry, pokrywającej kości. Nosiło strój strażnika. Quintus zmusił się do spojrzenia na trupa. Wargi złuszczyły się ze szczęk, odsłaniając coś zupełnie innego niż martwe, pozbawione wyrazu twarze, które widział dotąd. Ta twarz, młodsza od innych, zachowała rys indywidualności. Malowały się na niej strach i nienawiść, jakby strażnik zobaczył nadchodzącą śmierć i walczył z nią szaleńczo, bez nadziei zwycięstwa. Quintus zauważył jeszcze złamany łuk, jakby wojownik w żaden sposób nie chciał oddać go w ręce wroga.

Ganesia złożył martwego obok pozostałych. Dłonie mężczyzny, ciągle

zaciśnięte, uderzyły o ziemię z głuchym odgłosem.

- Spójrz - rozkazał mędrzec. Rozwarł jedną z kościstych pięści, by pokazać strzęp ciemnego materiału.

- Co to jest? - spytał pochylając się Quintus. Ganesia zaczął błyskawicznie wykrzykiwać do Ssu-ma Chao komendy w języku Ch'in.

- Nie dotykaj tego! Ten biedak zrobił to i dlatego nie żyje... - Ganesia ostrożnie schylił się i dmuchnął na skrawek.

- Z szaty Czarnego Naacala?

- Tak, a inni na nas czekają - powiedział Ganesia.

"Moglibyśmy ich okrążyć" - pomyślał Quintus. Arsaces zna się na gwiazdach i mógłby poprowadzić.

- Ale oni są tam - oświadczył Ssu-ma Chao - gdzie my powinniśmy się udać.

- I tak zrobimy, Ekscelencjo - odpowiedział starzec z godnością, kłaniając się na sposób Ch'in. - Ale nie wyruszymy nieświadomi niebezpieczeństwa. Powiadam: strzeżcie się. Nie ufajcie nikomu, niczemu, nawet jeśli wygląda na waszego starszego brata, dopóki nie upewnimy się, kim jest naprawdę.

- Dlaczego? - spytał Ssu-ma Chao.

- Szukają broni, może samej Pasupaty, poszukiwanej przez Arjunę w poprzedniej epoce. Na pewno jeszcze jej nie znaleźli. Inaczej bylibyśmy tak samo martwi, jak ci tutaj - lub pogrążeni w modlitwach do naszych bogów i do bogów wroga o uwolnienie. Lecz natknęli się na coś prawie równie dla nas śmiertelnego - a bardziej śmiertelności dla tych biednych głupców.

- Cóż to takiego?

- Życie - odparł krótko Ganesia. - Życie i zdrowie. Prawdopodobnie dusze. Ci ludzie nie zostali po prostu pozbawieni życia, lecz tego wszystkiego, co odróżnia człowieka od bestii. Modliłbym się o spokój ich dusz i lepsze przyszłe życie, ale dla nich nie będzie następnego obrotu Koła. Dusze tych biedaków zostały pożarte.

Rozdział szesnasty

Pod skorupą z potu i brudu zbledli nawet najbardziej smagli. Quintus widział, jak Rufus walczył z drzeniem - i wygrał. Nic nie zostawić. Żadnego ciała do pochowania, żadnej duszy, która samotna wędrowałaby przez Rzekę i stanęła przed Sądem, tym Sądem, do którego on zbliżył się we śnie, a mimo to uniknął go, bo nie wybiła jeszcze jego godzina.

Miał wystarczająco dużo czasu, by podróżować przez pustynię tak ogromną jak sama Gaja. Kiedy nadejdzie już czas, by nie cierpiał, lecz działał - jak Rzymianin albo ten widmowy bohater, którym - jak przekonywali go Ganesia z Draupadi - był on sam?

Pragnął teraz usiąść i odpocząć na świeżym powietrzu, z dala od tych dziwnych trupów. Byłby szczęśliwy, gdyby zdołał wyrwać Orły ze świątyni tych, którzy zabili jego towarzyszy - znak jego własnego Legionu, a także te wysłane do Merv. Ale coraz bardziej wątpił...

"Czemu się opierasz? - rozległ się głos. - Chcesz swoich bogów, wolności? Możesz to mieć, razem ze słodką wodą, spływającą swobodnie ze skały w cieniu południa... Tylko..."

Brazowy talizman na jego sercu zakłuł niepotrzebnie. Quintus zacisnął dłoń na patyku, który wciąż trzymał w dłoni, szukając ujścia dla przepełniającej go złości.

"Świetnie. Czuj złość. Tę całą rozkoszną wściekłość. Uwolnij ją. Niech zablýśnie, niczym ognisko o północy, podsycane naftą. Nagrodzimy cię za twoje usługi."

Palce trybuna zacisnęły się na drewnie. Bał się, że za chwilę delikatna pałka pęknie, a wraz z nią jego opanowanie. Niech trzaśnie jak łamana kość, kręgosłup wroga, który go więził i dzierżył klucze do upragnionej wolności. "Dlaczego właśnie ty - spośród wszystkich ludzi - miałbyś opierać się pragnieniom?"

Wzrok Quintusa spoczął na patyku. I wtedy zobaczył - to nie był żaden kij, lecz łuk, śmiercionośnie wygięta broń Fartów, która pod Carrhae zniszczyła jego samego i jego spokojne i bezpieczne życie. Łuk był kompletny, miał nawet założoną cięciwę.

- My mamy strzały do takiego łuku - powiedział jeden z Ch'in. - Chyba że

czekasz...

Zatoczył ręką, wskazując bezkresną płaszczyznę żwiru i soli, jakby czekając, że za chwilę w tym właśnie miejscu zmaterializują się strzały i kołczan.

"Z jednym lub dwoma dobrymi Legionami" - zadumał się Quintus. Bogowie brońcie innych Rzymian przed takim jak jego, okrutnym losem. Skinął głową, dziękując żołnierzowi.

- Tak więc - rzekł Ganesia - znalazłeś swój łuk. Czy nawet to nie przekonuje cię, kim jesteś? Jestem stary i nigdy nie wojowałem, ale wydaje mi się, że gdy żołnierz odnajduje swoją broń, bitwa jest blisko.

"Blżej, niż myślisz."

Starzec wpatrywał się w Quintusa, spojrzeniem wymuszając wiarę, a nawet coś więcej. Walczył więc z tą wiarą, tak jak wcześniej walczył z tym co go przerażało i żądało poddania się bardziej całkowitego, niż posłuszeństwo Legionowi czy kapitulacja pod Carrhae.

"Ucisz go. Zrób to."

"Ucisz się" - odpowiedział głosowi swojej duszy.

Zapatrzył się na promienie słoneczne, spadające w dół, niczym pikujący drapieżnik, szybujący na Zachód. "Niech to będzie dobry omen" - pomodlił się.

Kimkolwiek był Ganesia, nigdy nie skłamał, nigdy go nie zdradził.

Czy Lucilius wyśmiej go? "Przed bitwą - powiedział sobie stanowczo Quintus - mądry wódz wysłuchuje przepowiedni i myśli własnego serca."

- Słyszałem - zaczął wolno - głosy, które przemówiły do mnie. Obiecywały...

Ganesia uniósł dłoń, jakby przestrzegając przed odkrywaniem sekretu przy świadkach. Mądre, znużone, stare oczy pojaśniały.

- Bądź pewny, Wojowniku - tytuł zabrzmiał bardziej dumnie niż "Książę" - będę obserwował i będę stał na straży, a Draupadi zapewni nam taką ochronę, iż tylko nasi najgorsi wrogowie będą mogli przebić osłonę ślepoty i złudzeń, utkaną nad tą krainą.

Oczywiście, to właśnie najgorętsi wrogowie mieli być tymi, z którymi przyjdzie im stanąć twarzą w twarz.

Ssu-ma Chao skinął głową.

- Ten oto... - przerwał i porzucił formalności. - Słyszałem, czego nie powiedziałaś staremu alchemikowi. Ty również je słyszysz? Głosy obiecujące spełnienie najskrytszych pragnień, o ile tylko...

"Opowiedz mu o tym. Powie, że jesteś szalony i odda twoje ciało pustyni, abyś nie zatruwał umysłów innym. A wtedy będziesz nasz i pożremy twoją duszę, tak jak pożarliśmy dusze głupców, którzy leżą tu wokół ciebie. Powiedz mu i poznaj cenę sprzeciwiania się naszej woli."

Quintus dotknął swojego talizmanu, jakby jednocześnie uspokajał i figurkę, i swoje ciało.

- Czyż nie mówi się, że wiatr i burze przynoszą marzenia? Nie słyszę żądań posłuszeństwa, lecz groźby złych ludzi, złodziei, kradnących życie i pustynnych bandytów, kradnących skarby.

Po raz pierwszy ujrzał w Ssu-ma Chao nie zwycięzcę, zmienionego w sojusznika, lecz człowieka równie udręczonego i równie przerażonego, jak on sam.

- Nie doprowadza cię to do szaleństwa? Możesz spać.

Na twarzy Ssu-ma Chao - malował się teraz wyraz, który Quintus zobaczył po raz pierwszy, kiedy wódz Ch'in opróżniwszy żołądek po pierwszej bitwie umył się i niepewnie spojrzął na własną twarz, odbijającą się w cudownie czystej wodzie.

"Woda spływająca ze skał..."

- Rzymianinie - rzekł oficer Ch'in, wymawiając to słowo, ku zdumieniu Quintusa, poprawnie - czy ty i twoi ludzie jesteście do wynajęcia?

- Nie jesteśmy gladiatorami ani strażnikami - odparł Quintus, nie zwracając uwagi na rozjaśnione nagle oczy Luciliusa. "Spytaj, za ile."

- Nie pożyjemy złota. Jesteś w posiadaniu skarbu, którego szukamy - naszego Orła i wolności.

- Jeżeli nie dostarczę was do Su-le, zginę ja sam i zginie moja rodzina. Lecz będę błagał w garnizonie w Kaszgarze, by zwrócono wam honor i boga wojny, którego czcicie. Czy się zgadzasz?

- Zgadzam? Na co?

- Żeby wasze miecze służyły nam w drodze do Kaszgaru.

- Daliśmy ci już słowo - powiedział Quintus (Lucilius syknął gniewnie). - Myślisz, że maszerujemy ku większemu niebezpieczeństwu niż to, które przeżyliśmy?

Ganesia wpatrywał się w Quintusa, wymuszając na nim ucziwość. Teraz wykorzystał tę taktykę przeciwko dowódcy Ch'in. "Niech odpowie zgodnie z prawdą."

- Tak, przeżywaliliśmy już burze. Ale tutaj, w głębokiej pustyni, otoczeni przez wrogów, spotkamy takie nawałnice, przy których tamte przypominają ziarenka piasku, unoszone lekkim wietrzykiem. Doprowadź nas do garnizonu w Kaszgarze, a

przysięgam, będziesz miał mój głos za twoim Orłem i przyjaciółmi, nawet gdybym musiał przebyć pustynię na kolanach, by zanieść petycję Synowi Niebios.

Quintus poczuł znajome ukłucie nad sercem. "Odpowiedz mu. Ten człowiek cierpi."

- Zgadzam się - rzekł Quintus. Krzyknął na ludzi, by szykowali się do wymarszu. W nocy powinien świecić księżyc, nie ma więc powodu marnować światła, gdy niebezpieczeństwo jest tak blisko.

- Czy ty...? - spytał półgłosem.

Ssu-ma Chao uklonił się, potwierdzając zawarty układ. Potem wskazał na swoich żołnierzy:

- Zaopiekuj się nimi, jeśli zginę.

Rozdział siedemnasty

Zmierzając w kierunku Su-le i garnizonu w Kaszgarze, zagłębili się wreszcie - jak mówił Arsaces - w prawdziwą pustynię. Przed nimi rozciągała się jasna, prawie biała, trudna do ogarnięcia wzrokiem płaszczyna. "Wejdz tu, a nigdy nie wyjdiesz." Tak się nazywała - mówili na szlakach karawan, czyniąc gesty odstraszaające złe omeny. Arsaces nie mógł powstrzymać śmiechu, widząc Rzymian naśladowujących zabobonne znaki barbarzyńców.

"Wejdz tu, a nigdy nie wyjdiesz - to nie była przesada, pomyślał Quintus, to była prawda." Z miejsca, w którym stał, pustynia otoczona górami, których śnieżne szczyty stanowiły mizerną namiastkę chmur, rozciągała się niczym amfiteatr oczekujący gladiatorów. To było pustkowie żwiru i wydm, poprzecinane pasmami soli i porozrzucanymi kośćmi. Błagali bogów, by nie musieli zostawić tu własnych.

Kilka uschniętych tamaryszków wystawało z piachu. W dzień trudno było tu znaleźć żywą roślinę lub stworzenie. Jeśli zaś chodzi o martwe - wędrowcy wciąż czuli na sobie jakieś obce oczy.

Od czasu do czasu Quintus przyłapywał badawczy wzrok Ganesii. I wtedy jakby coś sobie przypominał, coś z innego życia, innego czasu.

- Okropna scena - powiedział starzec - na której los świata i wszystkie nasze życia, przeszłe i przyszłe, muszą grać do końca.

To nie były słowa, które zwłaszcza Quintus chciałby usłyszeć.

Nie pojawił się nikt obcy i Rzymianie, którzy nasłuchali się od Ch'in o Modunach, Hsiung-nu i Yueh-chih (historie, które raczej miały przestraszyć, niż poinformować - Quintus był tego pewien), odetchnęli z ulgą. Ale odprężenie nie trwało długo - podczas nocnych i dziennych marszów zauważyli, że na tej pustyni nie ma żadnego życia. Od tej pory wypatrywali bandytów - jako dowodu, że ciężąca tu kłątwa jest inna niż ta, która zniszczyła karawanę pod Kamienną Wieżą.

Draupadi, choć była mistrzynią złudzeń, nie podzielała tych nadziei. Bładła i była coraz słabsza. W końcu, na jej życzenie, przywiązano ją do wielbłąda o najdelikatniejszym chodzie. "Ona wyludniła twój świat" - zaszemrał grzeszny, kuszący głos. - "Co będzie, jeśli umrze? Oczywiście, już jest szalona - być może miłosierdziem byłoby ją zabić. Ludzie, których teraz widzisz - miłuj ich, chłopcze, bo ich twarze są ostatnimi, na które patrzysz na tym świecie."

Chyba że ulegnie. Quintus zauważył, że głos zaniechał obietnic.

Próbował nie słuchać i przegrał. Spróbował nie odpowiadać i też przegrał. Popadłby w obłąd, gdyby słuchał kusiciela. A jeśli nie - umarłaby jego dusza, zły urok zniszczyłby ją równie łatwo, jak Czarni Naacalowie wysłali życie z kupców, których truchła marszczyły się pod dotykiem. Wtedy zginęliby wszyscy, a ich kości leżałyby tutaj, na pustyni, chyba że burza zdążyłaby je przykryć. A ostatni pozostały przy życiu przekląłby los, który pozwolił mu patrzeć na śmierć jego braci.

Jego bracia.

Quintus zatrzymał się przy tej myśli. Przyzwyczajony do dyscypliny Legionów nie zmylił kroku - bo teraz szli, oszczędzając wyczerpane wierzchowce. Wszyscy byli jego braćmi - Rzymianie, żołnierze Ch'in, którzy, nawet jeśli nie byli równie daleko od domu jak oni, dzielili ich wygnanie i strach. Nawet Lucilius - bo przecież wyrosł na tej samej ziemi.

Ale Ganesia, z całą swoją mądrością, i Draupadi? Jakże mógł być "bratem" istnień tak dalekich i tak obcych? Czyż nie było tak, że gdy spoglądał na Ganesię, starożytny nauczyciel natychmiast zmieniał formę i głowa słonia pojawiała się na zaokrąglonych ramionach? Bez wątplenia była to sztuczka światła lub upału, albo skutek znużenia: oczy ślepy od blasku, bijącego od połaci soli.

Draupadi - Quintusowi natychmiast przyszła na myśl legenda o Titonosie - ukochanym świtu. Aurora obiecała mu każdy dar, o jaki poprosi. Wybrał nieśmiertelność i dostał ją. Ale nie dostał daru wiecznej młodości. Po jakimś czasie próbował przeżuwać chleb bezzębnymi dziąsłami, a jego piskliwy głos przeszywał powietrze; ostatecznie zamienił się w pasikonika. "Jest mistrzynią iluzji. Ale jeśli iluzja zawiedzie, może się okazać, że całujesz czaszkę."

Narodzenie i odrodzenie - powiedziała mu. Albo w to wierzysz, albo iluzja stała się rzeczywistością.

Brnęli w kierunku Su-le. Rzymski chód. Rzymski lud. Zwierzęta już odpoczęły, ale oni woleli marsz - byli Rzymianami.

- Uparty, jak jeden z mułów Mariusa! - zawołał Lucilius, jadąc na wierzchowcu. Mógł zachowywać się niefrasobliwie, ale usta miał spękane a ciało znużone tak samo, jak wszyscy inni; kpinę osłabiło użycie tego starego imienia. Wszak byli mułami Mariusa, żołnierzami Rzymu, którego nigdy już nie ujrzą, podążając za zdobytym Orłem.

Szedł krok przed innymi, kolce jego znoszonych butów zgrzytały po żwirze.

"Marsz." Słońce świeciło i odbijało się od piasku, gipsu i soli. Ganesia widział to wszystko jako dno morza. Morskie dno. Trudno uwierzyć, że było tu kiedyś morze śródlądowe, podobne do Morza Wewnętrznego. "Tyle wody" - pomyślał Quintus. Zakręciło mu się w głowie na myśl o takim luksusie. Nie mógł już sobie wyobrazić ukrytej sadzawki, nad którą dawno temu znalazł Draupadi, spoczywającą wśród przepychu jedwabnych poduszek, drzewa sandałowego i bursztynowych świateł. Wyznała mu wtedy, że w samym sercu pustyni jest drugie takie miejsce. Jeśli pustkowie w ogóle może mieć serce... Gdyby przetrwali ciałem i duszą wystarczająco długo, by tam dotrzeć... i jeśli prędzej nie zabiją ich sojusznicy.

Krok przed innymi, utrzymywany stale i niezłomnie. "Maszeruj, Rzymianinie" - usłyszał głos dziadka, silny i ponaglący, tak jak wtedy, gdy był chłopcem. Z początku protestował, lecz dziadek go zawstydził. Później nauczył się nie uskarżać, nawet jeśli żądania starca pozbawiały sił jego ciało. Teraz, maszerując, wspominał twardą, pełną determinacji twarz i błogosławił ją.

Talizman z brązu, który nosił na sercu, nie dawał znaków ostrzeżenia. Wyglądało na to, że udało mu się jakoś doprowadzić do zawieszenia broni z "genius loci" tego miejsca.

Ta myśl zatrzymała go na chwilę. Utrzymuj tempo. Jedno uderzenie serca, jeden marszowy krok. Suchy pył, unoszący się spod stóp i kopyt, oraz bezchmurne niebo, rozciągające się nad nimi aż po nieosiągalny horyzont, sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Nie byli kompanią - pomyślał o żołnierzach i sojusznikach - lecz karawaną niewolników. Zachwiał się i wyciągnął rękę.

- Ostrożnie, panie - rozległo się mruknięcie. Ktoś z uśmiechem pomógł mu utrzymać się na nogach. Dotknął dłonią skóry jucznego zwierzęcia. Była sucha i porowata: słońce wysysało cały pot natychmiast po jego wydzieleniu.

- Arjuno? - głos Draupadi był miękki i pełen uczucia. Sybilla. Oto dobre, łacińskie określenie na ciebie. Tak bardzo chciał być tylko Rzymianinem, tylko Quintusem, synem swego ojca i dziedzicem dziadka, nie chciał być widmem, lawirującym pomiędzy wrogimi światami żywych i umarłych.

Zboczył z drogi by wyłożyć to dokładnie Draupadi, lecz jej wciąż olśniewające piękno - ciemne oczy, okolone teraz cieniem zmęczenia, bursztynowa skóra - sucha i brudna i wspaniałe, długie włosy, przesuszone i splątane - uciszyło go.

Oczy Draupadi, gdy spotkały się z jego wzrokiem, wypełniły się najpierw obawą, a potem łzami.

- Zawsze byłeś więcej niż jednym istnieniem - powiedziała. - Gdy się spotkaliśmy, przysiągłeś nawet dzielić się mną z braćmi. Nie mam o to żalu, Arjuno... lecz zawsze byłeś wieloma w jednym. Dokładnie tak, jak teraz. Jesteś sercem tych wszystkich ludzi... i ich szczęściem, pochodzącym z Królestwa Złota.

Potrząsnął głową, jakby ktoś ugodził go mieczem.

- To zbyt dużo - odezwał się niewyraźnie. - Więcej, niż mogę udźwignąć.

- Więc byłbyś jedynie lojalnym spadkobiercą, podążającym za głową rodziny, lojalnym żołnierzem, słuchającym dowódcy? Najdroższy, życzę ci takiego luksusu. Albo żebym ja mogła nie być już Draupadi. Pogrzebać ją, pogrzebać marzenia i iluzje. Zatopić się bez reszty w obowiązkach żony żołnierza.

Ich oczy spotkały się. "Czy rozumiesz o czym mówię?" zdawali się pytać siebie nawzajem.

- "Domina", skoro Los chciał inaczej...

- Nie twój i nie zawsze - odrzekła. - Ale...

Nagle uniosła dłoń i uśmiechnęła się ironicznie - żądło, ociekające miodem.

- Jesteś zmęczony. Czy twój honor bardzo by ucierpiał, gdybyś zgodził się dosiąść, choćby na krótko, jakiegoś wierzchowca?

- Muszę dawać przykład.

- Przykład - do krzyża z tym!

Quintus zerknął na nią. Nie spodziewał się, że Draupadi nauczy się tego przekleństwa i był pewny, że wcale mu się to nie podoba. Roześmiał się, rozdarty między zaskoczeniem a dezaprobatą. Myślał, że już nie umie się śmiać.

Cofając się na tyły kolumny, sprawdził linię marszu. Wierzchowce i zwierzęta juczne wlokły się z trudem. Garby wielbłądów zapadły się - wiedział, że to znaczy, iż nawet te pustynne zwierzęta już wkrótce będą potrzebować wody. Jeden ze strażników Ch'in, żywiąc najwyraźniej bardzo niskie mniemanie o pozycji Rzymian w generalnym porządku wszechrzeczy, popatrzył na niego spode łba, lecz Arsaces wyszczerzył radośnie zęby i uniosł kciuki do góry - gdzie się tego nauczył? - wskazując mu zwierzę, które najlepiej zniesie trud dźwigania go.

Konno (choć niechętnie) przejechał obok stada. Minął kolumnę Rzymian i z dumą zauważył, że żaden z nich nie potykał się ani nie narzekał - chociaż żar i wysuszone powietrze uniemożliwiały marszowy śpiew. Rufus zasalutował. Minął Draupadi na wielbłądzie i Luciliusa, kręcącego się jak zwykle koło oficerów Ch'in, jakby próbując uszczknąć trochę ich władzy.

Ssu-ma Chao skinął Quintusowi. Obrócił łeb swojego wierzchowca - pięknego zwierzęcia z Fergany, podniósł się w siodle i wyciągnął rękę przed siebie:

- Tam zmierzamy.

Quintus spojrział z ukosa. Choć uciekali przed światłem na wschód, blaski i cienie późnego popołudnia czyniły patrzenie bolesnym. Na dobitkę wzbily się tumany kurzu.

- Widzisz? - spytał Ssu-ma Chao. - To wieże Su-le.

- Mogę to powiedzieć innym? - zapytał Quintus. Ucieszą się z możliwości odpoczynku. I z posiłku, a nawet z kąpeli, choć nie mogli oczekiwać tu prawdziwej, rzymskiej łaźni. Powie również Draupadi i ujrzy w jej oczach radość i ulgę.

Chmura pyłu unosiła się między nimi a Su-le. Quintus, doświadczony wojownik i ofiara zdrady, wzmógł czujność, jego dłoń spoczęła na rękojeści miecza. Cicho, niezauważalnie, dał znak Rufusowi; centurion natychmiast przybrał postawę obronną.

Kurz opadł i mógł wreszcie zobaczyć Su-le. Miasto wyglądało na nowo wybudowane - typowo garnizonowa osada, opłacająca dobrze swoich żołnierzy, dzięki którym istniała.

- Silny oddział - skomentował Ssu-ma Chao, trzymając rękę na mieczu. - Wiemy, że są tu zamieszki, dlaczego więc ich wysłali?

Oficer Ch'in zmrużył oczy. Patrzył na Rzymianina przez ciemne szczeliny powiek.

- Przypuszczam, że zanim zginęła karawana, dostali wiadomość... Było wystarczająco jasno, by urządzenia sygnalizacyjne mogły pracować. Chociaż... myślę, że tamci ludzie umarli zbyt gwałtownie.

Ssu-ma Chao skrzywił się.

- Wciąż mam nadzieję, że udało im się przetrwać. Lecz ty, Rzymianinie, patrzysz na Su-le, jak na gigantyczną pułapkę. Co czyni cię takim podejrzliwym?

- Już kiedyś byłem zdradzony przez sojuszników. "Dobrze o tym wiesz." Powiedział to głośno, zanim zdołał zapanować nad językiem. Wedle Quintusa wszyscy byli równi, byli braćmi - lub śmiertelnymi wrogami. Nietrudno było wyznaczyć granicę.

Ssu-ma Chao roześmiał się. Po zbyt długiej chwili napięcia kilku oficerów z jego sztabu również wybuchnęło śmiechem.

- Oto dlaczego chcę ich współpracy - obwieścił oficer z miną człowieka,

powtarzającego niepodważalny argument.

"Lubię tego człowieka - pomyślał Quintus - choć tylko bogowie wiedzą dlaczego."

Nadszedł Lucilius. Słyszając wesołość, ośmielił się zbliżyć. Jego ironiczna obecność zepsuła nastrój tej niepowtarzalnej chwili.

- To kupcy - spytał wskazując - czy komitet powitalny?

Quintus czuł metal miecza objającego się o nogę. Dał znak maszerującej kolumnie Rzymian, by byli czujni. Nie gotowi do ataku, na wszystkich bogów, nie. Nie chciał z nimi walki, nie chciał przelewać krwi ludzi, którzy z nimi razem znieśli koszmar przeprawy przez góry. Lecz jeśli żołnierze z garnizonu w Su-le zamierzają zaatakować, otrzymają więcej, niżby sobie życzyli.

Poza tym, zawsze istniała szansa, że odzyskają Orła.

Trzeba było nie byle jakiej dyscypliny, by usiedzieć w siodle, podczas gdy cienie wydłużały się, a chmura kurzu, wzbijanego przez nadjeżdżający oddział, rozrastała się na bezkresnym niebie. Tuman zakłębił się przed nimi, po czym opadł na nadjeżdżających jeźdźców. Byli ciężkozbrojni i trzymali w pogotowiu obnażoną broń. Drugi szereg tworzyli łucznicy.

Widząc to, Ssu-ma Chao zeskoczył z konia i ruszył im naprzeciw, wyrażając uległość całą swą postawą. Zgiął się w głębokim ukłonie:

- Ten oto chciałby spytać...

- Najpierw wyjaśnij, dlaczego podróżujesz z tymi żółtymi odchodami, jakby byli twoimi towarzyszami broni. I, co gorsza, dlaczego pozwoliłeś im zatrzymać broń?

"Jak udało im się to odkryć?"

Oddział zbliżył się. Był znacznie liczniejszy zarówno od kolumny Rzymian, jak i uszczuplonych sił Ssu-ma Chao. Quintus postanowił trzymać dłoń z dala od miecza.

"Wiesz, że to wszystko przez ciebie? To ty myślałeś o Rzymianach jak o bandzie niewolników. Ale mógłbyś to zmienić..."

"Ucisz się" - rozkazał ostro, chcąc skoncentrować się na zewnętrznym zagrożeniu, któremu musiał teraz stawić czoło.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Draupadi podjechała ku niemu. Chwila nie była odpowiednia ani na rozmowę, ani na myślenie o niej. Ale musiał jej wysłuchać.

- Oni są już kim innym - powiedziała. - Pamiętam, jak ziemia zadrżała i połknęła wodę...

- Czy właśnie to mi oferujesz? - zapytał Quintus. - Wspomnienia, których nie chcę?

Draupadi pokręciła głową, a jej twarz pojaśniała. Młodość i życie powróciły.

- Wiesz, co oferuję.

Ta rozmowa zdawała się ogrzewać jego serce, jego duszę i jego ciało. To nie był żar słońca, odbity od piasków pustyni, lecz tęsknota, której doznawał ilekroć spojrzał na Draupadi.

- Nie twój Orzeł, ani twój dom - zaskoczyła go swymi słowami - nawet nie moc, która przywróciłaby ci twoje pierworództwo. Quintusie, taki jaki jesteś teraz - jesteś wart dalszej podróży. Oto nasza oferta - podróż, życie... tak długie, jak nasze własne.

W tej chwili przeszło go nowe uczucie - pragnienie objęcia jej i trzymania w ramionach tak długo, jak trwa nieskończoność. Zawsze miał nadzieję, że kiedy zostanie zaaranżowane jego małżeństwo (co doszłoby do skutku, gdyby Fortuna mu sprzyjała), będzie czuł dla swojej narzeczonej sympatię, a ona... ona też będzie mu życzliwa. Lecz ta kobieta, z jej magią, wytrwałością i pamięcią - ta kobieta twierdziła, że była jego żoną w świecie, który zginął. On tego nie pamiętał. Zasługiwała na coś lepszego, niż by ją wykorzystał i posiadał bez przysięgi, bez obrzędu, który z pewnością żył w jej wspomnieniach.

Gdyby zginął w następnej godzinie, niech przynajmniej zostaną wypowiedziane słowa. Była nawet przystrojona w szafranowy welon rzymskiej oblubienicy.

- Gdzie ty, Kajo - zaczął, sięgając po słowa "confarreatio", najbardziej uroczystego małżeńskiego ślubowania - tam ja, Kajus.

Głos miał przytłumiony, ale nie z powodu piaskowego pyłu.

Nosił pierścień służby dla Rzymu. Dał go jej.

Rozdział osiemnasty

Wojsko garnizonowe utworzyło wachlarz. Quintus, ku swej rozpaczy, od razu dostrzegł ich siłę. Byli wypoczęci i gotowi do ataku. Mieli łuczników - formacje, której po lekcji pod Carrhae nauczył się bać. Czy jego żołnierzom starczy czasu, by chwycić tarcze i utworzyć "testudo"? Nawet jeśli tak, będą musieli pozostawić bez osłony tych, z którymi maszerowali przez te wszystkie miesiące.

Ponadto podejrzewał, że Draupadi i Ganesia nie przyjmą ich ochrony. Poczuł, że palec, na którym tak długo nosił pierścień, był teraz lżejszy i jakby obcy. Nie ma czasu, by o tym myśleć.

Quintus spojrział w twarz dowódcy garnizonu. Jego oczy były zimne i groźne. Nie, on nie wyglądał na człowieka, który przyjąłby wyjaśnienie - kogokolwiek, dlaczego zezwolił więźniom na podróżowanie z bronią. Zwłaszcza, gdyby był to jeden z owych więźniów.

Dowódca warknął coś gniewnie w języku Ch'in i wskazał na Rzymian. Quintus zrozumiał komendę, zanim jeszcze Ssu-ma Chao spróbował ją przetłumaczyć.

- Musicie złożyć broń - rzekł oficer, tonem prawie przepaszającym.

Quintus podał mu miecz.

- Ten oto protestuje z pokorą, uważając, że odbieranie broni dobrym wojownikom jest niemądre - arystokrata Ch'in skłonił się znowu, jakby prosząc o wybaczenie. - Właśnie przybyliśmy spod Kamiennej Wieży. Minęliśmy dobrze uzbrojoną karawanę, która mimo to została wybita jak muchy...

- Otrzymaliśmy stamtąd raport - powiedział dowódca garnizonu (który najwyraźniej nie miał zamiaru się przedstawić). - Pochwycono szaleńca, na chwilę przedtem zanim umarł. Był bardzo stary, a przysięgał, że jeszcze poprzedniego ranka był młodym terminatorem u barbarzyńców Hu. Czarno odziane demony - powiedział - ukradły mu młodość, życie i rozum. Słońce upiekło mu mózg. Mówił też, że widział cztery demony, jeden z nich zginął. Pozostałe trzy... - dowódca przerwał, wpatrując się w Ssu-ma Chao. - Wiedziałaś o tym?

Zimny dźwięk poluzowywania mieczy w pochwach przeszył jego serce. "Skoro to nie więźniowie przybyli do garnizonu w Su-le, nie będzie kogo odliczyć w

raporcie dla przełożonych." Solne połacie pustyni z łatwością wchłoną krew Rzymian.

Miał nadzieję, że jego ludzie dobrze wykorzystają czas, zanim powtórzą jego gest kapitulacji.

Usłyszał za plecami przeklinanie i złorzeczenie Rufusa.

- Więc znowu niewolnicy, nie sojusznicy? Jeśli chcą nasze miecze, niech je sobie wezmą. Czemu nie...

Bunt? Sądząc po ostrym tonie, którym komendant garnizonu najwyraźniej strofował Ssu-ma Chao i po pokorze, z jaką ten słuchał, rebelia nie była możliwa. Raczej zbiorowa egzekucja.

Dowódca garnizonu gestykułował żywo. Na jego komendę Ganesia i Draupadi podjechali na swych zdronzonych, zakurzonych wierzchowcach. Quintus w samą porę powstrzymał się przed wyciągnięciem dłoni. To był ten dobrze znany, senny koszmar, jedyny, który Draupadi pamiętała, a który umknął z pamięci Quintusa, że jest więźniem wśród wrogów, a on nie może jej pomóc.

"Pozwól im jej dotknąć" - podszeptował głos wewnętrzny. Jego ręce wrywały się do łuku, broni, którą - według Draupadi - władał niezrównanie Arjuna. Jeśli jego talent przetrwał w ciele Quintusa, to pustynia ujrzy drugie spustoszenie. Nie będą nawet potrzebowali Pasupaty.

- Jakim rodzajem demonów są c i włóczędzy? - Quintus rozumiał już wystarczająco dużo z języka Ch'in, by zrozumieć pytanie i odpowiedź Ganesii.

- Jesteśmy uczonymi - odrzekł starzec - i alchemikami.

Komendant garnizonu cofnął się do tyłu.

- Wy? Alchemikami? Potraficie sporządzić Elixir Nieśmiertelności?

- Nie starzejemy się - oświadczył Ganesia. - Pamiętam waszego Pierwszego Cesarza...

Dowódca wyglądał, jakby nieledwie miał zamiar paść plackiem przed mędrcom. Jego ludzie również nieznacznie złagodnieli. Rufus wskazał brodą miejsce, w którym szereg załamywał się lekko. - Może tam...

Podszedł do nich Lucilius.

- Powiedz im... powiedz, że zapłacimy, że mamy złoto... powtarzał. Jego twarz smagana pustynnym wiatrem była zaczerwieniona, malowało się na niej skrajne napięcie, oczy błyszczały. - Nasze życie, nasza broń, nawet nasz Orzeł... - Wspomniał o znaku dopiero po namyśle, zrobił to jednak.

- Ten oto zwie się Li Liangli - odezwał się komendant garnizonu. Ogrom

zaszczytu zaparł Ssu-ma Chao dech w piersiach, lecz po chwili zaczął gorączkowo tłumaczyć, bo mowa komendanta stała się zawiła i wieloznaczna. - Ten oto oświadcza, że Syn Niebios musi was zobaczyć i zamienić kilka słów.

"Może byśmy ich pobili" - przemknęło Quintusowi przez głowę. Teraz, gdy byli wstrząśnięci i zdumieni, mniejsze siły Rzymian mogły mieć szansę, nawet jeśli nie na ucieczkę, to na godną, żołnierską śmierć.

Ssu-ma Chao uniósł głowę, jakby odgadując ich plany.

- Nie. Nie. Jeżeli ten oto uczynił cokolwiek, by okazać wam wdzięczność - "zrobił z was sojuszników, a nie niewolników" - nie pohańbiajcie go przed jego oficerami, albo będzie musiał umrzeć, a jego ludzie wraz z nim. W wielkim bólu, będąc wcześniej świadkiem waszej śmierci. A później pošlę ludzi, by zabili również jego rodzinę w Królestwie Złota, całą - aż po najlichszego sługę. Pamięć o nas będzie zhańbiona.

Jego oczy prześliznęły się po Luciliusie i splunął.

- Zdobędziecie więcej złota robiąc to, czego chce komendant.

- A czy my odzyskamy wolność? - odparł Lucilius.

Dowódca garnizonu Li Liangli warknął kilka słów. Ta wymiana zdań bez wątpienia mocno go zaniepokoiła. Ssu-ma Chao skurczył się w sobie.

- Ci niewolnicy - Arsaces - klątwa na jego oczy - tłumaczył słowa Ssu-ma Chao i przez szeregi Rzymian poszedł groźny pomruk - są ludźmi z Rhum, którzy dobrze służyli i pomogli nam pokonać wiele trudów, by okazać ci posłuszeństwo. Upokorzenie wodza Ch'in wciąż nie było wystarczające i on dobrze o tym wiedział. Oddał swoją dumę, by ich chronić i, być może, zdobyć dla nich trochę sztuk złota, których tak łaknął Lucilius.

- Posłuszeństwo - rzekł dowódca garnizonu w języku Fartów używanym na szlakach karawan. - Masz z tym kłopoty, nieprawdaż?

Obrócił się do młodszego mężczyzny - swojego zastępcy? - który nosił takie same znaki arystokratycznego pochodzenia, z jakimi Lucilius obnosił się dumnie długo, długo przed Carrhae.

"Patrygusz - Quintus rozpoznał ten gatunek. - Równie uprzedzony i arogancki, jak nasz."

- Młodszy bracie, przypatrz się dobrze temu człowiekowi i jemu podobnym. I pamiętaj ich, kiedy powrócisz do Ch'angan i pokłonisz się Synowi Niebios, zasiadającemu w światłości na Smoczym Tronie. Ten oto w zakurzonych szatach to

oficer z pogranicza. Ludzie, którzy służą w tych odległych stronach, nie zawsze są pobożnymi synami i posłusznymi wnukami. Zostali deportowani za jakąś obrazę - dlatego ich tu oglądasz. A temu motłochowi, tym towarzyszącym mu barbarzyńcom, również przyjrzyj się dobrze i traktuj ich jak dzikie bestie.

Ssu-ma Chao spaşował, z gniewu lub wstydu.

Rufus rzucił Quintusowi spojrzenie, które można by uznać za błagalne u kogokolwiek innego, u niego zaś - za żądanie krwi i zemsty. "Ciągłe chcesz, byśmy trzymali się z tyłu?"

Musi coś teraz zrobić, inaczej wybuchnie bunt.

Zbliżył się ostrożnie do Ganesii, pokazując żołnierzom z garnizonu, że nie ma broni.

- Będziesz dla mnie tłumaczył? - spytał. Jego partyjski był równie dobry, jak tego pyszałkowego oficera. Wielokrotnie widział takich jak on, bezlitosnych dla swoich żołnierzy, odmawiających im odpoczynku, wody i cienia. Wiedział, że zginą, jeśli nie będą posłuszni.

Ganesia skinął głową.

- Powiedz więc temu... użyj jakiegokolwiek uprzejmości, którą uważasz za najstosowniejszą... że choć my, z Rzymu, możemy być zmienni, nasze słowo jest stałe niczym Gwiazda Polarna. Daliśmy je oficerowi, który traktował nas z honorem, licującym z jego własnym - i oczekuje na równie honorowe traktowanie jego samego.

Przebiegłe, ciepłe oczy Ganesii rozjaśniły się.

- Spryt, jak widzę, jest kolejnym łukiem, który potrafisz naciągnąć. Tym razem trafiłeś w samo sedno, okazałeś się mądrzejszy niż niejeden z cenionych mędrców Królestwa Złota. Powiem temu Li Liangli, że twoi ludzie postępują tak, jak mają nadzieję, że postępować się powinno.

Jego głos wznosił się do szybkiego, tonicznego szemrania mowy Królestwa Złota. Quintus pomyślał, że to, co w dobrej, przejrzystej łacinie byłoby tylko kilkoma krótkimi słowami, w języku Wschodu zabrało mnóstwo czasu. Arystokratyczny, młodszy oficer w oburzeniu uniósł wytworne brwi.

- Kung Fu Tse - stwierdził. Jego przełożony prawie nie słuchał, a jego groźny wygląd nieco złagodniał.

- Czy chcesz ich miecze? - Quintus postąpił naprzód. Włócznie zniżyły się do poziomu jego piersi, lecz zignorował je. Czynił właściwie - wezwał tego aroganta, by postępował z nimi sprawiedliwie, opierając się na swoim własnym kodeksie. Mógłby

bronić nawet Ssu-ma Chao, który traktował ich jakby był prawie Rzymianinem, za co upokorzono go przed własnymi żołnierzami.

Lucilius rzucił mu spojrzenie, które wyraźnie wskazywało, że zbyt długo przebywał na słońcu z nieosłoniętą głową. Mimo to wyciągnął miecz, prowokując komendanta garnizonu do wzięcia broni i przyznania się do strachu nie tylko przed Rzymianami, lecz również przed towarzyszącymi im wojownikami Ch'in.

Odmowa byłaby gestem honorowym. Powinien wyrzec słowa respektu, co niewątpliwie miałyby miejsce, gdyby Quintus negocjował z Rzymianami; ale już przyzwyczaił się wymagać mniej od tych barbarzyńców. Li Liangli po prostu odwrócił się od niego i przemówił do Ssu-ma Chao:

- Syn Niebios potrafi być miłosierny. Nakazał generałom, by byli wyrozumiali wobec błędów tak długo, jak długo utrzymywana jest ogólna dyscyplina.

Ssu-ma Chao podał miecz Quintusa żołnierzowi, który z kolei oddał go trybunowi. Ten odebrał swój oręż, naśladując najlepiej jak umiał ukłon Ch'in. Znów pod jarzmem patrona? Quintus przysiągł sobie nigdy więcej nie giąć karku jako klient - lecz musiał myśleć o swoich ludziach. Musi być teraz zakładnikiem. Może będzie musiał tego żałować, lecz schował miecz chwilę wcześniej, zanim oficer obrócił się ku niemu.

- Cesarz, mój władca, rozkazał, by wszyscy ludzie z Południa okazali mu posłuszeństwo. Głowy niepokornych są wystawione w Ch'angan na widok całego świata. Wy - wy musicie uznać go swoim monarchą.

- Nadużywa swego szczęścia - mruknął Lucilius. Quintus ujrzał ku swemu zdumieniu jak młody patrycjusz i arystokrata Ch'in porozumiewają się oczami.

Czekało ich więc znów wygnanie, być może niewolnictwo. Pomyślał, że dni, kiedy był klientem w Rzymie, uważał za ciężkie. Teraz zdał sobie sprawę, że nawet nie otarł się o prawdziwy "trud", ani granice własnej wytrzymałości. Był pozbawiony ojca, dziadka i pozycji, a Legiony, powołane do istnienia ku chwale Rzymu, zgubione przez głupotę i zachłanność szlachetnie urodzonych. I jakoś to przeżył. Uważał pracę na roli i szkolenie wojskowe za żmudne: obecnie znosił chłód gór i żar pustyń, które mogły zmrozić krew lub ją zagotować, chyba że najpierw zostałyby wyssane przez demony.

Przewidywał, że będą maszerować jeszcze dalej na Wschód, w głąb krain złota, którego nigdy nie zobaczą. "Pokażemy tym obcym Rzymian" - chciał krzyknąć swoim ludziom, by usłyszeć ich wiwaty i ujrzeć saluty. Tutaj, w Kaszgarze, albo

przed samym tronem tyrana, rządzącego całą Azją. Uzbrojeni lub zakuci w łańcuchy. Pokaże barbarzyńcom Rzymian! Skinął na Rufusa, by uformował kolumnę. Sylwetki legionistów rzucały długie cienie. Unoszący się pył pobruździł mu twarz. Kurz, niczym szafranowy welon, osiadł wokół oczu, wchłaniając ich wilgoć i zmuszając go do przecierania twarzy.

Komendant garnizonu rzucił komendę. Jego jeźdźcy utworzyli szyk; część z nich jechała za kolumną Rzymian. Połączone siły opuściły obszar wielkich skał i maszerowały wśród żwiru, wspinając się na strome grzbiety krętych wydm, bez zatrzymywania się nawet na posiłki. To był poważny sprawdzian ich serc i siły. "Patrz, arogancki barbarzyńco. Oto są R z y m i a n i e." Gdziekolwiek ukryli Orła, oni będą maszerować dumnie, jakby gdzieś z niebios chronił ich jego cień.

Światło czerwieniejącego słońca odbijało się od bezkresnych spłachci soli przemieszanej z pustynnym piaskiem, aż przypomnieli sobie równiny pod Carrhae po przegranej bitwie.

Rozbłysnęły pochodnie, zwiastujące, że do Kaszgaru zbliżają się żołnierze.

Rozdział dziewiętnasty

Wartownicy na murach miasta dostali sygnał, że przybywają podróżni. Tutaj nawet pola były strzeżone przez rolników, ubranych jak wojownicy. Rzadka zieleń urozmaicała pylistą ziemię, nieco ciemniejszą w pobliżu kanałów, którymi sączyły się cienkie strumyki wody, umożliwiające jakąkolwiek roślinność.

Kaszgar, czy też Su-le, jak nazywali je Ch'in, otoczony był podwójnym murem: wysokimi, cienkimi topolami, rzucającymi skąpy cień na maszerujących, znużonych ludzi i właściwymi fortyfikacjami: czterdziestostopową ścianą, wzmocnioną platformami strażniczymi i kwadratowymi wieżami. Mury były wypłukane do białości i lśniły w słońcu. Quintus dostrzegł paliki, do których przywieszano łuczywa lub urządzenia sygnalizacyjne. Liczba tych mocnych, trudnych do zdobycia wież stanowiła o sile miasta.

Z murów pomrugiwała ulewa światła. Ruch za murami ostrzegał przybyszów, że czekają na nich ludzie wyszkoleni w posługiwaniu się bronią. Nie zważając, że towarzyszą im żołnierze i oficerowie z Su-le - wliczając w to Li Liangli - garnizon rzymski stanął pod bronią. Quintus przyjrzał się wysokim, dobrze zabezpieczonym murom. Zobaczył sterty drewna - wielkiego skarbu w tych stronach. Bez wątplenia używano go jako pochodni do nocnej sygnalizacji.

- Założę się, że są w pełni zaopatrzeni - mruknął z uznaniem Rufus, gdy zbliżali się do bramy. Placówka wyglądała na samowystarczalną, jak każde miasto garnizonowe, w którym stacjonowali dotychczas.

- To Lucilius jest graczem, nie ja - odpowiedział Quintus. - Nie wyrzucalbym srebra na rzecz oczywistą - zakładając, że ujrzymy jeszcze kiedyś naszego skarbnika.

Temat był zbyt związany z domem. Mówiono, że Ch'in to Kraina Złota, lecz jak dotąd, niewiele widzieli szlachetnych kruszców. Nawet rzymski niewolnik zwykle ma przy sobie trochę monet. Lecz więźniowie... podobnie jak niewolnicy byli własnością: ich status mógł się zmienić, ale w ściśle określonych granicach.

- Niewdzięczna ziemia do uprawy - skomentował centurion, odchodząc od bolesnego tematu. Przejeżdżali obok pól, wyrwanych pustyni staraniem i katorżniczą pracą, uprawianych przez silnych mężczyzn i kobiety. Ich każdy, nawet najmniejszy ruch był przemyślany i jakby wyuczony. Wydierali ziemi pożywienie - zieleń

spomiędzy ochry i szarości. Racjonowali wodę. Zmuszali rolę, by karmiła swoich mieszkańców, skoro nie może rozkwitnąć. Chronili ją przed jeźdźcami, wrogami i demonami. Nawet najstarszy z wieśniaków przypominał żołnierza.

- Nie pragnąłbym mieć tutaj ziemi i muła - stwierdził Rufus. - A ty, panie?

Wyobraził sobie mgiełkę w rzecznej dolinie, zbyt krótko nazywanej przez niego domem. Nawet kiedy ubożeli, ich ziemia obfitowała w bogactwo wody i żyznej gleby. A na te dary natury mieszkańcy Kaszgaru nie mogli mieć żadnej nadziei. To była biedna kraina, lecz stanowiła dom dla wojowniczych mężczyzn i twardych kobiet, które tu pracowały. Mieli własną ziemią i przyszłość, w którą patrzyli z ufnością - szczęście daleko od władzy Rzymu. O ile nie podbiją ich Czarni Naacalowie. Gorący wiatr owionął twarz Quintusa. Wzdrygnął się. Miał wrażenie, jakby stanął zbyt blisko ognia. Oczekiwał raczej wilgotnej, tokańskiej bryzy. Mogła przynieść chorobę i gorączkę, ale teraz zaryzykowałby, byle tylko jego wysuszona skóra mogła poczuć wodę. Podmuch poruszył rząd konia, na którym siedział, i wzniecił rozbłyski zmatowiałego złota w czuprynie Luciliusa, pociemniałej teraz prawie do koloru włosów gorzej urodzonych Rzymian. Jak często mawiał, było to jego jedyne złoto. Gdyby tylko mógł je postawić w grze ze starszymi od siebie, dawno byłby łysy. Lucilius podjechał do oficerów Ch'in. Śledził oczami młodego podoficera ze stolicy. "Lucilius jest mężczyzną dla kobiet - przypomniał sobie Quintus. Są do siebie podobni - szlachetni urodzeni, dbający o pozory, nadskakujący lepszym od siebie."

Zauważył, że partyjski Luciliusa poprawił się. Quintus zastanawiał się, czy młody arystokrata Ch'in zaryzykuje, rozmawiając z którymś z Rzymian. Oho! Luciliusowi udało się przechwycić jego wzrok i uklonił się, ale Ch'in odwrócił głowę. Quintus powstrzymał uśmiech: to był największy afront, jaki widział przez te wszystkie lata klienteli. Twarz Luciliusa oblała się purpurą.

Niech spróbuje jeszcze raz. Niech pozna to uczucie. A później, na wszystkich bogów, niech mu się powiedzie. Odpowiednik patrycjuszowskiego trybuna byłby teraz znaczącym sojusznikiem, zwłaszcza gdyby mieli ruszyć na Wschód, do stolicy Ch'angan. Był pewny, że część z nich niewątpliwie zostanie tam posłana, w tym samym celu, w jakim Krassus i inni prokonsulowie wyruszali na podbój tych ziem. Lecz kto znajdzie się w tej grupie? Lucilius, jeśli dopnie swego. Być może Arsaces: znał się na zwierzętach i mógłby być użyteczny podczas marszu, także jako tłumacz. On? Był dowódcą tylko dlatego, że nie było nikogo lepszego. Możliwe, że nadszedł

czas na przekazanie dowództwa Luciliusowi, zrobi to jeśli dzięki temu będą mogli coś osiągnąć. A wtedy pewnie zostanie tutaj, razem z innymi Rzymianami. Może nawet będzie uprawiał tę oporną ziemię?

W ten sposób ich sytuacja nie będzie się o wiele różnić od losu braci - legionistów w Merv - z wyjątkiem tego, że tu mogą mieć nadzieję na jakąś namiastkę wolności. I ziemię. Oczywiście, suchą jak pieprz, ale j e s t tu trochę wody. W przeciwnym razie nie byłoby pól i topoli. Jakie budowle mogłaby tu postawić kohorta Rzymian, pracujących razem... Akwedukty wznoszące się między włoskimi wzgórzami pojawiły się nagle w jego umyśle. Miał wrażenie, że pod turbanem gotuje mu się mózg. A pod tuniką zbiera znajoma moc talizmanu.

Niebezpieczeństwo, tutaj? Czy też zapomnienie? Jak mógł marzyć o ziemi i przyszłości, nawet tak wyblakłej i odosobnionej jak w Su-le? Draupadi przejechała obok i talizman rozgrzał się ponownie. Bogowie, odeślą ją, a on nie pozwoli odjechać jej samej. Przecież przysięgał.

Strażnicy Ch'in zacieśnili wokół nich krąg. Spojrzenie Ssu-ma Chao było teraz wszystkim, na co mógł liczyć; oficer Ch'in miał teraz dwóch przełożonych.

Bramy Kaszgaru rozwarły się, by ich wchłonąć. Cień murów połknął ich, oferując chwilę błogosławionego chłodu i ciemności. Potem przeszli przez palisadę do samego miasta. Strażnicy obserwowali ich z góry. - Alarm - ocenił Rufus. - Nie za wiele tej przezorności?

Żołnierze Ch'in wyglądali jakby wciąż oczekiwali napaści: czyjej i skąd - nie wiedzieli; podobnie Li Liangli: arogancy, despotyczni i wciąż gotowi, by zaatakować. Wszyscy byli owładnięci tym samym - od najprostszego rekruta po dumnych prokonsulów - strachem.

Uprząż zdrożonych zwierząt pobrzękiwała mieszając się z ich rżeniem i rykami. Po raz pierwszy od miesiący otoczył ich hałas miasta. Jedzenie - wszystko jedno jakie, wyschnięte czy osmalone - na tę myśl usta Quintusa wypełniły się śliną. Lepiej o tym nie myśleć. Racje więzienne mogą nie dorównać marzeniom. Ponadto nie miał pieniędzy. Nie stać go na dodatkową żywność. I - co gorsza - nie mógł kupić prezentu, który nawet klient w Rzymie byłby w stanie ofiarować kobiecie.

Jeden z wielbłądów wyciągnął szyję. Kłapnęły dyszące smrodem szczęki. Quintus rozpoznał to zwierzę; jego brzemię poznałby nawet w czeluściach Hadesu. Orzeł. "Uspokój się - powiedział sobie. - Jesteś wyczerpany. Brama jest zamknięta i nawet jeśli wielbłąd się urwie, daleko nie ucieknie."

Żołnierze na murach uznali, że zagrożenie minęło. Porzucili posterunki, nie obawiając się nieoczekiwanego ataku. Jeden lub dwóch z nich, prawdopodobnie po służbie, pokazywało sobie ze śmiechem rozjuszona zwierzę, które wierzgało i kłapało zębami, desperacko podtrzymując opinię o złośliwości wielbłądów.

Tyle tylko, że ten wielbłąd nigdy dotąd nie zaatakował żadnego z poganiaczy. Była to jedna z przyczyn, dla których wybrano go do noszenia Orła. Stał się nawet obiektem kpin, choć jego jeździec budził zawiść. A teraz ryczał, gryzł i próbował się uwolnić, wierzgając i kopiąc na oślep. Jeden z poskramiających go ludzi upadł, błyskawicznie się podniósł i uskoczył, by uniknąć stratowania.

- Gdyby to był pies, przysiągłbym, że się wściekł - ocenił Rufus. - Najwyższa pora odzyskać nad nim panowanie.

Arsaces znał się na koniach, lecz gdy zbliżał się z rozłożonymi rękoma do rozhukanego wielbłąda, człowiek w nakrapianej szacie uderzył go laską w plecy. Pers wtoczył się pod racice zwierzęcia. Mimo zgiełku panującego na rynku, Quintus usłyszał trzask łamanych kości. Twarz Arsacesa była okrwawiona i wykrzywiona. Jego skręcony kark zwisał bezwładnie.

"Gdzie jest mój miecz?! Wiedziałem, że to głupie!"

Gdzie podział się przeklęty wierzchowiec Arsacesa? A, tam jest! Zanim Quintus skręcił w bok, próbując odszukać człowieka, który uderzył przewodnika, ten zdążył już zniknąć w tłumie. "Weź miecz na wypadek, gdyby wrócił." Ale żołnierz z obnażoną bronią zastąpił mu drogę.

Jak mógł pomścić śmierć przyjaciela? Arsaces był Persem, lecz dobrze służył Legionom, okazując lojalność przewyższającą wszystko, czego oczekiwaliby po Człowieku Wschodu. Trudno uwierzyć, że jego energia zniknęła. Jakie szaleństwo pchnęło Quintusa do pozbycia się broni?

Zwierzę znów zaczęło szaleć. Popręgi juków rozluźniły się i toból powoli ześlizgiwał się na jego bok. Znowu ten morderca! Tym razem jego pałka spadła na grzbiet wielbłąda. Bestia szarpnęła się. Juki przekrzywiły się jeszcze bardziej. Paski trzasnęły i pakunek upadł na ziemię. Orzeł był zawinięty tak dokładnie, że Quintus nie usłyszał brzęku metalu, uderzającego o grunt. Pałka zadała kolejny, ostatni cios. Z chrząknięciem, jakby całe powietrze zostało wypchnięte z jego płuc, zwierzę przewróciło się na ciało Arsacesa.

Złodziej i zabójca we wzorzystej szacie odważnie sięgnął po zwój tkaniny, która chroniła Orła Rzymu.

- Brać go!
- Strzelaj!
- Zabić złodzieja!

Człowiek w pustynnym stroju porwał pakunek i zarzucił sobie na plecy. Obrócił się, desperacko szukając drogi ucieczki. Mogłoby mu się to udać, gdyby nie było tam Rzymian, a łup był czymkolwiek innym, tylko nie Orłem Legionu. Lecz skoro droga była zamknięta dla Rzymian, to dla niego również.

Złodziej miał czarne oczy, lśniące dziwnym blaskiem w przyciemnionych dla ochrony przed słońcem oczodołach. Jego twarz - Quintus znał te rysy, poznawał też prężne i zwinne ciało. Ten obszarpany złodziej i morderca był uderzająco podobny do Draupadi.

Ssu-ma Chao odwołał swoich ludzi. Rzymianie nie zdołają uciec. Można więc pozwolić im złapać złodzieja.

Morderca ma Orła, a oni mają do niego wolną drogę!

Quintus rzucił się naprzód, nie dbając o Draupadi, wykrzykującą jego - lub Arjuna - imię. Wiedział tylko, że nikomu nie wolno zabić towarzysza i uciec z łupem, zwłaszcza gdy tym łupem jest Orzeł Legionu.

Krzyknął w strasliwym gniewie. Przecież on może uciec! Człowiek w wyświechtanej szacie zmierzał właśnie w stronę bramy, lecz ta była zamknięta i strzeżona przez Ch'in i Rzymian. Quintus zastąpił mordercy drogę. Pałka uniosła się.

- Na litość boską! Dajcie mi miecz! - zawołał. Sama myśl, że żebrze u Ch'in o broń, wpędziła go w prawdziwą furię.

- Łapcie go!

- Ludzie z Ta'Chin! - krzyknął Ssu-ma Chao. Dobywszy miecza, cisnął go Quintusowi. Broń zabłysła, chwytając promień gorejącego słońca. Trybun zdołał złapać ją w samą porę, by sparować cios morderczej pałki.

Pałka uderzyła w ostrze wydając odgłos dwóch ścierających się głowni. Siła tego ciosu wstrząsnęła Quintusem. Gorąco popłynęło mieczem do rękojeści, z niej do ramienia i wreszcie ogarnęło całe ciało. Płomienie wystrzeliły z ostrza, spowijając przeciwnika. Ten zakręcił pałką, aż zaświszczało powietrze. Znów rozległ się dźwięk uderzającego o siebie metalu. Mimo iż ta broń wyglądała na wykonaną z drewna - był to tylko pozór. Zrobiono ją z pewnością z czegoś daleko bardziej mocnego i trwałego. Quintus wyczuł po chwili, że jego miecz zbliża się do kresu wytrzymałości. Pot przykleił mu dłoń do rękojeści.

Kolejny cios. Quintus poczuł wstrząs, przeszywający rękę i ramię. Ostrze zabrzęczało i złamało się, pozostawiając mu w dłoni trzon i około stopy metalu. Kolejne uderzenie tej pałki...

...Nigdy nie nadejdzie. Jego pierś zalała fala ciepła, emanująca z talizmanu. Ciepło to, uderzające do głowy niczym wino, przepełniło całe jego ciało. Ujrzał, jak ciemne oczy przeciwnika rozszerzają się i przeszywają go na wylot. Błogosławione ciepło wypędziło z Rzymianina ból i zmęczenie, a złamana głównia rozjarzyła się blaskiem.

Z rękojeści, którą wciąż ścisnął w dłoni, trysnęło światło. Przez chwilę Quintus mógł widzieć kości swojej ręki i ramienia, przeświecające przez skórę. Czuł gorąco, które go jednak nie parzyło.

Jego oczy spotkały się z czarnymi oczami złodzieja, w których czała się niezrozumiała nienawiść. Tryskające z rękojeści miecza światło spowiło go, wywołując ból. W miejscu zetknięcia się z morderczym promieniem ciało złodzieja gniło i rozpadało się. Wciąż wpatrywał się w Quintusa pełnym nienawiści, innym spojrzeniem, nawet wtedy gdy twarz wykrzywił mu grymas agonii i strachu. W końcu oczy zaszyły mu mgłą, nie wyrażając już niczego.

Quintus usłyszał krzyczących ludzi. Płomienie rozpełzały się, pochłaniając szaty pokonanego i materię osłaniającą Orła. Pakunek rozpadł się, gdy przepaliły się spinające go troczki. Brązowe pióra Orła, uwolnione ze zwęglonych zwojów, lśniły wciąż żywym blaskiem.

Płomień prawie doszczętnie strawił mordercę. Mimo to, ten stał nadal. Był już szkieletem, lecz wciąż stał, dzierżąc laskę. Po chwili tajemnicza broń upadła z hukiem. Bezbronny kościotrup rozpadł się w proch, jakby liczył sobie tysiące lat.

Quintus upuścił złamane ostrze, które nagle stało się zimne. Ukląkł przy Orle. Ważne było, tak jak pod Carrhae, by znak nie leżał na ziemi. Dźwignął się na nogi, przyciskając Orła mocno do piersi, po czym zatknął go na drąg i podniósł wysoko. Był zmęczony, jak po rozstrzygającej bitwie.

Ostre słońce Kaszgaru świeciło mu prosto w oczy. Poczuł, że jego głowy nie chroni turban, który nosił od samego początku tej fatalnej wędrówki. Będzie go jeszcze potrzebował - bogowie wiedzieli, że nie znajdzie tu nigdzie rzymskiego hełmu.

Drapadi podeszła do niego, trzymając w swych szczupłych dłoniach zakurzony zawój. Otrzeptała go z pyłu i podała mu. Nie wyglądała na przerażoną czy

wstrząśniętą. Była przecież żoną najpotężniejszego wojownika swoich czasów. A wcześniej - trudno pomyśleć, czym była wcześniej. Quintus pragnął przede wszystkim zanurzyć się w wodzie. Skok do Tybru, zimnego od wiosennych roztopów - to byłoby lepsze od Elizjum.

Draupadi przysunęła się bliżej i Quintus otoczył ją ramieniem, czując siłę jej gibkiego ciała. Przez chwilę stał, rozdarty między Orłem a ukochaną. Obydwoje obdarzali go siłą, regenerującą duszę i ciało.

Obejmując Draupadi, uświadomił sobie, że przyglądają mu się rzymscy wojownicy i żołnierze Ch'in. Zarumienił się. Jego ojciec nigdy nie okazywał matce takiej troski publicznie. Nawet epitafium wyryte na jej grobie: "Przesiadywała w domu i przędła wełnę", przypominało, że jest żoną i gospodynią, nie kobietą. "Ale to jest moja ukochana" - powiedział sobie i objął Draupadi jeszcze mocniej. Ta obca Rzymianom myśl była daleko starsza od Rzymu. Draupadi domyśliła się jego decyzji i uśmiechnęła się.

Wiatr zaszeleścił w złaknionych wilgoci topolach i wzbiał zasłonę z kurzu, która przesłoniła twarze otaczających go ludzi - poblądłe, przestraszone lub wyrachowane. Stopniowo pośród ogólnego zgiełku wychwytywał pytania - jedne będące wyrazem troski, inne brzmiące jak polecenia. Gęsty kurz - zmieszany z popiołami wroga - szybko pokrył ich ręce. Otrzeptał czarne włosy Draupadi niczym górskie potoki płynące wśród nocy. Lecz jeszcze zanim jej dotknął, długie loki rozbłyły. Spojrzał na swoją dłoń. Ona również świeciła.

Jeszcze chwilę temu całe jego ciało pokrywał biały pył soli i potu. Teraz lśnił czystością, wyglądał jakby brał udział w pochodzie triumfalnym u boku zwycięskiego prokonsula. Orzeł jaśniał nad głowami, przyciągając wzrok zgromadzonych.

Draupadi oparła rękę na kiju, podtrzymującym znak i dumne motto Rzymskiej Republiki: "Senat i Lud Rzymu".

- Masz doprawdy potężną broń - szepnęła.

Przede wszystkim to był symbol Rzymu i jego potęgi.

Tam, gdzie był Orzeł, był szacunek, nawet w niewoli. Draupadi wiedziała, o czym myśli - tak jak wiedziała to kiedyś - ale potrząsnęła tylko głową.

- Czyż nie szukasz Pasupaty, silniejszej od łuku Arjuna? Arjuna bardzo długo przetrząsał góry. Znalazł obcych nauczycieli. Wówczas powrócił. Ten oręż - jeśli go nie znajdziesz - zwróci się przeciwko człowiekowi, który nie będzie umiał go wykorzystać.

Słońce oświetlało Orła, który rozsiewał wokół siebie blask chwały.

Nadszedł Li Liangli. Zatrzymał się kilka kroków od nich i warknął parę słów do swojego zastępcy. Ten zmarszczył brwi. Quintus domyślał się rozkazu. Komendant garnizonu chciał odebrać im Orła. Orła Quintusa. Talizman jego Legionu i symbol Rzymu - zaraz po tym, jak go odzyskał.

Otoczyli go żołnierze Ch'in o nieruchomych twarzach. Z większością z nich podróżował. Czy zawahają się przed zabiciem człowieka, z którym razem walczyli i cierpieli? Jeśli tak, to Quintus był pewien, że wkroczą żołnierze z garnizonu. Lucilius także zaczął przepychać się do przodu, szybko jednak został - z całym szacunkiem - zatrzymany przez Rufusa. Wściekłymi gestami próbował wymóc na centurionie, by ten go przepuścił.

- Musisz im go oddać - syknął do Quintusa. - Inaczej wymordują nas bez wahania.

- Czym będzie nasze życie pozbawione honoru? - zapytał Quintus. Przez twarz Luciliusa przebiegł grymas. Strachu? Czyżby wiedział, że prosi o przysługę, że błaga dawnego klienta?

"Chodźcie i weźcie go" - patrycjusz nie odważył się wypowiedzieć jeszcze tych słów na głos. Quintus delikatnie odepchnął od siebie Draupadi. Zdjęła rękę z Orła. Ciepło przepływające między nimi osłabło. Kiwnęła głową i cofnęła się w tłum gapiów i żołnierzy. Częstką świadomości zarejestrował, że zaczęła rozmawiać z Ganesią, stojącym w pobliżu ludzi, usuwających ciało Arsacesa. "Żegnaj, stary przyjacielu." Nie było nic niezwykłego w nazywaniu Persa "przyjacielem". Ale określenie go "bratem" mogło zranić.

Gdyby Quintus oddał Orła, znowu by przegrał, tak jak pod Carrhae. Ptak widział już Surenę, przyjmującego kapitulację Legionów i prokonsula. Później Quintus walczył za Orły i omal nie przyplącił tego życiem. Kolejna klęska musiałaby go zabić. Czuł w sobie moc symbolu. "Niech spróbują go odebrać." Nie uda im się, chyba że on tak postanowi.

Albo umrze. Śmierć albo hańba, być może; ale jego dziadek kłaniał się jako klient dla dobra Quintusa... A on - miał ludzi, którzy na niego patrzyli, i miał Draupadi. Porzucił marzenia o domu. Czy musiał zrezygnować ze wszystkiego?

"Głupcze, popatrz jak poddali się Ganesią i Draupadi!"

- Quintusie... przyjacielu... - spróbował znów Lucilius. "Nawet nie próbuj, trybunie. Serce może ci pęknąć z wysiłku. Czemu nie? Moje pęka właśnie teraz."

Warknął na patrycjusza, który zbladł pod opalenizną. "Wciąż uważasz, że masz coś do stracenia?"

- Zaczekajcie.

Ssu-ma Chao postąpił krok naprzód.

- Gdyby zezwolono temu pokornemu słudze...

Powiedział to najpierw w Ch'in, a następnie przetłumaczył na partyjski. To samoupokorzenie dziwnie zabrzmiało w tym języku błyskotliwych intryg dworskich i karawaniarskich przekleństw.

Komendant burknął coś i jego młody oficer przystąpił do swego przełożonego. Stał wyczekując. Spojrzenie jego oczu bardzo źle wróżyło.

Nie, nie zapomni Quintusowi utraty twarzy przed motłochem i swoim własnym dowódcą.

- Przyjacielu - to słowo w ustach Ssu-ma Chao - inaczej niż wypowiedziane przez Luciliusa - nie wzbudziło w Quintusie chęci do zmuszania wyschniętych warg do splunięcia. - Oddałem wam broń. Razem walczyliśmy. Dałem ci słowo - moi przodkowie świadkami - że postaram się, by traktowano was z szacunkiem. I tak będzie. Nie chcemy dalszego przelewania krwi.

Quintus zrozumiał. Umrzeć w bitwie, umrzeć z honorem - to śmierć godna żołnierza Rzymu. Lecz to był wróg zamieniony w sojusznika, oferujący mu w istocie życie jego ludzi.

Quintus popatrzył na Orła. Światło odbiło się od wykutego z brązu, groźnego dzioba. Potem zgasło.

- Towarzyszu - odezwał się ciepło Quintus - Nie jesteś sługą ciemności. Strzeż go. Spraw Fortuno, byśmy mogli osiągnąć nasze cele.

Delikatnie podał Orła oficerowi Ch'in, który wziął go i uniósł, oddając mu należne honory.

Rozdział dwudziesty

Płonące na murach Kaszgaru ognie rzucały krwawe światło na pustynię, gdzie pod silną strażą obozowali Rzymianie. Kapitulacja Quintusa na niewiele się zdała: nie ufano mu jako sojusznikowi, i niewiele bardziej jako więźniowi - a wraz z nim pozostałym Rzymianom. Ognie posterunków strażniczych migotały, a smród płonącej smoły spływał na obozowisko.

Komendant garnizonu nie wpuścił ich nawet za mury. Wydalenie z Kaszgaru nie było największym nieszczęściem. Miasto zdawało się chore i niespokojne - płaczące dziecko w wymarłym domu, dwa psy gryzące się nad brudnym ochłapem; polujące dzikie koty, przytłumione krzyki pijanych do nieprzytomności mężczyzn. Nie, pustynia wydawała się przy tym ogrodem. Mieli nawet świeże jedzenie.

Quintus widział jednakże twarz Li Liangli. Nawet przez ten krótki czas, gdy ją obserwował, postarzała się i poszarzała, jakby komendant cierpiał na chorobę nie ciała, lecz ducha. Wysłano go, by odparł Hsiung-nu i był posłuszny. Teraz miał do czynienia z więźniami niepodobnymi do innych, i niebezpieczeństwami, których wolał sobie nie wyobrażać.

Quintus przypatrywał się strażniczym ogniom, jakby w każdej chwili oczekiwał, że ujrzy wznoszący się płomień sygnalizujący zagrożenie. Niebezpieczeństwo kryło się i na pustyni, i wśród wzgórz. Inne zagrożenie - był tego pewny - tkwiło w mieście, gdzie czaili się przybysze, mogący stać się tak znaczącymi przeciwnikami. Kaszgar był najdalej wysuniętą placówką Cesarstwa, lecz w jednym przypominał Quintusowi Rzym: podstępłą walką frakcji wrywających sobie władzę i wpływy.

Dwa oddziały żołnierzy Ch'in dzieliły pustynię z legionistami: wartownicy z garnizonu, lojalni wobec komendanta i, prawie tak samo uważnie obserwowani jak Rzymianie, żołnierze Ssu-ma Chao. Powrócił on z Partii opromieniony, jak myślał, sukcesem tylko po to, by znaleźć się w centrum podejrzeń. Cóż warta była obietnica oficera ze Wschodu - jego przysięga na przodków - cóż to było warte, gdy jego przyszłość była tak teraz niepewna? Quintus westchnął. Jakkolwiek by wybrał - wybierze źle. Jak uciekną bez broni? On sam mógłby ruszyć w kierunku Ch'in i rzucić się, dajmy na to, na tego ulizanego oficerka ze stolicy. Śmierć szybka i pewna. Albo

mógł poczekać na to, co grasowało po pustyni i w mieście - i co on, Draupadi i Ganesia uważali za śmiertelnego wroga.

Usłyszał zbliżające się kroki; ciężki, znużony krok Ganesii - jakież musi być zmęczony po tak wielu, wielu latach - i delikatne stąpania Draupadi. Pomyślał, że prawie słyszy towarzyszący jej brzęk malutkich złotych, srebrnych i miedzianych dzwoneczków. Podeszła do niego, a on bez wahania otoczył ją ramieniem.

Ganesia uśmiechnął się.

- Oto jedyna rzecz - powiedział - która idzie dobrze. Wy oboje...

Spojrzał na kobietę, owiniętą szafranem w kolorze welonu rzymskiej narzeczonej. "Gdzie ja, Kajus, bądź ty, Kajo" - powtórzył w myślach, napawając się brzmieniem tych słów.

Zerknęła na niego. Był tu ogień. I nawet jeśli brakowało drzwi do namaszczenia tłuszczem i orzechów, by rozrzucić je przed wiwatującym, rozśpiewanym tłumem - to był tu kapłan. A na jej palcu widniał pierścień, znak zaślubin.

Wyciągnął dłoń i dotknął go. Uśmiechnęła się.

Wtem Ganesia stanowczo uniósł rękę.

Zamarli. Ganesia potrząsnął głową, a Draupadi przytaknęła. Chwilę później zaczęła śpiewać delikatną, cichą kołysankę. Odpłynęli w sen, w iluzję.

Lucilius i Wang Tou-fan, młody oficer ze stolicy, przeszli obok nich, jakby ich tam nie było - nieważne, że rękojeść oficerskiego miecza prawie dotknęła szaty Draupadi.

Ciekawe, czy Lucilius, zawsze pierwszy do wykpienia każdego przejawu braku ogłady, znajdował przyjemność w traktowaniu go jak niedouczzonego barbarzyńcy?

- Widziałeś to? - rzekł cesarski żołnierz. - Widziałeś, jak świecił. Niczym Feniks, odrodzony z popiołów.

- To jest łacina! - Gdyby nie czar Draupadi, jego okrzyk zdradziłby ich. Gdzie Wang Tou-fan nauczył się ich języka? Znajome, ukochane sylaby brzmiały dziwnie w ustach azjatyckiego arystokraty. Dziwnie i niestosownie: Quintus chciałby zetrzeć mu je z warg.

- Zdumiewające - mruknął - Nie myślałem, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego, prócz dumy rodowej. Najmniej zaś oczekiwałbym wspólnego języka.

- O n i nie - odparł Ganesia - lecz inni tak. Inni, dla których nauczenie się

obcego języka jest równie łatwe, jak zmiana jednego stroju na drugi. Zresztą, nie tylko ubranie można zmienić - dodał ponuro.

- Nie mamy Feniksa - jak go nazywasz - lecz Orła - odpowiedział Lucilius. -
Podążają za nim nasze Legiony. Jeśli słuchałeś Ssu-ma Chao...

- Prowincjusz bez znaczącej rodziny - co mógłby mi powiedzieć? Sprowadził was tutaj. Sprowadził waszego Orła, jak go nazywasz. Widziałeś, jak świecił, nawet dla niego. Czegóż nie zrobiłby... dla was?

- Co z tego? Sztuczka światła, nic więcej - wycedził Lucilius.

Ch'in syknął. Quintus zastanowił się nad słowami Ganesii. "Równie łatwo, jak zmienić jedną szatę na inną..." Tak robili Naacalowie. Człowiek, którego pochłonął ogień, umarł w milczeniu. Ale śmiertelny krzyk dał się słyszeć zza jego pleców.

To czyste szaleństwo. To był obłęd, wykraczający daleko poza najdziksze fantazje. Co, jeśli dwóch ludzi, oprócz Arsacesa, zmarło w Kaszgarze - ciało jednego z nich spłonęło od mocy Orła, a duch drugiego uległ zniszczeniu, gdy ego tego pierwszego zawładnęło jego materialną powłoką. Prawdziwe obłąkanie. Lecz jak inaczej wytłumaczyć tamten krzyk, albo jak mógł ten arogancki, młody oficer przemawiać teraz czystą łaciną.

- To bez znaczenia - dodał posępnie Lucilius. - Orzeł - och, no dobrze - Feniks znajduje się w twojej mocy. Lub twego dowódcy. A ty i on, jak zauważyłem, macie tu najmocniejszą pozycję.

- To bez znaczenia - odrzekł Wang Tou-fan czy też to, co nosiło teraz jego ciało. - Nie pozwoli ci tu zostać. Zdradził się z tym, gdy był... Powiedzmy, że zmęczeni ludzie zbyt dużo piją. Mamy trochę szczęścia: to ja mam wrócić do Ch'angan z tobą i Orłem.

Lucilius wzruszył ramionami, Quintus nie musiał widzieć jego twarzy, by wiedzieć, co rzymski trybun teraz myśli: "A co j a będę z tego miał?" Kości, klęska, marsze - wszystko było takie samo. Nawet tak daleko od domu. Lucilius mógł dojrzeć przyszłość i władzę, co jak sądził, utracił.

- Jak sprawił, że Orzeł rozbłysnął? - chciał wiedzieć Ch'in.

Quintusa rozbawił ton głosu Luciliusa:

- Nie wiem. Nigdy wcześniej tego nie widziałem. Dzieje się tutaj coś obłądnego. Ucieszę się, kiedy pojedziemy do miejsca, gdzie szanuje się rodzinę i człowiek może zachowywać się w sposób cywilizowany.

- Lepianki i parweniusze! - splunął szlachcic Ch'in. Jupiterze Optimisie

Maximusie, mówił tak o własnej stolicy! Czy też o stolicy młodzieńca, któremu zabrał ciało. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą.

- Człowiek, który nauczy mnie tajemnicy ognia Orła - tajemnicy samego

Feniksa - spotka się z honorami, należnymi księciu, czy samemu Synowi Niebios.

Lucilius niemal zaskomlał z zadowolenia.

- Zaczynasz mnie interesować.

- Ty mnie - nie...

- Tamten wieśniak? Nie posłucha cię. Ale to dla niego zapłonął Orzeł. Niech pomyśle...

- Muszę to zrozumieć - oświadczył Wang Tou-fan.

- A jeśli go dotkniesz? Może pochłonać cię, jak pochłonał... jak określić twoje poprzednie...? Tak, tak wiem. Nic nie mówię - nie, żebym ci nie wierzył. Czy podejmiesz to ryzyko?

- Dotknął go Ssu-ma Chao.

- Wybór, jak mówię, należy do ciebie.

- On zajmuje miejsce - rzekł Wang Tou-fan - które należy się tobie. Możesz je odzyskać, a nawet zdobyć dużo więcej. Decyzja - jak ja mówię - należy do ciebie. Usuń go, a być może Orzeł stanie po twojej stronie. Wtedy wrócimy do tej rozmowy.

Quintus stęzał. Nigdy nie zgadzali się z Luciliusem, od chwili, gdy patrycjusz pierwszy raz spojrział na niego i zaklasyfikował go jak parweniusza i klienta swojej rodziny. W rewanżu Quintus widział w nim jednego z odpowiedzialnych za upadek i poniżenie najbliższych. Przez cały ten długi czas służby i wygnania byli niczym wrogowie, spięci krótkim łańcuchem i rzućni na głęboką wodę, by razem utonąć lub walcząc ramię w ramię osiągnąć suchy ląd.

- Oto ostrze - powiedział Wang Tou-fan - a oto flakonik. Na Najdalszym Wschodzie mają świetne trucizny. Ale jedno zadrapanie...

Lucilius wzdrygnął się z obrzydzenia.

- Chcesz przez całe życie być wojownikiem, prawie niewolnikiem, podczas gdy Ch'angan jest tak obiecującym miastem dla utalentowanego człowieka, który wie, jak osiągnąć zaszczyty i bogactwo? Bierz nóż!

- On nie jest wart mojej uwagi - mruknął Lucilius. - Umrzeć z ręki kogoś takiego jak ja to honor, na który ten oracz nie zasługuje.

- Skąd ta pewność? A może się go boisz? - albo tego starego niedołęgi, który mu służy? Podczas gdy powinien służyć tobie. Powiedz mi, Luciliusie: boisz się?

Bać się Rufusa? Jeśli Lucilius dotąd się go nie obawiał, to teraz powinien - choćby za te myśli o zdradzie. Quintusa ścisnęło w dołku. To było nie do pomyślenia...

- Co to? - szepnął Lucilius i rozejrzył się.

- Boisz się? To tak jak myślałem. Przypatrz się swoim przeciwnikom: kogo się lękasz? Niezdara, młody głupiec, staruszek z Hind i ona, która z nim podróżuje.

- Ona mnie interesuje - rzucił przez zęby Lucilius.

- Weź ją, jeśli chcesz - powiedział Wang Tou-fan, jakby ciskał monetę jęczącemu żebrakowi. - Oni nie są... pozbawieni pewnych umiejętności. Jak zapewne sam zauważyłeś. Co już bez wątpienia odkrył ten prostak, twój wróg.

Tamten zaśmiał się miękko.

- Interesuje się nią wielu.

- Sam go zabiję - wymknęło się Quintusowi przez zaciśnięte zęby.

- Cicho! - syknęła Draupadi. Wyciągnęła rękę ku niemu, gdy ruszył w stronę Luciliusa i Wang Tou-fana, chcąc przekroczyć granicę iluzji.

Jej oddech na jego szyi był ciepły i przyjemny.

- Nie, Quintusie - zanuciła, jakby tknęła kolejne zaklęcie. "Pani, oczarowujesz mnie każdym ruchem." - Nie, Kajusie. Najdroższy. Proszę, panuj nad sobą!

Kołysała go, próbując odprężyć jego napięte ciało.

- Jestem tu. Zostań ze mną.

Tak więc, Lucilius knuł zdradę. Nóż w plecy. I to nie jego, lecz Rufusa. Quintus wiedział, że patrycjusz jest sprzedajny, ambitny i zepsuty, że zbyt chętnie zakłada, iż wystarczy poprosić o cokolwiek, by to dostać. Ale nie sądził, że jest do tego zdolny. Ze zduszonym jękiem wsparł głowę na ramieniu Draupadi. Jej ciało układało się w jego objęciach lepiej, niż mógłby marzyć. Wiedział, że to nie było złudzeniem.

Mimo to zostawił ją. Musiał podejść bliżej, by przyjrzeć się dwóm ludziom, urodzonym na przeciwnych półkulach świata, których zjednoczyła zdrada. Rzymianie okrywali Rzym wstydem i hańbą, ale tutaj... tutaj to było coś zupełnie innego... Zostało ich tak niewielu na tej obcej, wrogiej ziemi, z dala od domu.

- Kto idzie? - rozległ się ostry głos Luciliusa.

- Jak długo już jesteś na pustyni? - spytał Wang Tou-fan. - Czy doprawdy jesteś na tyle głupi, by wierzyć w te historie o demonach i goblinach?

Gdzieś z oddali dobiegł Quintusa syk olbrzymich węży o szerokich paszczach,

wysysających życie swymi lśniąco-jadowymi kłami, póki zdobycz nie zamieni się w stare, poszarzałe łupiny, takie jakie widział przy Kamiennej Wieży.

- Tak - wyszeptwała Draupadi. - Tak. Na pewno został dotknięty ich mocą. Obiecano mu...

Oczywiście, lecz co mu obiecano? Draupadi? Złoto, którego zawsze pożądał? Będzie miał szczęście, jeśli nie okaże się, że dostanie go więcej, niż będzie mógł przełknąć - jak jego pan, martwy prokonsul.

Lucilius wciąż tam stał.

- Dlaczego sam tego nie zrobisz? - zapytał. - Możesz powiedzieć, że próbował uciec. Albo, że oszalał i chciał kogoś zabić.

- Może potrzebuję dowodów od tych, którzy są moimi jeńcami. Wiesz, jak każdy człowiek tutaj, że tak długo, jak długo pozostanie przy życiu któryś z Rzymian, on go nie opuści. Nie opuści nawet ciebie.

Quintus domyślił się pogardliwego spojrzenia, stanowiącego całą odpowiedź Luciliusa. Czy weźmie nóż i truciznę?

Szlachcic Ch'in stał teraz bez ruchu. Quintus usłyszał czyjeś kroki, tak blisko, że spiskowcy musieli usłyszeć oddech w martwej ciszy.

To Ssu-ma Chao! Dlaczego porzucił bezpieczny obóz? Chyba że - ta myśl zmroziła Quintusa - on także...

- Kto tam łązi? - warknął oficer Ch'in. Quintus omal się nie roześmiał patrząc na tych dwóch, jak usiłują zachować pozory, udając, że nic ich nie łączy i spotkali się zupełnie przypadkowo.

Wang Tou-fan opanował się szybko, przesywając Ssu-ma Chao wzrokiem - próba woli: kto pierwszy ustąpi, pierwszy spuści oczy. Młodszy mężczyzna pochodził z Ch'angan i cieszył się przychylnością dworu, lecz Ssu-ma Chao miał w sobie żelazną moc. Można go było nazywać prowincjuszem, oskarżać o synowskie nieposzanowanie, nieledwie o zdradę Syna Niebios, lecz miał swój honor i zasady. Mieszkaniec Ch'angan był podstępny, zdradca, knuł z więźniem. Nie mógł więc znieść tego przesywającego spojrzenia starszego mężczyzny.

- Okolica nie jest bezpieczna - rzekł Ssu-ma Chao. Zginęły nie jakieś tam demony, lecz nasi ludzie. Gdybyś przemierzał tę pustynię tak długo, jak ja - przed czym niech cię duchy przodków chronią - wiedziałbyś, panie, że zastawia pułapki groźne nawet dla najbardziej czujnych. - Skłonił się głęboko, ironicznie. - Pokorny sługa sugeruje, że jedna wycieczka po Takla Makan nie czyni z szanownego oficera

ze stolicy wykwalifikowanego przewodnika. A ty - zwrócił się do Luciliusa - jesteś - lub powinienes być pilnowany. Wracaj więc do obozu. Nie zamelduję o tym twojemu oficerowi i nie zostaniesz ukarany.

Lucilius zeszywniał. "Hoc habet!" - pomyślał Quintus, jakby oklaskiwał śmiertelny cios. Mimo ciemności ujrzał, jak oczy patrycjusza rozjarzyły się ze wściekłości. Niewolnik i podwładny - oto jak traktował go Ssu-ma Chao. Skinął na Wang Tou-fana, jakby prosząc go o zaopiekowanie się nieposłusznym jeńcem, by nie trzeba było informować odpowiedzialnego rzymskiego oficera - Quintusa.

- Ja tu teraz dowodzę - warknął Wang Tou-fan.

Ssu-ma Chao złożył jeszcze głębszy ukłon. Potem odwrócił się powoli i odszedł w stronę obozu i ognisk. Syk ucichł. Pomyślał, że tej nocy nie ponowia próby.

Wang Tou-fan spojrział na małe, zatrute ostrze, które wyśliznęło mu się z rękawa. Cóż prostszego - pobiec za tamtym oficerem i zasztyletować go, nawet nie musiałby tego robić - wystarczyłoby zadrażnienie. W tej chwili jego nienawiść do Ssu-ma Chao przewyższyła chęć ujrzenia Quintusa martwym. Gdyby go zabił, winą można by obarczyć Rzymian.

Draupadi uniosła dłoń i wykonała nieznaczny ruch. Chwilę później Wang Tou-fan zatrzymał się, jakby czymś ugodzony... czymś o rozmiarach małego kamienia, który odbił się od jego ramienia i upadł w piach.

Draupadi zachwiała się i Quintus pochwycił ją. Magia i ostatnie wypadki kompletnie ją wyczerpały.

- Tksaz potężne iluzje, pani - wyszeptał w jej jedwabiste włosy, które nie traciły - nawet tu, na pustyni - zapachu sandałowego drzewa.

- Nie rozumiesz - powiedziała. - Nie miałam w dłoni kamyka, kiedy zaczynałam. To nie było złudzenie, to była prawdziwa kreacja.

Objął ją delikatnie. Wśród zdrady i perfidii odniosła zwycięstwo, którego tak bardzo pragnęła od tylu lat.

Lucilius dogonił Wang Tou-fana. Ten mruzczał do siebie:

- Starcy. Zawsze starcy. Przyszli mnie tutaj, gdzie jestem lekceważony.

Wykuwaj swoją przyszłość, mówili. Spraw, byśmy byli dumni. Jak, na moich przodków? To jedno wielkie więzienie z mieczy. Szukam więc mocy, a gdy ją znajdę, sam Smoczy Tron stanie przede mną otworem. Oznacza to władzę i całe bogactwo Złotego Królestwa dla moich sojuszników. Jesteś po mojej stronie?

Ręka Luciliusa strzeliła w górę. Gdyby Wang Tou-fan był Rzymianinem, gest

zakończyłyby się uderzeniem w ramię.

- Wykuwać własną przyszłość? Skapiliby ci srebra i złota zatrzymując władzę i zaszczyty dla siebie, aż do śmierci.

Wang Tou-fan roześmiał się cicho, wydając nieledwie syk rozbawienia.

- Starcy. Starzy ludzie i młodzi głupcy - jak tamtych dwoje - służący im. Ale ludzie umierają. O tak, umierają. A ich moc... będzie moja. Będzie moja...

"Decyduj, Luciliusie - pomyślał Quintus. - Uratuj duszę lub ją sprzedaj. Bądź Rzymianinem albo zdrajcą, ale wybierz."

Patrycjusz wyciągnął rękę po ostrze. Zabłysło pośród mroków nocy. Trucizna zdawała się mieć kolor zbutwiałego drewna lub łódki Charona.

- Zgubiony - wyszeptał Quintus. Był jego wrogiem, lecz mimo to oczy zasły mu łzami. - Jest zgubiony. Powinienem go zabić, ale - bogowie, on jest człowiekiem i Rzymianinem, a teraz...

- W moim dawnym życiu - szepnęła Draupadi - przysięgam nie myć włosów, dopóki nie będę mogła wypłukać ich we krwi mych wrogów. Rozumiem. Tam, moje serce - położyła mu ręce na ramionach. - Tam.

Spiskowcy rozeszli się, niby przypadkowo, w różnych kierunkach. Wiatr wzbił wokół nich piasek, który przesłonił przepastne, obojętne niebo.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Maszerowali już "od zawsze" przez pustynię, przy której Morze Martwe, marszczące w głębi Judei swe ponure wody, wyglądało równie gościnnie jak dolina Tybru wiosną.

Nie jechali z nimi kupcy, gdyż Wang Tou-fan, śpieszący do centrum Królestwa Środka, wybrał tak ryzykowną marszrutę, że przezorni handlarze nie śmieliby jej nawet spróbować. Karawany skręcały zazwyczaj na północ do Aksu, Kuchy i Tarpanu, tuląc się do cienia Niebiańskich Wzgórz lub na południe do Khotanu w Hind, krawędzią nienasyconej Takla Makan Shamo. Wang Tou-fan planował zaś przeciąć pustynię w poprzek, by jak najszybciej dotrzeć do Mirami, przystanku na południowym szlaku. A potem? Quintus oglądał mapy i był zaniepokojony. Dlaczego zdrada na takim pustkowiu?

"Szaleństwo!" - wykrzykiwali kupcy. "Cień Arsacesa - pomyślał Quintus - na pewno trzęsie się ze złości na taką głupotę i marnowanie zwierząt, o które tak bardzo dbał."

Mieli rację. Po miesiącach marszu i życia na pustyniach, Quintus uważał się za zahartowanego. Lecz na wszystkich pustkowiach, przez które przejeżdżał, było jakieś życie: tutaj nie było nic. Połamane grzbiety wydm wyglądały jak kości gigantycznego Krakena, wyrzuconego na niegościny brzeg. Wyblakłe, potrzaskane kawałki drewna, sterczące z resztek osad, pogrzebanych w piasku równie głęboko, jak grobowce Egiptu, tylko czekały, by przebić nieostrożnych lub podróżujących nocą. Kiedy zrywał się wiatr, widzieli czasem odsłonięte wysuszone szczątki, które kiedyś były ludźmi lub zwierzętami, zanim opuściło ich szczęście.

Dawno temu podtrzymywała ich stara maksyma "Rzymski chód, rzymski lud". Teraz spalony słońcem Rufus kołysał się - z rozkazu Quintusa - na grzbiecie wielbłąda, spazmatycznie łapiąc powietrze. Inni dosiadali zwierząt na zmianę, podczas gdy oficerowie Ch'in mieli konie i wozy. Wytrzymałość była ich jedyną dumą.

Kołysząc się w rytmie swojego wierzchowca, Quintus przyspieszył, mijając innych Rzymian. Lucilius jechał konno, wyprostowany jak na paradzie, gardząc czymś, co nazywał "okazywaniem słabości". Gdy opuszczali Kaszgar, Quintus miał swój plan: osłabić wroga, podkopać jego siły do obrony. Lucilius może być tak arogancki, jak tylko sobie życzy, byle nie zagrażał ich życiu. Kiedy centurion upadł, ciężko dysząc, wraz z Draupadi zbadali go szybko w poszukiwaniu ran: zimna i wilgotna skóra oraz chrapliwy oddech bardzo przypominały zewnętrzne objawy działania trucizny.

Teraz Rufus jechał obok manipułu legionistów, na których wypadła kolej marszu. Wszyscy odciążyli swoje bagaże na ile mogli - i zezwolono im na to. Teraz nieśli tylko prowiant i wodę - oraz broń. Draupadi oczywiście jechała, kołysząc się w wyściełanym siodle, otulona woalami, przez które przeświecał zwodniczy cień jej piękności - jedyny jasny blask na tym pustkowi. Ganesia trzymał się blisko niej i wyglądał, jakby spał.

Quintus minął strażników Ch'in. Wykrzyknął zachrypniętym głosem powitanie. Obróciwszy się w siodle, Ssu-ma Chao skinieniem głowy zezwolił mu podjechać bliżej. Odsunął materiał, który szczelnie zasłaniał jego twarz i zapytał o coś Rzymianina. Mówienie i oddychanie zabierały wilgoć, odsłaniaли więc zawoje, gdy

pustynia ochładzała się nocą. Pewne rzeczy musiały być jednak powiedziane już teraz.

- Szaleństwo - wychrypiął Ssu-ma Chao. - Prawie modłę się o to, byśmy umierali szybciej - ludzie lub zwierzęta. Byłoby więcej wody dla pozostałych.

Całkiem możliwe, że cała karawana padnie. Brakowało nie tylko wody, ale też żywności. Słabsze konie padną najpierw, mimo iż wiele wierzchowców było przyzwyczajonych do upału i piasku. Później przyjdzie kolej na wielbłądy. Gdy te wyginą - umrą wszyscy, a wielkie, piaskowe dryfy przykryją ich - dopóki wiatry nie odsłonią wysuszonych łupin, ku przerażeniu kolejnych nierozważnych podróżników.

- Miran - Quintus zająknął się, wymawiając obcą nazwę, która była teraz celem jego marzeń. - Czy naprawdę dotrzemy do Mirami?

- Jeżeli takie jest życzenie przodków - odrzekł Ssu-ma Chao - i nie ześlą burzy...

To nie była odpowiedź. Pustynne burze zmuszały do przypadania do ziemi i pocenia się w grubych zawojach, chroniących przed zasypującymi ich kamieniami i żwirem. Takie nawałnice opóźniały marsz, potem - Quintus dobrze to wiedział - zabraknie wody, co zrodzi konieczność upuszczenia zwierzętom krwi...

- Przypuśćmy, że osiągniemy Miran. Co wtedy?

- Jaskinie... odparł oficer Ch'in. Był jedynym, który odważył się pokazać Quintusowi mapy. Rzymianin był mu za to ogromnie wdzięczny. Jako jedyny, Ssu-ma Chao uważał go wciąż za sojusznika i nie chciał, by podróżował przez nieznaną pustkowie bez żadnego rozeznania.

Bo to było pustkowie. Raz, pod Kaszgarem, Draupadi spojrzała i cofnęła się przerażona. Mądre, senne oko Ganesii rozszerzyło się. "Tyle lat, odkąd dno morza wyschło - zamyślił się, zanim rozmowa stała się zbyt bolesna, by ją kontynuować. - Fale, zwieńczone białą pianą, ptaki, szybujące na olbrzymich, silnych skrzydłach, nasze statki, niosące nas naprzód - na niebie, i na ziemi..."

Karą była choćby myśl o galerze, tnącej wody Morza Środkowego - błękitna woda... Wspomnienie wilgoci, chłodu, możliwości picia do woli nie tylko po to, by zaspokoić pragnienie, wpędzało w szaleństwo.

Przynajmniej jak dotąd nie było burzy. Za to miłosierdzie musieli dziękować bogom lub przodkom. Byli w głębi pustyni i wciąż nie zobaczyli ani jednego ptaka.

- Oaza? - wyszeptał. "Cień" - pomyślał. Chłód. I, na wszystkich bogów, tryskający strumień. Draupadi, jej odsłonięte, połyskujące włosy, jej oczy błyszczące w świetle ognia i gwiazd... Słońce wypali mu jego oczy, zanim ją taką ujrzy.

- Jakie niebezpieczeństwa? - zachrypiał.

- Burze - mruknął Ssu-ma Chao. - Albo zejście ze szlaku.

Wang Tou-fan miał specjalny przyrząd, wskazujący północ. Quintus próbował - i nie udało mu się - odnaleźć Gwiazdę Polarną. Lecz czy wynikało to z jego ignorancji, czy konstelacje gwiazd ułożyły się inaczej - nie potrafił powiedzieć. Był zwykłym człowiekiem, nie był filozofem i - jak dotąd - zawsze był z tego zadowolony.

A teraz? Żałował, że nie ma mądrości Ganesii, jego przenikliwości, doświadczenia i wytrzymałości. Albo talentu Draupadi. Przebyła już raz tę drogę; nie było tu zagrożeń, których nie znała. Teraz, gdy wędrowali na wieczne wygnanie, wciąż szukała swojego wroga.

Ssu-ma Chao zakrył twarz, zasłaniając ją szczelnie, jak robili to Nabatejczycy, którzy tak dawno temu zdradzili Rzym pod Carrhae.

Równie ściśle racjonując rozmowę jak wodę, Quintus pogrążył się we własnych, niewesołych rozmyśleniach. Pustynia skłaniała do refleksji.

"Jesteś Rzymianinem." To prawda. "Musisz wytrwać." Niestety, też prawda. "Jesteś legionistą." I to także. "Twoim zawodem jest wojna." Tak nigdy nie było, choć walczył, ale dlatego, że musiał. O n błagał tylko o ziemię swej rodziny, tak obficie nawodnioną i żyzną - och, Dis, nie myśleć teraz o Tybrze, czując w ustach suchość otaczającej go krainy.

Jego zawodem nigdy nie była wojna. Czy to jednak nadal prawda? Tu, na pustyni, kłamstwo mogło kosztować życie. Czasami, kiedy zamykał oczy, widok pustyni zastępowały obrazy krain, które niegdyś znał jak własną kieszeń. Jego zawodem był teraz trud i wojna, gdyby miało do niej dojść. A kiedy jechał bądź szedł znużony przez niewyrażalną terażniejszość ku niezrozumiałej przyszłości, marząc tylko o położeniu się przy drodze i spokojnej śmierci, to właśnie duch wojownika - to, co było w nim duchem Arjuna - podtrzymywał go na siłach i nawet dawał radość polowania, wiodącego coraz bliżej i bliżej wroga.

Ślady Czarnych Naacalów spotykali wszędzie. Tylko głupcy i szaleńcy mówili o tym przerażającym syku, który czasem tak wyraźnie słyszeli. Nazywali piasek "ming sha" - śpiewający piach. Lecz dla Quintusa brzmiało to jak syczenie wielkich węży, żyjących nawet na takim pustkowiu. Wiedział, że zawsze, gdy kiedyś w przyszłości ujrzy węża - czy będzie to mądra delficka żmija, czy najpotulniejszy wąż domowy - przeszyje go wewnętrzny dreszcz niepokoju lub sięgnie po broń.

Poczuł takie drzenie, gdy pochwycił zimne i wrogie spojrzenie Wang Tou-fana. Mężczyzna obrócił się i zdjął z piersi kompas. Opuścił go, potem podniósł, zagłębił się w rozważaniach, popatrzył na niebo i znowu opuścił. Słońce nie osiągnęło jeszcze zenitu - przynoszącego śmiertelną falę upałów południa, kiedy ludzie i zwierzęta kładli się na ziemi, próbując zasnąć i uniknąć przerażających snów. Wang Tou-fan dał znak zezwalający na postój. To było szaleństwo, lecz Quintus był zbyt zmęczony, by czuć cokolwiek, prócz ulgi. Postój oznaczał możliwość położenia się w cieniu, odpoczynku i - co najważniejsze - wysączenia paru łyków wody, smakującej skórą butli, w której była przechowywana. Będzie to ostatnie picie przed zachodem słońca.

Otarł z czoła blady pył zaschniętego potu i odwrócił się. Chciał być blisko Draupadi, by pomóc jej zsiąść z wielbłąda i poczuć się choć przez chwilę mężczyzną, nie tylko jeńcem, wędrującym przez krainę udręki.

Miękko zsunęła się w jego ramiona. Żar bijący z nieba i jej bliskość sprawiły, że Quintus doznał ułudy, że leżą oboje pod zielonymi drzewami nad sadzawką czystej wody.

Obok nich przejechał Lucilius, psując nastrój tej chwili. Jakby wpatrywali się w powierzchnię wody, odnajdując w niej odbicia swych twarzy i ktoś z nagła cisnął kamień, niszcząc ich wizerunki.

- Powinienem go zabić - mruknął Quintus.

- Czy byłaby to gorsza kara od tej, którą sam sobie wyznaczył? Napij się i powiedz, czy właśnie tego chcesz - zganiła go delikatnie.

Łyknął trochę cuchnącej wody. Piasek przedostał się do płynu i do ust. Woda smakowała jak przeklinane przez legionistów gorzkie owoce, rosnące nad Morzem Czarnym. Wzdrygnął się patrząc na wciąż dumnie wyprostowane plecy Luciliusa.

"Bogowie, strzeżcie go. Jest już martwy. Lub gorzej. - Jest więźniem złych mocy."

Draupadi pochyliła głowę.

- Oni zabierają nie tylko krew i siłę, jak to uczynili pod Kamienną Wieżą.

Polecenie dosiadanania wierzchowców przyszło za wcześnie. Quintus przyglądał się Draupadi, moszczącej się w siodle na ryczącym ze znużenia wielbłądzie, po czym sam wsiadł na konia i ruszył sprawdzić swoich ludzi.

Zwierzę jęczało niczym stary niewolnik, niepewny, czy wytrzyma kolejną

chłostę. Quintus już to słyszał i wiedział, co to znaczy. Musi dokonać przeglądu żołnierzy i zwierząt - zwłaszcza obejrzyć upartego, starego wielbłąda, noszącego Orła.

Jechali dzień po dniu i Quintus wiedział, że bogowie wysłuchali przynajmniej jednej z jego modlitw. Nie chciał widzieć swoich ludzi podzielonych na tych, którzy chwając się i cierpiąc w promieniach słońca prą naprzód, póki nie padną, i na takich, którym ściemnieje skóra, a oczy znikną wśród zmarszczek pofałdowanej skóry, ale którzy przystosują się do pustyni, jakby się tu wychowali. Muszą przeżyć lub wszyscy umrzeć.

Sen mieli płytki, wypełniony marzeniami. Snów Quintusa nie nawiedzał jednakże Wiek Złoty, lecz Wiek Zielony. Jego dom wydawał mu się teraz równie nierealny, jak Elizjum, był bardziej rajem niż ogrodem, o którym opowiadał Arsaces. Bogowie sprawcie, by przebiegła dusza Persa wędrowała po takich miejscach. Pewnego dnia Draupadi wspomniała o cedrach, porastających wysokie wzgórza Hindu, i Quintus śnił o nich - o miejscach, których jego własne oczy nigdy nie widziały, lecz które wydawały mu się tak znajome, jak własna dusza.

Ganesia mówił, że uczy się i marzy o wodzie, jeżeli w ogóle jeszcze marzy. Niepojęte, co kiedyś powiedział: że całą tę pustynię pokrywało niegdyś bezkresne morze.

- Miran? - to było wszystko, na co mógł liczyć, gdy podnosił juki i przytracał je do protestującego zwierzęcia. Obydwa garby Bactriana były twarde, niczym piersi kobiety, karmiącej w czas głodu. Umrą. Woda zostanie wypita; wielbłądy padną i wszyscy zaczną umierać. - Muszą dotrzeć do Miranu.

Nocą pustynia oziębiała się - śmiercionośne błogosławieństwo, przed którym chronili się, rozniecając ogniska z nawozu i odkrytego przez wiatr drewna. Zamarzali i piekli się na przemian...

...By zbudzić się, kiedy wstawał świt - ognista kula wystrzelona z piekielnej wyrzutni na Wschodzie - miejsca, do którego uparcie zdążali. Wielbłądy ryczały, stając na nogi. Ludziom brakowało sił, by narzekać. Każdego dnia wdrapywali się na siodła albo ustawiali w marszowy szereg. Może dzisiaj znajdą wodę. To była wystarczająca nadzieja.

Lucilius szedł u boku jadącego Wang Tou-fana, nie zważając na pył wzniesany końskimi kopytami. Opromieniał ich wschód słońca. W tych dniach byli jak bracia, przejęci wspólnym planem. Quintus pamiętał Surenę. Otaczała go podobna

nienawiść, przemoc i perfidia.

"Nie opieraj się. Wytrzymaj."

Quintus drgnął, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem pod kopyta jadących za nim. Skąd dobiegł ten głos? Tak długo nieobecne, znajome ukłucie nad sercem - tak, to jego talizman, tancerz z brązu, przebudził się z długiego snu, w który zapadł, gdy dotarli do głębokiej pustyni. Albo, być może, aż do tej chwili był bezpieczny? T o wyjaśnienie było przerażające.

Wyjął figurkę i przyjrzał jej się: delikatna, starożytna i zdumiewająco silna. Jego wzniesione ręce pochwyciły i zatrzymały ostatni promień wschodzącego słońca. Lekki wietrzyk wzbiał tumany piasku, wirujące wokół niezgrabnych, wielbłądzich kolan i osłaniające go przed światem.

Z figurki trysnęły snopy światła, które przestraszyły konia Wang Tou-fana. Zwierzę cofnęło się, rżąc i tańcząc na tylnych nogach. Arystokrata Ch'in przywarł na moment do końskiej szyi, po czym zwałił się na ziemię, rozrzucając wokół kamyki, żwir i kurz. Rzymianin skrzył swoim wielbłądem w bok, by uniknąć stratowania oficera. Lśniący łuk przebił zasłonę pyłu, gdy kompas z brązu wypadł z rąk Wang Tou-fana.

Światło nad głową... czy to świt sprawił, że jego cień przypominał wielką, skrzydlatą istotę? Cień zbliżył się do nich i spadł poziomo, niczym skrzydlaty drapieżca. Chwycił łańcuch kompasu, jak orzeł porywający węża, by zanieść go do swego gniazda.

"Nie" - powiedział sobie Quintus. To kolejna magiczna sztuczka. N i e mógł usłyszeć triumfalnego okrzyku. Żaden drapieżnik nie wyda go z siebie, gdy jest tak blisko łupu, a później musi trzymać dziób mocno zaciśnięty, by nie upuścić zdobyczy.

Mimo to, przysięgłby na duchy utraconego domu, że widział orła pikującego w dół, by skraść brązowy kompas Wang Tou-fana. Czemu jednak orzeł - symbol Rzymu - miałby wybrać to właśnie urządzenie, od którego zależy ich życie?

Nigdy nie ujrzą Miranu! Wszyscy umrą tu, na pustyni! Quintus zeskoczył z konia i rzucił się w kierunku oficera Ch'in i Luciliusa, szaleńczo rozkopujących żwir i pył. Ich dłonie spływały krwią, wysychającą szybko na rękawach i piasku.

- To nie pomoże - chrapliwy głos Rufusa zatrzymał ich wszystkich - oficerów, patrycjuszy, jeźdźców i żołnierzy - w miejscu. - Wszystko, co robicie, to bezładne przesypywanie piasku... skał... czegokolwiek. W ten sposób niczego nie znajdziecie. Trzeba szukać inaczej.

Natychmiast wkroczył do akcji, wnosząc swymi chrapliwymi rozkazami i ciosami pałki spokój i porządek.

Podzielili grunt - wedle rzymskiego sposobu - na kwadraty i oczyszczali je systematycznie. Lecz mimo poszukiwań i pomocy oficerów, kompasu nie znaleziono. Quintus nie wierzył zresztą w inny rezultat.

Oczy Draupadi, Quintusa i Ganesii spotkały się, jak gdyby wszyscy troje obserwowali w rozpaczliwej własnej zgubie.

Słońce, niebo i pustynia zdążyły już - jak to zwykle w południe - zamienić się w piec hutniczy, zanim wszyscy zrozumieli, że brązowy kompas zaginął na zawsze. Niektórzy, purpurowi od palącego słońca, rzucili się z wściekłości na ziemię. Żołnierz Ch'in sięgnął po bukłak.

- Stój! - To Rufus. Cios jego pałki odtrącił dłoń człowieka od cennej wody. Jeden z towarzyszy uderzonego ruszył na centuriona, który ponownie wznosił pałkę.

"Skoczyłeś na głęboką wodę, stary przyjacielu" - pomyślał Quintus i pośpieszył w jego obronie. Nastrój wśród żołnierzy Ch'in był coraz gorszy. Nie zbuntują się, lecz muszą kogoś obarczyć winą za utratę nadziei.

- Posłuchaj mnie, człowieku - Rufus przemówił po łacinie, nie było więc mowy, by wojownicy Ch'in go zrozumieli. Mimo to, lata dowodzenia i znakomita znajomość żołnierzy sprawiły, że ich miecze nie opuściły pochew. - Posłuchajcie. Wiedzieliśmy, że będzie to straszna podróż, nawet jeśli Jego Ekscelencja miał to małe... jak wy to nazywacie... no, wiecie. Teraz, kiedy kompas zaginął, będziemy musieli iść dalej i będziemy musieli znaleźć wodę. Czy sądzicie, że zabierze nam to dużo więcej czasu?

Wiatr ucichł. Ganesia nie musiał podnosić głosu, by tłumaczone przezeń słowa Rufusa dotarły do każdego żołnierza. Ku zdumieniu Quintusa Lucilius uniósł dłonie, na których zasychała krew.

- Uważasz, że dotrzemy do Mirami? - Quintus spytał Ganesię półgłosem.

- Jest słońce. Są gwiazdy. Możemy podróżować jak żeglarze.

- Stary kapłan wypowiedział dokładnie to, co pragnęli usłyszeć. Choć żeglarze woleli na ogół nie tracić łądu z oczu, Ganesia przemierzył przecież kilka dziwnych mórz. Można było polegać na jego doświadczeniu - przynajmniej, by przetrwać ten dzień.

Mogło się jeszcze udać. Quintus doznał nagłej wizji Draupadi, siedzącej w swojej świątyni nad sadzawką. Woda spływała po jej włosach, przyklejając

szafranową suknię do bursztynowej skóry. Był rozgrzany nie tylko upałem, ale i marzeniem nierealnym dla mężczyzny, który nigdy nie zobaczy Miranu. Nic nie będzie dobrze. Umrą tu na pustyni. Wiatr i piach przykryją ich kości, grzebiąc je w nekropolii ogromnej jak Egipt.

Przypomniał sobie zakaz picia słonej wody podczas marszu pod Carrhae. Byłaby teraz nektarem. Mimo to mieli jeszcze trochę czasu, by położyć się i umrzeć. Ale jeszcze nie teraz. Quintus wmieszał się w spór pomiędzy Ch'in a Rzymianami, wymuszając spokój, odpoczynek i podróż nocą. Zachodzące słońce wskazywało kierunek: zachód (jakże pragnął tam właśnie zmierzać) - muszą iść w przeciwną stronę.

Oczekiwał drwiny ze strony Luciliusa, lecz ten siedział, opierając się o juki. Słońce rozjaśniło jego włosy, błyszczące niczym monety, których nigdy nie przestał pragnąć. Draupadi osłoniła się przed żarem lejącym się z nieba. Stała obok, trzymając rękę na czole starszego trybuna. To nie była odpowiednia chwila, by ktoś umarł, nawet zdrajca.

Nie ma ptaków - wymruczał. Wargi miał blade. - Nie ma ptaków na tej przeklętej przez Orkusa pustyni. Ale widziałem jednego. Widziałem Orła. Przyleciał i porwał nasze życie...

Zdrada była karana śmiercią. W Rzymie zdrajców zrzucano ze Skały Tarpejskiej lub zabijano w bardziej okrutny sposób. Kiedy Spartakus i rebelia niewolników zostali pokonani, wzdłuż dróg pojawiły się krzyże. Dla silnego mężczyzny było to długie i bolesne konanie.

Co dorównuje cierpieniem śmierci z pragnienia?

Lecz czemu skazywać na potępienie cały Legion - i niewinnych żołnierzy Ch'in? I dlaczego gubić... jakiś strzęp wiersza, którego kiedyś się uczył, powrócił do jego pamięci, owijając się wokół obrazu Draupadi, spowitej w narzeczeński szafran.

- Nie wierzę w to - oświadczył Quintus. Był zadowolony, że pomyślał o polach, o świecie pełnym zieleni i wody. Wciąż była nadzieja.

Zobaczył, jak Rufus wymachuje rękoma i krzyczy na żołnierza Ch'in, który wyglądał na równie zawziętego, jak on sam.

Głosy unosiły się w nieruchomym powietrzu.

- Komu możemy zaufać? I m! - Rufus wskazał ręką Draupadi i Ganesię. - Niech oni opiekują się wodą. I, na wszystkich bogów, zróbmy coś, zanim ją całą wypijemy!

Jechali lub maszerowali, ponieważ perspektywa położenia się i śmierci na kłującym żwirze i piasku pustyni była znacznie gorsza. Lepiej iść naprzód, dopóki nie poczernieje język, a miłosierne szaleństwo nie zaćmi umysłu. Dopóki nie pęknie serce.

Odkąd zgubili kompas, umarło pięciu ludzi. Po przykrytych piaskiem truchłach nie można było odgadnąć, czy byli to Rzymianie, czy wojownicy Ch'in. Znaczyło to, że było o pięciu ludzi mniej głodnych i spragnionych.

Wędrowali od wielu dni. Do tej pory powinni już znaleźć przynajmniej ruiny placówki. Nie było burz, które mogłyby ukryć pod piaskiem i pyłem pustyni ciała patrolu. Nie mogli wysłać własnych zwiadowców - samotny człowiek na słabym wierzchowcu zginąłby niechybnie, tracąc zwierzę i porcję wody. Zaś pomysł wyprawienia kogoś bez wody byłby zadaniem tortury niewinnemu, bardziej litościwe byłoby podcięcie mu gardła na miejscu.

Quintus wiedział już, że są zgubieni. Była to chwila, gdy pokonywali zbocze olbrzymiej diuny. Pustynia była nawet jakby mniej złowieszcza. Wiał nocny wietrzyk, błogosławienie chłodny. Delikatna chmurka pyłu wirowała wokół dłoni.

I wówczas - gdy spojrzeli w górę - okazało się, że gwiazdy się przesunęły. Och, Orion nadal gdzieś ścigał Małą i Wielką Niedźwiedzicę; Kasjopeja wciąż uciekała przed zakochanym bogiem. Tyle tylko, że tutaj konstelacje nie miały sensu.

- Jesteśmy na morzu - powiedział do Ganesii.

- Raz widziałem statek, spływający po fali i wbijający się w następną. Nie zobaczyłem go już więcej - odrzekł starzec.

Mówienie bolało. Quintus po prostu skinął głową. Także myślenie o takiej ilości wody było niepotrzebną męczarnią. Spojrzał na Draupadi. Nie on jeden słał powłóczyście spojrzenia w jej kierunku, lecz oczy innych przyciągały raczej buklaki, które trzymała w zasięgu ręki.

Potrząsnęła głową.

- Zniknęła nawet moc iluzji - szepnęła. Zniknął też jej cudowny głos. - Nie mogę nawet zapewnić ci złudzenia wilgoci w gardle.

Chwytał ją mocno za rękę. Kiedy przyjdzie jego pora, gdy będzie musiał umrzeć, chciał trzymać ją w ramionach i patrzeć w oczy. "A wtedy - pomyślał - gdy wszyscy będą już martwi, ona i Ganesia pojedą dalej. Jak przedtem."

Przesunęła palcami po zgrubieniu na jego dłoni.

- Nie. Nie. Nie chroni nas teraz iluzja. Gdy umrzesz, my także zginiemy. Może liczymy sobie wiele lat, lecz ja nie jestem jeszcze gotowa, by skapitulować.

Jej głos odzyskał siłę, po czym ucichł. Czy ona i stary kapłan mogliby odbierać innym życie i dzięki temu istnieć - tak jak zrobili to Czarni Naacalowie pod Kamienną Wieżą? Pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

"Nie, przez te wszystkie lata." Roztańczona figurka rozgrzewała się na jego sercu. Była z nim zawsze, nie mógłby jej porzucić, tak, jak nie mogli porzucić Orła.

Draupadi ścisnęła mu dłoń.

- Chciałam rzeczywistości, nie snów - powiedziała. - To jest prawdziwe. Ty jesteś prawdziwy.

Quintus uniósł jej dłoń ozdobioną ślubnym pierścieniem do swych popękanych ust.

- Tak, jak to.

Jechali dalej w milczeniu. Był czas, kiedy "błądzenie umysłem" było poważną zbrodnią. Teraz próbowali błędzić, by mniej cierpieć. Unosili się pomiędzy nocą a dniem, pod nieznanymi konstelacjami i słońcem, którego wschody i zachody nie wskazywały żadnego kierunku. Równie dobrze mogliby być dziećmi, obracanymi do utraty równowagi, które miałyby potem odnaleźć swoich kolegów.

- Jesteśmy tacy słabi - zwrócił się ochryłym głosem do Draupadi, kiedy cenny łyk wody umożliwił mu mówienie. - Czemu po nas nie przyjdą?

Zapatrzyła się na chimeryczne kształty gorącego powietrza unoszące się ku bezchmurnemu niebu. Nawet widok odległych gór o białych czubkach był udręką, bo biel oznaczała śnieg. Drogocenną wilgoć: nie dla nich. Nigdy nie dla nich.

- Czarni Naacalowie? - Jej wargi mozolnie układały słowa. - Oni pragną zadawać nam cierpienie. Obserwują nas. Myślę, że nawet teraz mogą nas odnaleźć.

Konsternacja wyostrzyła jej drobne rysy pod brudną woalką.

- Ty i Ganesia?

- Wiedziałaś, jak dawno temu tu byliśmy - wyszeptwała. - To ty wędrowałeś po pustyni, szukając Pasupaty. Ty. Quintus-Arjuna. Czy naprawdę nie pamiętasz?

Wówczas Ssu-ma Chao wydał komendę: "Ruszać" - przed siebie, w jakimkolwiek kierunku, byle dalej, wciąż dalej. Nadeszła jego pora, by zsiąść z wierzchowca i maszerować w szeregu. Musieli się więc rozdzielić. Dzielili ich nie tylko odległość, dzieliły wspomnienia.

"Myśl - powiedział sobie - Myśl." Maszerował. Z zadowoleniem powrócił do

niezmiennego, kojącego rytmu legionowego kroku i - w tym rytmie tysięcy stąpień dziennie, regulowanych ciągłą dyscypliną - zapomnieć o wszystkim.

Jego ramiona pracowały, jakby stanowił część kolumny paradyjacej na wybrukowanej drodze gdzieś w Italii. Pomyślał o galerze niewolników, zginających zgranym ruchem grzbiety na komendę "hortatora". Ale tym razem nie bęben narzucał rytm, tylko pulsowanie krwi w skroniach i sercu. Rzym odkrył, jakie tempo oszczędzi umysł i serce tak długo, jak długo się da: bębnił zbyt długo, zbyt szybko, zbyt twardo, a człowiek umrze.

Ale nie wcześniej, na wszystkich bogów, niż osiągnie zapomnienie. Jestem Rzymianinem - mówił jego krok. Lewa, prawa; lewa, prawa; buty trą żwir na miałki pył. Wszystko tu było solą i prawie uwierzył opowieściom Ganesii o morzu. Zresztą, to nieważne. Nigdy więcej nie zobaczy Morza Środkowego. "Wierz w to, co pozwala iść naprzód" - powiedział sobie. Lewa, prawa.

Szukał zapomnienia - ale zapomnieć Rzym? Porzucił rodzinę, ziemię, nadzieję na powrót, nawet honor. Czy teraz, kiedy zaoferował miecz swym wrogom, musi zrezygnować z myśli o "patria"?

Drapadi mówiła mu, że to w nim samym tkwi moc i siła.

Ale nie w Quintusie - w Arjunie, tym starożytnym księciu-wojowniku, którego dusza, zgodnie z naukami kapłanów-czarodziejów Egiptu, wcieliła się w uparte, rzymskie ciało. Uparte jak muł. Silne jak muł. Lewa, prawa; lewa, prawa. Słoneczny młot walił w jego czaszkę - o wiele więcej uderzeń niż potrzebował, by zachować rytm.

Zapomnieć.

Pamiętać.

Powietrze migotało. Jego umysł wirował. Był Quintusem - nie, nosił łuk; miał rydwan i tańczącego boga, by nim powoził; był... ktoś upadł i został załadowany na wielbłąda...

Powietrze paliło piersi, podniósł więc rękę, by rozluźnić szatę. Dłoń pochwyliła rozgrzewający się talizman.

Wyciągnął malutkie wyobrażenie roztańczonego Kriszny, boga starego już w czasach, gdy jakiś artysta, żyjący w Italii na długo przed jego rodakami, wyrzeźbił go, by spoczął w grobowcu. Jak krążki światła mogły wystrzelić z tej małej figurki, oślepiając człowieka i konia, tak bardzo, że zagubił ich najcenniejszy przedmiot? Kriszna tańczył w świetle, tymi samymi ruchami wyrażając żal i radość. To

Quintus, nie Arjuna teraz to sobie przypominał. Bóg tańczył z pochodniami. Padł na twarz i dotykając jego stóp, prosił nie o armię, prosił o samego Boga.

Kriszna zgodził się być jego woźnicą.

Posiadł potężne bronie. Siedział w pierścieniu ognia, by uwięzić moc. Teraz - w pułapce kolejnego życia - pamiętał, że zdobył najpotężniejszy oręż. Ale co to było? Nie mógł sobie przypomnieć, zwłaszcza teraz, gdy maszerował, zachowując rzymski rytm, aż kości stóp ścierały się na proszek, którego biel dorównywała mijanym solnym połaciom.

To nie mocy musiał szukać, lecz życia. Dawniej poszukiwał życia w ruinach nad jeziorem.

Ach, tak. Maszerujące stopy wyrwały się spod kontroli umysłu. Był na właściwej drodze. Myśl o jeziorze. Myśl o rzece. Draupadi; jego rodzinna dolina. Tak teraz odległe... Lecz pod Dachem Świata usłyszał legendę: że w sercu pustyni tryska strumień kryształowo czystej wody, który mogą odnaleźć tylko ludzie w największej potrzebie. Nikt jednak nie wiedział, gdzie go szukać.

Oaza, być może taka, jakie znali z Egiptu, Judei czy Syrii. Albo coś więcej.

Byli zgubieni. Nie mogli być bardziej zrozpaczeni. Może?...

Słyszał o takich miejscach, tak świętych, że zwierzęta, będące śmiertelnymi wrogami, tuliły się do siebie, zwilżając gardła czystą wodą, zamiast krwią.

Czy to wodne przymierze dotyczyło także Czarnych Naacalów? Quintus wątpił. Nie, to nie była jego myśl, to musiało być zdanie Arjuny... daleko mu było do dyscypliny, którą on, Quintus wyniósł z domu. Lewa, prawa; lewa, prawa.

Nie zauważył, że przyśpieszył, że wyprzedził innych Rzymian, że dogania Ch'in. Część z nich jechała, zasłaniając usta i nosy przed kurzem. Inni zwieszali się z siodeł. Jeszcze inni z trudem szli.

"Czy Orzeł wie? Czy nas dojrzy? Musi." Znów myśli Arjuny? Nie trzeba być księciem-wojownikiem, zwykły wiejski chłopak wie, że ptaki zawsze orientują się, gdzie jest woda. Szkoda, że na Takla Makan nie ma ptaków.

Zrównał się z żołnierzami Ch'in. Ssu-ma Chao, dobrze znając temperament niektórych swoich sojuszników, wystawił strażę, by powstrzymać ich przed zabiciem Wang Tou-fana.

Juczny wielbłąd potknął się i stanął chwiejnie. Potem padł, ludzie i zwierzęta podążający za nim skręcili w samą porę, by go nie stratować.

Quintus zatrzymał się również. Trzymanie się poza linią marszu wymagało

żelaznej woli.

Daleko przed nimi Ssu-ma Chao dał znać, by rozładować juki martwego zwierzęcia. Dziwne. Czemu po prostu tego nie zostawić? Raczej nie wyglądało na to, by mogli unieść dodatkowy ładunek. Nagle zażawione oczy Quintusa zapłonęły.

Zwierzę niosło Orła. Widział zbliżających się Wang Tou-fana i Ssu-ma Chao. Obydwaj znużeni mężczyźni walczyli o pozycję. W końcu Wang Tou-fan wygrał potyczkę dwoma, trzema władczymi słowami i gestami. On tu dowodził. On. Tylko on. Poparł ten fakt położeniem ręki na mieczu, odganiając nawet Luciliusa, który wpatrywał się w Orła z tą samą tęsknotą, co inni, wierni Rzymianie.

Zwykły rozsądek podpowiadał Quintusowi, że nie powinien podchodzić bliżej. Nie ujrzy Orła, a jego obecność może zaognić sytuację. Mimo to, spostrzegł, że zmierza w kierunku znaku, wzbijając stopami obłoki pyłu. Kurz unosił się, okrywając go. Gdy dotarł do warg, poczuł sól, a przecież jego ciało nie mogło mieć aż tyle wody...

Gdy trybun dotarł do martwego wielbłąda, Wang Tou-fan położył dłoń na Orle. Słowami, których Quintus nie zrozumiał, i daleko bardziej czytelnym gestem oświadczył, że odtąd znak będzie podróżował przytroczony do jego siodła.

Quintus skinął na Ganesię. "Tłumacz, proszę."

- Bardzo dobrze - rzekł, a Ganesia powtórzył jego słowa w języku Ch'in. - Więc rozpakuj Orła i trzymaj go w górze. Niech jego blask lśni nad miejscem, gdzie położymy się, by umrzeć.

Wang Tou-fan przeszył Quintusa wzrokiem.

- Prowadzisz nas na zatracenie - ciągnął dalej trybun, znajdując gdzieś potrzebne słowa. - Śmierć jest dla nas niczym. Wszyscy jesteśmy ją winni Rzymowi: kiedy nadejdzie nasz czas, spłacimy dług. Ale ty - czy nie masz życia i przyszłości przed sobą?

Lucilius podniósł głowę, węsząc okazję.

- Nie będziesz temu oto rozkazywał - odrzekł Wang Tou-fan przez tłumacza.

- Nie - potwierdził Quintus. - Lecz co z nimi?

Nagle przypomniał sobie, jak w innym życiu jego królewski brat postawił wszystko i przegrał. On jednakże, nie mając nic, nie miał też nic do stracenia. Z wyjątkiem swojego życia, którym od lat pogardzał.

- Możesz nas prowadzić - przyznał - lecz czy wytrzymasz? Możemy ci pomóc. A oni - może zechcą tobą pokierować.

- Czego żądasz za tę usługę? Zbyt sprytnie, mimo wcześniejszych prób Ganesii, by złagodzić żądło kłamstw Wang Tou-fana.

- Orła - odpowiedział brutalnie Quintus. - Wówczas, jeśli zginiemy, zginiemy honorowo. - Wzruszył ramionami. - Może nas przeżyjesz, a wtedy Orzeł będzie twój - zerknął na Luciliusa. - Tak, jak jest teraz.

Patrycjusz odwzajemnił spojrzenie, lecz nic nie powiedział.

- Więc jak? - Oszukuj. Udawaj, że mówisz z pozycji siły. Nagle pojął, że nie przypomina już zrównoważonego, zdyscyplinowanego Rzymianina Quintusa, zasiadającego do gry o honor i życie. Musiał być silny, bo wiedział, że silni wygrywają, słabi zaś cierpią i giną. Zbyt długo był słaby.

- Poza tym - dodał przebiegle - zawsze może przybyć garnizon i unieważnić nasze porozumienie. Co masz do stracenia?

Ssu-ma Chao odwrócił się, maskując - co? Śmiech? Bogowie, on powinien urodzić się Rzymianinem!

"Jest tylko jeden problem - pomyślał Quintus. - Jeżeli Ssu-ma Chao wyrazi zgodę, może zginąć zanim zdążymy pożegnać się jak bracia."

- Masz jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy?

"Pomóżcie" - prosił całą swoją duszą Ganesię i Draupadi.

- Nim zmieniły się gwiazdy - powiedział szybko Ganesia - ta niecka, którą przemierzamy, była wielkim Morzem Wewnętrznym. Widziałem mapy. Były na nim wyspy, do których przybijały statki i... - pozwolił sobie na zamyślenie. - Były tam źródła słodkiej wody i drzewa owocowe. Wszystkie nie mogły zniknąć, były w samym sercu morza. Możliwe więc, że znajdziemy gdzieś wodę. Lecz musielibyśmy udać się do samego jądra pustyni. Wystarczy wam na to odwagi?

- Powiedzmy, że znajdziemy wodę. Co wtedy?

- Nabierzemy sił - powiedział Quintus - by znów spróbować dotrzeć do Miranu. Albo wyślemy szybką grupę zwiadowczą - jak powinniśmy to już dawno zrobić.

"Gdybyś był prawdziwym oficerem, a nie łobuzem i zdrajcą." Jego wzrok spoczął na Luciliusie, jakby chciał wymusić na patrycjuszu przejście na stronę Rzymian.

- Nie mamy lepszego wyjścia - Lucilius wypowiadał słowa z trudem, jak na torturach. Może tak było naprawdę - cierpiął z powodu upałów bardziej niż inni.

Wang Tou-fan stał niezdecydowany. Jasne, że się bał. Myślał gorączkowo, a

obawa, strach i wyczerpanie czyniły go coraz słabszym. Uśmiechnął się przebiegle. "Spróbuj jeszcze raz. Zdradź tych, którzy ci pomogli. Wszystkich, zwłaszcza tego niedołęgę o sztywnym karku, dowodzącego placówką i przybierającego pozę Syna Niebios. Może się okaże, że nie będzie trzeba dzielić się ze zdrajcą - a poza tym, czyż oni wszyscy nie są barbarzyńcami?"

- Zgoda - rzekł, zapominając o urodzeniu. Mówił jak parweniusz, jak kupiec, który przewiduje unicestwienie karawany.

Próbując powstrzymać drżenie rąk, Quintus skinął głową i wyciągnął ramiona po Orła.

W tej chwili, choć niebo było przejrzyste i bezchmurne, rozległ się łoskot grzmotu, a błyskawica przecięła horyzont.

Rozdział dwudziesty drugi

Orzeł spoczął w dłoni Quintusa, oświetlony słońcem, uwypuklającym każdy detal brązowego upierzenia ptaka. Dobrze pasował do ręki, niczym rękojeść miecza do dłoni weterana. Zamknął oczy, chroniąc się przed blaskiem orlich skrzydeł i powstrzymując łzy.

Pierwszy raz trzymał go przez krótką chwilę, tuż przed ciosem w głowę, który omal nie pozbawił go zmysłów i życia. Pamiętał, jakże dobrze pamiętał tamten zapach - krwi, potu i metalu. Ale strach i ból nie zdołały zabić w nim przekonania, że oto znalazł się we właściwym miejscu i postępuje właściwie.

Może bronił dowódcy niewartego jego służby i lojalności, ale Krassus był prokonsulem Rzymu, co - jak uważał - usprawiedliwiało każdą cenę, jaką mógłby zapłacić za jego życie. A tutaj, daleko od Rzymu, dzierżył dumnie znak Legionów. Niezależnie od tego, czy jakieś słowo o jego życiu i służbie kiedykolwiek dotrze do "patres conscripti", czczonych przez dziadka na równi z domowym ołtarzem, czy też do tych niesfornych, kłótliwych ludzi rządzących krajem nad Tybrem - znowu miał poczucie misji.

Wbijając znak w ziemię, Quintus poczuł, że słabnie. Odrodzenie jego własnego ducha pobudziło siłę innych a minęło już dużo, dużo czasu odkąd pomyślał o nich jako o "swoich ludziach". W obecności Orła stanęli w gotowości, instynktownie formując znajomy szyk.

Quintus poczuł, że promieniuje niegasnącym światłem, które karmiło się nim, przywracając innym siłę i ducha.

Jasność zniknęła, pozostawiając wrażenie, że dokonano się coś wielkiego i głębokiego - ale nie umiał tego nazwać.

Podeszła do niego Draupadi, z lękiem spoglądając na Orła.

- Ta broń - powiedziała - nie ustępuje mieczowi, który nosisz.

Quintus popatrzył w górę - czy dumny, brązowy ptak ożyje?

Znak drżał w jego dłoni, jak gdyby przycupnięty Orzeł naprawdę rozpostarł skrzydła, gotowy do lotu. Lecz orły czynią tak tylko na dużych wysokościach. Stamtąd, z ich własnego miejsca, spadają kołując, niesione wiatrami. Tutaj nie było gór.

Blask bijący od ptaka złocił niebo. Kolor nabierał głębi i ponurości. Quintus oderwał wzrok od Orła i spojrzął na Ssu-ma Chao. Przed "buranem" - straszliwą pustynną nawałnicą - niebo zmieniało barwę na brązową. Kiedy zaczęła się burza, nieboskłon ciemniał od wiatru, niosącego żwir i piasek.

Ostrożny podróżnik - a Ssu-ma Chao był najlepszym przewodnikiem, jakiego mieli - byłby zaalarmowany takimi zmianami i nakazałby przygotować na czas ochronne zawoje. Oficer Ch'in otworzył usta do krzyku, szukając własnego turbanu. Po chwili jednak przestał, jakby zagubiony. Wielbłądy stały bez ruchu, ciche i spokojne.

Mimo iż niebo - niczym przykrywająca ich misa z brązu - przybrało kolor, zapowiadający najgorszą nawałnicę, nie było wiatru, nie wzbijał się piach. Wszystko wokół zastygło w jakimś pełnym napięcia bezruchu.

Wielbłądy zaczęły zbijać się w kupę, jakby buntując się przeciwko zbyt ciężkim jukom. W atmosferze pojawiła się jakaś ciężkość, wciąż rosło ciśnienie, aż Quintus nabrał pewności, że nawet długie wydmy zostaną wbite w ziemię - i to bez pomocy wiatru.

Draupadi okręciła się wokół, obserwując horyzont, po czym zwróciła się do Ganesii:

- Wszystko prócz nas - jesteśmy okrążeni.

Starzec obrócił się, jakby wypatrując wciąż niewidocznego wroga.

Lucilius pierwszy odzyskał siłę działania, przerywając zakłęcie. Jego zielone oczy rozszerzyły się ze strachu; zaczął iść w stronę Orła - mozolnie, krok za krokiem, jakby walczył z rwącym nurtem rzeki.

- Orzeł - odezwał się. - Daj...

Quintus odsunął znak.

- Daj mu go - rozkazał Wang Tou-fan.

- Pozwól, by mógł go wziąć - odrzekł Quintus. Przemówił, nie zwracając uwagi na strach. Dla wszystkich musi stać się jasne, że to Orzeł wybiera - a ludzie są tylko posłuszni.

- Pozwól, by spróbował - uściślił.

Przerzedzone rzymskie siły powoli wracały do życia.

Część przesunęła się do przodu, oddzielając żołnierzy Ch'in od trybuna. Jeden czy dwóch ruszyło w kierunku Draupadi i Ganesii, by ich chronić. Reszta zwarła bez komendy znajome szyki.

Lucilius ponownie sięgnął po Orła.

- Nie - Quintus znów go odsunął.

Wówczas usłyszeli szmer piasku. Niektórzy wędrowcy nazywają to "śpiewającymi piaskami". Przypominało to trzepotanie przerażających, owadzych skrzydeł, wabiących mniejsze istoty na pożarcie.

Grunt zatrzęsł się pod ich poranionymi stopami. Huknął grzmot, raz i drugi, jakby przyzywając wszystkie wrogie siły. Słaba, błękitna iskra przeskoczyła między ludźmi w szeregu. Niebo pociemniało. Powietrze zdawało się ochładzać. Postrzępione grzebienie uniosły się na rzymskich hełmach. Quintus czuł narastającą energię.

- Żelazo - mruknął Ganesia. - Tu jest dużo żelaza i oni o tym wiedzą...

- Szybko! - krzyknęła Draupadi. - Zdejmujcie hełmy i zbroje, jeśli wam życie miłe!

Większość Rzymian już dawno załadowała swoje zbroje na zwierzęta. Ch'in byli wyekwipowani w skóry. Mimo to pozostawały jeszcze kolce nabijane na butach legionistów... Quintus myślał gorączkowo: pasy, broń, narzędzia - tak, to można porzucić, ale iść boso po tym królestwie ostrych skalnych krawędzi oznaczało wyrok powolnej śmierci. Ujrzał nagle oczyma wyobraźni Czarnych Naacalów, tropiących ich wzdłuż krwawych śladów.

Ale wiedział, że muszą zaufać Draupadi.

- Buty precz - całe żelastwo! - rozkazał.

Co z jego własnym obuwiem? Mógłby pochylić się, by je zzuć, lecz żeby to zrobić musiałby odłożyć Orła.

Lepiej stać unosząc nad sobą tę przesywającą ciało i ducha ogromną, nieskończoną moc. Czy to właśnie czuł Arjuna, gdy odnalazł Pasupatę i nauczył się nią władać? Czy taki był ostateczny sprawdzian wojownika? Żałował, że nie pamięta.

Napięcie narastało. Dłonie Cniintusa drżały chwytając wibracje metalowego Orła. Prawie słyszał brzęczenie brązu.

Przeraźliwy huk rozdarł niebo i ziemię. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, był białopurpurowy piorun. Upadł na kolana.

Wyczerpane zwierzęta zaczęły wierzgać i ryczeć. Ktoś krzyknął strasznym głosem, ginąc od przesywającego płomienia. Zerwał się wiatr i Quintus poczuł zapach czosnku i nadciągającego deszczu - dziwny zapach na tym pustkowiu. Oczy mu zwilgotniały, gdy łyzy walczyły by spłynąć spod zaciśniętych powiek.

Usłyszał pobliskie głosy:

- Na Jupitera Optimusa Maximusa, widziałeś Sekstusa?

- Upieczony jak prosię... bogowie!

Czy był on tak bardzo przerażony, że płakał tak, jak nie płakał nawet na pogrzebie matki? Nie - ły są ciepłe, a wilgoć spływająca po jego twarzy była chłodna. Wiał wiatr - nie podmuch z kuźni Wulkana, lecz prawdziwa bryza, ciężka od wody i soli.

Na tę wysuszoną nieckę soli i żwiru lunął nagle ulewny deszcz. Orzeł drżał w dłoni Quintusa. A on sam poczuł się silny i szczęśliwy.

Deszcz nasilał się, chłodząc wyschniętą skórę. Wszystko ginęło w nieprzebranych strugach wody.

Talizman Quintusa pulsował - nagromadzona moc szukała ujścia.

- Na ziemię! Nie podnosić się! - krzyknął. Błagał wszystkich bogów, by jego ludzie zdążyli pozbyć się metalowego ekwipunku. Kolejna błyskawica może uderzyć właśnie w nich.

"Muszę zarządzić pogrzeb Sekstusa" - pomyślał.

Energia wibrująca w Orle narosła do granic wytrzymałości. Stężał, oczekując na uderzenie.

Tym razem na trzask pioruna odpowiedziała sama ziemia, której łoskot towarzyszył gromowi. Echa grzmotu przewaliły się przez pustynię - blisko i daleko. Ludzie i konie padli i potoczyli się po żwirze. Nawet wielbłądy ogarnęła panika i próbowały się zerwać. Niektórzy zaczęli je poskramiać, stojąc niepewnie na śliskim i rozedrganym gruncie.

Deszcz spowodował, że zapach morskiej soli był silniejszy niż zwykle. Quintus otworzył usta i przełknął łyk wody. Ta hojność nieba upoiła go. "Prokonsulowie są głupcami, pijąc Falerno - pomyślał z roztargnieniem - skoro mają taką cudowną wodę." Ktoś zaczął wiwatować, Rufus szybko go uciszył.

Kolejna błyskawica - choć zacisnął mocno powieki - paliła purpurą. Kiedy eksplozja ucichła, ośmielił się otworzyć oczy...

Zorientował się, że w niemym osłupieniu wlepią wzrok w ogromną szczelinę w ziemi

Draupadi westchnęła, a Ganesia zanucił coś w jakimś obcym języku.

- Cofnąć się! - rozkazał Quintus, choć sam ruszył po niepewnym podłożu naprzód, trzymając Orła wysoko, jakby prowadził dumnie maszerujący Legion.

Rufus krzyczał na ludzi, by gromadzili zapasy wody - tyle ile się tylko da.

Czy Quintus zdobył broń silniejszą niż cokolwiek, o czym mógłby marzyć? Czyż Orzeł nie ściągnął błyskawic i nie uchronił go przed ich morderczą siłą? "Może Charon szybko przewiezie Sekstusa. Zginął od gromu, przeznaczonego dla mnie" - - pomyślał. I czyż znak nie był źródłem nowej mocy?

Szukał i znalazł oręż - miecz i łuk Arjuny. "Teraz - pomyślał - szukałem i znalazłem tę broń doskonałego zniszczenia w tym czasie i w tym miejscu." Powinien roześmiać się z ironii bogów, którzy postanowili, że potężny oręż, tak długo przez niego poszukiwany, będzie Orłem, którego utrata okryła go hańbą.

"W jakim przebraniu Pasupata przybyła do ciebie, Arjuno?" - Nie zdziwił się gdy nie dostał odpowiedzi.

Jakąkolwiek formę przybrała jej moc, Pasupata była teraz Orłem Legionów. A Quintus był jednocześnie jej władcą i sługą. Jego oczy napotkały wzrok Draupadi, która uśmiechnęła się do niego. Jakże piękna była w deszczu, odkrywającym krągłości jej ciała. Żadnych złudzeń. I wciąż nosiła na palcu pierścień, który jej ofiarował.

- Trzymać się mocno! - wykrzyknął Ganesia głośniejsz, niż Quintus kiedykolwiek słyszał.

Ziemia zadrżała od nowych wstrząsów. Teraz nawet horyzont zdawał się tańczyć. Kolejny trzask, po którym znowu nadszedł grzmot, który poruszył niebo i ziemię. Tym razem Quintus przewrócił się, lecz szybko stanął na nogi, chwytając się drzewca Orła. Przez chwilę Pasupata pełniła rolę laski ułomnego. Wspierając się na niej, trybun ruszył naprzód.

Zatrzymał się na samej krawędzi rozpadliny. Ch'in wzywali pomocy swoich bogów i przodków. Od strony Rzymian dobiegały na przemian przekleństwa i modlitwy - odnoszące jednak skutek.

Quintus zatrzymał się na skraju czeluści. Dwa wstrząsy zachwiały nim do przodu i do tyłu. Tylko znak, wbity głęboko w ziemię, uchronił go przed upadkiem w ciemną przepaść rozwartej szczeliny.

Cała ta kraina była kiedyś pod wodą wewnętrznego jeziora, które rozmiarami, być może, konkurowało z Morzem Środkowym. Pływały po nim statki, a różne dziwne stwory zamieszkiwały jego głębiny.

Talizman Quintusa rozgrzał się ostrzeżeniem - lecz nie był to prawdziwy alarm. Niżej, jakby kiedyś pochłonęło go morze, spoczywał statek, jakiego Quintus nigdy dotąd nie widział. Przyszło mu do głowy, że na takim właśnie okręcie mógł

podróżować Ganesia.

Dno morskie otworzyło się i uwięziło statek - a obok niego także olbrzymiego morskiego potwora, z rozwartymi szczękami, które próbowały atakować.

Draupadi i Ganesia klękali obok Quintusa, spoglądając w dół na szczątki tytanicznej bitwy.

- Płomieniu, świeć nad nimi - mruknął Ganesia.

Woda musiała wdrzeć się na przechylony pokład, kiedy morska bestia uderzyła w okręt, przerażona trzęsieniem ziemi i oszalała tak bardzo, by napaść na coś co uznała za swego wroga. Możliwe, że była równie przestraszona jak ludzie, obserwujący spienioną wodę i wyłaniające się z niej olbrzymie szczęki, próbujące ich połknąć.

Na pokładzie mogli być Biali Naacalowie, tacy jak Ganesia. Lecz nie pomogły im ani modlitwy, ani ich moc.

Ostatnie chwile załogi - Quintus odwrócił wzrok. Zbyt dobrze mógł to sobie wyobrazić - wdzierająca się woda, paniczny strach i nawet desperackie próby obrony przed niesamowitym przeciwnikiem.

Czas i przestrzeń zamigotały, tak jakby Quintus naprawdę mógł to pamiętać. "Część uciekła pod pokład. Jeden czy dwóch wyskoczyło za burtę. Inni modlili się, nawet gdy ci spośród nich, którzy byli wojownikami, uderzali na potwora ze swoją bronią, mając nadzieję dać trochę czasu innym, by przygotowali potężniejszy oręż." Ale przegrali. Dlaczego? Pokonani przez Czarnych Naacalów? Czy ich moc osłabiło to, przed czym uciekali? Albo może zabiła ich sama ziemia, a nie Czarni Naacalowie? Potwór schwycił okręt za rufę, ściągnął go w dół, a wtedy ziemia rozwarła się, wciągając wszystko w ciemność i milczenie.

Skąd to wiedział? "Spójrz jeszcze raz." Wejrzał jednocześnie w rozpadlinę i w swoje wspomnienia.

- Smok! Potężny "hug"! Król Smoków!

Ch'in dotarli później do przepaści. Większość z nich wpadła w panikę. Jedni zaczęli się modlić, inni rzucili się do ucieczki, jakby próbując umknąć przed tym, przed czym nie uszli marynarze z wymarłego statku. Biegli i przewracali się, a kiedy nie byli w stanie podnieść się, pełzali gdzieś przed siebie, ogarnięci bezrozumnym strachem.

Droga Wang Tou-fana doprowadziła go w pobliże szczeliny. Było oczywiste, że jej nie dostrzegł.

- Uważaj, człowieku! - wrzasnął Lucilius. Ruszył nawet za oficerem Ch'in - "żeby go zatrzymać, czy popchnąć?" Kolejny wstrząs zbił Rzymianina z nóg. Padając chwycił Wang Tou-fana desperacko za kolana, próbując odciągnąć go do tyłu.

Ten krzyknął, niczym rodząca kobieta. Zaczął ze zdumiewającą siłą wrywać się Luciliusowi - dziki, szalony taniec zawiódł ich na sam brzeg czeluści.

- Nie uratujesz go! - krzyknął Rufus. - Puść go, chłopcze!

Nigdy nie będą mogli się dowiedzieć, czy Lucilius opuściłby swego towarzysza zdrady, czy chciałby go uratować. Potężny wstrząs znowu przetoczył się przez pustynię, Lucilius upadł, a Wang Tou-fan, krzycząc coś o wielkim smoku, rzucił się w przepaść.

Talizman Quintusa rozgrzał się i trybun pochwycił go, szukając choćby tak kruchego wsparcia. To, co teraz nadeszło, nie było zwykłym trzęsieniem ziemi. Skały dygotały i waliły się, błyskawice wybuchały na niebie, a ziemia zamknęła się z trzaskiem, niczym wieko ogromnej skrzyni, skrywającej swe sekrety i dodającej do długiej listy ofiar - kolejną.

Grom znów przemówił przedłużającym się łoskotem, jak gdyby ziemia trawiła teraz, to, co wchłonęła. Po chwili wszystko ucichło. Wydmy zachwiały się i przybrały nowe kształty o zapachu soli starożytnego morza. Na solnych połaciach błyszczały kałuże, marszcząc powierzchnię pod dotykiem burzowych wiatrów. Upał znów się wzmagał.

Talizman wysunął się Quintusowi spomiędzy rozdygotanych palców. Mały, brązowy tancerz zatańczył u jego stóp swój taniec radości i smutku, rozsiewając iskry z trzymanyh w dłoniach pochodni.

Podniósł go i wcisnął pod tunikę.

Potem, wspierając się na drzewcach Orła, odwrócił się z trudem, by spojrzeć na swoich ludzi. Ilu przeżyło?

Jakiś jeździec Ch'in klęczał, jęcząc i chowając głowę w ramionach. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało ani tego zaakceptować. Jego towarzysze lamentowali coraz głośniejsz. Część z nich, bardziej przesądna, widziała wszędzie demony, w każdym zakątku pustyni. Panika i obłęd, które trzeba było natychmiast opanować.

- Łapać zwierzęta! - ktoś krzyknął. Komendę przetłumaczono na partyjski, potem na język Ch'in.

Rzymianie pośpieszyli okiełznać wierzchowce. Żołnierze Ch'in, ogłupiali po stracie Wang Tou-fana, poruszali się wolniej. W tym tempie nigdy nie stworzą

oddziału zdolnego do dalszej podróży.

- Stać! - krzyknął chrapliwie Quintus. Pomimo ulewy, w ustach wciąż czuł straszną suchość.

Woda na pustyni... fala i potok morza, wsiąkającego w ziemię... ucieczka Draupadi i Ganesii... to było ostatnie, co zdawał się pamiętać z epoki Złotego Wieku.

Nie sądził, że kiedykolwiek przestanie być spragniony. A deszcz ustawał.

- Zostańcie tam, gdzie jesteście! - Jego głos zabrzmiał trochę silniej, lecz wciąż nikt go nie słyszał. "Musisz" powiedział sobie. Niczyje życie nie może zostać zmarnowane, tylko dlatego, że zawiodło go własne ciało.

Ściskając drzewce Orła, spróbował po raz trzeci:

- Stać!

Znak zadrżał mu w dłoni. Chmury na niebie zdawały się zmieniać; światło słońca opromieniało Orła z brązu. Blask promieni migotał na jego skrzydłach. Bardziej stałe światło skupiło się na Quintusie - wstrząsnął się od płynącej do niego mocy. Żołnierze stopniowo otrząsali się z przerażenia. Ch'in podnosili się z wolna. Dowodzeni przez Ssu-ma Chao, który podtrzymał ich ducha, nakazując zająć się zwierzętami, utworzyli ponownie zwarty oddział.

Chmury zniknęły, przepędzone przez wiatr o zapachu soli. Jego poddmuchy zdawały się rozpościerać światło, bijące od wznoszącego się ponad nimi Orła. Quintus pomyślał, że znaleźli się pod skrzydłami wielkiego ptaka.

Wpatrzeni w tajemnicze zjawisko, zbili się w gromadkę. Światło mieniło się wszystkimi barwami tęczy. Na ustach wy kwitły uśmiechy niedowierzania. Wtedy światło zgasło. Rzymianie i Ch'in stali na nagim, ubitym gruncie, przypatrując się sobie nawzajem.

Dwóch ludzi podeszło do ciała Sekstusa. Jeden z nich zaczerpnął garść soli, żwiru i błota i rozsypał ją nad zwęglonymi resztkami.

- Był naszym towarzyszem - rzekł Rufus. - Poświęcimy trochę czasu, by go pochować.

A potem pójdą dalej. Może Orzeł ich poprowadzi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Światło lśniło nad nimi, a chmury znikwały z nieba. Wiatr stawał się coraz bardziej suchy i ciepły.

Ssu-ma Chao zostawił wielbłąda przywiązanego do palika i podszedł do Quintusa.

- Jesteśmy daleko poza granicami znanych krain - przyznał jako pierwszy z wszystkich Ch'in.

Quintus mocniej uchwycił drzewce Orła i skinął głową. Przywołał gestem Rufusa, który przybiegł żwawo, jakby nigdy świat nie otworzył się pod jego stopami. Draupadi również podeszła. Objął jej szczupłe ramiona, czerpiąc z niej siłę i wsparcie, jak czerpał je wcześniej z Orła.

Ssu-ma Chao spojrzał na pustynię.

- Każda burza mogłaby zatrzeć ślady karawany. Nie tylko ta... Zgodzisz się ze mną? Czekamy na słońce?

Zachód słońca wskaże kierunek. Będą wtedy mogli znowu ruszyć na wschód - tak myślał Quintus. Burza zwiększyła ich zapasy wody. Może uda się znaleźć posterunek, którego patrol poprowadzi ich prosto do Miranu.

Iść za słońcem? Ale gdzie ono jest? Światło, owszem, jaśniało im nad głowami, lecz olbrzymi krąg, zbyt jaskrawy, by mógł spojrzeć nań ktokolwiek inny prócz orła, zastąpiła światłość, bijąca jednolicie z całego sklepienia niebieskiego.

- Złudzenie - orzekła Draupadi. - Próbują nas zmylić.

- I im się to udaje, pani - powiedział Ssu-ma Chao. W jego oczach malowało się pytanie.

- Zbiorowa iluzja. Musi ją podtrzymywać kilku adeptów tej sztuki. Ja jestem sama. Żałuję, że nie jest inaczej - odpowiedziała.

- Rozbijemy obóz? - To nie była dobra chwila, by czerpać ponurą satysfakcję z tego, że głos Luciliusa ciągle drżał.

- I będziemy tu leżeć, czekając aż przyjdzie jakiś potwór i nas zje? - wtrącił się Rufus, zapominając o randze trybuna.

- Carrhae było przykładem. Maszeruj lub umrzyj. Maszerujmy dopóki nie umrzemy - albo przegramy.

Ssu-ma Chao rzucił starszemu Rzymianinowi spojrzenie, w którym czaiło się coś, jakby... lęk.

- W nas nie ma już takiego ducha - powiedział. - Czy to dlatego - wskazał - że powrócił do was bóg?

- To dlatego, że jesteśmy Rzymianami - odparł Quintus. - A ci dwaj są nimi bardziej niż inni - skinął z respektem na centuriona i Orła, po czym zwrócił się do Draupadi:

- Mówisz, że chcą nas zmylić. Skąd masz tę pewność?

- Iluzja jest moją sztuką - przypomniała mu. - Złudzenie, tak jak prawda, ma swoją cenę - kosztuje dużo siły i ducha. A j a, Płomieniowi niech będą dzięki, nie mogę żyć cudzym życiem jak Czarni Naacalowie. Dawno temu złożyłam przysięgę, że pierwej umrę, niż do tego dopuszczę. Przyzwano przeciwko nam wielką moc - wskazała światło, zabarwiające całe niebo i poszarpany horyzont. - Jeśli uda się im wykorzystać ją przeciwko nam, byśmy zabłądzili na pustyni - uznają, że dobrze wypełnili swój obowiązek. Zwłaszcza teraz, kiedy z pewnością wyczuli siłę naszej broni - skinęła nieznacznie na Orła, błyszczącego w zwodniczym świetle.

- Orzeł? nasz znak? - zapytał Rufus, po czym spojrzał skruszony.

- Sami widzieliście jej moc. To znak waszej armii, lecz także najpotężniejsza broń, ta, której Arjuna - wojownik i książę - szukał dawno temu, kiedy walczył o swoją rodzinę. To potężny oręż defensywny i ofensywny. Mogliby go użyć...

- Jak, pani?

Odpowiedział Ganesia:

- Mogą go użyć do przywrócenia rzeczom ich pierwotnego miejsca. By raz jeszcze wypełnić pustynię morzem i żeglować po nim jako niepokonani i jedyni władcy ziemi i wody. Lecz ja widziałem Ojczyznę tonącą. Przeszłość odeszła. Nowy wiek dzierży berło. To inne królestwa winny rządzić światem.

Wytrzymał wzrok Rufusa.

- Mówię tak, choć pamiętam tamte czasy. Trzeba powstrzymać Czarnych Naacalów. Znaleźć ich i powstrzymać. Zniszczyć, jeśli będzie trzeba. To nie jest już ich świat.

Przerwał, patrząc na ruinę obozu.

- Teraz, kiedy mamy siłę.

Quintus pochwycił wzrok Ssu-ma Chao. Wojownik Ch'in złożył przed Ganesia głęboki ukłon, głębszy nawet od upokarzającego go ukłonu przed komendantem

Kaszgaru.

- Kiedy będziecie gotowi do wymarszu? - spytał Rzymianin.

- Na twój rozkaz - Ssu-ma Chao skłonił się ponownie, po czym zaczął wypowiadać komendy, które, jak już wszyscy wiedzieli, oznaczały: "Zwijać obóz", "Pakować się", "Dosiąść wierzchowców".

Żołnierze Ch'in trwali w martwym bezruchu. Nie poruszył się nikt - nawet po tym jak Rufus zdzielił pałką najbliższego marudera. Pięciu z nich leżało na ziemi, zobojętniałych na niewygodę, z kolanami podciągniętymi pod brody i kurczowo zaciśniętymi powiekami. Pozostali klęczeli przy nich. Wszyscy dyszeli, jak po zbyt długim biegu, wyglądali na śmiertelnie wyczerpanych.

Jeden z wielbłądów opierał się objuczeniu i żołnierz odskoczył od niego. Po chwili upadł zawodząc bezradnie.

Ssu-ma Chao podszedł do niego, krzyknął, potrząsnął nim, wreszcie uderzył w twarz. Spasował z gniewu, pomieszanego ze strachem i wyciągnął miecz.

- Nie! - Draupadi przebiegła przez obszar zapadłej czeluści. Quintus zadrzał - w każdej chwili ziemia mogła się tutaj stopić lub rozstać pod nogami. Brudna, poszarpana suknia kąpielniczki powiewała za nią, przypominając o dawnym wdzięku. Ludzie rozstępowali się, by ją przepuścić.

Ruchem fali, rozbryzgującej się w zetknięciu z brzegiem w delikatną pianę, przyklekła przy cierpiącym, ujęła jego twarz i wywinęła mu powiekę. Oczy nieszczęśnika uciekły w głąb czaszki.

- Jego duch odszedł - zwróciła się do Ssu-ma Chao. - Jeżeli będziemy mogli zabrać go wraz z towarzyszami do miejsca gdzie światło jest znajome i ziemia nie rozstępuje się pod nogami, być może przebudzi się i będzie ci znowu posłuszny. Źle uczynisz, zabijając go za coś, co nie jest jego winą.

Oficer spojrział na nią z ukosa.

- Nie, nie, to nie będzie ujma na twoim honorze - nalegała. Wszystkie jej starania by przemawiać do dowódcy Ch'in z pokorą i okazywać mu szacunek odeszły w niepamięć. Teraz w jej głosie pobrzmiwał autorytet Sybilli.

- Jest wpatrzony w wizje ze swojej przeszłości i nie może tego znieść. Czy nie odkryłeś jeszcze, że to może złamać nawet ciebie? Toś szczęśliwy. Daj mi znać, kiedy to się stanie, a powstrzymam innych przed zabiciem ciebie.

Któryś z żołnierzy wybuchnął szaleńczym śmiechem.

- Musimy się stąd wydostać, albo wszyscy popadniemy w obłąd - mruknął

Lucilius.

Miał rację.

- Żadnej żałoby po przyjacielu? - zadrwił Quintus, lecz zaraz pożałował kpin. Patrycjusz może okazać się jeszcze potrzebny - był ostrożny i rozważny, jego rozum może okazać się przydatny, skoro umysły tylu innych odeszły.

Quintus uważnie obserwował legionistów. Zaprowadziwszy najlepszy porządek, na jaki było ich stać, zebrali się w szyku. Byli zmęczeni, poobijani i przestraszeni. Ale nikt, bogom dzięki, nie oszalał.

Szyk wyglądał błogosławienie normalnie. Ruszył, by stanąć we właściwym miejscu przed szeregiem. Ludzie wyprostowali się, gdy zbliżył się z Orłem i zasalutowali, uderzając dumnie ręką w pierś, jakby szykowali się, by wkroczyć do podbitej stolicy potężnego imperium.

Quintus uśmiechnął się.

- Bracia - przemówił ciepło. - Odzyskaliśmy naszego Orła i honor.

Nikt nie drgnął, lecz opalone twarze rozjaśniły się. Szukał słów, by wyrazić swoją dumę i pragnienie wiania otuchy w ich serca, ale gardło mu się ścisnęło. Wiedział, że teraz dziadek by go upomniał. Pamięć podpowiedziała słowa, których potrzebował:

- Znowu możemy nazywać się RZYMIANAMI.

Zawsze nimi byli, lecz - odkąd ich pojmano - jakby połowicznie: pozbawieni Orła i dumy, maszerujący pod rozkazami innych żołnierzy. Teraz, nawet w tym dziwnym miejscu, znowu byli na czele. Mała formacja zdawała się czerpać siłę z brązowego znaku.

Quintus podjął decyzję, którą długo rozważał.

- Złamać szyk - polecił. - Chcę, żebyście pomogli im - wskazał na Ch'in. - Są naszymi towarzyszami. Pomóżmy im, jakby mieli wypalony znak Legionu.

- Spowolnią nas - syknął Lucilius.

- Ssu-ma Chao miał nasze życie i honor w ręku - warknął Quintus. - Zwrócił nam je. Czy jego także zdradzimy?

Porzucić ludzi, towarzyszy tych strasznych dni? - gniew Quintusa wzbierał, dopóki nie uświadomił sobie, że to nie była jego złość, lecz wspomnienie Arjuna, który szukał broni, zalecał się do księżniczki i walczył z iluzjami i sennymi omamami. Zupełnie tak, jak teraz.

Grunt zadrżał mu przez chwilę pod stopami, jakby balansował na podłodze

wielkiego rydwanu. Rydwan Arjuna, którym powoził Kriszna. Nie miał teraz powozu, lecz pamiętał tamtą bitwę, poczucie straty, strach i zagubienie, paraliżujące go tak samo, jak żołnierzy Ch'in, przywiązanych do porykujących zwierząt. Jako Arjuna poznał ten lęk. Jako Quintus nie pozwoli, by inni cierpieli tak, jak kiedyś cierpiał on sam.

"Przykucnął na samym środku pola bitwy; wszystkie oczy były zwrócone na niego. Zdawało się, że Kriszna zatrzymał czas, a on Arjuna rozwiązuje zagadki - piasty Yugi lub Koła tego czasu. Nacierać? Cofnąć się? Zwyciężyć lub uciec - miał uczucie, jakby kłuło go sto innych losów, każdy krzyczący: «Wybierz mnie, wybierz mnie!» Poczul wstręt. Był Arjuna, a miał mniej ducha niż nauczyciel tańca - mniej ducha niż eunuch, którego udawał. Nie ośmielił się patrzeć. Zebrali się wszyscy, których kochał. Bracia stali u jego boku. Ludzie, których musiał zabić - jego wróg, człowiek miłujący go jak ojca, a nawet starzec, jego nauczyciel sztuki wojny - wszyscy byli teraz przeciwko niemu."

Tańcząca figurka rozgrzała się pod tuniką. Przez całe życie była talizmanem Quintusa. Migotała w jego załzawionych oczach - odzyskana z grobowca w Lacjum, wyobrażająca tajemniczego Krisznę, tańczącego w smutku i radości, nakłaniającego go, by szedł wciąż naprzód.

Podniósł się z kolan, wpatrzony w talizman z brązu, spoczywający na jego dłoni. Draupadi czekała na niego. Raz jeszcze czekała, aby wygrał bitwę, której ona także była powodem.

Nie chcąc przekazać Orła chorążemu, wsiadł na wielbłąda, wciąż trzymając drzewce. "Dobrze - pomyślał. - Jesteśmy tu. Gdziekolwiek owo «tu» jest. Dokąd zmierzamy? W jakim kierunku?" "Naprzód" - było niewiele znaczącą komendą, gdy ukryto słońce. Podejrzewał, iż Czarni Naacalowie będą krążyli wokół nich, dopóki nie padną wielbłądy i wszyscy nie powymierają.

Talizman z brązu rozgrzał się w jego dłoni. Spojrzał na Orła. Oświeślało go oszukańcze światło, podkreślając finezyjnie wykonane szczegóły piór i gładkiego, śmiertelnościanego dzioba. Był symbolem, bronią - i strażnikiem ich honoru. Czy mógłby ich poprowadzić?

Głowa ptaka z brązu rozblęsnęła światłem, spowijając symbol Rzymu oślepiającym blaskiem. W górę, w przestworza wystrzeliła świetlista smuga. Biorąc to za sprzyjający omen - na wszystkich bogów, niech okaże się drogowskazem, a nie pułapką - Quintus skinął na żołnierzy.

Wielbłąd zadrżał spłoszony. Trybun zwolnił. Bogowie tylko wiedzą czego się przeraził. Jeden z maszerujących krzyknął i spojrzał pod swoje stopy. Rufus uczynił gest w kierunku Quintusa, by ten prowadził.

Doznał iluzji, że wielbłąd kroczy po kałużach wody, a jego szerokie racice wydają odgłos jakby grzęzły w błocie.

- Złudzenie - powtórzyła Draupadi. - Mamy szczęście. Nie zgromadzili więcej sił.

Gdy mówiła, płaszczyna pustyni drgnęła i jedna z wydm zaczęła się powoli rozsypywać. Czemu właśnie ta? Jeśli powiedzie się plan Czarnych Naacalów, przestaną ufać nawet własnym cieniom i w końcu zwrócą się przeciwko sobie.

Co mogło być pogrzebane pod tamtą wydmą: martwy potwór, czy może żywa chimera?

Usłyszał jakieś odgłosy za plecami, potem trzask pałki. Ssu-ma Chao zaczął protestować, po czym ucichł, jakby zawstydzony. Kto, jeśli nie on - oficer Ch'in z pogranicza - zna tę krainę najlepiej?

- Naprzód! - krzyknął Quintus i poruszył Orłem. Zniekształcone światło słońca oślepiło go na chwilę. Raz jeszcze poczuł się silny. Gdyby musiał, mógłby jechać bez końca, by osiągnąć swój cel.

Światło spłynęło na wielbłąda. Ten ryknął przerażony, lecz ruszył chwiejnie do przodu w tempie, które mógł utrzymywać godzinami.

Podążali ścieżką Orła. Sami bogowie nie mogliby żądać więcej. Karawana osiągnęła największą z możliwych prędkości. Górujący nad nimi Orzeł prowadził ich ku zwycięstwu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Na pustynnym niebie nie wschodziło słońce - oświetlało ich tylko słabe, rozproszone lśnienie, które promieniowało chwałą Orła, wskazując różnicę między nocą a dniem. Dlatego też upał był jedyną wskazówką, wedle której odróżniali pory dnia i nocy. Kiedy prażące słońce powalało wielbłądy, Quintus zgadywał, że to południe i ogłaszał postój. Nawet pragnienie niektórych z wojowników Ch'in, by uciekać przez pustynię, by - na wszystkich przodków - spotkać inną karawanę, nie powstrzymywało Rzymian przed wykonywaniem rozkazów i wymuszaniem posłuszeństwa na niedoszłych dezerterach.

Quintusa bolały oczy, jakby wypełniono je wrzącym złotem. Mimo to, gdy rozbili obóz, zmusił się do zakreślenia jego granic.

Myśl o zieleni. Myśl o wodzie. Myśl o domu. Lecz wspomnienia doliny Tybru zacierały się coraz bardziej.

Pozdrowił Ssu-ma Chao.

- Twoi ludzie? - zagadnął.

- Dwóch jest wciąż cierpiących i trzeba opiekować się nimi jak dziećmi - zameldował oficer. - Ten oto błaga, żeby ich nie porzucać...

Quintusa rozzłościły te słowa.

- Nie zostawimy tu nikogo żywego - odpowiedział. - Gdyby to było możliwe, zabrałbym nawet naszych zmarłych, aby nie wpadli w łapy Czarnych Naacalów.

Ssu-ma Chao przytaknął. Twarz miał teraz żółtawą, nie barwy polerowanego złota, jak wtedy w Partii, która wydała się Quintusowi światem bezpieczeństwa i wygody.

- Ten oto nie powinien ośmielać się próbować przeżyć, jako że zbiegł z pola bitwy... - Wyglądał, jakby chciał paść na kolana albo, co gorsza, na twarz.

- Odwrót nie jest powodem do wstydu - Quintus spróbował dodać mu wiary i otuchy. Ani nawet przegrana.

Wiedział, jednak, że to tylko puste frazesy.

- Mówisz tak teraz - Ssu-ma Chao wskazał na znak. - Kiedy widziałem cię w...

- Mogliśmy wtedy umrzeć. Jak widzisz, żyjemy. J a też żyję, choć byłem śmiertelnie ranny.

Pamiętał, że miał wybór. I wybrał powrót do życia w hańbie klęski, by nie zostawić swoich żołnierzy bez dowódcy, nawet na wygnaniu.

- Żyjesz, i teraz... - Ssu-ma Chao wybuchnął nagle nieopanowanym śmiechem, wzbudzając poruszenie w obozie - ...odradzasz się na nowo? Jeśli można powiedzieć, że cokolwiek może się tu odrodzić.

Chwała mu za ten śmiech. Atmosfera w obozie nagle stała się lżejsza. Usłyszał głos Rufusa:

- Śmieje się w nieszczęściu? Nie twierdzą, że postępuje jak Rzymianin, ale trzeba woli Rzymianina, by spojrzeć w twarz Losom. I roześmiać się.

Ssu-ma Chao skinął głową w kierunku centuriona.

- On nie zna strachu.

- Nie - zgodził się Quintus. - Żadnego. Obawia się tylko o swój honor, a o to nie musi się bać.

- Honor... honor tego oto uciekł. Ten oto okupi swą marność. - Zmagał się chwilę z tą myślą, po czym powiedział: - Bez kompasu tylko wasz Orzeł może nas poprowadzić. Czyż nie tak?

O ile blask słonecznego światła na brązie można nazwać wskazówką...

- Nie wiemy, czy doprowadzi nas do szlaków karawan. Jesteśmy w rękach Fortuny - odpowiedział Quintus zgodnie z prawdą - przynajmniej tak to pojmował. - Ale wasz bóg na pewno...

- To nie jest bóg.

- Czy zaprzeczysz, Rzymianinie, że ta rzecz ma wielką moc? Czyż nie rozpoznaje innych mocy?

- To, co mówisz, coraz bardziej mnie zaciekawia - powiedział Quintus. - Chodźmy do obozu, bracie, i usiądźmy.

Głowa oficera Ch'in uniosła się na dźwięk tego słowa. Kiedyś, jeszcze niedawno, byłoby dla niego obelgą w ustach jeńca.

Po chwili podążył za Quintusem ku płachtom wojującego, rozłożonym w cieniu odpoczywającego wielbłąda. Był wdzięczny za możliwość wytchnienia, cień i - przede wszystkim - obecność Draupadi, która powitała go wodą i delikatnym dotykiem ramienia.

Chciała się wycofać, lecz Quintus zatrzymał ją. Nie było czasu na naśladowanie manier dam Ch'in. Ona i Ganesia byli uczonymi i znali Czarnych Naacalów zanim świat uległ przemianie. Oni więc najlepiej mogą wiedzieć, w jaki

sposób ich wrogowie używają swych mocy.

Stopniowo przyłączali się inni - Rufus, Lucilius (nie można było się przed nim opędzić), Ganesia - ludzie, którym Quintus najbardziej ufał i człowiek, którego musiał się najbardziej strzec.

- Przemów w imieniu pokornego sługi - zwrócił się Ssu-ma Chao do Ganesii. Tyle Rzymianin zrozumiał. Później głos oficera załamał się i słowa w języku Ch'in płynęły niczym wartka rzeka, która nawet Ganesię uczyniła bezradnym.

- Wolniej, wolniej - rzekł, unosząc dłoń. - Jestem starym, zmęczonym człowiekiem.

Starym - być może. Quintus nienawidził tych rozważań. Obliczanie wieku Ganesii pociągało za sobą myśl o latach Draupadi. Wyglądała tylko na wiotką i przemęczoną; Ganesia zaś był starcem. Jego zapadnięte, ciemne oczy były przekrwione i osłabione podróżą, jakby należał do jednej z młodszych ras. Mimo to obydwójce przewyższali wszystkich czujnością, która mogłaby wzbudzić zawiść najlepszego zwiadowcy i inteligencją, wyostrzoną przez nie wiadomo jak wiele lat.

- Bałem się - przetłumaczył Ganesia. Głos mu drżał. Czyżby on również odczuwał teraz strach? - Porzuciłem dowództwo i próbowałem uciec z miejsca niespokojnej śmierci. Ale wciąż mówię o czym innym... Myślę więc, że nie mogę powrócić do Ch'angan, aby nie splamić jej okolic moim tchórzostwem i hańbą. Muszę je zmasać. Własną krwią, a jeśli tak będzie trzeba i krwią moich bliskich... Lecz wolałbym pomścić się na moich wrogach, przed którymi się ugiąłem. Pójdę zatem dalej.

Ganesia przerwał, unosząc dłoń wdzięcznym gestem bazarza, proszącego o uwagę. Ręką drżała mu nieznacznie.

- Pyta mnie, czy wasz Orzeł może zaprowadzić nas do naszych prześladowców.

Draupadi tak silnie zacisnęła poję sukni w dłoniach, że widać było, jak jej drobne kości przeświecają przez skórę. Spojrzała na nich i Quintus zauważył, jakiego wysiłku wymagało od niej, by nie popatrzeć w stronę Ganesii. Ten wbił wzrok w ziemię, zachowując neutralność tłumacza.

- Są tymi, którzy chcą ukraść...

- Skąd wiecie...

Rufus i Lucilius przerwali ciszę w tej samej chwili. Centurion urwał speszony spojrzeniem Luciliusa, mruczając do siebie:

- Dzień, w którym zgodziłem się z... może słońca nie ma, albo zaczynam wariować... Och, do krzyża z tym!

- Spytaj ich! - warknął Lucilius. - Skąd wiecie, że o n i nie narzucają nam tej decyzji?

Ssu-ma Chao spojrział na niego pytająco. Potem spuścił głowę.

- Chcą wiedzieć - Draupadi przemówiła wolno po partyjsku - czy naprawdę proponujesz ruszenie na Czarnych Naacalów, czy też może są to słowa, które Ganesia włożył w twe usta.

- O n chce wiedzieć - rzekł oficer Ch'in. - Ten, który zdradziłby nas wszystkich. Tak, to były moje słowa, nie tego starego człowieka. Któż może zaręczyć, że inne karawany nie padną łupem... nie zostaną pochłonięte przez te krwiożercze potwory? - W jego oczach zabłysło szaleństwo na wspomnienie Kamiennej Wieży.

- Czy naprawdę wierzysz - głos Draupadi był miękki i delikatny - że poprowadziłabym was i waszego trybuna na śmierć?

Rozpostarła dłonie i wyciągnęła przed siebie tę z pierścieniem, który ofiarował jej Quintus.

Byli zdesperowani, lecz Rufus znalazł chwilę, by uśmiechnąć się szeroko do Quintusa i poklepać go po ramieniu.

- Wierzę w słusność moich rozkazów - odezwał się trybun. Chciał dłużej rozkoszować się tą chwilą, lecz czas był cenny. - Wierzę - lub wierzyłem! - rzucił w stronę Luciliusa - w szlachetne cele moich dowódców. Lepszych ode mnie - jak usiłowali mnie przekonać. Lecz teraz wierzę tylko w Orła.

Rufus odwrócił się do młodszego oficera.

- Teraz jesteś Rzymem, synu. Ty rozkażesz, a ja wykonam rozkaz.

Poprowadzę ludzi do walki z samymi bogami Hadesu. Powiedz tylko słowo, panie.

Lucilius zerwał się na równe nogi. Wzrok miał dziki. Prawie dygotał z gniewu i strachu.

"Czemuż nie miałby się bać? Wszyscy się boimy."

Każdy Rzymianin bał się śmierci i czegoś od niej gorszego, tego co już widzieli. A on obawiał się utraty wartości, które stały się dla niego cenne. Ale Lucilius - ten bał się podejmowania decyzji. I oto teraz musiał ją podjąć.

- Dlaczego? - Quintus zapytał Draupadi i Ganesię.

Walczyli z Czarnymi Naacalami, którzy byli ich krwi i wiary. Lecz dlaczego potrzebowali sojuszników, mając przecież własne moce?

Draupadi wyciągnęła rękę, by dotknąć Orła. Quintusowi przyszło na myśl, że mogłaby to zrobić i ta myśl uspokoiła go, zanim jeszcze usłyszał jej słowa.

- W tej epoce jesteśmy gośćmi, Quintusie - odpowiedziała. - Ona już nie jest nasza. Należy teraz do was, do młodszych ras i narodów, które powstały po zatopieniu naszej Ojczyzny. Wierzę - Ganesia i ja wierzymy - że przeżyliśmy tylko po to, by dokończyć naszego dzieła, by pokonać ciemność tak, abyście wy mogli dostać to, co przeznaczyły wam Losy.

"Czemu ja? Straciłem szansę na powrót do domu..." Przypomniał sobie te najsmutniejsze ze słów Achillesa: "Zgubiony w każdym przypadku".

Tak więc, pozostało już tylko jedno pytanie: w którym kierunku ruszyć? Orzeł jaśniał nad nimi, jedyna świecąca gwiazda wśród ochry i szarości pustyni. "Decyduj. Decyduj, głupcze" - zdawał się mówić.

Ziemia zadrżała, w powietrzu unosił się zapach soli. Rufus zaczął wymachiwać ręką, by odzyskać równowagę. Ganesia potrząsnął głową:

- Wyspa, którą mijaliśmy tamtej nocy, Draupadi... Przypominasz ją sobie?

- Myślisz, że nie jest zalana? - spytała spokojnie, jakby rozmawiali o podróży z poprzedniego dnia albo z zeszłego tygodnia. - Była bardzo mała, ale górował nad nią taki szczyt z tabernakulum... - przerwała i popatrzyła na Ssu-ma Chao.

- Znam opowieść - rzekł oficer - o fontannie czystej wody, o świątyni w głębi pustkowia, odnajdywanej tylko przez ludzi w największej potrzebie - choć też nie zawsze. Usłyszałem ją od umierającego człowieka, ostatniego ocalałego z karawany. Natknął się na niego patrol. Zabraliśmy go i próbowaliśmy ratować, lecz zmarł bredząc, jak wtedy myśleliśmy. Bredząc... - oficer Ch'in dodał po namyśle. - Jesteśmy poza granicami naszego poznania.

- Naprzód - Quintus przyłapał się, że powtarza cicho jakieś słowa. Myśl Arjuna stała się jego własną.

- Naprzód? - warknął Lucilius. - A w jakim kierunku jest owo "naprzód"? Potrafisz powiedzieć?

Rufus spojrział na niego spode łba. Gdyby Lucilius nie był patrycjuszem, zdzieliłby go pałką. Uderzenie oficera oznaczało śmierć. W ich sytuacji nie miało to już znaczenia. Jednak Rufus był posłuszny zasadom.

- Nie ośmieliłbyś się, co? - Lucilius burknął do centuriona, którego oczy mówiły za niego.

- W każdym razie, musimy ruszać - odezwała się Draupadi. - Lepiej, żebyśmy

my ich znaleźli, a nie oni nas w chwili, którą sobie upatrzą.

Podskoczyli, gdy zza ich pleców rozległ się krzyk. Jeden z żołnierzy, przywiązany do wielbłąda głową w dół, krzyknął z przerażenia, a po chwili wydobył z siebie jęk agonii. Jego grzbiet wygiął się w łuk, a całym ciałem wstrząsnęły konwulsje, aż popękały liny mocujące go do zwierzęcia. Zanim upadł na twarz, ujrzeni, że była cała spuchnięta i szerniała, jakby go uduszono.

- Weże! - krzyknął któryś z Rzymian, patrząc pod nogi, jakby zaatakował ich prawdziwy legion gadów. Syk i szmer pustynnego żwiru były coraz bardziej wyraźne, co zaniepokoiło nawet Rufusa. Wyczerpanie, zmęczenie umysłu - to wszystko czyniło ich tak podatnymi na każdą sugestię... Teraz widzieli już olbrzymie sploty, przesuujące się po piasku, czyhające, gotowe do...

Draupadi wyciągnęła przed siebie rękę i zaśpiewała. Syczenie ucichło.

- Nie ufam problemom, które tak łatwo rozwiązać - skomentował Rufus.

- Ten człowiek był już szalony. Dlatego mógł tak łatwo uwierzyć i ta wiara go zabiła. Usunęłam iluzję, lecz ostrzegam: kiedy będziecie najsłabsi i najbardziej znużeni - zaatakują znowu.

- Musimy więc ruszać - skwitował Rufus. - Panie? - zwrócił się do Quintusa po rozkazy.

"Szczęśliwy Rufus, który może zrzucić ciężar dowodzenia na oficerów, choć ci również nie chcą go przyjąć." Ganesia spojrzał Quintusowi w oczy. Zrezygnuj z dowodzenia lub bądź go godny - być może - uratuj im życie.

"Ale Ganesia daleko bardziej nadaje się na dowódcę!"

"To nie jest nasz świat ani nasz czas" - przypomniał sobie jego słowa.

Gdy poznał sposoby Czarnych Naacalów, by zdobyć panowanie, Ganesia popadł w rozterkę. Nie wiedział, co sam mógłby zrobić, gdyby dano mu władzę - może byłby łaskawym tyranem, ale przecież - tyranem. Trudno byłoby wystąpić przeciwko kochanemu satrapie, lecz Quintus, Rzymianin, zrobiłby to. A jeśli nie on, zrobiliby to inni Rzymianie.

- Draupadi! - rzucił Ganesia, alarmując także wojowników.

Ponownie zaśpiewała. Następny żołnierz, owładnięty szaleństwem po trzęsieniu ziemi, krzyknął i zaczął się wić. Jęknął, poczerwieniał na twarzy i Quintus usłyszał trzask łamanych kości.

Draupadi podbiegła do niego. Rozłożyła ręce, trzymając je w powietrzu nad klatką piersiową mężczyzny śpiewała coraz głośniejsze. Żołnierz osunął się, krew

chlusnęła mu ustami. Możliwe, że śmierć była dla niego wybawieniem.

Ramiona Draupadi zeszywniały, jakby walczyła z napierającymi zwojami olbrzymiego, niewidzialnego cielska, próbującego ją zgnieść.

- Widzisz coś? - Ganesia spytał Quintusa.

Ten mocniej zacisnął dłoń na Orle. Czy widział ducha pokrytego zielonymi i brązowymi łuskami? Słyszał opowieści podróżników o wężach tak ogromnych, że mogłyby połknąć wołu - a Draupadi była przecież mniejsza...

Quintus dobył miecza i runął na zjawę. Ostrze rozpadło się z trzaskiem. Draupadi zatoczyła się i upadła, jakby odrzucona na bok. Teraz on, sapiąc, mocował się ze zwojami, oplatającymi go ze straszną siłą. Nie był w stanie przejść paru kroków, które dzieliły go od Orła. Usłyszał śpiew Draupadi, wznoszący się na coraz wyższe tony.

"Muszę jej pomóc" - pomyślał Quintus, lecz brakowało mu tchu, by jej powiedzieć, że nadchodzi. Gdyby mógł dosięgnąć Orła, miałby broń lepszą od każdego miecza.

Czuł jakby żebra obłożono mu ołowianymi ciężarami. Patrzył na Draupadi jakby przez krwawą mgłę... Upadłby, gdyby nie podtrzymało go to coś, z czym walczył.

Draupadi podeszła bliżej z niewielkim nożem w ręku. Cios zadany wężowi sprawił, że ból w piersiach Quintusa zelżał. Potwór padł, jakby ktoś zadał mu trucidną.

Kurz poderwał się z ziemi. Wydawało się, że olbrzymi stwór wali w nią ogonem w śmiertelnych drgawkach.

Płuca Quintusa płonęły, gdy próbował opanować nierówny oddech. Talizman na jego sercu był chłodny i nieruchomy.

Wiedział, że będą następne węże. Wcześniej czy później zobaczy je każdy, a Draupadi nie będzie w stanie pokonać wszystkich.

Zmusił się do ruchu, po czym zgiął się wpół, z trudem pokonując ból przeszywający całe jego ciało. Jak po morderczym biegu maratońskim. "Radujcie się, zwyciężyliśmy" - rzekł biegacz. Potem upadł i umarł. "Nie możesz jeszcze umrzeć. Jeszcze nie zwyciężyłeś. Leta nie jest dla ciebie."

Oczy Ganesii błagały go: "Musisz teraz sam wybrać". Wiedział, że starzec toczy własną wewnętrzną bitwę, w której walczą dwie racje - dobro i zło, wolność i zniewolenie. Może znał takie bitwy. Może widział, jak przegrywali je Czarni

Naacalowie.

Być może tak się to właśnie zaczęło: pragnienie czynienia dobra, chronienia, przewodzenia - a potem zniszczenie opornych, nawet kosztem unicestwienia świata.

Ganesia był sojusznikiem i Quintus wiedział, że musi mu pomóc.

Błądzili? Doskonale, fontanna czystej wody Ssu-ma Chao jest równie dobrym celem w tym świecie iluzji, jak każdy inny.

- Jedziemy - rozkazał. Nie zobaczył kto go poprowadził - lub zaniósł - do konia, gdyż wzrok miał utkwiony w Luciliusie. Patrycjusz ponownie ruszył w stronę Orła.

Ale Quintus zdążył go uprzedzić.

Koń Quintusa rżał i wierzgał. Choć przyzwyczajony do pustyni, nawet on bał się węży. Czy wyczuł iluzoryczne gady? Musiało tak być. Wiatr zaczął się wzmagać, wzbijając piach i żwir w wirujące tumany, przypominające węzowe sploty - lepiej tak nie myśleć, bo wyczerpanie, strach i wspomnienia gadzich zwojów sprawią, że wrócą. A ich uścisk jest śmiertelny.

Rufus pochylił się i oprószył pyłem twarze martwych. Draupadi dosiadła wierzchowca nie przestając śpiewać.

- Na siodło i trzymaj jej wodze! - zawołał Quintus do Rufusa. - Będzie potrzebowała obu rak, by nas chronić. Naprzód!

Nie zamierzał zastąpić miecza Orłem. Jednak święty znak wspaniale pasował do dłoni, niczym cudownie wyważona broń. Raz jeszcze światło, odbite od dumnie uniesionej ptasiej głowy, utworzyło koronę chwały, oświetlającą niebo i ziemię.

Znowu usłyszał syk, tym razem przed nimi. Wiedział, że jeśli zawrócą w ucieczce, gady zaatakują ponownie.

"Bogowie, pomóżcie" - pomyślał. Wydało mu się, iż figurka tańczącego Kriszny poruszyła się na jego piersi.

Quintus uniósł Orła. Gdy światło sięgnęło ziemi przed nimi i powiał wiatr, jakiś kształt, lśniący niczym Orzeł, uniósł się nad pustynią i tańcząc popłynął przed siebie. Z jego wzniesionych dłoni tryskało światło, jakby trzymał w nich pochodnie.

Cudowny blask przybierał na sile, aż wypełnił całą świadomość Quintusa. Łzy spłynęły mu po policzkach i musiał spojrzeć w bok.

Kiedy jasność przygasła na tyle, by mogli otworzyć oczy, piasek i niebo wyglądały tak jak zawsze. Stali w piaskowej niecce. Teraz była to tylko pustynia, a nie siedlisko potworów. Cudownie było tak stać i podziwiać bezchmurne niebo,

wiedząc, że to, co wygląda na obłoki, to w rzeczywistości odległe góry, położone na północy i wschodzie. Wspaniale było znowu wiedzieć, że istnieją - północ i wschód.

Quintus poczuł pewność, taką jaką czuł zawsze, gdy Orzeł okazywał swoją moc. Bez wątpienia przetną szlak karawan i dotrą do miasta zanim wyczerpią się ich zapasy wody.

To mogłoby się udać. Zamiast jednak na to liczyć, odwrócił łeb swego konia i poprowadził żołnierzy głębiej w pustkowie, idąc za tańczącą sylwetką, migoczącą i błyszczącą przed nimi, niczym roziskrzzone ognisko w czas żniw.

Iskry pojaśniały i rozproszyły się, tworząc świetlisty szlak wśród odwiecznej szarości pustyni. Droga biegła coraz dalej i dalej, zapraszając do podróży.

Część ludzi odwróciła się. Ktoś krzyknął, po czym upadł na ziemię, wciskając twarz w żwir.

- Mamy ścieżkę - powiedział Quintus. Podniósł Orła wysoko, jak pochodnię przy wejściu do mrocznej jaskini. Symbol Legionów jaśniał niczym płynny metal. Roztaczał wokół nie tylko światło mocy, chwały, Senatu i ludu Rzymu, lecz także dawał znak i obietnicę, że tutaj, w dziczy, gdzie szaleństwo zakrada się pod osłoną południowego słońca, bezpieczne skrzydła Orła chronią wszystkich, którzy tego pragną.

Rzymianom i Ch'in ta ochrona może nie wystarczyć: byli żołnierzami, którzy muszą iść tam, dokąd im rozkażą, być może na śmierć.

Lecz to była ich szansa. Pamięć rządów, kraju i domów, nawet jeśli nigdy już ich nie ujrzą, skupiła się w tej światłości. Sądząc po blasku, którym jaśniały oczy Ssuma Chao, Quintus domyślił się, że Orzeł - czy też Feniks, jak wołał go nazywać - oznacza dla niego to samo: władzę, przewodnictwo, lojalność, przodków, spoglądających na niego z dumą i radością.

Quintus wprowadził Rzymian i Ch'in na świetlisty szlak.

Rozdział dwudziesty piąty

Daleko w przodzie tańcząca figurka podrzuciła pochodnie. Te zalśniły jasno, unosząc się w górę, potem wybuchnęły jeszcze jaśniejszym płomieniem.

- Ale jeśli światło zgaśnie... - rozległ się szept, uciszony trzaskiem pałki. Idziesz tam, dokąd cię prowadzą. Jeżeli prowadzą dobrze, żyjesz, dostajesz ziemię i muła i starzejesz się w spokoju i dostatku. Jeżeli nie - umierasz. Lecz zawsze musisz być posłuszny.

Quintus wiedział, że żaden z nich nie rozumie takiego przeciwnika. O czym myśleli? Śmierć w bitwie lub choćby z pragnienia były tym, co pojmowali: tego nie. Szli jednak za nim.

Czemu się ociągacie? - zdawała pytać się malutka figurka. Teraz, mając przed sobą świetlistą ścieżkę, mogliby jechać lub maszerować niczym rzymską drogą ku losowi pełnemu chwały.

Uśmiechnął się szeroko do Ganesii:

- Naprzód! Tak, jak powiedział mi ostatnim razem.

- Pamiętał - odrzekł mag. - Lecz idź szybciej.

Ganesia wiedział. Pamiętał i miał spisane, jak Arjuna jechał rydwanem powożonym przez Krisznę, by podjąć bitwę, która wstrząsnęła fundamentami świata. Miał swoją zwykłą broń - i miał Pasupatę, oręż najpotężniejszy, którego szukał na pustyni.

Quintus pomyślał, że teraz jest inaczej. Podróżowali wciąż szybciej i szybciej, a "ming sha", śpiewający piasek, wzbijał się, by mogli bezpiecznie dotrzeć do miejsca, w którym wrogowie ich nie dosięgną.

Słońce zaszło, lecz blask trwał niezmiennie, mimo zmęczenia brnęli więc dalej. Ci, którzy jechali - maszerowali; ci, którzy maszerowali - jechali, odpoczywając na ile było to możliwe. Kiedy zapadnie ciemność, będzie pora na rozbiście obozowiska. Zerwał się gorący wiatr. Quintus był bardzo szczęśliwy.

Mijały godziny. Księżyc piał się coraz wyżej na nieboskłonie.

Orzeł jaśniał pod latarnią księżycy niczym egipskie elektrum. Quintus ujrzał, że w obrębie kopuły światła, rzucanego przez znak, pustynia zmienia się - łagodnieje, jakby ją osłonięte, zakrywając jej zatrważającą grozę, a pozostawiając kiedyś dawno

zagubione piękno.

Ganesia mówił, że wszędzie tu było morze: patrząc teraz na zbocza diun łatwo można było zobaczyć fale.

Obrócił się, by spojrzeć na tych, których prowadził. Ganesia jechał pogrążony w szczęśliwym śnie. Wyglądał jakby zmierzał nie na bitwę, lecz by odnaleźć to, co ukochał najmocniej. Draupadi kłusowała spowita znowu w woalkę, być może czujniejsza od starca. Kiedy patrzył, odrzuciła zawój. Oświetlił ją blask, ścierający obawy i znużenie z jej twarzy, a jej piękno poraziło Quintusa.

To nie była jego Draupadi, jak o niej zawsze myślał: ciepło szafranu i drzewa sandałowego, ciemne, falujące włosy, spływające łagodnie na wyprostowane plecy. Twarz tej kobiety była srebrna, o rysach tchnących chłodnym pięknem antycznej maski, jakie widywał wzdłuż Via Appia, uśmiechające się zaciśniętymi ustami jak jego talizman.

Pomyślał, że to nie Draupadi, lecz Diana Trzech Dróg, Łowczyni na szlaku, prowadzącym ją ku zdobyczy, albo Selene, przyglądająca się z góry okrytemu nocą światu. Lub nawet - wzdrygnął się na tę myśl - mroczna bogini skrzyżowań, objawiająca się jako kapłanka łącząca niebiosa i Hades.

Quintus przypomniał sobie, że jest mistrzynią iluzji i ujrzał teraz w jej twarzy magiczną moc i siłę. Przyjrzał się innym, jadącym tuż za nią i zobaczył ich prawdziwych, odartych ze zwodniczych rysów: upartą lojalność Rufusa; siłę i prawość Ssu-ma Chao, nawet chytryść i lisią przebiegłość Luciliusa.

Czy będą chcieli jechać na przekór mocy, przyzwanej przez Czarnych Naacalów? "W tym świetle, z Orłem jaśniejącym w księżycowej poświacie, mogliby zrobić wszystko" - przyszło Quintusowi na myśl. Tempo ich podróży i sposób, w jaki trzymali uniesione głowy, mówiły mu, że są gotowi stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. "To takie proste - pomyślał - jeden prosty..."

Światło zamrugało... zasłona kurzu lub chmur - po tylu miesiącach dziwnie było myśleć o chmurach, które nie były pustynną nawałnicą ani wiecznymi śniegami odległych gór. Co to było? Jeszcze przed chwilą miał jasność, większą niż kiedykolwiek przedtem, co powinien zrobić. Drzewce Orła rozgrzały się w jego dłoni. Czyżby zapomniał? On nie zapomniał, zdawało się mówić ostrzeżenie.

Naprzód.

Zerwał się wiatr, przesłaniając księżyc całunem piasku. Blask Orła przygasł, po czym rozjarzył się na nowo. Księżyc był teraz niżej na niebie, udając się na

spoczynek. Jego światło osłabło, potem zgasło.

Sylwetka, tańcząca przed nimi, zatrzymała się, rozsiewając łunę lampy, w której dopalają się ostatnie krople oliwy. Po chwili jej światło też zgasło.

Stali na nagim pustkowiu. Przyjemny, zimny wiatr owionął ich, chłodząc twarze. Potem i on zamarł.

Po srebrze - ołów. Znużenie wypełniło ciało Quintusa. Dał sygnał do postoju i wbił Orła głęboko w pustynny żwir. Nadszedł teraz czas snu.

W uszach trybuna zadźwięczał głos Rufusa. Nie ten zwykły donośny okrzyk, lecz chrapliwy dźwięk, głuchy z wyczerpania i lęku.

Jak daleko zaszli - i dokąd dotarli? Byli poza granicami poznania. I byli śmiertelnie zmęczeni. Ziewnął. Jeszcze chwila, a położy się gdziekolwiek i uśnie. Byłoby to niewłaściwe - są Rzymianami. Ale pod Orłem...

- Do licha z tym - mruknął i pozwolił, by nogi ugięły się pod nim.

Zbliżyła się Draupadi. Nie wyglądała na zmęczoną, poruszała się ze swoją zwykłą gracją.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - szepnęła.

Czy stracił ją dla iluzji, które widział? Wątpliwości zmroziły go bardziej niż wiatr: był zmęczony, chciał spać. Sen przynosi wizje. Wizje były fantazjami, splewającymi do jego umysłu przez bramy z kości słoniowej. Bramy złudzeń.

Draupadi spojrzała na piasek.

- Bliżej miejsca, do którego musimy dotrzeć - szepnęła. - Podaj mi dłoń.

Zaskoczyła go. Przy innych zawsze była pełna głębokiej rezerwy. Mimo to z zadowoleniem wyciągnął do niej rękę. Dotknęła jej i wydała krótki, radosny dźwięk. Zobaczył co zrobiła: kopuła światła, rzucanego przez Orła, rozświetliła mroki pustyni.

- Nie ukryje nas to na zawsze - wyjaśniła - lecz posłuży teraz.

Dobiegł go gwar obozu szykującego się do snu. Powinien tam wrócić i pokazać im, że czuwa.

- Daj im odpocząć - powiedziała Draupadi. - Wasze umysły i bogowie niewiele mogą zrobić w obliczu tego, przed czym wkrótce staniemy. Zaszliśmy szybko i daleko - potrzebujemy odpoczynku.

Pustynia wyglądała teraz na tak wygodną, jak jedwabny kilim - lec na niej, zanurzyć się w niej... jak w głębokiej wodzie... nagle powrócił do rzeczywistości. Ukłęknął i zanurzył dłoń w piasku. Skała, pył, kurz, żwir - żadnej wody.

Pozwolił pyłowi wyciec spomiędzy palców.

- Chcą przywrócić światu jego dawny wygląd - zadumała się Draupadi. -
Nawet teraz, korzystając z waszego znużenia, przeprowadzają swoje próby. -
Westchnęła. - Strzeżcie się. Zanim ich naprawdę ujrzymy, wiele nas jeszcze czeka.

Jej wzrok powędrował ku Orłowi, którego brązowe oczy dziko spoglądały
ponad ich głowami.

- Nadszedł czas, aby ta broń stała się naszą tarczą.

Quintus położył się na boku. Draupadi spoczęła koło niego i pozwoliła mu
oprzeć głowę na swoich kolanach. Sen okrył go niczym szafranowy welon.

Rozdział dwudziesty szósty

Statki unosiły się w połyskliwej, błękitnej wodzie. Podobne łabędziom małe łodzie i większe jednostki, których wiosła uderzały w fale w rytmie wielkich skrzydeł przelatujących ptaków. Przechylały się i obracały, odpływając od brzegu i skalnych iglic, na których ptaki wiły gniazda. Bandera Ojczyzny - dysk Słońca - łopotała na masztach. Poniżej, na pokładach, uwijali się żeglarze w swym pośpiesznym tańcu.

Stał obserwując, jak jego statek przechodzi pomiędzy dwiema ciemnymi skałami, błyszczącymi w słońcu i świetle, odbitym od niespokojnego morza. Nie były to zwykłe skały, sterczące z odmętów, ani punkty orientacyjne wskazujące na zdradliwe i niebezpieczne wody. Sztuka, nauka i rzemiosło pracowały nad nimi przez wiele lat, budując u ich podstaw przystanie i schody, prowadzące do platformy, gdzie umieszczono latarnie morskie i gongi, kierujące do domu zbłąkane okręty i ostrzegające przed niepożądanymi gośćmi. Na najwyższych turniach długo i umiejętnie pracowali inżynierowie, budując triumfalny łuk, ozdobiony reliefem, na którym wyrzeźbiono sceny z historii Ojczyzny, łączący obydwie skalne wierzchołki.

Cień legł mu na twarzy, lecz jego serce rosło i śpiewało, kiedy statek przepłynął pod Łukiem Pamięci. Znajdowała się za nim zatoka, nad którą na wzgórzu stała świątynia, gdzie Naacalowie studiowali i służyli Słońcu. To był dom. Jego i...

"Ktoś krzyknął?"

Zanim jeszcze otworzył oczy, jego dłoń spoczęła na mieczu. Zerwał się na równe nogi. Zbyt gwałtownie. "Uważaj człowieku, bo wypadniesz za burtę!" - nie! Gdzie on był? Kiedy był? Morze błękitów i zieleni, słońce złocące żagle i ptasie skrzydła, krzeszące ogień z kryształów, lśniących w skale Łuku Pamięci - to wszystko dawno zniknęło. Ponury świt rozjaśniał wschód, przypominając żołnierza, który chciałby uciec przed bitwą.

Quintus ponownie usłyszał bełkotliwy krzyk. Ruszył ku granicom obozowiska. Jedno było pewne: człowiek z poderżniętym gardłem nie mógłby tak długo wydawać z siebie tych odgłosów. Głos wznosił się do czystego szaleństwa, po czym nagle umilkł.

Ssu-ma Chao dźwignął się z kolan od bezwładnego ciała.

- Martwy - oznajmił. - Czy zrozumiałeś jego ostatnie słowo?

- "Cień, Cień" - powtórzyła je Draupadi.

Przybiegł Lucilius z krótkim mieczem w garści, jak zwykle pojawiając się w chwili, gdy niebezpieczeństwo minęło.

- Patrzcie! - wskazał ręką.

Na ziemi, poza kręgiem światła rzucanego przez Orła, kładły się długie cienie, wznoszące piskliwe, przeraźliwe okrzyki, niczym nietoperze, porozumiewające się niesłyszalnym dla ludzkiego ucha kodem. Były jak długie, czarne płaszcze, unoszące się i zamiatające piach, ciemniejące w promieniach wschodzącego słońca.

Draupadi klasnęła. Cienie pozostały. Zaczęła śpiewać. Słowa brzmiały chrapliwie i niepewnie. Cienie zamigotały. Wzięła głęboki oddech i zaśpiewała donośniej, po czym ponownie klasnęła. Cienie zniknęły. Omal nie upadła z wyczerpania, lecz szybko odzyskała siły.

Ganesia stanął za jej plecami. Przemówiła do niego szybko w języku nie znanym Quintusowi. W jej głosie brzmiało przerażenie.

- Tak - odpowiedział jej Ganesia po partyjsku. - Są coraz silniejsi. I będą rosnąć w siłę w miarę jak my będziemy się do nich zbliżać.

- Uważają nas za dzieci albo głupców? - zapytał Ssu-ma Chao.

- Bardzo prawdopodobne - odparł stary mag. Położył ręce na ramionach Draupadi. - Wiedzą, że jesteśmy z wami. Ja na ich miejscu próbowałbym osłabić właśnie nas, by pozbawić resztę armii ochrony.

- Armii? - Ssu-ma Chao parsknął śmiechem, przypominającym jęk.

- Z każdym świtem jest nas coraz mniej. Chodź i zobacz.

To był jeden z żołnierzy Ch'in, który stracił zmysły podczas trzęsienia ziemi. Twarz wykrzywił mu grymas, upodabniający ją do teatralnej maski, symbolizującej strach.

Lucilius mruknął coś pomiędzy "Pakujmy się" a "Linia marszu". Ganesia gładko wśliznął się między niego a oficera Ch'in, uniemożliwiając Luciliusowi usłyszenie czegokolwiek.

- Moglibyśmy wysłać ludzi na zwiad, żeby zobaczyli - albo wyczuli - czy nie ma ich gdzieś w zasięgu wzroku - zaproponował dziwnie niezdecydowany Rufus.

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Quintus i Lucilius. Nie mogli dopuścić do utraty kolejnych ludzi - ich dusz i umysłów.

- Był tylko szeregowym żołnierzem - rzekł oficer Ch'in - ale służył wiernie.

- Służył ci dobrze nawet wtedy, kiedy umierał - powiedziała Draupadi. - Z

jakichś przyczyn był - jak by to określić? - świadomy? wrażliwy? podatny! - znalazła właściwe słowo, przybierając wyraz twarzy kogoś, kto próbuje wyrazić wyrefinowaną koncepcję w języku odpowiednim dla dziecięcego umysłu - na wpływ Czarnych Naacalów. Kto wie, czego mogliby dokonać, gdyby nie krzyknął i nas nie obudził? Był wierny do samego końca, oddał życie za towarzyszy. Przodkowie mogą patrzeć na niego z dumą.

Wąskie oczy oficera Ch'in rozszerzyły się z szacunku. Podniósł się z kolan i zasalutował martwemu piechurowi, podczas gdy żołnierze owinęli go płaszczem i pochowali w płytkim, pośpiesznie wygrzebanym grobie.

- Co teraz? - zapytał. Jego wzrok spoczął na Quintusie. Lucilius spiorunował go spojrzeniem, jak zawsze gdy zwracano się do Quintusa jako do dowódcy.

Ale to Ganesia był tym, który odpowiedział:

- Idziemy dalej. Zawsze naprzód.

Wskazał na Orła, błyszczącego w miedzianych promieniach wschodzącego słońca. Biło od niego światło.

- Będzie nas prowadził - lecz droga nie należy do łatwych.

Dzień zlewał się z dniem, a wydmy, które pokonywali, były wciąż wyższe i wyższe. Jechali dopóki mogli. Później, kiedy zwierzęta utrudziły się, szli pieszo, prowadząc je.

- Przypomina to patrzenie w górę z dna studni - mruknął Rufus. - W jaką dzicz zabrnęliśmy tym razem?

Oczywiście, nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Dzień po dniu s c h o d z i l i w dół, może zdążali do czegoś, co było najgłębszą częścią morskiego dna. Dzień po dniu cienie wokół nich powiększały się. Zatrzymywały się, gdy patrzyli na nie uparcie. Im wyżej stało słońce na niebie, tym stawały się mniejsze, znikając w południe.

Ale potem trzeba było wiedzy Draupadi i Ganesii, by je rozproszyć. Podchodziły coraz bliżej i nie znikwały nawet w południe. Nawet najsilniejsi spośród nich nie mogli odpocząć, gdy słońce było najwyżej na niebie, bo wokół otaczały ich cienie, jakby zakładały własny obóz i obserwowały, oddalały się dopiero późnym popołudniem. Quintusa nękał senny koszmar, że pewnego dnia, kiedy dojadą do największej wydmy, natkną się na armię pozbawionych twarzy, widmowych żołnierzy, stojących między nimi a ich celem.

Piątego dnia po śmierci pierwszego z obłąkanych żołnierzy nagle ocknął się z letargu jeden z Rzymian. Rozpoznał uradowanych towarzyszy, oświadczył, że jest wystarczająco silny, by maszerować, a potem zniknął po południu. Człowiek znajdujący się najbliżej ozdrowieńca usłyszał jego krzyk i ujrzał go biegnącego w głąb pustyni z rękami rozpostartymi jakby w powitaniu. Ruszył za nim, lecz dwaj jego towarzysze zdołali go powstrzymać.

- Jest nas coraz mniej - zauważył Ganesia.

W miarę jak zapasów wody było coraz mniej, śnili zawsze o morzach, rzekach, jeziorach... Gdy wydawało się, że nie zejda już niżej, nie tracąc z oczu nocnego nieba, Lucilius przebudził się, krzycząc coś o studni. Gdyby nie obezwładniające go pragnienie, uciekłby również. Będzie musiał jechać, nawet kiedy inni będą musieli maszerować, dopóki nie otrząśnie się z szoku. Jeżeli się otrząśnie.

- Żadna strata - mruknął Rufus, pomimo spojrzenia Quintusa. Każdy niezdolny do ruchu, którego trzeba było wieźć, osłabiał i spowalniał ich bardziej, niż gdyby umarł. Nie mogli jednak porzucić towarzysza broni - nawet gdy ten był zdrajcą.

Odkąd gardła wyschły im na wiór, Quintus przestał śnić o morzu, co wydawało mu się dziwne. Sen miał płytki. Budził się często, zlany potem, marnotrawiąc wilgoć organizmu, której nie mógł już uzupełnić. Marzył o ześlizgiwaniu się ze zboczy gigantycznych wydm. Budził się roztrzęsiony. Wtedy dopiero myślał o wodzie.

Tak daleko zaszli, tak daleko. A jeśli ta pogoń za wrogiem była daremna, będą musieli wycofać się po własnych śladach z fałszywej drogi. Ale może jest na to za późno. Może wszyscy zostali oszukani, zdradzeni. Może prawdziwi Czarni Naacalowie maszerują razem z nimi: gruby starzec i szczupła kobieta, gibka i zatroskana, owinięta obszarpanymi welonami.

Ta myśl była gorsza od każdego snu, który mógłby go nawiedzić.

Piąty koń padł w południe. Po prostu przewrócił się i nie chciał wstać. Lucilius dobił go, podcinając mu gardło; zaskoczył ich widok łez, wysychających na jego policzkach. Miedziany smród krwi palił dotkliwiej niż gorące słońce.

Jeden z legionistów zaczął odpinać końskie juki.

- Zostaw to - rozkazał Quintus. Człowiek posłuchał go. "Naprawdę myślisz, chłopcze, że będziemy potrzebowali teraz tego, co dźwigało to biedne zwierzę?" Żołnierz był pewnie w wieku Quintusa, może nawet trochę starszy, ale teraz wszyscy

byli dla niego "chłopcami". Szczęśliwcami, którzy mieli kogoś, kto niósł ciężar ich rozpaczy i tęsknoty.

Rozkazałby, żeby zostawić ładunek, nawet gdyby worki wypełnione były złotem i klejnotami. Tylko jedzenie, woda i broń miały teraz wartość, i koce, chroniące przed nocnym chłodem.

Ciskany wiatrem żwir ranił ich twarze. Owijali się materiałem, przeznaczonym do ochrony przed burzą. Przypominali teraz wlokącą się kolumnę mumii, powiewających bandażami, zataczających się i chwiejących na nogach.

- Spójrz jak wyglądamy - mruknął Rufus. - Może przestraszymy te cienie.

Słowa starego centuriona wywołały wybuch śmiechu. Quintus poczuł wilgoć w oczach, ale nie mógł pozwolić sobie na łzy - zbyt duża strata bezcennego płynu.

Tego dnia, późnym popołudniem, podniósł wzrok. Na zboczu niedalekiej wydmy zaczynało się ogromne obsunięcie. Serce mu zamarło: śnił o ataku, i sen zazwyczaj przynosił wizję cieni Czarnych Naacalów, ustawionych w potrójnym szyku bojowym.

"Niemniej jednak - powiedział sobie - będziemy walczyć."

Mocniej ścisnął Orła.

- Pozwólcie mi pójść na czele.

Wyprzedzał go cień. Orzeł nie zapłonął ostrzegawczym płomieniem, a tańczący Kriszna z brązu wciąż spoczywał w bezruchu na jego sercu.

Coś przesunęło się obok jego cienia. Zachichotał chrapliwie. Cień, który obserwował z taką obawą, należał do niego i znaku. Dotarli do dna i zaczęli się wspinać.

Chrzęszczący pod stopami żwir stopniowo zastąpiły odłamki skalne, a potem gładkie skaliste podłoże, pokryte wzorami, wyżłobionymi kiedyś dawno temu przez wodę. Wyglądało na to, że maszerowali przez podnóże gór, sięgających poniżej powierzchni świata.

- Ruszaj dalej - po raz piętnasty tego dnia Rufus musiał ponaglić Ganesię. Starzec znowu osunął się na kolana, wpatrując się jak urzeczony w odcisnięty w skale szkielet ryby. Przynajmniej Quintus sądził, że to ryba, choć nigdy dotąd takiej nie widział.

- Nie wolałbyś raczej zjeść prawdziwej? - zapytał.

- Wolałbym trochę spokoju - odparł Ganesia. - Jestem bardzo stary i zmęczony. Lecz opowieść nie jest jeszcze zakończona, a póki trwa, muszę być jej

częścią. By naprawić to, co zrobiłem. I co moi bracia i siostry - przebacz im Płomieniu - robią nadal.

Rufus pokręcił głową. Przyglądali się sobie: dwóch starych ludzi, przygniecionych do ziemi trudami pustyni i trudami przeżytych lat. Zbyt starych by robić coś więcej niż uprawiać ziemię i dzielić się z innymi swoją mądrością. Quintusa coś ścisnęło w gardle. Ganesia powinien wygrzewać się na dziedzińcu jakiejś świątyni poświęconej Junonie i dzielić się z młodymi swoją wiedzą i doświadczeniem. A Rufus, ten powinien teraz uczyć wnuki jak najlepiej podwiązać winorośl lub po raz setny pokazać im swój miecz, a nawet pozwolić go dotknąć...

Z kącików oczu Rufusa, przymrużonych w blasku pustyni, biegły długie zmarszczki. Wyglądał starzej niż Ganesia i o wiele bardziej groźnie w swojej zbroi, którą wciąż uparcie nosił.

Mimo to Ganesia był o wiele bardziej doświadczony i posiadał potężne moce Białych Naacalów. Quintus zadrżał. Moc Naacalów opierała się na potędze Słońca, źle użyta przez Czarnych spowodowała pęknięcie krainy, którą przemierzali i wyschniecie wielkiego morza.

Lepiej nie myśleć o takiej ilości wody. Kropla potu spłynęła Quintusowi po plecach. Chwilowa ulga. Niepowtarzalna chwila, jak kiedyś, gdy utrudzony po zniwach zanurzał się w błogostawionej rzece. Mógłby zanurkować najgłębiej jak można i wynurzyć się z prychnaniem i śmiechem po drugiej stronie Łuku.

Łuku? Jakiego Łuku?

Odpyływ i przyptyw, fala bijąca o brzeg - to wszystko było takie realne. Łuk? Każdy głupiec zna Łuk Pamięci. On także. Śnił o nim już dawno: brama, gościnnie zapraszająca tych, którzy służyli Słońcu na wyspę, będącą jedną z ich szkół i twierdz. Łuk ozdabiała posągi starożytnych herosów, mądrych mężczyzn i kobiet, przedstawionych wraz z ich legendarnymi zwierzętami i wielogłowy wąż, oznaczający mądrość i moc - Oświecenie Słońca.

Nie musiał nawet zamykać oczu, by zobaczyć ten Łuk. Poczł zavrót głowy. Czas i miejsce zamigotały. Raz jeszcze usłyszał morskie ptaki i plusk wioseł, krzyki strażników na brzegu. Znał cenę tego przejścia dla nieostrożnych. Tylko wytrawni żeglarze nie rozbijali się o skalisty brzeg.

Quintus walczył z tym obrazem, tak natarczywie wciskającym mu się do świadomości. Draupadi powiedziałyby, że to iluzja taka jak te, które pozbawiają człowieka zmysłów i strącają go z najbliższego urwiska - lub zostawiają Czarnym

Naacalom. Drzewce Orła rozgrzały się w dłoniach; ciepło popłynęło do ramienia i wzdłuż kręgosłupa. Jak na szaleńca, czuł się zdumiewająco dobrze.

Znowu przydarzyło mu się to dziwne przeniesienie w czasie - "kiedyś" a "teraz". Jeden z obłąkanych przywiązanych do wielbłądów jęknął i zachichotał, po czym umilkł. Teraz Quintus ujrzał Łuk, tak realistycznie, jakby nie dzieliły go od niego czas i przestrzeń. Wyglądał jak czaszka, której większość zębów spróchniała, a jedna ze skroni została wgnieciona.

Większość ozdabiających budowlę błyszczących kamieni zniknęła, zniknęły także upiększające ją rzeźbione ornamenty. Twarze bohaterów wytarły się, wbite w niejakość niczym grobowiec zhańbionego władcy. Kilka posągów wciąż wznosiło broń przeciwko starożytnym wrogom. A wielki wąż ciągle okupywał przestrzeń pod wieńczącym Łuk sklepieniem. Ale jakże się zmienił. Nie był już symbolem światła, lecz zmarnowanej iluminacji, mocy zwróconej przeciwko sobie samej, podsycanej wciąż rosnącym głodem, gdyż nigdy nie będzie dosyć ofiar by go zaspokoić.

Draupadi westchnęła z cichym jękiem.

- I pomyśleć, jaki piękny był kiedyś.

Zwykła sztuczka światła sprawiła, że zrujnowany Łuk wydawał się być znacznie bliżej niż był w rzeczywistości. Podejście do niego zabrało im wiele godzin ciężkiej wspinaczki na ogromne wzgórze, będące kiedyś wyspą. Tamta skała przed nimi - to urwisko czy forteca? Albo, bogowie pomóżcie, byłabyż to świątynia, uświęcająca ongiś te szczyty?

Quintus pomyślał, że powinni teraz odpocząć, by podejść do bramy w pełnym świetle.

Był obolały. Wiedział, że skoro on cierpi, to ludzie za jego plecami cierpią jeszcze bardziej, nie mówiąc już o zwierzętach. I Draupadi - nie powinien o niej myśleć jako o delikatniejszej i słabszej od niego odkąd ujrzał jej twarz tamtej nocy.

Drgnienie pamięci rozjaśniło mu umysł: wtedy, gdy jego brat przegrał królestwo, koronę, wolność i żonę, Draupadi krzyknęła tylko raz - gdy próbowali ją posiąść. Poprzysięgła wtedy, że umyje włosy we krwi mężczyzny, który się na to odważył, i dotrzymała tej obietnicy.

Było szaleństwem bać się o nią.

Za jego plecami zarżał koń i kamienie sturlały się ze zbocza. Rozległy się przekleństwa, uciszane chrapliwym krzykiem Rufusa. Miedziana woń krwi przepełniała nozdrza. Jeden z obłąkanych roześmiał się, po czym załkał, skrywając

twarz w dłoniach. "Szybciej, głupcze - powiedział sobie - albo pozostaną tylko szaleńcy i trupy". Ganesia i Draupadi, Rufus, póki jego wielkie serce nie pęknie, i Lucilius, który jak zwykle będzie miał szczęście.

Padło tylko kolejne zwierzę. Najlepiej by było zostawić je tutaj i pójść dalej pieszo, ale co się z nim stanie, jeśli nikt nie powróci... Bogowie, był żołnierzem - człowiekiem i zwierzęciem w jednym, każda strata bolała dotkliwie, nawet teraz, po tym jak tak wielu umarło. Drzewce Orła, które trzymał w dłoniach uspokajały. Poza tym były doskonałą laską ułatwiającą wspinaczkę.

Ssu-ma Chao spojrział mu w oczy i Quintus wyteżył uwagę. Nigdy nie zapomni jego prawości i szlachetności. Wskazał Quintusowi, by szedł dalej. Rufus oparł się o skałę, czekając na przejście najsłabszych ludzi i zwierząt. Tylko bogom zawdzięczali, że przetrwali, by dotrzeć do tego, co rozciągało się poza Łukiem. Jedno potknięcie... Boże, broń.

Co potem? Ta podróż składała się z samych „jeżeli”. Jeżeli przetrwają. Jeżeli w tym miejscu, w środku pustyni straszliwszej od Tartaru, znajdą te opisywane przez podróżników źródła słodkiej wody. Jeżeli spotkają Czarnych Naacalów i nie zostaną zamienieni w połyskliwe, czarne kamyki, zaśmiecające zbocza góry, plującej skałą i ogniem. I, w końcu, jeżeli nareszcie odnajdą drogę.

"Trzymaj głowę pochyloną - powtarzał sobie. - Patrz pod nogi. Obserwuj skały, uważaj na węże i lawiny." Wbił Orła w piach i żwir, po czym ruszył w górę zbocza.

Kiedy się wspinał, nawet gdy usiłował zająć myśli terażniejszością, jego umysł wciąż wędrował. Mylili się: jego ojciec, dziadek, westalki i całe kolegium kapłańskie z Pontifexem Maximusem włącznie. To nie Losy kierowały życiem człowieka i tkąły jego nić. To tylko „jeżeli” decydowały w każdej epoce, czy człowiek będzie żył czy nie, albo czy osiągnie to, co ktoś gdzieś dla niego zapisał.

"Czemu więc próbować?" - to pytanie uderzyło z siłą błyskawicy, oślepiając mocą, po której nastąpiła ciemność. Zamrugał oczami i spojrział w górę. Żadnej burzy wokół. Żadnego grzmotu. Żadnej błyskawicy. Potrząsnął głową, chcąc rozjaśnić myśli. Ktoś go ostrzegał, że nadejdzie atak.

"Nie" - powiedział.

Jeden z szaleńców załkał. Wiozący go wielbłąd szarpnął się, po czym ruszył dalej kulejąc. Powinni sprawdzić wszystkim wielbłądom racice. A kiedy to wszystko się skończy, najlepszą rzeczą, jaką prawdopodobnie będą mogli zrobić dla biednych

stworzeń - wielbłądów i ludzi - będzie podejrzenie im gardeł. I później rzucić się na własne miecze.

"Nie! - pomyślał z determinacją. - Jeśli umrę, niech to stanie się w walce. Lub podczas marszu na Wschód pod Orłem."

To wrażenie wszechogarniającej duszącej czerni. Niebo było czyste, lecz zapach soli wypełnił mu nozdrza. Soli, nie potu. Nagle - "Nie! Znowu!" - jęknął bezgłośnie - niebo i ziemia zadrżały. Wyrósł przed nim cień. Wejście weń dało chwilę błogosławionego chłodu. Łuk pojaśniał, a zdobiące go posągi znowu były nienaruszone i wspaniałe.

"Czyżby Chronos zamrugnął ponownie? Czyżbyśmy dryfowali?" Łkanie szaleńca umocniło jego podejrzenia. Po dłuższym czasie nawet cud stawał się czymś zwykłym, a ten był w dodatku nieprzyjemny.

- Trzeba uderzyć go w głowę - mruknął Rufus.

- Nie! Nie tak mocno! Czy go zabiłeś? Jeśli nie, to i tak nie twoja w tym zasługa.

Łuk falował. Quintus mocno przymrużył oczy, nie chcąc oślepnąć po wyjściu z cienia. Jego dłoń spoczęła na ostrzu miecza. Chrońcie nas, bogowie, jeśli będziemy musieli teraz walczyć, gdy czas i przestrzeń falują niczym nieokiełznane morze.

- Quintusie... - Draupadi podjechała ku niemu. Cofnęła się, gdyż szczególnie silny wstrząs sprawił, że Łuk zadrżał, a nawet na chwilę zniknął.

- Powiedz mi, proszę - cień pretensji pojawił się w jego głosie - dlaczego tak blisko bramy jest coraz gorzej?

Jej dłoń spoczęła na jego ramieniu. Ten dotyk uspokoił go, lęk mijał z wolna, ustąpiły zawroty głowy.

- Miałam nadzieję, że nie odczujesz tego aż tak dotkliwie.

Quintus strząsnął jej rękę. Nie chciał czerpać pociechy z jej kojącego dotyku, podczas gdy jego ludzie walczyli ze strachem i przerażeniem.

Skinęła głową, odgadując jego myśli.

- Quintusie oni wiedzą, że przybyliśmy. Inaczej nie czułbyś się znowu atakowany. - Podniosła rękę niczym żeglarz, sprawdzający kierunek wiatru.

- Z pewnością przygotowali jeszcze potężniejszą magię. Ganesia i ja doświadczymy jej pierwsi.

Starzec i kobieta prowadzący Rzymian do bitwy? Niemożliwe! - chciał wykrzyknąć.

- Jesteśmy bronią w twoich rękach - ucięła jego wątpliwości. - Któż lepiej od nas wie, do czego są zdolni i jak z nimi walczyć? Zniszczyli nasz dom! Zniszczyli nasz świat! Mamy do tego prawo, Quintusie!

Oczy Draupadi rozszerzyły się i pociemniały. "Ilu głupców zdążyła już omamić? I jego też... Przejdą przez tę bramę, pozostawiając ich tutaj na pewną śmierć."

"Nigdy mnie nie oszukała i nigdy tego nie zrobi!" - odrzekł perfidnym podszeptem.

Ona i Ganesia służyli Płomieniowi. Byli Naacalami, Białymi Naacalami. Walczyli przeciwko Czarnym. Mieli takie samo prawo do występowania przeciwko nim, jak on do odzyskania Orła.

- Nawet teraz próbują cię omamić - rzekła Draupadi, patrząc mu w twarz. - Nawet teraz, prawda?

Jego wątpliwości były bardziej bolesne niż wszystkie sztuczki Luciliusa. Kochał ją. Musi jej ufać. Pokręcił głową. Walczyć jest wystarczająco ciężko. A co dopiero dodać jej otuchy.

Podniosła dłoń, na której zajaśniał pierścień.

- Jest w tym zawarta moc, moc twojej obietnicy. Nie mogłabym go nosić, gdybym chciała cię zdradzić.

Jej oczy... widział w nich miniaturowe odbicie siebie samego, obserwującego szczupłą, zmęczoną kobietę, jakby były potężnym, atakującym go wrogiem. Roześmiał się na tę myśl.

- Rzut kością - powiedział. - Zaufać ci, czy wszystko stracić.

Bogowie pozwólcie, by nie znaczyło: "zaufać ci i wszystko stracić".

Draupadi skinęła głową.

- Niech twój znak, ta broń, spali mnie, jeśli kłamię. - Wyciągnęła dłoń i oparła ją na drzewcach, podtrzymujących Orła.

Zagrzmiało. Quintus wstrzymał oddech. Jeśli ją poraziło, nie przeżyje jej zbyt długo, poprzysiągł sobie. Fala ciepła przepłynęła mu przez ramię.

- Widzisz? - wyszeptła triumfalnie Draupadi. - Widzisz, że nie jestem fałszywa?

Snop słonecznego światła wystrzelił spod Łuku i padł na Orła. Ptak rozbłysnął cudownym blaskiem! Quintus prawie uwierzył, że Orzeł się przebudzi, rozwinie skrzydła i wyda okrzyk triumfu.

- Dzięki ci - powiedział. Ty i Ganesia będziecie nas prowadzić.

Szaleńcy umilkli, zapadłszy w niespokojny sen. Naacalowie stanęli na czele kolumny i poprowadzili ją pod Łukiem Pamięci do miejsca, które tak dawno temu było ich schronieniem.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wstrząsy, które roztrzaskały basen starożytnego morza, z lądem obeszyły się o wiele łaskawiej - być może zakorzeniona tu obecność Białych Naacalów uchroniła go przed większymi zniszczeniami. Przywołał wspomnienia. Woda była tu płytka, zdradliwa dla żeglarzy. Prawie czuł zapach soli, słyszał okrzyki marynarzy i śpiew lin, kiedy statek zbliżał się do portu, prześliznąwszy się pod Łukiem. Woda... poczuł pragnienie.

Draupadi i Ganesia maszerowali na czele. Wydobyli z juków długo przechowywane białe szaty, przywdziali je, i oto para kapłanów prowadziła ostatnich wojowników na rozstrzygającą bitwę.

Kiedy wyszli spod olbrzymiego Łuku i słońce zaczęło odbijać się oślepiająco od ich strojów, Rzymianie, na komendę Rufusa, zatrzymali ich. Blask nasilał się, szybko przywracając kapłanom i Łukowi ich dawny splendor. Przez chwilę nawet zbezczeszczone posągi otoczyła świetlna aureola. Orzeł jaśniał wspaniałym blaskiem, jakby składając hołd.

Światło zachodzącego słońca sprawiło, że sylwetki Ganesii i Draupadi zdawały się rosnąć. Ich białe szaty emanowały czystym światłem. Dwie blade postaci sunęły, prowadząc ich przez spowitą mrokiem okolicę.

- Zostawią nas. - Syk Luciliusa przedrzeźniał dawne obawy Quintusa. - Musiałeś im zaufać...

Zaległa martwa, niepokojąca cisza. I nagle przez czyste niebo i zrujnowane ziemie przetoczył się grzmot. Naacalowie przystanęli, zatrzymując kolumnę i wznosząc ramiona w hołdzie zachodzącemu słońcu, które rozpaliło horyzont, niczym pochodnia.

Część tego światła docierała nawet pod ogromny Łuk. Ten zdawał się dygotać. Odłamki skały i zaprawy - dodanej później, zapewne przez Czarnych Naacalów - odpadały od starożytnych gładów. Następny grom.

Orzeł rozgrzał się w dłoniach Quintusa. "Użyj go, użyj broni - szeptał kusiciel. - Oto Pasupata, której szukałeś. Jesteś spragniony? Uderz w skałę i wywołaj wodę. Czy zdobyłeś moc tylko po to, aby ją dźwigać na swoich barkach?"

"Aby używać jej mądrze - odparł. - Obiecałem i dotrzymam słowa."

Grunt drżał pod stopami i wydawało się, że ziemia za chwilę pęknie. Ssu-ma Chao odchrząknął. Jak długo to już trwało? I czym było owo "to"?

"Jesteś Rzymianinem, wojownikiem, żołnierzem, a nie sługą magów - syknął głos. - Czy będziesz się im kłaniał, jak senatorom? Będziesz czymś gorszym od niewolnika - i to na zawsze."

- Zachowajcie spokój - ozwał się Rufus. - Dla Orła.

Światło pod Łukiem zniknęło wraz ze słońcem. Po chwili zaś zapłonęło na nowo, jaśniej niż przedtem, jakby wskrzesiły je dwa płomienie, którymi byli Biali Naacalowie. Blask bijący od ich szat porażał wzrok patrzącego. Potem ból oczu mijał i wracała jasność widzenia.

- Czy zamieniliśmy się w orły - spytał sam siebie Quintus - że możemy wpatrywać się w słońce i nie ślepnąć?"

Orzeł roztaczał blask nad ich głowami. Teraz trybun mógł rozróżnić twarze Draupadi i Ganesii. Byli zmęczeni i mieli podkrążone oczy. Policzki Ganesii zapadły się, a dumnie wyprostowana Draupadi chwiała się na nogach.

- Chodźcie już - w martwej ciszy nocy usłyszał jej ciche słowa.

Podniósł Orła. Rufus wydał rozkaz marszu. Rzymski chód, rzymski lud. Lewa, prawa; lewa, prawa. Maszerujesz pod Łukiem. To twój triumf. Teraz idźże dalej.

"Pamiętaj, żeś śmiertelny. Ty głupcze i niewolniku!"

Quintus stanął obok Draupadi.

- Powiedz im, żeby się pośpieszyli - wyszeptwała. - Słabniemy...

Wtedy zaszło słońce. Wkroczyli pod Łuk za dnia, a wyszli nocą. Wiatr wył i pohukiwał wśród szczytów, niczym niewidoczna sowa.

Ziemia zadrżała. Och, bogowie, tym razem połknie wszystkich i pogrzebie żywcem. Ogień Draupadi wypali się, a on ujrzy ją łapczywie chwytając powietrze, zanim umrą. Quintus zeszywniał z przerażenia. Usłyszał jakiś łoskot i trzaski. Ziemia na której stoją pęknie niby bańka mydlana, spryskując ich wrzącą skałą. Będą widzieli, jak płoną. Rzeczywistość zawirowała, wzbogacona strzępami zapomnianych koszmarów i nowych strachów.

Światło Orła przygasło, jakby pochłonęło je coś, co się nim żywiło.

Quintus przypomniał sobie. Stali wtedy na polu bitwy, a on walczył Pasupata. Cena została zapłacona i zdobył sobie prawo do miecza. Stali, zatopieni w milczeniu, podczas gdy śmiertelne zagrożenie przemknęło obok nich, by uderzyć we wrogów. Miał prawo. Myślał, że nie ma nikogo, kto mógłby lepiej użyć tej najpotężniejszej

broni. Istniał jednakże inny oręż, którym można było walczyć.

- Weź Orła - rozkazał teraz Draupadi.

Uczyliła to i znak rozjarzył się z tą samą niepohamowaną radością, którą lśniły jej oczy. Ręka Quintusa powędrowała do piersi, jakby w salucie, lecz zamiast tego odnalazła brązową figurkę.

- Zatańcz dla nas - powiedział. - Poprowadź nas.

I Kriszna zatańczył. Światło wykwitło z dłoni Quintusa i mała figurka zaczęła swój taniec radości i smutku. Potem zeskoczyła z jego dłoni, urosła i ruszyła w kierunku ruin na wzgórzach podskakując i obracając się.

- Chodźcie, chłopcy - powiedział miękko Quintus - trzymając się za ręce, jakbyśmy znów byli na farmie.

Rufus zacisnął dłoń na ręce trybuna. "Ten chwyt mógłby zmiażdżyć" - pomyślał Quintus, kiedy spotkał centuriona po raz pierwszy. Był wówczas chłopcem, choć miał prawo do tytułowania się "trybunem". Teraz odpowiedział uściskiem równie mocnym.

- Nie patrzcie - wyszeptał. - Nie czujcie. Wszystko wokół to kłamstwo. Patrzcie na światło. Tylko na światło.

- Światło - szepnął chrapliwie Rufus, po czym krzyknął donośnie. - Widzę płomień.

Złapał rękę stojącego z drugiej strony towarzysza i pociągnął ją.

- Popatrz na światło, patrz na nie! czego się boisz? Dam ci coś, czego można się bać! - krzyknął.

Ktoś się zaśmiał, czym powinien zasłużyć sobie na szybką karę - lecz teraz Quintus i centurion byli szczęśliwi, słysząc to. Śmiech, tak jak światło, oddalał strach i ciemność.

Draupadi roześmiała się i połączyła dłonie żołnierza Ch'in i legionisty. Rzymianin i Ch'in szli teraz ręka w rękę, przechodząc pod Łukiem w górę stoku. Nawet jeśli poszarpanej linii marszu brakowało dostojności parady, to przynajmniej szli o własnych siłach, nie poddając się rozpacz. Podążali za sylwetką Kriszny, uwolnionego z pułapki krępującego go gorsetu z brązu.

- Ty też, chłopcze! - Rufus sięgnął po dłoń Luciliusa, ale ten odtrącił ją ze wstrętem.

Mimo to nie mogli pozwolić, by zginął. Quintus skrzywił się.

Lucilius zachwiał się, a na jego twarzy malowało się nieledwie szaleństwo

wywołane tym co jego umysł mówił mu, że widzi. O czym myślał, stawiając kolejny krok? Quintus wzdrygnął się - wygrali bitwę ze śmiercionośną iluzją, lecz Lucilius dokonał tego sam.

- Przeprowadzić zwierzęta! - krzyknął Ssu-ma Chao. Wielbłądy i konie, mrużąc oczy, przechodziły pod Łukiem.

Ktoś krzyknął nagle i wyrwał się z uścisku sąsiada. Nie mając siły Luciliusa albo jego uporu - zaczął przeraźliwie krzyczeć. Usłyszeli uderzenie bezwładnego ciała o ziemię.

- Zabił go własny strach - powiedziała Draupadi. - Chodźmy. Trzeba się pośpieszyć.

- Idź pierwsza - wycharczał Ganesia i oparł się o ścianę. - Dogonię cię. No, idź już! Obiecałem.

- Słyszałaś go - odezwał się Quintus. Draupadi spojrzała na niego ze smutkiem w oczach. - Idź!

Odwrócił się do starego maga. Twarz Ganesii poszarzała.

- Chodź, starcze. Weź mnie pod ramię. Nie musisz tańczyć, wystarczy, że będziesz powoli szedł. Zrobisz to!

Ganesia osunął się na ziemię, lecz Quintus podniósł go i pchnął w górę zbocza. Halucynacje rozwiały się, a oni stali w czystym, nocnym powietrzu. Czekali.

Draupadi padła na kolana, sięgając po jakiś przedmiot leżący na ziemi.

- Spójrz - powiedziała z żalem, podnosząc coś, co tak wiernie im służyło. Kriszna był znowu brązową statuetką. Lecz teraz jej ramiona bezwładnie opadły jakby znużone zbyt długim tańcem. Jedno było złamane. Figurka zaczęła kurczyć się w dłoni Draupadi, wreszcie zamieniła się w garstkę popiołu.

- Twój talizman zatańczył po raz ostatni - dodała. Troskliwie wysypała tę szczyptę popiołu na ziemię i przykryła płaskim kamieniem.

Quintus uniósł dłoń w pozdrowieniu i dotknął nią miejsca nad sercem, gdzie talizman spoczywał praktycznie od chwili, gdy pożegnał dzieciństwo wchodząc w wiek młodzieńczy. Odszedł, tak jak chłopiec, który go znalazł. Ale mężczyzna, na którego wyrósł, ciągle pamiętał o wszystkich przestrożach, tak często ratujących mu życie.

To prawda, miał Orła, ale tańcząca figurka z brązu była jego tylko strażnikiem i skarbem. Będzie mu jej brakowało.

Draupadi, stojąca u jego boku, była prawdziwa. Pomyślał, że jeśli oboje

przeżyją, może nie będzie tak bardzo tęsknił za talizmanem. Jej dłoń wsunęła się w jego dłoń. Ten dotyk sprawił, że poczuł się jak w chwilach, gdy ożywał Orzeł. Znak rozsiewał w ciemnościach uspokajający blask, niczym ognisko, wskazujące drogę błądzącym podróżnikom. Rzymianie i Ch'in skupili się wokół ptaka, jakby ogrzewając się w jego świetle.

Draupadi zadrżała. Quintus przesunął Orła w jej stronę, lecz ona pokręciła głową.

- Są tam. Czujesz ich?

- Kto? - zapytał. - Czarni Naacalowie? Zaatakowałiby już dawno, próbując zniszczyć to, co jeszcze zostało z naszych oddziałów.

- Nie oni. Cicho! Zaczekajmy.

Quintus posłuchał jej. Po chwili między skałami rozbłysły punkciki drżącego światła, które przybierały na sile, przekształcając się w płomienie i podskakiwały, jakby niosący je ludzie schodzili powoli i niechętnie do oczekujących żołnierzy.

Potem zatrzymały się. Czekają.

Rozdział dwudziesty ósmy

Metal zachrząścił za plecami Quintusa i żołnierze ustawili się w półkole, gotowi do obrony.

- Łucznicy - zakomenderował Ssu-ma Chao. Nawet wystrzelona w mroku nocy chmura strzał może przetrzebić... to, co obrało sobie za siedzibę ukryte w ciemności skalne rumowisko. Komenda oficera Ch'in nie była więc pozbawiona sensu.

"Strzały świszczą i bzykały, niczym ul dzikich pszczół, trącony włócznią. Ktoś krzyknął i upadł, chlustając krwią. Tak poległ Drona, nauczyciel wojowników i książąt" przemknęło Quintusowi przez głowę - albo to Arjuna przywołał wspomnienia.

Problem polegał na tym, że grad strzał mógł zabić część przeciwników, lecz pozostałych zagrzać do boju. Najlepszą taktyką byłoby zatem ruszyć za nimi między skały - ale nie nocą.

Quintus potrząsnął głową.

- "Testudo" - zarządził. - Bądźcie gotowi. I upewnijcie się, że ochraniacie ludzi z Ch'in.

Nie wyszkolono ich do walki w tak ścisłym szyku, lecz byli sojusznikami; poza tym miał nadzieję, że ten nowy wróg nie zna rzymskiej taktyki.

Orzeł lśnił nad nimi, podobny do jaśniejszego, mniejszego księżycy - jak na niebie, tak i na ziemi. Quintusowi wydawało się, że widzi schodzące z góry postacie, wpatrujące się w nich rozszerzonymi oczami, z otwartymi ustami i sztywnymi plecami, jakby zmuszali się do ruchu. Czyżby, tak jak Rzymianie, nauczyli się nie ufać obcym?

- Idź na tyły, Draupadi - Quintus popchnął ją delikatnie.

- Będiesz potrzebował... - zaczęła.

Ganesia znalazł się na przodzie wśród legionistów.

- Nie atakujcie - rozkazał. - Nie róbcie gwałtownych ruchów.

Jego autorytet był tak absolutny, a on sam, okryty udrapowaną szatą Naacala, wywierał tak silne wrażenie, że Quintus zdjął rękę z miecza. Wzniósł dłoń, powstrzymując ludzi, nim ci zdążyli podnieść tarcze, by uformować "żółwia",

chroniącego przed pociskami.

Starzec wygładził szatę, nieskalaną trudami i kurzem pustyni. Jej złoty haft błyszczał w świetle księżyca i Orła.

- Chodź ze mną, Draupadi - poprosił. - Musimy ich powitać.

- Zwariowałeś? - krzyknął Quintus. Jeszcze przed chwilą Ganesia zdawał się omdlewać z wyczerpania, a teraz chciał ryzykować życie.

- Doprawdy? Wytropiliśmy siedzibę Czarnych Naacalów. Ci zaś - wskazał na punkciki ognia wśród skał - nie zaatakowali nas, co tamci uczyniliby z pewnością. Dlatego też, prawdopodobnie nie są naszymi wrogami...

- Mogą być szpiegami - zasugerował Ssu-ma Chao.

- Lub duszami, pogrążonymi w udręce! - rzuciła Draupadi. - Wiesz, co widziałeś pod Kamienną Wieżą. Zobaczyłeś, do czego są zdolni Czarni Naacalowie. Terror i cierpienie to ich słudzy, lecz mają także ludzkich niewolników.

- Co ich powstrzyma przed zabiciem nas, by zadowolić swych władców? - parsknął Lucilius.

Ganesia potrząsnął głową:

- Co powstrzymuje każdego niewolnika przed zwróceniem się przeciwko swojemu panu? Strach. A co daje człowiekowi siłę do oporu i buntu? Większy strach - być może lub przykład odwagi, przekraczającej wszystko, o czym taki człowiek ośmieliłby się kiedykolwiek marzyć.

Quintus przypomniał sobie drogę, wzdłuż której stały krzyże; każdy z nich dźwigał umęczone ciało człowieka. Gladiatorzy. Kim był dla nich Spartakus? Czy budził w nich lęk, czy podziw?

"Poparcie dla gladiatorów i zbuntowanych niewolników? I ty nazywasz siebie Rzymianinem?" To było nierzymskie. Wywrotowe. Ale także ludzkie. Wyobraź sobie człowieka z Tracji lub innego barbarzyńskiego miejsca, wziętego do niewoli, sprzedanego, by potem co wieczór na oczach tłumu gapiów walczyć krwawo o swoje życie. Nawet w porównaniu z tym, co widział pod Kamienną Wieżą, tamto było wizją Tartaru.

Quintus obserwował zbliżające się pochodnie. Być może to niewolnicy. Przerażeni niewolnicy. Niech Jupiter Optimus Maximus sprawi, by choć część z nich miała odwagę gladiatorów, którzy poszli za Spartakusem i doszli do samego Rzymu. Jakimż byliby teraz wsparciem!

Zdawało się, że Ganesia odczytał jego myśli. Quintus usłyszał jego

gorączkowy szept.

- Jesteś wojownikiem i, jeśli się nie mylę, dowodzisz tutaj, muszą Ci więc zaufać. Pójdę i porozmawiam z nimi.

- I ja - deklaracja Draupadi była oczywista.

- Jeśli to, co mówicie, okaże się prawdą, to właśnie kapłani ich zniewolili.

Mogą więc się was obawiać - powiedział Quintus. - Może lepiej, żebym poszedł ja.

- Nie sam - zamruczał Rufus. - Nie sam. Gest Quintusa uciszył go.

Draupadi pokręciła głową. Jej długie, czarne włosy rozsypały się na połyskującej szacie.

- Zło, wyrządzone przez jednych kapłanów muszą naprawić inni. - Postąpiła krok ku niemu i spojrzała mu w oczy. - Ale jeśli chcesz, idź kilka kroków za nami, i oświetlaj nam drogę.

Ramię przy ramieniu, tak jak maszerowali wcześniej gdy przekraczali Łuk, szli ku skałom i ukrytym wśród nich ludziom. Za nimi szedł Quintus, trzymając Orła wysoko w górze, jak chorąży podążający za dowódcą.

Światło Orła pojaśniało i okryło ich, jakby rozwinął teraz swoje mocarne chroniące ich skrzydła. Białe szaty Naacalów błyszcząły, dodając Draupadi i Ganesii majestatu bogów: pierwotnych, surowych, odzianych w biel. Nie można było wyobrazić ich sobie płaczących, przestraszonych, czy choćby podróżujących krainą taką jak ta.

To prawda, że było ich tylko dwoje. Lecz gdy tak dumnie kroczyli naprzód, Quintus zrozumiał, jaką siłę musieli stanowić Naacalowie, gdy były ich tysiące zdecydowanych służyć nie tyle prawu, ile prawdzie i dobru. Draupadi i Ganesia mogli być tylko dwiema cielesnymi istotami, lecz duchem stanowili część całego narodu. Unieśli teraz ręce i zaśpiewali w języku, którego dotąd nie używali.

Czas i miejsce znowu uległy zmianie. Zapach i sól morza spowiły Quintusa, gdy kroczył za kapłanami w stronę ołtarza, poświęconego samemu Płomieniowi.

Światło Orła rozlewało się po spustoszonej okolicy niczym błogosławieństwo. Widział teraz, że wkraczają na jakiś zabudowany obszar. Część wzgórze - chyba największą - stanowiły ruiny gigantycznej Świątyni.

Pieśń Naacalów przyzywała... kogoś... coś... Oczy Quintusa zaszklily się łzami. Przypomniał sobie wieczory nad Tybrem, kiedy mgły unosiły się w górę, nadając powietrzu delikatny, błękitny odcień. Kiedy ginęło echo - to była pora, by chłopcy tacy jak on wracali do domów, myli się szybko i stawali za plecami ojców i

dziadków, składających ofiary bóstwom domowym, zanim można było przystąpić do wieczerzy przygotowanej z darów pól. Takie proste, bezpieczne życie. Nic dziwnego, że Naacalowie sądzili, iż zwabi ono tamtych - bez wątpienia sterroryzowanych, pozbawionych ludzkich pragnień - do podejścia bliżej.

Błogosławił Ganesię i Draupadi za przypomnienie mu, nawet w obliczu największego z dotychczasowych niebezpieczeństw, o wszystkim, co było mu dane. Odzyskał to, co stracił i pojął wartość tego, co kiedykolwiek posiadał. Nie był sam. Kamienie z łoskotem toczyły się w dół zbocza. Pochodnie zafalowały, po czym zbliżyły się śmieiej...

...człowiek, idący na czele kolumny, odrzucił łuczywo i przypadł do stóp Ganesii i Draupadi. Jego ramionami wstrząsnął szloch. Pieśń urwała się i kapłani jakby nagle zmaleli: stary mężczyzna i piękna kobieta, próbujący podźwignąć ciężar upokorzenia człowieka, który wiele wycierpiał, który bał się i strach wciąż go nie opuszczał, lecz który ujrzał coś, co mogło go ocalić.

Za nim pojawiło się wiele więcej ludzi, czujnych, lecz świadomie podejmujących najbardziej ryzykowną decyzję: zaufać kapłanom w białych szatach, którzy ich tu przyzwali.

Gdy się zbliżyli, dostrzegli za Ganesią i Draupadi uzbrojonych żołnierzy, i zamarli.

Draupadi ruszyła naprzód, Ganesią za nią. Quintus zrobił krok w ich kierunku, chcąc im towarzyszyć, lecz ona powstrzymała go, nakazując by został w miejscu, z którego mógłby dowodzić legionistami.

Mężczyźni - wszyscy byli mężczyznami - wyglądali na zamieszkujących opuszczone ruiny rozbójników, polujących na starych, chorych i nieostrożnych. Tyle że... byli między nimi także starcy, wpatrzeni w Naacalów z rozpaczliwą nadzieją.

Zdawało się, że białe szaty rozbłyły jaśniejszym blaskiem. Jeden z tajemniczych wrogów wystąpił z cizby i ruszył kuśtykając naprzód. Miał zapadnięte policzki, przygarbione plecy i ciężko wspierał się na kuli.

- Jak możemy pomóc ci, synu? - spytał go Ganesią.

Quintus zamrugał oczami. Jakim językiem on mówi? To nie było w Ch'in, nie był to również partyjski. Na pewno nie był to jeden z języków Hind. Mimo to rozumiał go, jakby Ganesią przemawiał łaciną, której trybun rzymski uczył się od dziecka.

- Jesteś głodny, spragniony? Przestraszony? Nasi przyjaciele ochronią cię -

obiecał Ganesią.

"Zapytaj, czy mają wodę!"

Starzec o plecach przygiętych do ziemi nie opuszczającym go strachem i parszywym życiem zaczął trząść się gwałtownie. Kula wypadła mu z bezsilnej nagle ręki i omal się nie przewrócił. Obecność Draupadi uratowała go przed poniżeniem. Podtrzymała go, dopóki inny mężczyzna, młodszy, choć równie wynędzniały, nie podał mu kuli.

Pomimo jego protestów, Draupadi pomogła mu poprawić szatę. Kosmyk jej włosów opadł na jego twarz, błyszczący jakby zmoczyły go łzy. Kiedy starzec stanął pewnie na nogach, odsunęła się. W świetle Orła widać było na twarzy staruszka radość i łzy, wypełniające bruzdy wyżłobione przez strach i wiek. Wyglądał na znużonego i długo poniżanego. Lecz teraz rozjaśnił się.

- Dwoje Dzieci Słońca - szepnął. Zaczął szlochać z pełnej niedowierzania radości.

- Po tak długim oczekiwaniu, wbrew wszelkim niebezpieczeństwom przybyli tutaj, by nas ochronić przed mrokiem.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Żołnierze i niewolnicy stłoczyli się w pomieszczeniu, które kiedyś musiało być częścią pałacu lub świątyni. Pod stopami nie chrzęścił zwykły żwir, lecz kamyki i potrzaskane szklane płytki, popękane pod wpływem ciepła z troskliwie podtrzymywanego ognia. Zachowały się fragmenty dwóch ścian szczytowych budowli. Jedną z nich ozdabiał fragment wspaniałego niegdyś fresku, przedstawiającego węża, który był symbolem boga Naacalów, na drugiej zaś widniała grupa kapłanów, zbliżających się do ołtarza.

Teraz, kiedy niewolnicy przekonali się, że obcy nie są Czarnymi Naacalami, żądającymi nowych ofiar, pojawiły się wśród nich kobiety. Zwodnicze światło sprawiło, że wszyscy oni wyglądali jak żywi - wysocy, jasnowłosi synowie i córki Ojczyzny, niżsi Ujgurowie o wąskich oczach, ubrani w szaty ozdobione radosnym wzorem i Południowcy, bliźniaczo podobni do Ganesii i Draupadi. Pod nimi stali nieszczęśliwi przedstawiciele młodszych ras, schwytni w sieci Czarnych Naacalów - ludzie z Ch'in, Hind, nawet jeden czy dwóch Hsiung-nu, czy też ich odlegli kuzyni, okutani w grube materiały i futra. Żołnierze Ch'in patrzyli na nich podejrzliwie, lecz najwyraźniej uznali, że są gośćmi w ich domu, o ile te ruiny można było nazwać domem.

Ganesia wystąpił naprzód i rzucił w ogień kosmyk włosów. Płomień rozjarzył się, a dym buchnął w nocne niebo.

- Czy nie dowiedzą się, że tu jesteśmy? - spytał Quintus.

- Oni? Jak mogliby o czymś nie wiedzieć? - odpowiedział pytaniem człowiek, ubrany w strój koloru szaty Ganesii. - Jakże to? Część z nas - lub naszych przodków - została przez nich poczęta. Inni... Myślałem, że umrę na pustyni, wpatrzony prosto w słońce, gdy padł z pragnienia nasz ostatni wielbłąd. Zabrali mnie i moich towarzyszy, ratując nas z opresji. Na początku myśleliśmy, że trafiliśmy na dobroduszných wybawców. Potem...

- Jak długo tu jesteś? - spytał Ganesia. - Valmiki, masz za sobą wiele wiosen. Przypominasz sobie? Spójrz w gwiazdy i odpowiedz mi uczciwie.

Najstarszy z mieszkańców ruin podźwignął się z mozołem. Ganesia podsunął mu ramię.

- Panie, nie ośmieliłbym się.

- Valmiki.

Starzec ustąpił. Ganesia wyprowadził go przed świątynię, by przyjrzał się gwiazdozbiorom.

- Pamiętasz Zniszczenie Ojczyzny? - Draupadi spytała kobietę o czystych rysach.

- Pamiętam - wyszeptała z płaczem. Jej oczy płonęły, lecz po chwili zgasły z przerażenia. - Och, nie proś mnie, bym o tym opowiadała. Ziemia drżała. Słońce zniknęło i nie widzieliśmy nic poza wzgórzem. Kinte powiła wtedy syna i sama umarła. Kiedy spojrzeliśmy znowu, woda wyschła, a ziemia, która była morskim dnem - pękła.

- Syn Kinte? - spytała Draupadi. - Jest tutaj?

- Błagam, nie przypominaj mi o tym! - krzyknęła kobieta. - Zabrali go.

Lucilius odsunął się od ogniska. Nawet teraz był wybredny - nienawidził zapachu palącego się nawozu - choć cieszyła go możliwość ogrzania się. Quintus usłyszał, jak pozdrawia Ganesię. Do Valmiki się nie odezwał.

- Nie jest głodny? Zaraz będzie jedzenie... - zapytała jedna z kobiet.

Draupadi wzruszyła ramionami, pochłonięta uspokajaniem szlochającej kobiety.

- Jesteście szcudrzy - powiedziała. - Dzielicie się z nami. Dajecie nam wodę.

- Śledzić go? - zapytał któryś z rzymskich legionistów. Rufus uciszył go warknięciem. Zdrajca czy nie, wciąż był trybunem. Zresztą, nie tylko to martwiło centuriona. Ojciec rodu mógł decydować, które z dzieci będą żyć, a które trzeba porzucić, bo są za słabe. Mógł. Ilu tak zrobiło? Rufus pomyślał, że z pewnością zbyt wielu. A Czarni Naacalowie przywłaszczyli sobie to prawo... Quintusowi przyszło na myśl, że stary centurion ma już tylko jedno pragnienie - zemstę.

- Jak stręczyciele z Kartaginy - mruknął do żołnierzy. Jeden z nich odburknął coś oburzony: nie ma nic gorszego, nic bardziej skandalicznego niż tajemny kult, który uległ wypaczeniu. A Tofet z Kartaginy łączył nienawiść do wrogów z przerażającą fascynacją siedliskiem zgorszenia i zła.

Kobieta, błagająca by nie zadawać jej pytań, zawisła na ramieniu Draupadi. Szeptały coś do siebie, najwyraźniej nie chcąc, by ich rozmowa dotarła do uszu mężczyzn.

- Pochodzi z Północy - powiedziała Draupadi. - Jest tu od dawna, jak Valmiki,

odkąd świat uległ przemianie. Jest prawie moją rówieśniczką - dodał wahaniem.

- A inni... - zaczął Quintus. Rozejrzał się wokół. Byli tu ludzie z całej Azji: niektórzy uratowani z ginących karawan, jeden czy dwóch zagubionych na pustyni, kilku kupionych na bazarze - odrzucona konkubina, ranny jeździec czy podróżnik, zbyt słaby lub zbyt stary, by wytrzymać trudy przeprawy przez pustynię. Zebrani i tutaj zostawieni.

Oczy błyszczały w ciemnościach. Mężczyźni i kobiety wchodzili i wychodzili, by dopatrzeć swoich obowiązków. Czarni Naacalowie obserwowali ich, czy biesiadowali? Rzymianie bali się zapytać. Ilu z nich przeżyło? Ilu z nich służyło ze strachu, a ilu z lojalności? Quintus oddałby rok życia za odpowiedź na te pytania, choć zdawał sobie sprawę, że jego ofiara nie ma już zbyt dużej wartości.

- Ucieklibyśmy. Ale dokąd?! - krzyknęła kobieta. - Mieliśmy święte pisma. Część z nas miała złote szaty. Tych kilkoro, którzy przeżyli i wiedzieli, gdzie są nasze święte skarby, celowo zaćmiło swoje umysły, by tamci nie wydarli nam naszych tajemnic.

Uniosła dumnie głowę.

Quintus zacisnął dłonie. Tajemnice Naacalów - zwoje, tablice, bogowie wiedzą, co jeszcze - były zdobyczą, dla której Czarni Naacalowie nie zawahaliby się zabić. Mordowaliby nawet wtedy, gdyby były dla nich bezużyteczne, po prostu żeby powstrzymać innych przed wejściem w ich posiadanie.

Tajemnice. Wiedział, że ci ludzie je mają. Ale dlaczego, władając mocami straszliwszymi niż mógł sobie wyobrazić - pozwolili założyć sobie jarzmo niewoli, strachu i nienawiści?

Po chwili skrzywił usta. A cóż lepszego o n osiągnął? Znalazł się w takim samym położeniu, zmuszony służyć tym, dla których czuł pogardę. Ale tamta służba, w porównaniu z panowaniem Czarnych Naacalów, przypominała najcudowniejszą opiekę.

- Wiem o czym myślisz, młodzieńcze. - Głos kobiety był gorzki. Draupadi szepnęła coś kojąco, lecz tamta potrząsnęła głową. - Patrzysz na nas. Jesteś wojownikiem i przyglądasz się nam, i myślisz: "Czemu się poddali? Dlaczego nie uciekli? Niektórzy próbowali. Hulagu uciekł. Mówił o sobie, że jest dzieckiem pustyni: jeśli jedna gwiazda przywiodła go tutaj, to inna poprowadzi do domu. Wrócił z wojownikami swojego klanu. Mieli nadzieję zwyciężyć Czarnych. Lecz nawet oni, którzy piją z czaszek wrogów, stali się tym, czym jesteśmy my: niewolnikami

Czarnych Naacalów. Kiedy zabrali syna Kinte i jej biedne ciało do swoich ołtarzy, zabrali Rehu i Cho. Mieli całą naszą... wodę - kobieta podniosła rękę do ust. Jej palce były krzywe i powyginane. - Przyszli nocą... zabrali ich i przywiązali do Łuku. A gdy niebo i ziemia wróciły na swoje miejsce, ujrzeliśmy ich. Czy raczej ich kości. Później czas znowu zawirował i kiedy mogliśmy coś ujrzyć, już nic po nich nie zostało.

- Wierzycie w to, co wam mówią o świecie na zewnątrz? - odezwał się Rufus.

- Zniszczyli nasz świat! - wykrzyknęła kobieta. - Sama widziałam ludzi, odpadających od wiosł, czepiających się ich kurczowo, gdy ostatnie statki wypływały z zatoki. Jak moglibyśmy im nie wierzyć - lub ośmielili się nie być posłusznymi?

- Pani - rzekł Rufus - mogliście jeszcze umrzeć.

- To prawda. Ale mamy dzieci i zawsze, zawsze pozostaje choćby cień nadziei. Taki, jaki wy też musicie mieć - odparła - inaczej dawno byście umarli.

Jej oczy rozblęły na widok Draupadi, ogarnęło ją straszliwe podejrzenie.

- Ale ty... ty jesteś młoda. Jasnoskóra. Może ty...

- Często ich widujecie? - wmieszał się Quintus. Widział niewielu Czarnych, ale nie pragnął widzieć ich więcej. Jak tak niewielu oprawców mogło terroryzować tych ludzi od tylu pokoleń, i tak bardzo, że żyli w poddaństwie, z pokorą czekając na powrót swych panów? Trudno uwierzyć, że istnieją gdzieś mistrzowie zniewolenia strachem lepsi od Legionów Rzymu. Tamta podwójna linia ukrzyżowanych, gnijących ciał - takie ostrzeżenie służyło dopóty, dopóki żyli niewolnicy, którzy je widzieli. Ale to był strach fizyczny, a nie owo unicestwienie ducha, które dotknęło tych rozbitków.

Czas i przestrzeń złączyły ich tutaj na wieki. Znali się tak dobrze, że wydawali się nie potrzebować słów do porozumiewania się - albo posiadli ten talent od tych, którym służyli. A jeśli tak, to czy mogli im w pełni zaufać?

"Ilu z nich - zastanawiał się - dysponuje mocą równą Draupadi i Ganesii?"

Pomyślał o kobiecie, tej, której dłonie były tak okrutnie powykręcane, zapewne przez tortury. Służyła, ale nie poddała się.

Czemu jednak nie wykorzystwała swej mocy? Były tu, jak mówiła, dzieci. Lecz było coś jeszcze, co mogło ich powstrzymać. Ukryli swoje małe klejnociki wiedzy, swoje magiczne talizmany. Mówili, że nie pamiętają jakie. A takie sekrety... łatwo zapomnieć... tu zmarły mężczyzna, tam dziecinniała staruszka... I gdzie są ich tajemnice? Pozbawione znaczenia słowa i wskazówki. Być może to wszystko, co im teraz pozostało.

A nawet jeśli przechowali nauki Białych Naacalów i potrafią je wykorzystać,

to czy wciąż tego pragną?

Czy z tej samej przyczyny Draupadi i Ganesia, po tylu latach ucieczek i odkrywania tajemnic Czarnych, mieli jeszcze wolę walki?

Quintus pomyślał, że byli mistrzami czekania. Ale czekania na co?

Odpowiedź, którą znalazł, sprawiła że chciał krzyknąć. Oczywiście. Przecież czekali na niego! Czemu nie walczyli, kiedy był Arjuną, księciem, półbogiem?

Arjuna był księciem, ale nie był Rzymianinem. Pandawasem, być może. Mistrzem swoich sztuk. Lecz Rzym był potęgą. Tak jak Ojczyzna.

Najlepiej będzie się dowiedzieć - pomyślał.

- Więc siedzicie tutaj - spytał - jak króliki tuczone na stół?

Mężczyzna imieniem Manetho, ten który pierwszy podszedł do Naacalów, spojrzał na niego spode łba.

- Bronimy się jak możemy - powiedział. - Bez wątpienia uznasz nasz opór za nędzny. Pozwól, że pokażemy ci nasze środki obronne - nasze ściany i pułapki...

Manetho miał i dumę, i rozum. Quintus podejrzewał, że nie pokaże Rzymianom wszystkich zabezpieczeń.

- Jeśli chcą czegoś od nas, muszą przyjść i tego zażądać - powiedziała kobieta. - Ukrywamy się i przeczekujemy. Kiedy są daleko, mamy nadzieję... Dlatego kiedy wracają, coraz trudniej to znieść, bo wtedy tracimy nasze marzenia. A potem pojawiają się znowu i ich powrót jest jeszcze gorszy niż poprzednio.

- Ale teraz wy tu jesteście - nie wytrzymał jeden z młodszych mężczyzn. - Daliście sobie radę z gniewem Czarnych Naacalów i jesteście wojownikami. Możecie nas poprowadzić!

"Byłem rolnikiem - pomyślał Quintus - który chciał tylko osiedlić się na swojej ziemi, mieć muła i tyle ciemnoskórych dzieciaków, ile zesłałaby łaska Junony - mnie i Draupadi." Obraz Draupadi, przemienionej w żonę chłopca, wywołał uśmiech na jego twarzy.

- Pozwólcie, że pokażemy wam co zdołaliśmy zrobić, by się bronić.

- Prowadź.

- Niech pokażą - powiedziała Draupadi. - Podniesie ich to na duchu. Kto wie?...

Quintus wstał, skinął ręką na kilku legionistów, by mu towarzyszyli i przywołał Rufusa.

- Obejmij dowództwo do mojego powrotu. Rufus spojrzał na niego:

- Znowu kłopoty?

Trybun wzruszył ramionami. Lucilius prawdopodobnie oddalił się na dłużej. Quintus, uznając że są sobie równi, zakazał go śledzić, poza tym czując się bezpiecznie i bezkarnie może sam zdradzi się ze swymi matactwami.

- Jeśli wkrótce powróci trybun, niech myśli, że dowodzi, ale...

Rufus kiwnął głową. Quintus sięgnął po znak.

- Panie - powiedział Manetho - to przedmiot obdarzony mocą. Tutaj osłaniają go ściany świątyni. W bezruchu nocy zaświeci niczym płomień i przywoła naszych oprawców.

Zostawić Orła, który kosztował ich tyle krwi, życia i ducha? To był oręż, którego tak długo szukali - on i Biali Naacalowie. Obserwowali go; wokół ogniska rozległo się szemranie. Pomruki przerodziły się w płataninę wszystkich języków, którymi tutaj mówiono - tak szybko, że nie mógł nic zrozumieć.

Gdyby zostali tu uwięzieni, musiałby jeść pożywienie tych ludzi, pić ich wodę i ufać im tak, jak oni musieliby ufać jemu. Skoro chciał poznać tajemnice ich mocy, musiał oddać im swoje.

Podał drzewce Rufusowi, pewny że znak przyjmie nowego chorążego. Nie mylił się.

- Na prochy twych przodków - powiedział mu - i na twoją przysięgę.

Rufus zasalutował.

- Na moją duszę - przysiągł.

Wyszli przed świątynię, prześlizgując się koło Ganesii i Valmiki, wciąż wpatrzonych w gwiazdy i potrząsających głowami. Zauważył, że od obserwacji całych konstelacji przeszli do poszczególnych ciał niebieskich - rozmowa dla adeptów magii lub kapłanów, nie dla wojowników.

Quintus i Manetho okrążyli występ skalny, który niegdyś mógł być częścią zewnętrznych murów. Niebezpieczna ścieżka prowadziła przez skalne rumowisko wprost ku pochylonej wieży. To tędy poprowadzono Quintusa.

- Idź po moich śladach - przykazał mu Manetho.

Quintus ruszył za nim zamaskowaną wśród gruzów ścian ścieżką, która wyglądała jednak na dosyć często uczęszczaną.

- Stąd - szepnął Manetho - nasi najmłodszy chłopcy i dziewczęta wypatrują śladów karawan... albo... - nie dokończył.

- A kiedy je zobaczymy, zastanawiamy się, czy starczy nam odwagi, by wyjść

im naprzeciw. By ostrzec ich przed tym, co stało się z nami.

Quintus pochylił głowę.

- Nas nie ostrzeegliście.

Mężczyzna potknął się o sterzącą płytkę. Błysnęła na chwilę, po czym zniknęła przesłonięta przez większy głaz.

- Widzieliśmy, co niesiesz i wyczuwaliśmy moc. Szedłeś prosto do Łuku, jakbyś wiedział, czego oczekiwać i jak z tym walczyć. Światło, broń nas, zobaczyliśmy Naacalów i ośmieliliśmy się nabrać nadziei. A teraz jeśli się nam nie uda i przegramy, będziecie mieli całe wieki na to, by nas znienawidzić.

- Ci Naacalowie nie żywią nienawiści - powiedział Quintus.

Ścieżka, którą wiódł go Manetho, prowadziła do gruzów ogromnego warownego muru. Jakże wyglądał kiedyś ten pałac czy świątynia, kiedy wznosił się dumnie na wzgórzu wieńczącym wyspę? Pomyślał, że gdyby zamknął oczy, odkryłby go odcisnięty na wewnętrznej stronie powiek i w swych najgłębszych wspomnieniach, tak starych, że nawet lata, które spędził żyjąc jako Arjuna, wydawałyby się tak niedawne. Forteca rozbłysła we wspomnieniu - masywne, strome mury pomiędzy pylonami, otaczające zespół wież, górujących nad zatoką i odbijających się w błękitnej wodzie.

Zerwał się nocny wiatr. Przyniósł zapach słonego potu i morskiej wody - zamierzchnie wspomnienie utraconego morza.

Noc była ciemna, spowijająca wszystko czerń wynikała zarówno z godziny, jak i z nastroju tego miejsca. Światło, życie i moc, które emanowały z grzbietu wzgórza, odeszły, by mogły je zastąpić groza, głód i cierpienie.

Zesztywniał. Wydawało mu się, że powróciło przerażające syczenie. Manetho odgadł, o czym myślał.

- Tu nie ma węży - zapewnił go. - Czarni Naacalowie nie pozwoliliby, by zagrażały nam te pustynne stworzenia. Trzymają swoje bydło dla siebie.

Spojrzał bystro na Quintusa.

- Światło wie, że nie jest to los, który sobie wybraliśmy, ani też miejsce dobre na bitwę. Ale my zamieniliśmy te ruiny w naszą fortecę, w naszą redutę...

"Teraz także w waszą" - odgadł myśl, której Manetho nie ubrał w słowa.

- Wyglądasz na człowieka - dodał - który stracił swój dom. Przykro mi.

- Te ściany są mocne. - Quintus odpowiedział na część słów przewodnika.

Uważał, że legionowi inżynierowie zrobiliby z nich cudo. Ale nie myślał tylko o

fortyfikacjach.

Czy czegoś żałował? Czy żałował upokorzeń, pokłonów i płaszczenia się przed głupcami pokroju Luciliusa? Ten człowiek i jego ludzie przecierpieli znacznie, znacznie więcej. Przeżyli niewolnictwo straszniejsze niż to, które krzyżami zwieńczyło rzymskie drogi.

Oczy zaszczyły mu łzami. Mocno zacisnął powieki. Przeszli tak wiele, a teraz Manetho przepraszał go? Czy - tak naprawdę - żałował samego siebie?

Lamentował nad śmiercią Legionów pod Carrhae i opłakiwał każdego, kogo zabrała śmierć podczas ich morderczej wędrówki. Mógł jednak sam wykuć swój własny los, spróbować odzyskać fortunę rodziny lub honor Legionu. Zbuntowani gladiatorzy nie mieli takiego wyboru. Ćwiczono ich, niczym dzikie zwierzęta, by zabijali na piasku areny inne zwierzęta. Miesiąc wytchnienia od zbroi lub sieci i trójzęba był ich największym marzeniem. Ale przypomnieli sobie, że są ludźmi. Zbuntowali się i zginęli.

Tutaj, ci rozbitkowie w czasie i przestrzeni, oddzieleni od świata pustynią tak straszną, że Trachonitis jawiło się przy niej drugim Elizjum, znosili niewolnictwo, nie tylko ciała, ale duszy.

Na pewno myśleli o buncie niejedną raz podczas okrutnych lat niewoli. Jakie to łatwe - kłaniać się ołtarzom, a potem zebrać siły i uciec. Sprytni niewolnicy godzili się na upokorzenia, by zyskać przywileje, a może nawet wolność. Mimo to Spartakus, który mógłby dożyć wolności jako gladiator, postąpił inaczej.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dlaczego wciąż próbujemy? Panie, widziałeś do czego są zdolni Czarni Naacalowie - my z nimi żyjemy. Kiedy przychodzą, by zażądać jednego z nas do swoich... rytuałów, ich słowa są - jakby to powiedzieć - wygłodzone. Jakby nie zadowalało ich samo zabijanie; muszą wyssać z nas cały strach i przerażenie. Nie tylko w takiej chwili, lecz przez całą noc. Powietrze... powietrze gęstnieje i rozlega się przerażający grzmot. Tęsknimy za furią burzy, która wypełniłaby tę nieckę. Tęsknimy nawet za kolejną nawałnicą, taką, jaka zmiotła naszą Ojczyznę. Pragniemy by nadeszła fala, która zakryje dno, oczyści i umyje to miejsce, aż skały ponownie zabłysną czystością. Ale to się nigdy nie zdarza. Powietrze jest parne i cuchnie zgnilizną; oddychając nim czujesz, że płuca wypełnia ci krew. Widziałem starca, który umarł w takiej właśnie chwili. Myślę, że po raz pierwszy musiałem poczuć ten strach i tę ohydę jeszcze w łonie matki, tej nocy, gdy Naacalowie rozerwali na strzępy

mojego ojca.

Quintus spojrział w bok.

- Ja też straciłem ojca. Również w bitwie...

- Śmierć twojego ojca była czysta - powiedział Manetho. - Mojego zaś...

Powtarzam sobie, że śmierć stawia człowieka ponad bólem, ponad światem... Nie myśl jednak o nas jako o nieskazitelnych sługach Światła, nie wszyscy tacy jesteśmy, są wśród nas szpiegzy i zdrajcy, a my nie ośmielamy się ich zabić. Zawsze jest to czyjś syn, czyjaś matka, ktoś, z kim żyliśmy, płakaliśmy, ktoś kogo kochaliśmy. A poza tym, gdybyśmy ich zabili, to kto wie, czy nie stracilibyśmy więcej? Odwracamy się więc od nich i oni wkrótce umierają. - Manetho westchnął. - Mieliśmy zwyczaj, by łapać ostatnie tchnienie najbliższych nam umierających w ich własne usta. Oddech tych szpiegów jest plugawy - przez nich porzuciliśmy nasz obrzęd.

Quintus pokręcił głową. Już nie wystarczy bezpiecznie stąd odejść. Musi uratować tych ludzi.

- Wy możecie przynajmniej umrzeć - kontynuował Manetho. - Upaść na ostrze albo obrócić twarz do ściany i głodować. My... nie potrafimy. Jak długo mamy jakąś szansę, jakąś nadzieję.

"Pomyśl, człowieku - wróciły wspomnienia Arjuny. - Jeżeli wierzysz, że odrodzisz się wedle tego jak żyłeś, pomyśl: czego boją się ci ludzie?"

"To tak, jak z Orłem" - przyszło Quintusowi na myśl. Nawet kiedy był tylko znakiem Legionu, nie mógł zostać porzucony i oddany barbarzyńcom, póki żył choć jeden Rzymianin. A kiedy zrozumiał, że Orzeł jest nie tylko symbolem, ale boskim przewodnikiem i obrońcą, podobnie jak jego talizman nie jest tylko figurką z brązu, znalezioną w starym grobowcu - inne wartości okazały się ważniejsze od honorowej śmierci. Na przykład przechowanie tych bezcennych przedmiotów lub, w najgorszym przypadku, upewnienie się, że nie wpadną w ręce wroga, który mógłby wykorzystać je do unicestwienia ciał i dusz swoich ofiar.

- Gdybyśmy zginęli - powiedział Manetho - Czarni znaleźliby po prostu inną twierdzę i innych ludzi do zniewolenia. Nie mogliśmy na to pozwolić. - Zapatrzył się na pustynię. - Gdy umrę, będę modlił się o odrodzenie w ciele najgrubszego i najbogatszego kupca w jakimś nadmorskim mieście. Zasłużyłem sobie na to.

Quintus chciał zaszalutować mu, jakby był konsulem. Gest przeszedłby niezauważony: Manetho wpatrywał się w otaczające ich piaski. Księżyc był wysoko na niebie; tuman piasku zawirował w jego bladym świetle, potem opadł. Na

horyzoncie zamigotało słabe światło błyskawicy. Nasłuchiwał grzmotu.

Grzmot! Przed czym, związanym z gromem, ostrzegał go Manetho? Rozległ się głuchy pomruk. Zerwał się nocny wiatr, po czym ucichł. Znów zagrzmiało, teraz bliżej. Powietrze zgęstniało. Quintus zapragnął zrzucić ciężką zbroję, rozedrzeć tunikę i wziąć głęboki oddech. Trzął się, dopóki nie wciągnął do płuc wystarczającej ilości powietrza.

Huk grzmotu rozległ się po raz trzeci.

- Będzie ulewa? - zapytał, by ukryć gniew lub strach.

- Chyba krwi - odrzekł Manetho. - Tu nigdy nie pada czysty deszcz. Musimy szybko wracać. Znam ten ciężar na piersiach. Oznacza, że Czarni Naacalowie są wśród nas.

Rozdział trzydziesty

Zbiegali z wieży. Quintusowi wyrywało się przekleństwo, gdy stopy, nie znając dobrze drogi, potykały się o luźną płytkę lub o kawał gruzu. Manetho poruszał się szybko i o wiele ciszej, jak zwiadowca obeznany ze swoim terenem, świadomy każdego ukrytego miejsca.

Quintus zastanawiał się, ilu Naacalów wyruszyło w te ruiny, by nigdy nie powrócić do swego czarnego sanktuarium.

Powietrze robiło się ciężkie i lepkie. Nocne niebo przybrało barwę onyksu, zdawało się spadać na jego ramiona, jakby torturując go swoją wagą. Miał poczucie zagrożenia, zdawało mu się, że coś jest nie w porządku, że ktoś obserwuje go jak węża, któremu chce zmiażdżyć głowę.

"Przyznaj się, a kara będzie mniejsza niż wtedy, gdy twoje przewinienie zostanie wykryte" - tak mu zawsze mówiono. Kłamali, och, jakże oni kłamali. Udrękę jego ducha pogłębiała pokusa, by pobiec ku światłu i błagać o jakieś nędzne strzępy życia.

- Szybko - syknął Manetho.

"Ty nic nie ryzykujesz, przynajmniej ze mną" - - pomyślał Quintus i zaraz odrzucił tę myśl jako niegodziwą. Możliwe, że ludzie Manetho potrzebują go, by dodał im ducha, jak każdy dobry przywódca. Być może zaś on sam nie chce pomniejszać liczby potencjalnych ofiar, jeśli Czarni Naacalowie zechcą kogoś wybrać.

Och, bogowie! byli tam przecież i jego towarzysze! Legioniści, Rufus, Lucilius. A gdyby... Ganesia i Draupadi - zgubieni kapłani, więci na ofiarę po tylu latach walki i przetrwania. To było "nefas", bluźnierstwo tak ohydne, że Quintus aż nie mógł sobie tego wyobrazić.

- Moi przyjaciele... - jęknął.

- Przywiodłeś do nas Naacalów Światła - powiedział Manetho, śpiesząc ku ruinom. - Dzieci Słońca. Jeśli Czarni Naacalowie ich zabiorą, zdobędą również ich moc. Rozumiesz? Nie zmarnują jej, lecz ją wchłoną.

Wstrząs poruszył ziemią. Manetho coś szeptał gorączkowo, co brzmiało jak połączenie modlitwy z przekleństwem.

- Muszę się do nich dostać! - wysapał Quintus. Był tam przecież Orzeł, bezpieczny - o ile cokolwiek mogło być tam bezpieczne - pod opieką Rufusa. Ale Draupadi - była tak piękna i młoda, jakby nie dotyczyły jej te straszne przeżycia... Kogóż innego mogliby wybrać Czarni, jeśli nie ją?

- To jest czyn ofiarny, nie pożądanie. Czy też nie tylko pożądanie - wyjaśnił Manetho. - Czy z miłości do słońca będziesz próbował je zdobyć? Poświęcasz życie nie dla honoru, lecz dla zdobyczy, pragniesz zmusić duchy do użyczenia ich mocy, którą wykorzystasz tak, jak zechcesz.

"Wierzysz w to?" - Quintus wdrapywał się po skałach.

Oczywiście, że Manetho w to wierzył. To było czymś innym niż karmienie domowego węża czy delfickiego pytona, czymś innym niż pokłony przed "lares" i "penates". To było złożenie ofiary przynoszące taką moc, że dla niej wieki temu Czarni Naacalowie rozłupali oblicze samej Ziemi i pozwolili wyschnąć morzu.

Co zrobiliby, gdyby wreszcie znaleźli moc, ukrytą w osobach Białych Naacalów?

Czego by nie zrobili? To było właściwe pytanie.

Skręt, obrót, kolejny krok. Znaleźli się w obrębie samej Świątyni. Quintus rozpoznawał zwieńczenia kolumn, podtrzymujących kopułę. Za tą przewróconą ścianą znajduje się wejście do holu, w którym zostawił towarzyszy. Ruszył tam z ręką na mieczu.

Ilu Czarnych Naacalów mogło tam być? Walczył już z nimi - mógł ich zabić - a kiedy tylko położy rękę na Orle... poczuje siłę, którą przekazywał mu znak za każdym razem, gdy groziło im niebezpieczeństwo. Z pewnością będzie mu służył - lub on będzie służył jemu - teraz.

Manetho złapał go za ramię.

- Nie tam. Nie teraz. Zabiorę cię w miejsce, z którego będziemy mogli bezpiecznie obserwować.

Wdrapali się na galerię, górującą nad skąpym ogniskiem i holem, gdzie zebrali się jego ludzie. Kilku z nich otaczało Draupadi.

- Zadajesz dużo pytań, pani. Ty i starzec. Nosisz szaty, wypowiadasz słowa, za którymi tęskniliśmy, ale...

Jeden rzut oka wystarczył Quintusowi, by mógł się domyślić co się tu stało. Manetho mówił mu, że byli wśród nich szpiedzy.

Jak mogli pomyśleć, że są nimi Draupadi i Ganesia?

"Są przerażeni; kiedy uderzył grom i zatrzęsała się ziemia, mogli wyobrazić sobie dosłownie wszystko."

Kapłanka pokręciła głową:

- Ganesia i ja... nie kradniemy mocy, lecz uczymy się jej... rok po roku, życie po życiu...

Z pewnością nie powinna była tego powiedzieć.

Ludzie cofnęli się. Draupadi wyciągnęła dłoń.

- Spójrzcie na mnie! - krzyknęła.

Nakazali jej ściszyć głos.

- Popatrzcie - ciągnęła gorączkowym szeptem. - Poddajcie mnie każdej próbie. Przekonajcie się kim jestem. Lecz powiadam wam, widziałam, co robią Czarni i przysięgam na Płomień, że udam się do ich ołtarzy tylko jako ofiara!

Ziemia zatrzęsała się. Miałki pył obruszył się ze skał nad nimi i zasnuł powietrze, przesłaniając ludzi, na których patrzyli.

Wówczas, spoza zrujnowanego holu, dobiegł pełen sarkazmu głos:

- Wspaniale, kapłanko. Górnołotna przemowa. Możemy więc razem odejść?

- Ona kapłanką? - Ganesia zerwał się na równe nogi szybciej, niż pozwalał jego wiek. - Ona jest tylko... - głos mu się zmienił, gdy wypowiedział jakąś nazwę w dawno zapomnianym języku Ojczyzny.

- Zdradza się - szepnął Manetho. - Dlaczego?

Quintus rzucił mu krótkie, smutne spojrzenie, po czym wrócił wzrokiem do holu.

- Tym lepiej - odrzekł Czarny Naacal. Jego oczy jarzyły się pod kapturem. Ciśnienie zgęstniałego powietrza wciąż rosło. Quintus wzdrygnął się na widok głodu, który pojawił się na twarzy wroga, gdy ten wpatrywał się w Draupadi. Postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę w jej kierunku. Ganesia opuścił dłoń i warknął parę słów. Czarny zatrzymał się i roześmiał:

- Chcesz ochronić swoją uczennicę? Czy to wszystko, czym ona dla ciebie jest? Ciągłe tylko uczennicą, po tych wszystkich latach? A co z innymi? Ze wszystkimi innymi, Oj c z e? Wierzę, że twa przysięga... - on również przeszedł na starożytną, miódopłynną mowę używaną przez Ganesię.

Jeszcze trzech Czarnych Naacalów wkroczyło na salę, unosząc w górę pałki. Powoli, jakby rozkoszując się strachem, który wywoływali, wskazywali nimi na

niewolników. Jeden z mężczyzn cofnął się. Spowity w czerń zachichotał złowieszczo i stuknął go pałką w ramię. Mężczyzna krzyknął i przewrócił się.

Pozostali spuścili głowy.

Manetho jęknął cicho.

- Przestańcie! - rozkazał Ganesia. - Ten człowiek nic wam nie zrobił. Dajcie mu spokój.

- To mięso dla naszych ołtarzy - odezwał się Czarny Naacal.

- Jak oni wszyscy.

Ku oburzeniu Quintusa, Ganesia roześmiał się.

- Do czego potrzebujecie takiego - wybaczcie mi, przyjaciele - bydła? - zapytał, po czym wziął głęboki oddech i wyprostował się. - Są wam niepotrzebni, skoro macie Mędrców. A do czego potrzebna wam młoda iluzjonistka - skoro macie mnie?

Pod Manetho ugięły się kolana. Quintus podniósł go, choć myślał tylko o tym, by puścić się pędem na dół i stanąć między Czarnymi a Białymi Naacalami.

- Coraz lepiej - wymamrotał Czarny. - Dobrowolna ofiara? Dawno nie trafił się nam ktoś o takiej mocy. A może... może nie musisz stać się ofiarą, lecz celebrantem? Jak ci już mówiłem, mamy dużo mięsa.

Ganesia uniósł dumnie głowę:

- Nie.

- Głupiec, mimo tylu lat nauki. Brać go! - skinął swoim towarzyszom. - Kobiety też!

- Nie splamię ust kłamstwem i nie powiem, że będę z wami współpracował - powiedział Ganesia. - Wiem, kim jesteście. Wiem, do czego dążycie. Pozwalam wam odebrać mi wszystko, cokolwiek zechcecie. Tylko zostawcie pozostałych.

Czarni Naacalowie poruszyli się. Ich oczy świeciły pod kapturami, a w głosach brzmiała zachłanność. Dwóch zbliżyło się do Ganesii i wymierzyło w niego pałki.

- Niech ci będzie, starcze - zgodził się przywódca. - Niewolnicy mogą żyć. Ona również.

"Na razie". Wszyscy zrozumieli niewypowiedzianą groźbę.

Odbiorą Ganesii moc i życie, a wtedy wrócą po innych. Jego poświęcenie na nic się nie zda.

- Nie! - Draupadi pojawiła się u boku starca, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Nie pójdziesz.

Ganesia ostrożnie, acz z zaskakującą siłą strącił jej rękę.

- Dziecko - powiedział. - Przez wszystkie lata naszego wygnania byłaś mi córką, uczennicą, bądź mi więc teraz posłuszną. Na naszą przysięgę... - pochylił głowę i zaczął szeptać.

Skinęła głową.

Ganesia uściśnięła jej dłonie. Wskazał brodą na Rufusa, który wstał. Centurion był w tej chwili prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który był w stanie się poruszać. Ganesia włożył w jego dłonie ręce Draupadi.

- Strzeż jej dobrze - szepnął.

Potem wyprostował się. Jego biała szata jaśniała, gdy ruszył do wyjścia. Otoczony przez Czarnych Naacalów, opuścił spokojnie pomieszczenie, jakby szedł odprawić jakiś rytuał.

Na sali zawrzało. Mężczyźni biegli, kobiety zebrały dzieci, a dziewczęta i chłopcy odsunęli się od Rzymian, którzy stali kompletnie oszołomieni.

Quintus porzucił swój punkt obserwacyjny. Widział, jak Naacalowie rozglądali się po pomieszczeniu. Szukali nie tylko Draupadi i Ganesii, szukali także jego.

- Dokąd idziesz? - syknął Manetho.

- Musimy ich powstrzymać!

- Poczekaj!

Draupadi wisiała na ramieniu Rufusa, załamana stratą kogoś, kto przez wieki tułaczki był dla niej ojcem. Ten widok ranił Quintusowe serce, nawet jeśli podejrzewał, że jej słabość była złudzeniem, kolejną iluzją. Gdy tylko ostatnia czarna szata zniknęła, uwolniła się z uścisku centuriona.

- Orzeł - rzuciła. - Daj mi go.

Rufusa zmroziło.

- On jest starym człowiekiem - argumentowała - a ja potrafię użyć znaku.

- Pani, mam swoje rozkazy.

- Również dla niego! - krzyknęła Draupadi. - Musimy walczyć teraz. Myślisz, że nie wrócą? Myślisz, że nie wezmą najsilniejszych, najlepszych? Widziałeś jak szybko zabrali Ganesię!

Spróbowała rzucić się błyskawicznie do przodu i pochwycić znak.

"Złe posunięcie, Draupadi."

- Mam swoje rozkazy.

- Mając taką moc - powiedział Manetho - osiągną wszystko. Nie możemy czekać. Muszę poderwać ludzi do walki. A co, jeśli po nią wrócą? Co, jeśli zdobędą waszego Orła? Nie można...

- Rufusie - błagała Draupadi - posłuchaj mnie. Nie możesz sobie wyobrazić, jak wielka jest moc Ganesii. Co byś czuł, gdybyś dał swoim wrogom broń, która mogłaby zniweczyć ten świat tak szybko, że nawet nie zdążyłbyś tego zobaczyć.

Rufus uparcie kręcił głową.

- A co z nim? Nie wrócił jeszcze - odpowiedziała Draupadi. - A jeśli jego też już zdołali ująć?

- Jego? Ona mówiła o Quintusie!

- Chodźże - ponaglił go Manetho. - Teraz, kiedy mamy szansę...

Rufus wciąż kręcił głową: n i e.

- Co to znaczy: "Nie"? Jesteś samym Rzymem - powiedziała centurionowi. - Muszę odnaleźć mojego przyjaciela i rodaka. Czy nie uczyniłbyś tego dla swojego oficera?

Manetho odwrócił się, chcąc odejść.

Quintus zatrzymał go gestem. Jeszcze chwilę. Rufus podszedł do Orła, błyszczącego nawet w cieniu. Zasalutował mu i wyciągnął rękę, by go wziąć. Lecz nagle Draupadi skoczyła i pochwyciła go pierwsza. Brązowy Orzeł nie rozblęsnął, jakby wyczuwając zagrożenie i konieczność pozostania w cieniu. Lecz jego blask zdawał się subtelnie nasilać, przybierając barwę zbliżoną do barwy szafranu, spowijającego postać Draupadi.

Spojrzała na ptaka i jej wargi poruszyły się, jakby przemawiała doń szeptem lub modliła się. Później skinęła głową. Czy to sztuczka światła sprawiła, że Quintusowi wydało się, że Orzeł pochylił głowę, zgadzając się z jej słowami?

- Człowieku, rusz się! Chcesz, żeby twoi ludzie walczyli sami, bez ciebie?! - głos Manetho załamał się.

Szarpnął Quintusa za ramię. Tym razem trybun pozwolił pociągnąć się przez ruiny z prędkością, na którą sam nigdy by się nie odważył. Poruszali się zbyt szybko przez nieznany teren: bał się upadku, prześladowała go wizja bólu, kości przebijającej udo, czyniącej go kaleką na resztę życia - zakładając, że była jeszcze jakaś "reszta".

- Szybciej - sapnął Manetho. Przecisnął się przez wyłom w murze i skinął na niego. - Tędy.

- Dokąd mnie prowadzisz?

Quintus ostrożnie stawiał stopy; po raz pierwszy od wielu dni zagrzewał go do czynu stary, dobrze znany rzymski upór. Wystarczy tuzin legionistów z ich rzymską dyscypliną i obnażonymi mieczami, by przestraszyć Czarnych Naacalów - a on, stojąc wśród swoich żołnierzy, spłaci wreszcie Rzymowi śmiertelny dług.

Porażający ból przeszył mu ramię - zaszokowany, rozejrzał się dookoła.

Manetho miał w dłoni sztylet. "Głupcze, dałeś się wystrychnąć na dudka przez własny strach i smętną historyjkę tego zdrajcy!"

- Życie twych ludzi stracone? Twoja pani uprowadzona? I ty myślisz, że to już wszystko?

Quintus zacisnął dłoń wokół rany, zadanej przez Manetho. Nic groźnego.

- Powiedz mi, dlaczego nie miałbym cię zabić?

- Nigdy nie odnajdziesz drogi powrotnej. - Zęby Manetho zaświeciły w ciemnościach. - A twoja krew będzie dla Czarnych Naacalów wystarczającym tropem.

Ramię Quintusa zaczęło drętwieć, jakby Manetho posmarował małe ostrze trucizną. "Może tak właśnie zrobił. Może jego gesty były sygnałem dla współników, by uderzyli na ciebie i twoich towarzyszy. Kto wie? Może sprzedał cię Czarnym Naacalom?"

Pokusa była coraz silniejsza: "Zabij tego zdrajcę. Odnajdź swoich ludzi. Weź Orła i wywalcz sobie drogę do Ganesii i Draupadi. A potem wydostań się z tej pułapki, zostawiając tych głupców i niewolników".

Manetho skrzyżował ręce na piersi.

- Oni są w twoim umyśle - powiedział. - Ból pomaga. Możesz mnie teraz zabić. Kto wie, może nawet zdołasz znaleźć powrotną drogę. Wszak dostałeś się tutaj, nieprawdaż? Możesz też pójść ze mną i dać nam wszystkim szansę walki.

Wiał pustynny wiatr, lecz Quintus czuł pot spływający po twarzy... "Carrhae... potem przerażeni, okryci hańbą i zdradzeni ukryli się na ciemnych mokradłach. Część jego ludzi napiła się obrzydliwej, zastałej wody i umierali od gorączki i biegunki - do krzyża z tym szaleńcem i śmiercią w takim miejscu."

- No, dalej - szydził Manetho. - Zdecyduj się. Zabij lub pomóż. Lecz zrób to szybko. Nie mamy czasu. Oni ruszą do ataku i podbiją cały świat. Co zatem postanowisz?

Manetho wyciągnął spod strzępów tuniki sztylet o kościanej, dziwnie błyszczącej rękojeści. Czubek ostrza połyskiwał w ciemnościach. "Jeżeli okaże się wystarczająco głupi, by dać ci ten nóż, zaspokoi nasze pragnienie krwi. Chętnie

witamy nowych. Powitamy i ciebie. Chodź do nas..."

- Wkrótce będzie gorzej - powiedział Manetho. Jego głos był prawie uprzejmy.
- Choć dziwnie to zabrzmiało, wybaczę ci, jeśli mnie zabijesz. Takie życie nie jest błogosławieństwem. Wielu moich braci widziałem martwych - więc zrób to. Zrób to szybko. Może ci nawet podziękuję. W ten sposób umrę jak wojownik z ręki wojownika - dasz mi szansę na odrodzenie się w nowym życiu, bez hańby i strachu.

Quintus przypatrywał się z niedowierzaniem sztyletowi.

- Opuścisz swoich ludzi?

- Co im zaoferowałeś?! Przybyłeś z Białymi Naacalami i bronią, z której biją promienie mocy, wyraźne niczym kometa na pustynnym niebie. Myślisz, że Czarni jej nie chcą? Że nie zamieniliby na nią nas wszystkich? Szybka śmierć, zanim opanują cały świat, to najlepsze, na co możemy mieć nadzieję.

Manetho uniósł głowę, by ułatwić Quintusowi cios, przecinający tętnicę szyjną.

"Jest taki chudy!" - Quintus pomyślał, że nigdy nie widział kogoś tak wynędzniałego i nazywającego siebie wojownikiem. Jednak wciąż stał, drżąc nieznacznie. Czekał, choć teraz czekanie było najbardziej ryzykowną rzeczą na świecie. Cóż dawało mu taką odwagę?

Tylko nadzieja. To właśnie ona podtrzymywała go podczas ich strasznej wędrówki, dzięki niej odzyskał Orła. A teraz? Porwanie się na Czarnych Naacalów będzie jak szarża pojedynczej kohorty na siły Sureny, którym nie dały rady Legiony Rzymu...

...z drugiej strony: miał Orła, najpotężniejszy oręż, broń która zmieniała układ sił.

"Zabij łotra i przyjdź do nas" - kolejna pokusa, tym razem silniejsza.

Zachwiał się, jakby dostał następny cios. Ornamenty na zrujnowanej ścianie zdawały się falować. Ujrzał procesję Białych Naacalów, sunącą ku oharzowi, zwieńczonemu wielogłowym wężem, który oznaczał... "sploty, miażdżące i duszące, wyciskające z ofiary życie, wysysające ją, zanim otworzy się olbrzymia paszcza, by połknąć to, co zostało z ciała..."

Waż w jego umyśle zaczął się wić, w gadzich oczach zastygła perfidia i okrucieństwo. Rozwidlony język migotał, wysuwając się i wsuwając.

"Użyj ostrza, głupcze!"

Czaszkę Quintusa rozdarła błyskawica. "Taka szpilka na gigantycznego

węza?!" - zaśmiał się grubiańsko, jak Rufus szkolący najbardziej niezdarnych legionistów.

Nie było węża. Kolejna iluzja. Rozchwiane ściany przybrały swój poprzedni solidny kształt. Biali Naacalowie raz jeszcze szli po szorstkim kamieniu ku ołtarzowi, roztaczając moc, spływającą na niego niczym ciepła woda kojąca obolały grzbiet.

"To wszystko było kłamstwem, nieprawdaż?"

Sztylet wypadł mu z dłoni. Manetho zachwiał się i osunął. Quintus wyciągnął rękę, by go podtrzymać i stali tak, w nieledwie braterskim uścisku.

- Zmarnowałem czas, którego nie mamy wiele - odezwał się Quintus. -
Prowadź.

Ruszył biegiem za Manetho przez labirynt ruin. Nie zawracał sobie głowy oznaczaniem przebytej drogi, a j e g o Ariadna - której chciał dochować wierności - była w rękach wrogów.

Upewniał się, że Draupadi jest mistrzynią iluzji, która potrafi rozproszyc halucynacje groźne dla niego i dla legionistów. Tak jak musiał ufać Manetho, musiał też wierzyć w siłę swoich ludzi i w to, że wytrzymają, dopóki nie odzyska Orła i nie poprowadzi ich do boju.

Biegli wąskim przejściem. Z obu stron tunelu dobiegał ich szemrzący dźwięk. Czyżby woda, cyrkulująca ukrytymi kanałami jak akweduktem? Lub powietrze, śpiewające w korytarzach przecinających grube ściany sklepienia? Rzymianie to naród inżynierów. Jednakże w porównaniu z tymi murami, wszystko, co zbudował Rzym, przypominało prymitywne kamienne budy.

Przyspieszyli. Quintusowi wydało się, że zobaczył ścieżkę. Może jakieś złudzenie optyczne? Miał wrażenie, że gdziekolwiek postawił stopę Manetho, z podłoża tryskał blask.

- Nadchodzą - powiedział.

Czyżby więc było to wielkie powstanie niewolników? Quintus poczuł skurcz w dołku. Czy tak właśnie czuli się gladiatorzy, gdy wystąpili przeciwko swoim panom, znacznie liczniejszym i potężniejszym od nich? A mimo to rzucili na Rzym nie zapomniany strach. Mając Orła i jego moc, o ileż więcej mógłby...

- W tym miejscu ubierali się kiedyś akolici - obwieścił Manetho.

Kiedy to było? Nie pytaj Quintusie. Nawet o tym nie myśl.

Jego stopa dotknęła czegoś i potknął się. Co t o było?

Jakiś kształt leżący pod ścianą. Quintus zboczył, lecz nie udało mu się ominąć

przeszkody. Przewrócił się, uderzając mocno o mur. Jego ramię opadło na coś, co wystawało z muru. Usłyszał jęk.

To był głos Rufusa.

"Na Jupitera Optimusa Maximusa i pomniejszych bogów!" - wykrzyknął w duchu Quintus, klękając obok centuriona i obmacując jego twardą czaszkę w poszukiwaniu ran. Rufus znowu zajęczał. Bijące z podłoga światło ukazało jego szkliste oczy, źrenice miał rozszerzone, jedną większą od drugiej.

- Chłopcze... chciałem powiedzieć: panie... na wszystkich bogów, nie wiedziałem, że masz brata-bliźniaka. Będziesz musiał być jednocześnie Kastorem i Polluksem, by podjąć wyzwanie... do licha z tym małym łajdakiem! Ojciec powinien porzucić go zaraz po narodzinach lub zrzucić z Tarpejskiej Skały, jak ja bym uczynił, gdybym miał go w domu... Moja głowa, moja głowa...

Rufus umilkł, zgiął się wpół i zwymiotował. Quintus podtrzymał go za ramiona.

- Chodźcie - ponaglał Manetho.

Brakowało im czasu, ale przecież pamiętał: "Rufus niósł moje nosze. Sprzeciwił się porzuceniu mnie na pustyni lub bezbolesnemu pozbawieniu mnie życia, gdy myśleli, że oślepiłem. Uczył mnie". Manetho również nie był człowiekiem, który opuściłby towarzysza.

- Kto? - zapytał Quintus z zamierającym sercem.

- Podszedł do nas od tyłu... do pani i do mnie... "Edepol", panie, cieszę się, że tu jesteś, by przejąć dowodzenie...

- Draupadi? - spytał Quintus. - Co się z nią stało?

- Biedna dziewczyna nie mogła się obronić. Ten nędzny zdrajca, Lucilius...

Kazałbym odpruć purpurę z jego togi i przybić go do krzyża...

Lucilius siedział początkowo wraz z legionistami i niewolnikami w zrujnowanym holu, lecz później wyszedł na zewnątrz, tłumacząc się zdenerwowaniem i potrzebą odetchnięcia świeżym powietrzem.

Quintus trzymał ręce na ramionach Rufusa, próbując go uspokoić, lecz ani jeden, ani drugi nie znalazł pocieszenia.

Czy to zdradzieckie głosy zwabiły Luciliusa? Odkąd Quintus go znał, zawsze miał w pogardzie lojalność. Nie po raz pierwszy spróbował pójść na układ z wrogiem.

Nawet Quintusowi, z jego staroświeckim dziadkiem i - jak uważał Lucilius - niedorzecznym pojęciem honoru, trudno było oprzeć się głosom, którymi Czarni

Naacalowie kusili swoich wrogów.

Co mu obiecali? Złoto, to jasne, i być może Draupadi, uległa lub nie.

- Najpierw uderzył mnie, panie - opowiadał Rufus. - Przewróciłem się. Wtedy sięgnął po Orła - naszego Orła! Pani wyrwała mu go, zanim położył na nim swoje brudne łapy. Próbowałem, tak mi dopomóżcie Minosie i Radamantysie - przysięgam, że próbowałem przyjść jej z pomocą. Ale on złapał ją za ramię i powiedział, że daruje mi życie, jeśli ona pójdzie z nim, nie używając przeciwko niemu swojej magii.

Kopnął mnie i uderzyłem o ścianę, sztuczka prawdziwego nowicjusza... Bogowie, jestem głupcem, sfuszerowałem wszystko. Och, Dis, do krzyża z tą moją głową...

- Spokojnie - mruknął, jakby nieobecny Quintus. - Wszystko w porządku.

Wszystkich ich czeka krzyż lub coś jeszcze gorszego. Czarni Naacalowie mieli Ganesię, z jego wielką siłą i mocą. W ciągu tych drugich lat starzec przeżył wiele. Należało mu się dotrwać do ostatecznej śmierci, której umknął, opuszczając pochłanianą przez morze Ojczyznę. Czy zniesie widok ukochanej przyjaciółki poddawanej torturom? Była przecież nie tylko jego uczennicą, lecz również córką?

- Ona ma Orła, panie - dodał Rufus. Zdusił ryk rozpaczy - znak, że znowu jest sobą, jeśli zdoła zapomnieć o bólu. - Trzeba by mnie wychłostać, połamać kołem... nie potrafiłem obronić nawet jednej kobiety...

- Chodźcie wreszcie – ponaglał Manetho. - Zdradzą nas! Teraz musimy się pośpieszyć.

Nie! Nie myśleć o Ganesii i Draupadi wydanych na męki. Nie myśleć o obrzędach Czarnych Naacalów. Kapłanka Słońca ma wystarczającą moc, by użyć Orła. Miał tylko nadzieję, że to zrobi.

- Im dłużej tu zostajemy, tym mniejsze mamy szansę... Wiecie, co ci kapłani robią swoim ofiarom?

Nie myśleć o bursztynowej skórze Draupadi splamionej krwią. Nie myśleć o brutalnie stłamszonym niebotycznym duchu Ganesii. Nie myśleć o nich... Położą swoje ręce na Draupadi. Może nawet Lucilius - odrzucony zalotnik.

- Najpierw nastąpi złożenie ofiary. Potem zaczną - przemówił Manetho głosem głuchym z przerażenia.

Quintus nie śmiał marzyć, że wróci do Rzymu, a tym bardziej, że wróci z Orłem. Zaczynał jednak mieć niejasną nadzieję na odrobinę życia. Mimo to musiał teraz wziąć Orła i dzierżyć go. Cały świat został rzucony na szalę.

- Jeśli umrą, to umrą jak żołnierze - usłyszał swój głos, tak zmieniony, że

trudno było zrozumieć poszczególne słowa. - Ty, Rufusie, wrócisz. Manetho i ja pójdziemy naprzód. Weźmiemy ich w kleszcze. Żaden nie ujdzie z życiem.

"Sami mamy na to małą szansę."

Jednakże wizja Rzymian o oczach płonących gniewem i determinacją, nacierających nieustępliwie ze swoimi krótkimi mieczami na Czarnych Naacalów i zamieniających ich w proch miała moc uzdrawiającą. Rufus dźwignął się na nogi. Odwrócił się i ruszył przed siebie, początkowo chwiejnie, później pewnym, marszowym krokiem.

Quintus obrócił się do Manetho.

- Wiem, że wolałbyś być teraz ze swoimi ludźmi - powiedział - ale z twoją pomocą...

- Musisz uważać. Oni chcą ciebie! - wykrzyknął Manetho. Wiedzą, kto sprowadził obcych. Jesteś młody i silny... Mogą chcieć ujrzeć cię w swoich szeregach... Zdarza się to czasami, kiedy któryś z naszych synów wyrośnie na zbyt mocnego, a wśród nich kogoś zabraknie.

Porywanie synów zasługiwało na takie samo potępienie, jak zabijanie ich. Pozwól, by chłopiec był silny, a niewolnicy nigdy nie będą wiedzieć, czy mogą być go pewni. Może się zdarzyć, że kiedyś, pewnego dnia, składając ofiarę spojrzą w górę, na wznoszącego nóż Czarnego Naacala i ujrzą człowieka, który kiedyś był synem, bratem lub przyjacielem.

- Będą musieli zadowolić się strachem, który udało im się dotąd wywołać - warknął Quintus. Chciałby własnoręcznie stracić Luciliusa - patrycjusz zdradził nie tylko swoje miasto i stan, zdradził cały świat.

Jednakże najważniejszym zadaniem, stojącym przed trybunem, było odbicie Orła. Aby pokonać nim Naacalów, a jeśli nie zdoła - zapewnić Draupadi i Ganesii lekką śmierć, zanim tamci wyzwolą swoją moc. Być może nawet wystarczy mu czasu, żeby rzucić się na własny miecz.

A Orzeł? Jeśli nie będzie mógł wykorzystać jego mocy, będzie musiał go zniszczyć.

Pojął, że kończy się tkana przez Losy przedza jego żywota. Razem z tą myślą umarła też nadzieja - i strach. Miecz błyszczał w jego dłoni, lecz nie drżał.

Nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

- "Morituri te salutamus!" - zawołał, pozdrawiając ciemność.

Manetho spojrzął na niego spode łba. Prawdopodobnie bał się go niemal tak

samo jak Czarnych Naacalów. Mimo to będzie musiał poprowadzić swoich ludzi i walczyć razem z Quintusem, którego najwidoczniej uznał za szaleńca, skoro ten bez lęku mógł patrzeć śmierci w oczy.

Ale Manetho był dzielny. On prowadził. Quintus zaś podążał za nim, czujny i ostrożny, jak zwykle przed bitwą.

Rozległy się dźwięki gongów i kościanych fletów, wydających tony wyższe i bardziej przenikliwe niż kapłańskie piszczałki. Manetho wzdrygnął się. Tak długo był niewolnikiem, a teraz musiał zmierzyć się z czymś gorszym od śmierci. Quintus otworzył usta, by powiedzieć kilka słów pociechy, które sam usłyszał kiedyś przed pierwszą bitwą. Poczul się teraz silniejszy i szlachetniejszy. Strach minął. Chciał podzielić się tym cudownym uczuciem z Manetho, ale ten był już tylko ciemną plamą mającą gdzieś daleko z przodu.

Pomimo osłaniających ich murów Quintus usłyszał grzmot. Błyskawica zajaśniała przez szczeliny i zatańczyła nad pustynią, wybielając solne połacie i kamienne płyty. Zerwał się wiatr. Pamiętał burze, które przeżyli w swojej wędrowce i trąby powietrzne, które zdołali przetrwać. Teraz nie czuł więc lęku.

Znowu błysnęło. Tym razem same ściany zdawały się jaśnieć. Płomień dotykał rąk postaci na poobtłukiwanych fryzach. Tak tańczył Kriszna. Lecz talizman Quintusa spoczywał pogrzebany gdzieś na pustyni. I teraz to przypomnienie Kriszny uznał za dobry znak, nawet jeśli trochę przerażający. "Naprzód" - tak poradził mu tańczący bóg bardzo dawno temu. Mówił do Arjuna, który stał przed swoimi żołnierzami. Nie do mężczyzny, w którego żyłach płynęła książęca krew, choć miał duszę zbrodniarza. Nie byli to także Czarni Kapłani. "Twoja bitwa jest cięższa od mojej" - usłyszał głos. Tym razem to był głos Arjuna.

Pójdzie więc naprzód, tak jak go tego nauczono. To przynosiło ulgę. Było odrodzeniem. I śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Manetho obrócił się do Quintusa. - Zaczęli - powiedział bezbarwnym głosem. - Zabrali Naacalów, teraz mają również twoją broń.

Wystarczyło by któryś z nich krzyknął, a byliby zgubieni. Wrogowie z pewnością wystawili strażę wzdłuż wszystkich ścian świątyni. Czy Rzymianie doświadczą tego wieczoru kolejnej zdrady?

Ta myśl zmroziła go na chwilę. Czarni Naacalowie mają rzymskiego Orła, ale czy będą mogli osiąść cudowną moc znaku? Mimo to myśl, że utracił go ponownie, sprawiła ból.

Jeszcze bardziej bolesna była utrata Draupadi. Przez całe życie ktoś odbierał mu wszystko to, co zdążył pokochać, cierpiał nie tylko nad skradzioną miłością - straszna groźba zawisała nad całym światem.

"Nie, jeśli tylko będę mógł temu zaradzić" - poprzysięgał.

Błyskawica oświetliła bladą twarz Manetho, ukazując smugi oleistego potu na jego skórze i oszalałe oczy przerażonego zwierzęcia. Kiedy zaczął się diabelski rytuał, Manetho zareagował lękiem niewolnika: uciec i ukryć się, a może uda się ocaleć, aż do następnego ataku. Nawet jeśli Quintus czuł to samo, wiedział, że nie ocaleje, że nie będzie żadnego następnego razu, chyba że teraz ruszą do walki.

"Co radzisz?" Okrucieństwem byłoby zapytać. Lecz było to pytanie, na które Rzymianin musi mieć odpowiedź. Manetho znał te ruiny, on nie.

Jego ludzie nie mieli już wyboru. Mogliby wprawdzie zgromadzić zapasy wody i prowiantu i przedrzeć się na pustynie. - A tam czekać aż nadejdzie szaleństwo i śmierć. Mogliby też ukryć się wśród tych ruin - zakładając, że nie zdradzi ich Lucilius. Lecz nawet gdyby im się to udało, niechybnie nadszedłby dzień, w którym wrogowie ich znajdą i zaatakują.

Czarni Naacalowie chcieli dostać jego, Quintusa. Jako ofiarę lub ucznia - kto to wie?

Nie odpowiadało mu jednak żadne rozwiązanie. Cóż innego mógł więc wybrać? Przyłączyć się do swoich ludzi, by razem rzucić się na miecze i przyjąć honorową śmierć. Bądź też postąpić według własnego, surowego kodeksu: wyciągnąć broń, utworzyć szyk i atakować do ostatniej kropli krwi.

- Zwrócisz się teraz przeciwko nam? - zapytał Manetho. Milczenie Quintusa wzbudziło jego podejrzliwość.

- Można powiedzieć - mruknął Rufus, zbliżając się do nich i wskazując starożytne ostrze w dłoni niewolnika - że człowiek umrze otruty tym plugastwem, zanim wykrwawi się na śmierć od ran, które mu zadasz.

Quintus mógłby iść o zakład, że choć strach wyostrzył słuch Manetho, nie usłyszał nadejścia centuriona. Mimo ciemności zauważył, że Rufus zawiesił sobie buty na szyi i miał własną broń.

Centurion rzucił Quintusowi dziwne spojrzenie. Trybun widział już taki wzrok, gdy kiedyś utrudzony legionista przyszedł do jego rodziny z wiadomością o śmierci ojca. Takie spojrzenie zwiastowało smutne wieści, które trzeba znieść jak przystało mężczyźnie.

- Panie - zaczął Rufus - poczułem się lepiej i poszedłem obejrzyć to, co Czarni Naacalowie... - usta mu drgnęły, jakby chciał splunąć - ...nazywają świątynią. Są tam wszyscy i ich ofiary. Pomyślałem, że gdybym mógł, ofiarowałbym im przynajmniej godziwą śmierć, ale nie miałem szczęścia.

Czy gdyby Rufusowi udało się dotrzeć do Ganesii i Draupadi, powitaliby oni z radością jego ofertę, jego "godziwą śmierć?" Czy po tak długim czasie oni w ogóle mogą umrzeć?

Manetho przestąpił z nogi na nogę. Quintus rozumiał jego ostrożność: niewolnik widział i słyszał tylko dwóch Naacalów i to wystarczyło, by nie opuszczało go śmiertelne przerażenie. Ze swoją wiedzą, doświadczeniem i studiami - jakże łatwo mogli przejść nową formę mocy. Czarni Kapłani byli niczym węże - są takie, których trucizna zabija po zrobieniu jednego kroku i takie, których trucizna zabija po przejściu dwóch kroków - ale śmierć jest zawsze taka sama.

- Myślisz, że... - Wyobraził sobie mądrość Ganesii i smukłą grację Draupadi utopione w wyniku poświęcenia, czy też miłosierdzia Rufusa, w kałuży krzepnącej krwi.

- Nie zdradziliby nas. Nie oni - powiedział Rufus. - Nawet, jeśli nie są Rzymianami...

- Bał się wzruszenia i rozpaczy, nie teraz...

- Nie udało ci się.

- Nie, panie - Rufus wyprostował się. - To kolejne Carrhae. Przegraliśmy.

Mury zadrżały od potężnego gongu. Tak samo brzmiały gongi, bębny i

dzwonki posiłków Sureny, kiedy wojownicy szykowali się do drogiego sprzedania życia pod jasnym słońcem wiele mil stąd.

- No, cóż - powiedział Quintus - wiedzieliśmy, że żyjemy cudzym czasem.

Przyszła pora by go oddać.

Spodziewał się ponurego śmiechu Rufusa.

- Jest gorzej, niż myślisz, panie. Wystawili straż bardziej niebezpieczną niż moglibyśmy oczekiwać. Samą Draupadi.

Quintus odwrócił się błyskawicznie, chcąc pochwycić ramię centuriona i rzucić starego żołnierza na ścianę. Jeżeli Draupadi zwróciła się przeciwko nim, nadeszła godzina chaosu. Tak głęboko wierzył, że to nigdy się nie stanie.

- To nie tak! - wyszeptał z trudem Rufus. - Wiesz, panie, jaka była wyczerpana. Postępek Luciliusa przepełnił czarę. Kiedy ją wyprowadził, coś do niej mówili, a ona kręciła głową. Pochwycili ją. Chciałem ją uratować, ale trzech nasi legionieści powstrzymali mnie... darowałem im życie... Kazali jej wypić jakiś narkotyk...

Quintus zdał sobie sprawę, że jęczy.

- ...wygląda teraz jakby zapadła się w siebie... nie jak szalona, raczej jak wróżbitka przewidująca przyszłość. A jej wizje oni mogą wykorzystać. Mogą ję używać.

- Skąd wiesz?

- Widzieliśmy ją w ich świątyni. Zdziwiło mnie, że nie jest strzeżona. Jeden z naszych pomyślał więc, że zakradnie się do środka i uratuje ją. Wiedział, że to się spodoba...

- Nieważne - powiedział Quintus, próbując zachować resztki spokoju. Jego dziadek, gdy usłyszał o śmierci syna, podziękował posłańcowi i nazwał go "gościem", choć w głębi duszy umierał.

- Co się stało?

- Przywiązali ją jak jagniątko przeznaczone dla lwa! Wskazała na niego i coś zaśpiewała. Panie, on się nie spodziewał kłopotów. Ufał jej! A kiedy zaśpiewała, po prostu podszedł do niej i zasalutował. "Popatrz na to" powiedział jeden z Czarnych i poderznął mu gardło na oczach tego wroniego wyrzutka, tego zdrajcy...

- Lucilius tak tam sobie stał?

- Przed samym ołtarzem. Pozwolili mu zachować miecz i rynsztunek; nie ubrali go jeszcze tylko w czarny strój. Ale nie pozwalają mu zbliżyć się do Orła i nie

traktują go z szacunkiem, jakiego on pragnie.

Lucilius może nigdy nie był naprawdę rzymskim trybunem, ale kara krzyża dla niego za to, że stał beczynnie, podczas gdy podcinano gardło legionście, będzie za lekką karą.

Rufus zamilkł i czekał na rozkazy.

"Stary psie wojny - chciał powiedzieć Quintus - powiedz mi, co zrobić. Uciec na pustynię? Ukryć się i atakować z ruin? Wybrać śmierć?" Ale nawet wieloletnie doświadczenie nie przygotowało centuriona na ten dzień. Poza tym, jego obowiązkiem było wykonywanie rozkazów, nie ich wydawanie... Ale Quintus patrząc na niego, gdy tak stał dumny, wyprężony jak struna, znalazł radę, której szukał. "Rób to, co przystoi Rzymianinowi."

Rzymski trybun obnażył miecz.

- Nie schowam go, chyba że zginie w ciele wroga - rzekł przez zaciśnięte zęby. Manetho zadrżał.

- Spokojnie - Rufus poklepał go po ramieniu. - Trybun mówi, że idziemy walczyć, więc idziemy walczyć. Podoba ci się to? Czy wolisz umrzeć na ołtarzu lub skończyć z poderżniętym gardłem? Przynajmniej zginiesz śmiercią żołnierza.

W ruinach były kobiety i dzieci. Prawdopodobnie umrą również. I tak to było im przeznaczone: albo zabijają je Czarni Naacalowie, albo niezrozumiałe moce, które mieli nadzieję wyzwolić. Quintus pamiętał, że w powstaniu Spartakusa ginęły całe rodziny. Spotka to również Draupadi i Ganesię. Biedna Draupadi, w końcu dała się złapać w pułapkę iluzji, którą tak mistrzowsko władała. Może narkotyk przestanie działać i jej umysł rozjaśni się na tyle, by mogła przypomnieć sobie, że on ją kocha.

Manetho wyprostował się.

- Chcecie walczyć, nawet jeśli nie macie nadziei. My nie mieliśmy jej nigdy. Staniemy więc u waszego boku. Być może wasi bogowie spojrzą na nas łaskawszym okiem, niż nasi.

- Dobry z ciebie człowiek - stwierdził Rufus dziwnie łagodnym głosem. - Trybunie?...

- Idziemy - zarządził Quintus.

Wszedł za centurionem do ciemnego pomieszczenia, w którym czekali na rozkazy uzbrojeni legionści. Na widok oficerów stanęli w szeregu, gotowi do wymarszu.

Na znak Manetho z każdej szczeliny i każdego kąta ruin wysypali się

niewolnicy. Księżyc rzucał na okolicę słabe światło, które zgasło, gdy chmury zasnuły srebrny dysk. Kiedy odegnał je wiatr, księżyc ściemniał, jakby byli świadkami zaćmienia. Niewolnicy cofnęli się przed krwawym światłem. Dobrze byłoby znowu ujrzeć słońce. Quintus nawet o tym nie marzył.

Manetho poprowadził ich w głąb świątynnego kompleksu, gdzie wysokie mury otoczyły ich niczym połamane zęby martwego tytana, usiezonego w bitwie. Niewolnicy, których prowadził, wydawali się Quintusowi za młodzi i zbyt wzięci, by mogli stawić czoło wrogom.

- Powiedz żołnierzom - rzucił w stronę Rufusa - że każdy ma osłaniać jednego z naszych przyjaciół.

"Nie pozwólmy im umierać w ciemnościach i hańbie. Musimy dać im przykład" - chciał powiedzieć, lecz jakaś obręcz ścisnęła mu wysuszone gardło.

Człowiek, który służył dawno temu jako chorąży, podszedł do niego z pustymi rękoma. Szkoda, że nie mieli Orła. W najgorszym razie wykorzystaliby go do spopielenia tego miejsca. Teraz już mogli liczyć tylko na to, że uda im się zniszczyć także i znak Rzymu.

Nie było tu nikogo, kto mógłby zobaczyć ostatnie zwycięstwo lub klęskę legionistów Krassusa - z wyjątkiem bogów i, być może, cieni tych, którzy o nie dbali. U ich boku maszerowali sojusznicy: ludzie z Ch'in, dowodzeni przez Ssu-ma Chao. Skinął Quintusowi, gdy ten podszedł. On także wolał być ze swoimi ludźmi.

Uprawdzili Draupadi i była teraz ich strażniczką. Wiedział, że zaalarmowałyby wrogów, lecz wiedział również, że nie mógłby jej zabić.

Kiedy gong ozwał się ponownie, niewolnicy zbili się w gromadkę. Chmura znowu przemknęła przed pobrużdżoną twarzą księżycy i zniknęła, jakby połknięta. Ludzie Manetho wmieszali się w kolumnę Rzymian. Szyk zafalował, przyjmując ich, przez chwilę Quintus czuł zadowolenie widząc, że razem tworzą większą siłę.

Gongi i bębny huczały, grunt drżał pod ich stopami. Czarni wiedzą na pewno, że nadchodzą. Lucilius ostrzegłby ich. Jeśli bogowie będą łaskawi, być może Quintus przynajmniej zabije jego.

Powietrze gęstniało. Miał przez chwilę wrażenie, że opuszcza go świadomość. Zdążył się już przyzwyczaić do zawirowań czasu i przestrzeni. To było tak jak wtedy, gdy maszerowali przez tunel z piasku i wiatru do oazy, gdzie znaleźli wodę i Draupadi, siedzącą nad sadzawką.

Wejście do świątyni stało przed nimi otworem. Kiedyś olbrzymie odrzwia

wysokie na dwie, trzy włócznie musiały otwierać się budząc grozę i strach wiernych. Teraz rozbite leżały porzucone z boku. Niewolnicy potrzebowali metalu, z którego były odlane.

Żołnierze ustawieni w bojowym szyku sunęli miarowo, pomimo przerażenia, wiszącego w powietrzu. Rzymski chód, rzymski lud. Chorąży był nieporuszony, jakby wciąż dzierżył Orła. Zobaczą go raz jeszcze, zanim umrą. Quintus czerpał z tego słabą pociechę.

Wewnętrzną świątynię wieńczyła ogromna kopuła. Przez ostrołukowe, wąskie okienka wlewała się księżycowa poświata. Pomiedzy oknami stały podesty z brązu, rzeźbione na podobieństwo wielkich węży; z ich uzębionych paszcz wystawały pochodnie. Smugi światła i ciemności unosiły się w powietrzu. Zagrzmiał gong i cała przestrzeń zadrgała. Ciemność zalała światło.

Wokół ołtarza, na którym jaśniało blado czyjeś ciało, pulsował czerwony blask. Ku swemu przerażeniu, Quintus rozpoznał odartego z szat Ganesię.

Trybun dostrzegł także Luciliusa, stojącego w błyszczącym rynsztunku obok Czarnych Naacalów, niczym w orszaku prokonsula. Jego strach zastąpiła furia. Nieco dalej, pilnowany równie uważnie jak Lucilius, lśnił Orzeł.

Ponownie rozległy się gongi, olbrzymie bębny i rogi, wycięte z kości długości ludzkiego uda. Przeszłość zasnuły iluzoryczne chmury, a unoszące się nad nimi smugi cienia i światła zawirowały. Kiedy się przejaśniło, Quintus ujrzał Draupadi.

Rozdział trzydziesty drugi

Czas i przestrzeń przesunęły się ponownie. Widział bursztynowe światło, płomyki migoczące w mosiężnych czarkach, pływających po sadzawce, krople spadającej wody, zamieniające ich światło w roztańczone iskierki i Draupadi, jaśniejącą wśród poduszek, tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Była ubrana w nową suknię z przylegającego, szafranowego perkalu, który tak lubiła. Miała wyszczotkowane włosy, a twarz obmytą ze zmęczenia i strachu. Między ciemnymi brwiami widział namazany czyjąś ręką krwawy ornament. A jej oczy podkreślone czarną obwódką były puste.

Quintus, by dostać się do Orła, musiał przejść obok niej.

Blask ogni zamigotał i utworzył na kamiennej podłodze złudzenie sadzawki. Pomyślał, że to wszystko było iluzją, rzuconą przez kobietę, zagubioną we własnym akcie tworzenia.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, była bardzo czujna. Ganesia wyzwał go wtedy na zabójczą grę. Jak mógł kiedykolwiek odważyć się zagrać? Była to ostatnia runda.

Na znak Quintusa część ludzi rozsypała się w wachlarz. On będzie tym, który do niej podejdzie, a pozostali powinni go osłaniać. Zmusił się do spojrzenia ponad Draupadi: nie dostrzegł łuczników, lecz nie znaczyło to, że ich nie ma. Będzie musiał zaryzykować - nie miał innej drogi.

- Ochroniajcie mnie - szepnął i ruszył naprzód.

Pierwszym odruchem Quintusa było okrążyć wodę. "Jaką wodę?" - upomniał się, by nie ulegać złudzeniom. Draupadi jest odurzona. Miał nadzieję, że nie zgodziła się pochopnie służyć jako strażniczka, by ochronić Ganesię, jeśli tak, to ją oszukano, gdy starzec leżał skrępowany na ofiarnym ołtarzu.

"Pamiętaj o iluzjach" - powiedział sobie. Nakazując gestem pozostałym, by zostali z tyłu, dał krok do przodu, stawiając stopę na migoczącej powierzchni, tak ludzaco przypominającej wodę, ale buty zaszurały po skale. Dotarł do kilimów, na których spoczywała Draupadi.

Wyciągnęła do niego dłoń. Kiedyś też tak zrobiła, próbując go oszukać, lecz to nie była Draupadi, to był jej sobowtór.

Quintus, tak jak poprzednio, ujął tę wiotką rękę. Jej skóra była gładka i delikatna, pachniała drzewem sandałowym. Błyszczące paznokcie obcięto i zabarwiono henną. Wszystko było inaczej. Draupadi miała kształtną dłoń, lecz zgrubiała od pracy przy zwierzętach, szorstką od wody z piaskiem i ogorzała od dymu ogniska. Na palcu brakowało pierścienia.

Mimo to uchwycił tę piękną, fałszywą dłoń i delikatnie uniósł Draupadi, by mogła przy nim stanąć.

- Przyszedłem, by cię stąd zabrać - powiedział.

- Istnieje tylko "tutaj" - odezwała się. Potrząsnęła głową i jej ciemne włosy rozsypały się bezładnie na szczupłych ramionach. Jego ręce wciąż pamiętały ich puszyste ciepło. - Rozejrzyj się - dodała z uśmiechem.

Światło. Woda. Kiedy patrzył, światło zamrugało i stał teraz na cyplu, który tak dobrze pamiętał. Będąc dzieckiem często tam właśnie uciekał w samotność. Mógł z niego widzieć całą dolinę. Teraz Draupadi odnalazła to miejsce, by dzielić je z nim na zawsze.

Utkwiła spojrzenie w jego twarzy, a jej oczy zdawały się wciągać go gdzieś w głąb, wchłaniać w obcą mu przestrzeń. Kobięce dłonie powędrowały ku jego piersi i ramionom, próbując popchnąć go na dywany. Od zapachu jej włosów i ciała zakręciło mu się w głowie. "Tylko usiąść i porozmawiać" - pomyślał. Co w tym złego? Nigdy nie leżeli obok siebie, to może być ich ostatnia szansa. Mogłaby utkać wokół nich zasłonę ciemności i śniliby swój sen: że są tylko we dwoje, że są razem.

Ale to wszystko byłoby iluzją. Czarni Naacalowie przerwaliby ich sen, odsłaniając legionistom jego zdradę, zdradę oficera, który opuścił żołnierzy, by spocząć w ramionach kobiety, rzucającej na nich czary.

- Nadszedł czas, żeby pójść, Draupadi - powiedział delikatnie. Pokręciła głową.

- Zabierzemy Ganesię i pójdziemy.

Czarne oczy błysnęły. W ich głębinach zaczął migotać strach. O swojego nauczyciela? Część jej umysłu przebudziła się, walcząc z odurzeniem.

- Daleko zawędrowałaś, Draupadi. - Uczyniłby z jej imienia pieśń, byleby tylko ją odzyskać. Wracaj! - krzyknął, mając nadzieję, że ją obudzi.

- Dlaczego musimy odejść? - zapytała sennie. - Tu jest cicho, spokojnie. Tu jest wszystko, czego nam trzeba.

- Tu jest śmierć - powiedział Quintus. - Zapomniałaś? Jesteś w mocy Czarnych

Naacalów, tak jak Orzeł. Jeśli zdołają wykorzystać jego siłę, zaleją morzami pół świata, a drugą połowę będą rządzić. Pamiętasz czasy przed tym, kiedy to się stało? Pamiętasz?

Pokręciła głową.

- Pamiętasz, Draupadi. Wiem, że tak. Uniósł jej twarz, by spojrzeć mu w oczy. - Chcesz, żeby to się znowu stało?

- Nie... och, nie... - Łzy spłynęły jej po policzkach.

- W takim razie musisz pójść ze mną.

Słaniała się, wyczerpana, Pociągnął ją w kierunku "wody", otaczającej jej dywany.

Zabrzmiały gongi i rogi. Prawie zagłuszyły przedśmiertny krzyk. "Nie Ganesia, na wszystkich bogów! Rufusie, niech zachowają szyk."

Jakby śmierć ofiary podsyciła iluzje, które Draupadi rzucała na życzenie Czarnych Naacalów, widziadła stały się bardziej rzeczywiste, tworząc chaos światła, dźwięku i kolorów. Trudno było oddychać, a co dopiero iść. Draupadi łączywie chwyciła powietrze, prawie upadła. Jak będzie walczył, jeśli będzie musiał ją nieść? Pomyślał o swoim sztylcie. Czy żyła wśród Rzymian wystarczająco długo, by zrozumieć ich walkę o przetrwanie?

- Nie jestem twoim wrogiem, Draupadi - powiedział. - Oni tak. Walcz z nimi.

Pociągnął ją ze sobą, oczekując w każdej chwili ciosu, krzyków wściekłości lub ataku na jego umysł i świadomość. Zamiast tego zalała się łzami.

- Nie mogę - łkała. - Jestem stara. Jestem obrzydliwa. Jeżeli opuszczę to miejsce, umrę i obrócę się w proch.

Widował już płaczące kobiety. Łzy muszą znaczyć, że słabnie. Wyszarpnął ją z więzów, nałożonych przez iluzje i obawy. Przywarła do niego, przysuwając swoją twarz do jego twarzy.

- Czy tego właśnie chcesz, Quintusie, "mea anima"? - wypowiedziała z sarkazmem stary łaciński zwrot miłosny. - Właśnie tego, na wieki wieków? Pocałuj mnie!

Jej twarz zmieniła się: gładkie, opalone ciało pokryły głębokie bruzdy i zmarszczki. Ciemne oczy zapłonęły gniewem w prawie nagich oczodołach, a wargi obnażyły pożółkłe zęby. Jej oddech pachniał nie kardamonem, lecz zgnilizną.

- Ciało, którego pożadasz, gnije i umiera. Chcesz mojej śmierci? Chcesz tego? - Rozdarła ubranie. Jej piersi przypominały skórzane, puste worki.

- Okryj się - nakazał. Zaciśnął rękę mocniej wokół jej nadgarstka, nienawidząc dotyku delikatnych kości pod palcami. Krzyknęła wysokim głosem, w udęce, niczym dar dla bogów złożony na stosie ofiarnym. Jeśli oszalała, lepiej żeby zginęła. A jeszcze lepiej, by z jasnym umysłem wyszła spotkać swe przeznaczenie.

Co powiedzą jego żołnierze, kiedy zobaczą go, jak ciągnie kościotrupa i nazywa go jej imieniem? Pomyśla, że oszalał i zabiją go.

Jest mistrzynią złudzenia - powiedział sobie. - A teraz jej iluzje są kalekie."

Tylko bogowie mogliby zesłać na nią przebudzenie. Pchnął ją przez smugę światła, która zbyt wyraźnie ukazała jej zmienioną twarz. Jego stopy przez chwilę "rozchlapywały" iluzję. Potem szedł znowu po "suchym lądzie", z dala od miejsca, gdzie umieszczono ją, by złapała go w pułapkę.

Przewróciła się, szlochając bez łez suchym i rozdzierającym krzykiem rozpacz, który ścichł powoli do lamentu uwolnionego od szaleństwa.

Czy kiedy na nią spojrzy, zobaczy piękną kobietę, czy trupa?

- Trybunie...

Chyba tylko głos Rufusa mógł zmusić go do wypełnienia tego obowiązku, najstraszliwszego w całej jego służbie. Pochylił się nad nią ze sztyletem w dłoni. Leżała na boku, kurczowo zaciskając powieki. Choć była teraz mniej piękna od swojej iluzji, nadal była cudowna.

- "Mea anima, mea vita" - wyszeptał. - Moje serce, moje życie, zbudź się. Spójrz na mnie.

Jej oczy były wciąż zamknięte.

"Kto wie, jakie słyszy głosy w ogarniętym chaosem umyśle" - pomyślał Quintus. Sam doświadczał omamów, podszeptów, pogroźek... Potrzęsnał nią brutalnie, lecz znowu odwróciła głowę. "Wybacz mi" - pomyślał i spoliczkował ją. Otworzyła gniewnie oczy - i ujrzała swoją twarz, odbitą w jego źrenicach, i ostrze, które jej pokazywał.

- Obejrzyj się - rozkazał. - Znasz różnicę pomiędzy prawdą a złudzeniem. Nie jesteś wiedźmą. I sam cię zabiję, jeśli zdradziłaś. Jesteś Draupadi i potrzebujemy cię. Czy teraz rozumiesz?

- Sama - jęknęła - ...woda przybiera, ziemia dygocze... całkiem sama, a wokół śmierć... - jej twarz zaczęła migotać i rozpadać się; spojrzała tęsknie na podwyższenie, ustawione dla podtrzymania jej iluzji.

Quintus pochylił się i pocałował ją, mocno i szybko.

- Nigdy nie będziesz sama. Rozumiesz?

Przywarła do niego na jedną, szczęśliwą chwilę, po czym odepchnęła go.

- Ganesia - rzuciła. - Lucilius mnie oszukał.

- Jesteśmy gotowi do walki - oświadczył. - Twoja rola już się skończyła.

Schroń się na tyłach, tam będziesz bezpieczna.

- Moja rola? - Dotrzymywała mu kroku, kiedy pośpiesznie wracali do oczekujących ich żołnierzy. - Tutaj nigdzie nie jest bezpiecznie.

Dotarli do zbrojnych. Zajęła miejsce u jego boku; chorąży stanął po drugiej stronie.

Rufus zachrypiał komendę: "Naprzód".

Rozdział trzydziesty trzeci

Zaczekajcie! - Quintus uniósł rękę. Po raz pierwszy odwołał rozkaz starszego centuriona. Pomimo grożącego im niebezpieczeństwa, wyraz twarzy Rufusa zmusił go do uśmiechu.

- Panie, zabili już jednego człowieka. Są coraz silniejsi, nie czujesz tego? - I podobnie jak on, starszy centurion po raz pierwszy zakwestionował rozkaz. Miał ku temu powody.

Światła pod gigantyczną kopułą przygasły, ciemności rozświetlał ponury blask dopalających się lamp oliwnych. W powietrzu unosił się duszny, trupi odór. Ciemność zbijała się w kłaki mgły, czarną przerażającą wilgoć. Oczy legionistów świeciły w mroku. Część niewolników zaczęła dygotać. Jeden czy dwóch chciało upaść na kolana, lecz Rzymianie podtrzymali ich. Byli przyzwyczajeni do dyscypliny. Quintus miał nadzieję, że nie spróbują ucieczki, byłoby zbyt okrutne oskarżać ich i zabijać za tchórzostwo, skoro nigdy nie uczono ich odwagi.

Klangor gongów zdawał się powoływać do bytu ciemne fale. Zbierały się i unosiły, jakby chciały dotknąć Orła. Brąz, tak niegdyś jasno świecący, teraz zmatowiał, jak ptak, który gubi pióra i rozpaczliwie łaknie wolności.

- Mogę to zniszczyć - Draupadi poruszyła rękami, choć jej dłonie drżały, a głos ochrypl.

Quintus wiedział, że jest wyczerpana. Ale wiedział też, że nie spocznie, dopóki nie naprawi zła, które wyrządziła. Pod tym względem przypominała wojownika.

Jeden z Czarnych Naacalów ruszył w stronę Ganesii. Minął poprzednią zdobycz nie patrząc na blade, puste ciało. Ciemność okryła je brudnym całunem. Szata Czarnego Naacala, mokra od krwi, przylepiła się do nogi ofiary.

Gdy Quintus po raz pierwszy zobaczył Ganesię, walczyli ze sobą i Rzymianin pozbawił głowy starego maga - a przynajmniej tak mu się wydawało. Mędrzec przeżył i Quintus zastanawiał się potem, czy przypadkiem nie potykał się z iluzją. Teraz nie miał takich wątpliwości. Są rzeczy, których nie mogliby znieść nawet półbogowie. Czyż Bachus nie został rozerwany na części? A to dziwne, egipskie wyznanie, o którym szeptały kobiety? Był winien Ganesii życie lub lekką śmierć. Rufus miał rację.

Najwyższa pora na starcie.

- Stój!

Na wszystkich bogów Hadesu, Lucilius? Co on chce zrobić?

Zamierające światło rzuciło cień na twarz patrycjusza, gdy ten stanął pomiędzy Czarnym Naacalem a Ganesią.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki czuły - powiedział Naacal. Jego chichot był niczym cios. Lucilius poczerwieniał, potem zbladł, lecz zachował spokój, co zdarzało mu się tak rzadko.

- Czemu pozbywać się czegoś, co mogłoby być waszą bronią?

- Pozbywać się? Sprzedawczyku, wykorzystuję to, co mam pod ręką. Widzisz, ten zgrzybiały ludzki bukłak jest wypełniony mocą. Chcę go odkorkować, by napić się i wziąć tę moc dla siebie. A wtedy...

Grunt zakołysał się pod stopami. Być może Czarny Naacal był tak pewny swojej siły, która sprawi, że ziemia otworzy się i połknie to miejsce... Dla reszty świata byłoby to ocalenie.

- Nadchodzą.

- Szpiedzy, niewolnicy i banici.

To tyle, co zostało z wielkiego Legionu Rzymu i armii Ch'in.

- Potrzebujesz jej, potrzebujesz tej kobiety, jeśli chcesz wykorzystać starca. On ją uwielbia.

Ganesią trwał w bezruchu. Miał zamknięte oczy. Jakimi dziwnymi bezdrożami pamięci i mocy teraz wędrował?

- Oto przemawia człowiek zauroczony. Nie możesz doczekać się swego smakołyku? Nie złamał się, gdy podaliśmy jej nasz cudowny napój. Jakież szaleństwo każe ci przypuszczać, że będzie nad nią czuwał teraz... czy choćby, że możemy ją odzyskać? Równie dobrze możemy wziąć jego moc i nagiąć ją do naszej woli. Masz swoje złoto i obietnicę czegoś więcej, kiedy już wytłoczymy na twarzy Ziemi wizerunek naszej siły. Nie próbuj zyskać więcej.

- Przysięgałeś, że to j a ją dostanę.

- Będziesz miał inne kobiety. Teraz się cofnij, zdrajco, żebyśmy nie uznali, że jesteś niewiele dla nas wart.

Czarny Naacal uderzył Luciliusa w twarz. Cios wyglądał na słaby, ale na policzku mężczyzny wykwił krwawy ślad, a on sam zatoczył się na bazaltową ścianę w pobliżu Orła.

Światło i ciemność migotały wokół ptaka, sprawiając wrażenie, że Orzeł poruszył się. Lucilius był zdrajcą. Ale był także Rzymianinem, podążał za znakiem i na swój sposób był mu wierny.

- Naprzód - pokazał Quintus. Za jego plecami Ssu-ma Chao powtórzył komendę.

W porównaniu z gongami i śpiewami Czarnych Naacalów, skrzyp butów legionistów, tupot bosych sto niewolników i sandałów Ch'in nie zakłócały ciszy. Byli jak duchy, zbliżające się niezauważalnie, choć widocznie.

Lucilius ich obserwował. Otworzył szeroko oczy. Jeśli krzyknie, zaatakują ich przedwcześnie. Ale on milczał. Oczy mu pojaśniały, jakby zaszyły łzami wstydu. Widząc swój dawny Legion, zbliżający się do Orła i wrogów, wyprostował się i zasalutował.

Rufus spojrział mu w oczy i splunął.

Mrok zgęstniał wokół zdrajcy, dotykając jego oczu, ust i uszu, jakby próbując go wchłonąć.

Z pewnością był zdrajcą. Zbliżył się do Draupadi. Po wielokroć zasłużył na śmierć.

Quintusa przeszło wspomnienie Krassusa, otoczonego przez Fartów i walczącego do upadłego. Walczył w jego obronie, póki nie powalił go cios w głowę. Stary prokonsul był przekupnym głupcem, lecz umarł z honorem.

- Luciliusie! - krzyknął trybun. Echo odbiło się od ścian olbrzymiej świątyni. - Przyłącz się do nas! Pamiętaj - jesteś Rzymianinem!

Lucilius poruszył ustami. Pokraśniał na twarzy, prawie jak od ciosu Czarnego Naacala.

- Chodźże, człowieku! - Rufus wykrzykując słowa zachęty. Podjęli je inni żołnierze. Jeden krzyknął nawet pozdrowienie gladiatorów, jakby był barbarzyńcą z lasów nad Renem.

- Zrób to, co przystoi Rzymianinowi! - wołał Quintus. - Wróć do "patria". Pójdź za znakiem Legionu!

Nad głową Luciliusa zamajaczył Orzeł. Był teraz znacznie jaśniejszy i najwyraźniej balansował na drzewcach, jakby oczekując wezwania. Quintus patrzył na Orła. Może to tylko sztuczka niepewnego światła, ale ptak wpatrywał się w niego żywymi oczami.

Rozkazał wnieść okrzyk pozdrowienia. Po chwili powtórzyli je niewolnicy i

wojownicy Ch'in. Pieśń Czarnych Naacalów brzmiała szaleństwem.

- Luciliusie! - krzyknął Quintus. - Orzeł! Przynieś nam Orła!

Nawykły do wydawania komend głos Rufusa powtórzył rozkaz znacznie głośniej.

Czarny Naacal wznosił nad Ganesią sztylet. Usłyszeli syk, powtarzający się uparcie podczas ich wędrówki - sygnał, że objawia się zło.

- Teraz, człowieku! Nie ma czasu!

- Dla Rzymu!!! - ryknął Rufus.

- "Roma!" - zaczęli skandować żołnierze. Nawet niewolnicy podchwycili to słowo. - "Roma! Roma! Roma!"

Wzrok Luciliusa obiegnął świątynię i spoczął na Orle. Znowu przeliczał szansę na wygraną?

Wahał się...

....a resztki jego Legionu zbliżały się.

Quintus widział malującą się na jego twarzy rozterkę. Nigdy więcej nie być nazywanym zdrajcą, przez nikogo. Odzyskać honor, nawet tracąc życie.

"Zrób to, co przystoi Rzymianinowi" - ponaglał go w duchu Quintus. Nawet jeśli nikt nie przeżyje, dusza Luciliusa będzie mogła stanąć bez wstydu przed Minosem i Radamantyse. Muszą być jakieś słowa, które pchną patrycjusza do czynu. Po chwili znalazł je.

- Dalej, chłopcze! Ostatni rzut kośćmi! - krzyknął.

Ku jego zdumieniu Lucilius roześmiał się. Światło zabłysło na jego jasnych włosach. Rzucił się do Orła i chwycił drzewce.

Wielki ptak rozpostarł lśniące skrzydła jak żywa istota, aż fundamenty świątyni zdrząły od ich łopotu.

Lucilius uniósł znak...

- ...a Czarny Naacal uniósł sztylet roziskrzonym łukiem prosto ku gardłu Ganesii, chcąc zesłać śmierć, z której nie byłoby już przebudzenia.

- "Roma!" - krzyknął Lucilius i roztrzaskał znakiem czaszkę Czarnego.

Obrócił się, zmierzając ku ludziom, którymi kiedyś dowodził. Teraz wiwatowali, wznosili chrapliwe okrzyki na jego cześć.

Było to kolejne złudzenie, czy też świątynia pojaśniała? Nie, to nie było złudzenie. Ciemne mgły gorzały od blasku Orła. Przez okna kopuły zaczęło sączyć się blade światło wczesnego świtu. Wizja ujrzenia kolejnego dnia zalała serce Quintusa

falą nadziei. Światło było coraz silniejsze. Długi, jasny promień przedarł się przez wąskie okienko do wnętrza świątyni, kładąc się blaskiem na sponiewieranym ciele Naacala i Rzymianach, biegnących do Luciliusa i Orła.

Ptak z brązu ponownie rozłożył skrzydła. Tym razem z jego gardła wydobył się skrzek złości i urągania. Drzewce, tak długo go podtrzymujące, rozjarzyło się ogniem, który objął Luciliusa.

Nie miał czasu na krzyk, czy choćby grymas agonii. W jednej chwili zdawał się jaśnieć światłem. W następnej już płonął. Jego rynsztunek opadł i ujrzeli, jak gorejące ciało obnaża kości: żebra, czaszkę i uparty staw ręki, trzymającej w górze płonące drewno, dopóki płomień nie strawił również szkieletu, pozostawiając kupkę popiołu.

Orzeł krzyknął raz jeszcze, gdy dotknęły go promienie światła, padające przez okienka. Światło trysnęło z ptasich oczu, jakby Płomień skupił się w nich jak w soczewce, i uderzyło w innych Czarnych, przemieniając ich w popiół. Kapłani, słudzy, nawet trup pierwszej ofiary... wszyscy spłonęli.

Orzeł wciąż emanował niespożytą mocą. Quintus przypomniał sobie... "Pasupata została wyzwolona. Spustoszyła pole bitwy, choć tego, który jej użył i jego armię pozostawiła nietkniętą."

Pochwyciwszy sztylet Quintusa Draupadi podbiegła do Ganesii. Starzec, wyzwolony z więzów, spojrział na Orła, po czym uklęknął przed nim, jakby chciał ucałować ziemię przed wyższym Istnieniem. Za jego plecami niewolnicy padli plackiem na kamienną posadzkę.

Rzymianie wyprostowali się i pozdrowili z czcią swój odzyskany znak. "Część tego salutu jest dla ciebie, Luciliusie - pomyślał Quintus. - Wierzę, że o tym wiesz."

Z pożegnalnym okrzykiem Orzeł wzbił się w powietrze i trzykrotnie okrążył świątynię. Świtało. Oznaczało to światło, życie i oczyszczenie. Brązowy błysk przemknął przez najbliższe okienko i Orzeł poszybował w dal.

Rzymianie, żołnierze Ch'in, dwoje Białych Naacalów i dawni niewolnicy stali wolni pod gigantycznym sklepieniem starej świątyni. Nawet kopeć zniknął ze ścian, starty oślepiającym blaskiem orlego lotu. Biała skała kopuły jaśniała i zdawała się drzeć. Sploty wielkiego węża przeżyły się nad ołtarzem, a oczy jego licznych głów lśniły niczym klejnoty.

Łzy spływały po ogorzałych policzkach Rufusa.

- Nasz Orzeł - zdołał wyszeptać. - Ledwie go odzyskaliśmy, a już zniknął.

- Nigdy nie był nasz - odparł Quintus - lecz Rzymu.

- A teraz tam wraca - dodał Ganesia. Draupadi owinięła starca jednym ze swych welonów niczym togą, ale nawet w tym dziwacznym stroju wyglądał godnie i budził szacunek.

- Nadszedł wasz czas, Rzymianie - powiedział Ganesia. - Oto wasz świat. Co z nim zrobicie?

Quintus miał ochotę wrzucić ramionami. Czuli, jak rosłą dzielące ich bariery. Jeśli nie zdołają ich usunąć, co zrobią, nie mogąc wrócić do domu?

Ganesia roześmiał się.

- Byliście już kiedyś na wygnaniu? Mówię wam: co jeden mag zepsuł, drugi potrafi ostrożnie naprawić. Nawet jeśli ja nie zdołam tego zrobić - powiadam ci, Quintusie - zrobi to Rzym. Bo teraz nastał czas Rzymu, tak jak kiedyś był czas Ojczyzny. Jeśli chodzi o nas, my też możemy się odrodzić. Kto wie? Może pewnego dnia Rzym bardzo się zdziwi, gdy przybędą tu rzymskie oddziały i nie spotkają obcych, ale braci, gotowych ich uściskać!

Quintus spojrział na kupkę popiołu, która była kiedyś rzymskim trybunem. Później zbierze ją i wyprawi Luciliusowi godny pogrzeb, by jego niespokojna dusza mogła znaleźć spokój.

Draupadi odgadła o czym myśli i podała mu swój zawój, by przykrył nim prochy. Być może ona i Ganesia mogliby pomóc im stąd odejść. Ale nawet jeśli nie, to przecież mieli tu ziemię i wodę, mieli kamień, by wznieść domy i świątynie. I towarzyszy obdarowanych wielką tajemną mocą, którą teraz będą mogli wykorzystać, by stworzyć nowy świat.

Ganesia i Draupadi skłonili się przed ołtarzem. Quintus teraz już wiedział, że oczy węża naprawdę rozbliły w odpowiedzi.

Potem opuścili świątynię. Wiatr, hulający pod kamiennym sklepieniem, gonił ich korytarzem. Był niczym świeży oddech. Niebo błyszczało jaśniej niż podczas tyłu dni ich podróży.

Orzeł wciąż wzbijał się w przestworza, rywalizując ze słońcem. Ujrawszy ich, wydał okrzyk powitania.

- "I ty bądź pozdrowiony - odkrzyknął Quintus - szczęśliwej podróży."

Ptaka zatoczył koło i skierował się na zachód, był niczym posłaniec powracający do domu z wieściami o wielkim zwycięstwie...

Obserwowali go, aż zamienił się w połyskującą na niebie cętkę, która wkrótce

również zniknęła.

Później stanęli we wspólnym kręgu - wszyscy, którzy przeżyli. Valmiki kończył zaczęta wcześniej dyskusję z Ganesia. Rufus obrócił się do swojego trybuna:

- Więc to tu jest nasza ziemia?

- Obawiam się, że będziesz musiał poczekać na muła - odpowiedział Quintus i roześmiał się, od tak dawna chciał usłyszeć swój śmiech.

- Myślę więc, że mam dużo czasu, aby się urządzić.

Quintus przytaknął i wyciągnął rękę po dłoń Draupadi. Przewidywania Ganesii - jak tyle razy wcześniej - teraz też mogą się sprawdzić. Może naprawdę mógłby ich uwolnić? I może kiedyś Rzym wyśle w głąb pustyni oddziały zwiadowców, którzy spotkają tu braci? Lecz Quintus miał na razie inne zadania - ziemia, która leżała odłogiem, kamień, który czekał by zbudował dom... Cóż może lepiej dowieść, że to miejsce wraca do życia niż rodzina? Draupadi odwróciła się ku niemu, by spojrzeć mu w oczy. Jak zwykle wiedziała o czym myśli i uśmiechnęła się. Nie potrzeba teraz nic więcej, nie są przecież sami, lecz później... ach, później... wspólne życie... dzieci... Może silni synowie lub ciemnookie córki... To było więcej, niż mógł kiedykolwiek marzyć. Więcej, niż miał Arjuna. "Z całych sił - na zawsze" - obiecał Draupadi w najskrytszych myślach, a ona uśmiechnęła się do niego.

Przyglądał się ruinom świątyni. Te mury da się odbudować, a z kamienia, który zostanie, wzniosą domy i akwedukty.

Potem spojrzął na niebo. Choć było to niebo pustyni, wydało mu się, że widzi zapowiedź deszczu.

Rzym będzie rozkwitał na Zachodzie, niezależnie od tego, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy jego siedem wzgórz. Tu, na Wschodzie, była praca i - jak by powiedział Rufus - Rzymianie, by ją wykonać. Na honor Orła, wywiążą się dobrze z tego zadania.

Koniec